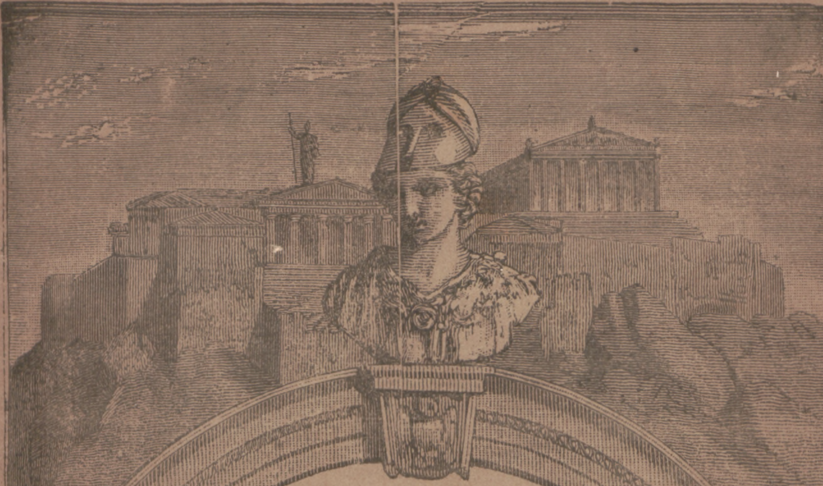


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK II.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.
DRUKIEM JANA NOSKOWSKIEGO,
ulica Mazowiecka Nr. 11.

1877.

SPIS RZECZY.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 11 Декабря 1876 г.

SPRAWA KALKSTEINA.

1670—1672.

I.

Tragiczna, krwawą plamą w dziejach Polski XVII-go wieku stercząca sprawa, pochwycenia w Warszawie, ścięcia następnie w Memlu przez elektora Fryderyka Wilhelma, Krystyana Ludwika Kalksteina; wymaga dla zrozumienia związku swego i całości obszerniejszego nieco wstępu, sięgającego w odleglejszą Polski, Pruss i Brandenburgii przeszłość. Wstępny ów rzut oka wykaże zarazem samę siłę logiką objętych przezeń faktów, niezrównaną owę potęgę i wytrzymującą wszelkie próby niespożytość podwalin, na których budowa Rzeczypospolitéj Polskiéj; w pierwszym wieku panowania Jagiellonów się wzniosła, a których pruchno i zgnilizna, w połączeniu z zewnętrznemi burzami XVII wieku, zachwiać i obalić nie były jeszcze zdolne. Jeżeli wiek nasz jest epoką tworzenia się wielkich politycznych organizmów na podstawie pierwiastku centralistycznego, jeżeli się zdaje dawać słuszność kreacyom państwowym, zawdzięczającym całość i istnienie umiejętnie fuukcyonującéj machinie wojskowéj i administracyjnéj,— staje krwawa i bolesna sprawa będąca przedmiotem niniejszego opowiadania, nie ze swéj głęboko tragicznéj, ale ze swéj politycznéj strony jako świetne stwierdzenie niespożytości pierwiastku federacyjnego w życiu państw, społeczeństw i narodów. Wzniesiony na podstawie pierwiastku federacyjnego, na wzajemném uznaniu i uszanowaniu zo-

bopólnych praw i właściwości organizm, robi wrażenie owych wiekotrwałych piramid starożytnego Egiptu, trzymających się w nienaruszalnéj całości własnym ciężarem samorodnych brył, którym kielnia mularza oszczędziła wszelkiego sztucznego klejenia. Przypatrując się genezie Polski w XV i XVI wieku, widzimy wyraźnie owę spontaniczną, owę pracującą jakoby samo przez się i z siebie działalność pierwiastku federacyjnego. Gromadzą się, kupią koło Polski XV-go i XVI-go wieku, najrozmaitsze plemiennėm pochodzeniem, wiarą, językiem, tradycyami, dziejowymi żywioły, bo związek z Polską reprezentuje im *wolność* taką, jaką owe czasy pojmowały. Wolność taka nie obejmowała naturalnie ani swém okiem, ani swym programem *ludu*. Lud wiejski stracił bądź to naówczas *już* swoję niezależność, lub był *jeszcze* odległy od myśli choćby nawet tylko jéj odzyskania, kilku wiekami. Jeśli tu więc o wolności mowa, może być ona tylko o wolności, o prawach, o swobodach pierwiastków, które w owéj epoce były czynnikami politycznego i narodowego życia, które reprezentowały i wyrażały za siebie i za drzemiące pod sobą niższe warstwy społeczeństwa całą sumę moralnéj i duchowéj istności narodowéj. *Kościół*, *szlachta*, *miasta*, — otóż, powiedzielibyśmy, trzy czynniki wchodzące w owych czasach w rachubę, otóż trzy różne duchowo, politycznie i społecznie pierwiastki, które się składały na całość ówczesnego publicznego życia, z których każdy z osobna domagał się własnego zakresu wolności i samorządu, zdobywał go sobie, jeżeli mu go zaprzeczano, bolał i chorował, jeżeli mu go się zdobyć nie udało.

Zwracając się od tych uwag i spostrzeżeń ogólnego charakteru do kraju i społeczeństwa, które przez wiek XV i XVI pozostaną najświetniejszém i najwięcéj uderzającém ich stwierdzeniem i sprawdzeniem, do owych Pruss nad Wisłą i Bałtykiem, wydartych Polsce zdradą, podstępem i gwałtem zakonu krzyżackiego, gdy były jeszcze słowiańskiemi lub litewskiemi, wracających do niéj wysiłkiem własnéj energii, gdy już przeważnie stały się niemieckiemi,—widzimy także nie co innego, jak żywą grę i robotę owych czynników i reprezentantów średniowiecznéj wolności. Cóż, zapytalibyśmy, staje się ludności Pruss pobudką i powodem do zrzucenia krzyżackiego jarzma, do zapalenia jednéj i téj saméj Lutowéj nocy pamiętnego roku 1453 owych słupów owitych w słomę i smołę, których ognie miały zwiastować krajowi pierwszy dzień odzyskanéj swobody? Odpowiedzią na to zapytanie jest wytoczony w szczerze niemieckiéj, po niemiecku pisanéj, po prusku czującéj i myślącéj kronice Kaspara Schütza z końca XVI wieku, akt

oskarżenia przeciw zakonowi krzyżackiemu. Zacny sekretarz miasta Gdańska, autor kroniki, zapisuje głos wymownego repezentanta sprawy pruskiéj, Jana Baisena, w obec króla Kazimierza Jagiellończyka. „Rozumieliśmy, przemówił, że na mocy naszego chełmińskiego przywileju jesteśmy wolni w kraju naszym od wszelkich ceł i ciężarów. Tymczasem zakon nałożył nam najrozmaitsze nowe cla, ciężary i podatki, pogorszył monetę, miary łokciowe i wagi, zniszczył nas na dobru i mieniu, doświadczał na nas rozmaitéj rozpusty i chciwości. A przecież nie dla tego wziął nas za poddanych, aby nas uciskał i niszczył, lecz aby nas w nadanych a zaręczonych swobodach i prawach utrzymał. Ostatecznie, a co najważniejsza, dla czego królestwa, kraje i ludzie od jednego do drugiego przechodzą pana, dopuszczał się zakon w kraju wielu gwałtów i nieprawości lub pozwalał na takowe. Nikt nie doznawał opieki prawa, tyrania wzięła przeważnie górę; tylu było panów w kraju, ilu wielkich mistrzów i dygnitarzy zakonnych. Wszeteczeństwo, bezwstyd i zbrodnia były pośród nich rzeczą tak rozpowszechnioną, że zaledwie wypowiedzieć można. Bóg w niebie, aniołowie Jego i wszyscy święci brzydzą się tymi występkami! Bezcześcili i gwałcili nasze żony, dzieci i czeladź. Naszych przyjaciół, rodziców i dzieci, braci i krewnych tak ze szlachty i z miast mordowali bez wyroku i prawa, bez wysłuchania sprawy, bez wszelkiéj winy, jedynie z rozpusty, tak w nocy, jak we dnie, tak skrycie, jak publicznie. Więzili ich po turmach, kaleczyli i topili, a nikt nie mógł uzyskać sprawiedliwości, jak wszystko to i wiele więcéj jeszcze w szczególności Waszéj Królewskiéj Mości szerzéj oznajmimy, a w razie potrzeby piśmiennymi stwierdzimy dowodami. Aby temu wszystkiemu zapobiedz, aby tak nadzwyczajnéj tyranii położyć koniec, Bogu na chwałę, a krajowi na korzyść, aby nie usuwać się z pod należnego i winnego naszym panom posłuszeństwa, byliśmy zmuszeni zawrzeć w roku 1440 związek i jedność między sobą w celu oparcia się niesprawiedliwości, gwałtom, chciwości, wszeteczeństwu, bezwstydowi, a zobowiązaliśmy się stać wytrwale jeden przy drugim. Związek tenże pochwalił nasamprzód wielki mistrz Paweł von Russdorf wraz z kilku dygnitarzami. Lecz Konrad von Erlichshausen następca jego i teraźniejszy mistrz Ludwik von Erlichshausen chcieli znieść związek tenże, choćby cały kraj przy téj sposobności miał był zginąć. Oskarżył nas przed papieżem i przed cesarzem na czci, nazwał nas heretykami, zdrajcami, buntowniczymi poddanymi. Stawiliśmy się przed obliczem Jego Cesarskiéj Mości i wytlómaczyliśmy się z wszelkich zarzutów. Cesarz przecież, który dawniéj związek nasz pochwalał i zatwierdził, cofnął

swe przyzwolenie, aby się zakonowi przypodobać. Nie był naszym sędzią, a wydał przecież wyrok bardzo uciążliwy. Nie miał na względzie sprawiedliwości, lecz przychylność zakonu. Dla tego też nie mogliśmy pędzić w ten sposób życia dalej, lecz powierzyliśmy się Bogu, uczyniliśmy z konieczności cnotę, postanowiliśmy pomagać sobie wzajemnie na podstawie związku w odpieraniu gwałtów gwałtem, a tyranów naszych nie mogliśmy uznać za prawowitą władzę. Wypowiedzieliśmy im naszą przysięgę, powinność i posłuszeństwo, zajęliśmy większą część miast i zamków, mamy prawie cały kraj w naszém posiadaniu, a jeżeli nie możemy się wyzwolić z pod podobnéj tyranii, czego przecież się z pomocą Boską spodziewamy, wolimy wszyscy raczéj śmierci zakosztować, aniżeli w ten sposób przez całe życie w brzydkiéj niewoli i gwałtownym ucisku wraz z dziećmi, żonami i przyjaciołmi być ciemiężonymi, na ciele i mieniu krzywdzonymi. Ponieważ jednakże, Najjaśniejszy Królu, poddani nie mogą pozostawać bez rządu, równie jak ziemia bez słońca, wysłali nas nasi starsi do Waszéj Królewskiéj Mości, abyś nas Wasza Królewska Mość pozostawiła przy naszych chełmińskich, lubeckich, czy pragskich prawach, przy naszych przywilejach, starych swobodach i prawach, chwalebnych przodków Waszéj Kr. Mości i własnych Jéj postanowieniach; mianowicie, aby zburzone zamki ku wiecznéj rzeczy pamięci pozostały zburzonymi, a nie były nigdy odbudowane... Wśród takich to i jakichkolwiek bądź innych jeszcze warunków, prosimy o opiekę i obronę Waszéj Królewskiéj Mości. Że W. Kr. Mości jako dawnemu Panu dziedzicznemu, a teraz jako nowéj i dobrowolnie obranéj zwierzchności, będziemy poddani bez wszelkiego przymusu, że Jéj zdobyte miasta i zamki oddamy, będzie dla Waszéj Król. Mości nietylko użytecznem, lecz także chwalebném i sławném, bo pierwszą korzyścią W. Kr. Mości ztąd będzie powiększenie i pomnożenie Jéj krajów i wzmocnienie państwa. Nieprzyjaciel twój, Najjaśniejszy Panie, będzie się Ciebie tém bardziéj obawiał, a po dwustu latach ciągłéj wojny i zatargu przyjdzie do ciągłego i trwałego pokoju... Daléj, ponieważ zakon jest zarazem Twoim i naszym nieprzyjacielem, może być tém łatwiéj i pewniéj wypędzonym, a zaszczytném też będzie dla Waszéj Król. Mości, że się ujmiesz za nami, jako za uciśnionymi. Nadto zasłużysz sobie W. Kr. Mość na wieczną wdzięczność naszą i posłuszeństwo, a znajdziesz nas zawsze gotowymi na swe usługi. Nie opuścimy Cię nigdy. Gdyby zaś kto powiedział, że nie należy gasić, skoro się u niego nie pali, według starego przysłowia, to niechaj W. Król. Mość zechce pamiętać przeciwnie, właśnie jset czas gasić, gdy się

u sąsiada pali. Skoro nam zakon naszych przywilejów, a własnych przysiąg nie dotrzymuje, nie zachowa i z Waszą Królewską Mością sąsiedzkiéj przyjaźni i zawartego pokoju; bo jeżeli sobie przypomniemy wieczny pokój z roku 1436, złamał go już kilkakrotnie, gdyż pracował na soborze Bazylejskim, aby nie ustępować wymówionych dóbr, zakazał wolnego przyjazdu do Krakowa, zabronił swym poddanym wolnego handlu z Polską, kazał pościnać mieszczan z Arnswalde bezprawnie, a nie w chęci zachowania pokoju, lecz z powodu niedogodnéj pory tylko. wolał jeszcze wojny nie rozpoczynać. Nie będzie też można powiedzieć, że Wasza Kr. Mość pragniesz zabierać kraje obcych panów i wydzierać komuś co się Jéj nie należy; gdyż kraje te powracają do W. Kr. Mości jako do dawnego dziedzicznego pana swego, któremu częścią podstępem, częścią gwałtem zabrane zostały. Odkąd zaś znowu siłą i prawem wojny przez nas, a nie przez W. Król. Mość odebrane zostały a teraz oddają się dobrowolnie W. Kr. Mości, masz W. Kr. Mość obowiązek wziąść je słusznie i sprawiedliwie w swą opiekę, bronić ich odtąd i chronić a zawiadować niemi jako pan dziedziczny własném mieniem. Na to zasłużyły sobie u W. Kr. Mości wsie i miasta, a oddadzą za Nią chętnie ludność, krew i mienie. W razie jednakże, gdybyś ich W. Kr. Mość nie chciała przyjąć za swych poddanych, prosimy również i stronie przeciwnéj nie dawać pomocy i poparcia, bo przenigdy się nie poddamy na nowo rządom zakonu; a raczéj jesteśmy gotowi, jak już wyżéj powiedziano, umrzeć raz poczciwie za nasze prawa i swobody, aniżeli codziennie hańbiącą i upokarzającą śmierć widzieć przed oczyma, tyrański gwałt cierpieć, żony i dzieci widzieć hańbionémi i padać ofiarami rozpusty ich wraz z rodzinami i przyjaciołmi.“ — Otóż to akt oskarżenia ludności pruskiéj przeciw panowaniu krzyżackiemu, znajdujący po trzech wieków upływie dziwnéj wierności echo w akcie niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki, otóż zarazem uroczysty fakt oddania się Prus pod opiekę polską. Przemawia zeń krzywda wspomnianych przez nas czynników *szlachty* i *miast* nasamprzód; nie miało zaś zbywać i na trzecim, *kościele*. świeckie duchowieństwo kraju nie doznawało ze strony krzyżackiéj względniejszéj praktyki od *szlachty* i *miast*. Nie omieszkało też stanąć w związku z niemi w ogólnéj manifestacyi przeciw panowaniu krzyżackiemu. Na zjeździe w Elblągu roku 1454 widzimy biskupów chełmińskiego, pomezańskiego i sambijskiego, składających hołd królowi polskiemu wraz z reprezentantami miast i szlachty. Wiadomy przebieg téj pamiętnéj wojny, wiadomy jéj ostateczny rezultat. Traktat toruński z rokn 1466 przypieczętował

zwycięstwem dzieło wyzwolenia kraju pruskiego. Zachodnia jego część z ujściami Wisły dostała się pod panowanie polskie z zastrzeżeniem ludności wszelkich praw i przywilejów; wschodnia, mniejsza, pozostała zakonowi krzyżackiemu ze stolicą Królewcem, jako lennictwo polskie.

Przedstawia się teraz konieczność skreślenia w kilku słowach prawnego i politycznego stanowiska ludności kraju pruskiego pozostawionego krzyżakom, względem zakonu tudzież zewnętrznego przebiegu wypadków, aż do znanéj dziejowo sekularyzacyi w. mistrza Albrechta w r. 1525. Jeszcze za czasów trwania władzy i panowania zakonu w całych Prusach, zwoływał w. mistrz w różnych czasach i w różnych celach zjazdy, zebrania, sejmiki szlachty, większych i mniejszych miast, duchowieństwa, na których obradowano nad podatkami, nad cłami, nad dostawą ludzi, zboża, pieniędzy w razach wojny. Kaźmierz Jagiellończyk, obejmując Prussy, zatwierdził i rozszerzył ową organizacyą i kompetencyą stanów pruskich, nadał jéj zamiast zwyczajowego dotąd tylko funkcyonowania, *prawne* stanowisko, obdarzył stany pruskie pierwszym niemal i naczelnym głosem we wszystkich ważniejszych sprawach kraju. Jakiekolwiek mogły być późniéj skargi, drobiazgowéj zresztą i podrzędnéj natury, jak widzimy z Lengnicha, z powodu łamania nibyto praw i przywilejów pruskich; znajdowały się stany pruskie w posiadaniu władzy, która mogła słusznie, późniéj przynajmniéj, za czasów elektorskich, być przedmiotem i powodem zazdrości tak zwanych Prus Książęcych. Taż sama organizacya stanowa, z małémi bardzo odmianami przeniosła się pod gwarancyą lennego pana, króla polskiego, i na część Pruss, którą grom pokoju toruńskiego pozostawił jeszcze panowaniu krzyżackiemu. Stany wyrobiły sobie prawo rozpisywać sejmiki z własnéj inicyatywy, nie pytając o przyzwolenie w. mistrza. Składali je reprezentanci szlachty, większych i mniejszych miast. Miały one prawo stanowić podatki lub odmawiać takowych, nakładać cła i myta, dawać lub odmawiać pieniądze na wojnę, dostawiać lub odmawiać żołnierza w. mistrzowi, gdyby miał być wyprowadzonym po za granice kraju, zaopatrywać go w żywność, odziez, żołdy, co najważniejsza wreszcie, zabierać głos w kwestyach wojny lub pokoju. Jeżeli stany Pruss krzyżackich potrafiły sobie drogą praktyki i zwyczaju podczas absolutnego niby to ciągle jeszcze panowania wielkich mistrzów zakonu wyrobić podobne stanowisko, rzeczą więcéj niż naturalną, iż gdy w. mistrz Albrecht łamiąc zakonne śluby, przyjmując luterską wiarę i biorąc żonę, potrzebował moralnego poparcia kraju, waga i powaga stanów pruskich w organizacyi politycznéj

Prus Książęcych tém większego a prawem stwierdzonego nabrały znaczenia. Co się tyczy aktu samego wyniesienia byłego w. mistrza krzyżackiego, siostrzeńca Zygmunta I na tron książęcy, aktu schlebiającego swymi świetnymi, zewnętrznymi przyborami wyobraźni narodowéj, spopularyzowanego przez illustracye i obrazki, począwszy od *Śpiewów historycznych* Niemcewicza, skończywszy na wydawanych ostatniemi czasy, obrazkowych podręcznikach historyi polskiéj, aktu cieszącego dumę narodową widokiem księcia Albrechta odbierającego na klęczkach z rąk króla polskiego chorągiew z czarnym orłem i znamionami swéj lenniczéj władzy; — należy mu się także jeszcze ze strony polskiéj nawiasowa może tylko w obecném opowiadaniu, ale konieczna według nas uwaga. Stało się zwyczajem chwalić i wynosić wszystko bez zastrzeżenia, co się działo w epoce panowania Jagiellonów. Jest tymczasem, według naszego pojęcia rzeczy, ciężkim błędem rozciągać podobny optymizm na akt obdarzający księcia Albrechta choćby lenniczą tylko władzą w Prussach. Był akt ten raczéj faktem zwycięztwa polityki dynastycznéj nad polityką narodową. Traktat toruński dawał Rzeczypospolitéj i królom polskim formalne prawo objęcia Pruss krzyżackich, po złamaniu ślubów zakonnych ze strony w. mistrza, na tych samych warunkach, na jakich już posiadali tak zwane Prussy Królewskie. Rzesza Niemiecka nie mogła się, w chwili zatargów reformacyjnych we własném łonie, podobnemu wcieleniu oprzeć; warunki materyalnéj siły pozwalały na to, ludność miejscowa byłaby akt podobny z zadowoleniem przyjęła. Tymczasem, jak to dopiero powiedziano, odniosła zwycięztwo polityka dynastyczna domu Jagiellońskiego nad interesem narodowym; Prussy krzyżackie oddała Polska ku przyszłéj zgubie i klęsce w ręce sekularyzowanego księcia Albrechta z gotowém i czekającém niecierpliwie percepcyi prawem opieki i dziedzictwa domu brandenburgskiego. Co się tyczy rządów nowego księcia w owym lesistym i jeziorami poprzecinanym, na pólnoc i wschód przez ludność litewską, na zachód i poludnie przez słowiańskich Mazurów zamieszkałym, niemieckiemi miastami i niemiecką szlachtą przepełnionym, pod religijnym zarządem niemieckiego duchowieństwa zostającym kraju, — były one rządami światłego i dobrego gospodarza. Przyjąwszy sam wyznanie Lutra, szerzył je pomiędzy całą ludnością, choć bez wyraźnego gwaltu i przymusu, a potrafił zaszczepić nawet pomiędzy słowiańskimi Mazurami. Założył wszechnicę królewiecką, szanował zresztą sumiennie prawa i przywileje stanów, żył w zgodzie ze swymi zwierzchnimi panami, królami polskimi Zygmuntem I i Zygmuntem Augustem. „Tyle można zauważyć,“ pisze o nim

Lengnich, „że książe Albrecht swoje nowe dziedziczne księstwo pod królewską opieką spokojnie dzierżył, protestancką religią zaprowadzał, a niczego nie zaniedbał, coby do wzrostu kraju posłużyć było mogło“... Zakończył życie roku 1567 w późnéj starości, by pozostawić dziedzictwo księstwa pruskiego obłąkanemu synowi Albrechtowi Fryderykowi. Prawo opieki nad niedołężnym księciem przypadło według testamentu ojca elektorom brandenburgskim, współczesnym Zygmuntowi Augustowi, Henrykowi Walezemu, Stefanowi Batoremu i Zygmuntowi III; — Jerzemu Fryderykowi, Joachimowi Fryderykowi i Janowi Zygmuntowi. Wśród podobnego położenia rzeczy przedstawiała się Polsce ponownie sposobność naprawienia błędu Zygmunta I. Stany pruskie pokazujące już Albrechtowi zęby, zmuszające go często do kapitulacyi z najelementarniejszych praw i prerogatyw monarszych, nie miały ochoty przyjmować opiekuńczych rządów domu brandenburgskiego. Wystąpiły z żądaniem zaprowadzenia, przynajmniéj na czas życia obłąkanego księcia, rządów stanowych, czyli jaśniéj i króciéj powiedziawszy, republikańskich, pod naczelném zwierzchnictwem korony polskiéj.

Taka ofiara stanów pruskich przedstawiała się Zygmuntowi III. Odrzucił ją, raz ze względu na dobry stosunek, który chciał zachować z elektorami brandenburgskimi, następnie ze względu na religią. Stany pruskie stały twardo przy luteranizmie i nie byłyby się nigdy chciały zgodzić na ustępstwa, jakich Zygmunt dla Kościoła Katolickiego i wyznania jego w granicach Księstwa Pruskiego wymagał. Ztąd poszło, że Król i Rzeczpospolita, mimo wołania stanów pruskich, mimo wyciągania z ich strony rąk do Polski, zatwierdzili nie tylko prawo opieki elektorom brandenburgskim nad obłąkanym księciem Albrechtem Fryderykiem, ale że nadto po zgonie jego w roku 1612, pospieszyli z nadaniem prawa lennego nad księstwem pruskiém elektorowi brandenburgskiemu Janowi Zygmutowi. A przecież nastąpił, krótko właśnie przed owém nadaniem, ze strony domu brandenburgskiego akt, który do dawnego procesu między republikańskiemi pretensyami stanów pruskich a monarszą władzą elektorów brandenburgskich, dorzucał nowe ziarno rozstroju i wzajemnéj niechęci. Jak już to dopiero powiedziano, stały stany pruskie twardo przy luteranizmie, podobnie jak książę Albrecht, podobnie jak jego syn i następca, podobnie jak i dom brandenburgski. Tymczasem przeszedł w roku 1609 elektor Jan Zygmunt z luteranizmu na tak zwaną wiarę reformowaną czyli kalwińską. O ile na podobną zmianę wyznania mogło wpłynąć rzeczywiste przekonanie, trudno natural-

nie dzisiaj rozstrzygnąć, politycznym jéj powodem była prawdopodobnie chęć wyemancypowania się z pod uciążliwéj nieco opieki luterskiego duchowieństwa, znajdującego się w wiernym a trwałym związku z targującą się o władzę krajową opozycyą stanów. Cokolwiekbądź stał się fakt przejścia elektorów brandenburgskich na kalwinizm, nowym powodem rozstroju, nowym materiałem nieporozumienia i niezgody między domem panującym a stanami całego ich obszaru, mianowicie księstwa pruskiego. W Prusach skostniał i skrystalizował się w niezmienne i stałe formy luteranizm; szlachta, miasta i duchowieństwo uważały go za jedną z głównych podstaw i czynników swobody i niezależności krajowéj. W duchowieństwie mianowicie rozwinął się rodzaj osobnego fanatyzmu luterskiego, gotowego, jak się to bardzo często w walkach religijnych dzieje, wejść w przymierze z żywiołami zasadniczo wrogiemi przeciw waśniom i nieporozumieniom własnego obozu. Zobaczymy w dalszym ciągu niniejszego opowiadania duchowieństwo luterskie wchodzące w tajne porozumienia z Jezuitami polskimi. Na teraz dość powiedzieć, że w skutek konwersyi panującego domu na kalwinizm, duchowieństwo owo stało się jednym z najenergiczniejszych żywiołów niezadowolnienia, jednym z najsilniejszych i najskuteczniejszych sprzymierzeńców opozycyi stanowéj... Podobny stan rzeczy trwał do śmierci Władysława IV. Elektorowie brandenburgscy byli niby to lennymi panami kraju pod zwierzchnictwem królów polskich, w rzeczywistości jednakże rządziły nim stany. Ile razy między elektorami a stanami przychodziło do nieporozumienia, odzywały się stany pruskie do poręki królów polskich, którzy jako zwierzchni panowie kraju rzecz według uważania rzeczy rozstrzygali. Jeżeli Stefan Batory zmuszony zwrócić uwagę w inną stronę, okazywał się mniéj troskliwym o wewnętrzne sprawy księstwa pruskiego; jeźli Zygmunt III zajęty również ciągle wojnami z Moskwą, Turcyą i Szwecyą, wyznając nadto wstręty do luteranizmu pruskiego, był raczéj stronnikiem elektorów w walce ich ze stanami pruskiemi, a zresztą wstrzymywał się od mieszania się w ich sprawy, — widzimy Władysława IV przypominającego sobie w sposób nader stanowczy rolę zwierzchniego na Prusami pana. W perspektywie mającéj się rozpocząć na nowo wojny szwedzkiéj, jedzie Władysław IV w roku 1640 do Królewca, rozporządza zasobami kraju ku własnéj obronie, nakłada na rzecz skarbu Rzeczypospolitéj cło na port Piławski, i ściąga je przez uzbrojonych i wyprawionych przez się na Bałtyk, znanych owéj epoki flibustierów, trzech braci Spiringów. Gospodarowanie podobne Władysława IV nie przeszkadza zresztą

bynajmniéj jak najlepszym osobistym stosunkom między dworem Warszawskim a elektorem. Owczesny poseł brandenburgski, Jan Hoverbeck, pisze do Berlina sprawozdania o łaskawości i dobroci króla polskiego dla siebie i swego pana, a gdy elektor Jerzy Wilhelm zapada ciężko na chorobę, z któréj już powstać nie miał, posyła mu Władysław IV swego nadwornego medyka Knöffla (1). Zgon Jerzego Wilhelma w roku 1640, pierwszy wstęp na widownią dziejową nowego, młodego elektora Fryderyka Wilhelma, nic w tym stosunku nie zmienia. Młody elektor mógł mieć i miał rzeczywiście pretensye wyemancypowania Brandenburgii ze stosunku uległości na wszystkie strony, ze stanowiska niemocy, w jakiéj ją niedołężność ojca, zła wola wszechwładnego doradzcy jego, ministra Adama Schwarzenberga, pozostawiły. Co się tyczy stosunku jego do Polski, widzimy go przeciwnie przez cały ciąg panowania Władysława IV uległym i pokornym, nie naruszającym w niczém lenniczéj powinności, usiłującym widocznie być dobrze z Polską, by mieć czas i sposobność uregulowania spraw i rzeczy własnego domu. W roku 1641 przyjeżdża do Warszawy i odbiéra, jak swego czasu Albrecht od Zygmunta I, na klęczkach od Władysława IV znamiona swéj lenniczéj władzy w Księstwie Pruskiém, Lemburgu i Batowie. Polska ma zeń słowem przez ciąg panowania Władysława IV przykładnego lennika. Pierwszém jakoby hasłem zmiany dotychczasowego stanu rzeczy, jest zgon znakomitego Wazy w miesiącu maju r. 1648. Uprzytomnijmy sobie ową chwilę dziejów naszych, chwilę, która znalazła tak wymownego prawdą i talentem malarza w *Dwóch latach dziejów naszych* Szajnochy. Na odległéj ukrainie rozpalał się właśnie w groźny dla Rzeczypospolitéj pożar, bunt Chmielnickiego. W sercu kraju, na widowni Warszawskiéj wrzała w czasie bezkrólewia po największym z Wazów, nie tyle głośna, ile zacięta rywalizacya obu braci jego, Jana Kazimierza i Karola Ferdynanda, biskupa Płockiego, w ubieganiu się o dziedzictwo osieroconego tronu. W dziejach mętnych i małoznanych owéj rywalizacyi obu braci, należy szukać pierwszego początku i źródła późniejszéj emancypacyi elektora brandenburg-

---

1) Erdmannsdörfer, Urkunden und Actenstücke zur Geschichte des Kurfürsten Friederich Wilhelm von Brandenburg. — *Politische Verhandlungen*. Berlin, 1864. List Hoverbeck'a z Warszawy do elektora Jerzego Wilhelma z dnia 22 listopada 1640. „Wenn es eben ohne Sr. Königl. Majestät Ungelegenheit zugehen könnte, geschähe Ew. Kurfürstl. Durchlaucht ein sonderbarer Dienst und Gefallen daran, dass der Herr Doctor Knöffel wäre es auch nur etwa auf 8 oder 14 Tage zu deroselben herüberkäme.“ Władysław IV przychyla się łaskawie do téj prośby posła elektorskiego.

skiego, jako księcia pruskiego, z pod zwierzchnictwa królów poskich. Szołdrski biskup poznański był głównym politycznym agentem Karola Ferdynanda; po stronie Jana Kazimierza nie omieszkał stanąć zręcznie elektor Fryderyk Wilhelm, pracować przez swych rezydentów dla jego sprawy pośród szlachty, ale zarazem zapewnić sobie zawczasu należną nagrodę. Dał mu ją niebacznie Jan Kazimierz, sprzedając istnie po Ezawowemu prawo starszeństwa za miskę soczewicy, w skrypcie z dnia 6 października 1648 (1), pod zastrzeżeniem jak najgłębszego sekretu. W skrypcie tym opłacał przyszły król polski pomoc i współdziałanie Brandenburgczyka w zabiegach elekcyjnych,' zrzeczeniem się osobistém prawa żądania hołdu i podatków lenniczych. Powstał w ten sposób pierwszy przełom w prawie zwierzchnictwa Polski nad księstwem Pruskiém, ziarno przyszłych traktatów welawsko-bydgowskich było rzucone. Jan Kazimierz został, jak wiadomo, sam na widowni zabiegów elekcyjnych, brat Karol Ferdynand ustąpił mu miejsca, świetna uczta w Kazimierzowéj włości Nieporęcie dnia 12 listopada 1648, położyła koniec bratnim niesnaskom. Minęło w ten sposób siedm lat od czasu wstąpienia na tron Jana Kazimierza; elektor zadawalniał się tymczasem posiadaniem wspomnionego co dopiero skryptu z dnia 6 października 1648, czekając sposobności nadania mu skuteczniejszego waloru; gdy w tém uderza grom wojny szwedzkiéj z roku 1655 i otwiéra szerokie pole owéj grze elektora, w któréj, niewiadomo do prawdy, co więcéj podziwiać, czy zmienność czy zręczność. Wezwany na pomoc jako lennik Rzeczypospolitéj, staje w jesieni roku 1655 w Prussach Królewskich z wszelkiemi rozporządzalnemi siłami. Oba Prussy, tak Królewskie, jak Książęce przyjmują go jako zbawcę od nawałnicy szwedzkiéj, jako obrońcę Króla i Rzeczypospolitéj, przedewskiém jednakże jako opiekuna zagrożonych domowych zagród. Spieszą mu z pomocą i ofiarami w ludziach i pieniądzach; elektor tymczasem pewny swych celów, pewny nie mniéj szczegółów swego działania, wy-

---

(1) Erdmannsdörfer St. 308 i 309. „*Assecuration des Prinzen Johann Casimir für den Curfürsten auf den Fall seiner Wahl* Dat. Nieporent d. 6 October 1648· „Und wie wir unseres Theils auch ohne einiges Homagium Sr. Kurfürstl. Durchlaucht voll kommlich trauen wollen. also erklären wir Uns nicht allein dahin dass Wir nach Unserer, Gott gebe, glücklicher krönung Sr. Kurfürstl. Durchlaucht die Investitur in Person ansuchen und die Belehnung zu empfangen befreien, sondern wollen ebenmässig es dahin zu richten Uns möglichst angelegen sein lassen dass zur Ersparung nöthiger Spesen, Ihro nnd Dero Nachkommen legati und zwar unentgeldlich dazu jedesmal admittiret und das Homagium von Ihnen angenommen werde.“

zyskuje neutralne swe dotąd między wojującemi stronami stanowisko z podziwienia godną, akrobatyczną, powiedzielibyśmy zręcznością. Korzystając z ucieczki Jana Kazimierza na Szląsku, uznaje wraz ze szlachtą wielkopolską kapitulującą w Ujściu, polską królewskość Karola Gustawa. Ofiaruje się z pomocą w zamian uznania niezależności swéj władzy w Prussach Książęcych. Karol Gustaw odgrywając na chwilę rolę króla polskiego, przyjmuje traktatem zawartym w Królewcu pod dniem 7 stycznia 1656 elektora wyrzekającego się uroczyście lennictwa polskiego, jako lennika korony szwedzkiéj w księstwie Pruskiém i Warmii, a następnie wynagradzając jego usługi i przymierze przeciw targającéj się w więzach i budzącéj się Rzeczypospolitéj, ustępuje mu aktem wydanym w Malborgu pod dniem 15 czerwca 1667 większą część województwa Poznańskiego i Kaliskiego, całe województwo Sieradzkie i Łęczyckie wraz z ziemią Wieluńską. W skutek téj konwencyi wkracza Derflinger w granice Wielkopolski, wycina z niesłychaném okrucieństwem całą ludność niemal pogranicznego miasteczka Babimostu, obejmuje po Szwedach Poznań, Kurnik, Międzyrzecz, Kościan i inne grody wielkopolskie. Główna siła połączonych armii Karola Gustawa i Fryderyka Wilhelma płynie tymczasem poważnym strumieniem z Prus ku Warszawie, i stacza w ostatnich dniach lipca 1656 ową wielką trzydniową bitwę warszawską, która się kończy równie nieszkodliwą klęską polską, jak bezpłodnym tryumfem szwedzko-brandenburgskim. Trzeba jednakże wynagrodzić udział elektorski w owym tryumfie warszawskim, trzeba zawczasu nagrodą podobną utrzymać go w przymierzu, tém potrzebniejszém, że Dania grozi wojną, a niebezpieczniejszy coraz bardziéj ruch Rzeczypospolitéj zamienia obóz szwedzki istnie w okręt, miotany falami na wzburzoném morzu. Znów więc w przedłużonéj jeszcze roli zwierzchniczego pana, obdarza Karol Gustaw aktem datowanym z Labiawy dnia 10 listopada 1656, dawnego lennika Polski niezależną i swobodną całkiem w Prussach Książęcych władzą. Koniec roku 1656, chwila blednącéj coraz bardziéj gwiazdy Karola Gustawa zastaje tedy elektora brandenburgskiego w posiadaniu pergaminu uznającego go nieznależnym i bezsprzecznym panem Księstwa Pruskiego, — *ale* jedynie tylko z ramienia szwedzkiego. Tymczasem następuje przesilenie, które może się elektorowi w razie źdźbła rozumu kierowników polityki polskiéj, odpłacić nader zgubnym odwetem za wszystkie dotychczasowe przeciw Polsce sztuki i frymarki. Dania wypowiada wojnę i zmusza Karola Gustawa w lecie roku 1657 do ustąpienia z Polski; Rakoczy gromiony i szarpany przez Lubomirskiego wraca również

ze swém mocno przetrzebioném wojskiem do Siedmiogrodu; cesarz oświadcza się nareszcie za Polską, elektor Fryderyk Wilhelm pozostaje w rzeczywistości sam na teatrze wojny przeciw rozkołysanéj na dobre walką, obudzonéj nareszcie po zbyt długim wypoczynku szlachcie polskiéj. Wielkopolanie robią już w zimie z r. 1656 na 1567 wycieczki do Nowéj Marchii, pod Cylichowę, Cielęcko, Frankfurt, dając się rządom elektorskim potężnie we znaki. W miesiącu sierpniu 1657 oblega wielkopolskie pospolite ruszenie stolicę swą Poznań, i zmusza dowódzcę załogi brandenburgskiéj Wedige von Bonin do kapitulacyi, która obejmuje zarazem wszystkie inne załogi brandenburgskie po miastach wielkopolskich. Położenie elektora zaczynało, przy rozbudzonym przeciw niemu w Połsce nienawiściom, przy zapewnionéj pomocy austryackiéj, być mocno krytyczném. Nadarzała się ponownie sposobność naprawienia nieprzebaczonego błędu Jagiellonów, odzyskania księstwa pruskiego dla Rzeczypospolitéj, ukarania wiarołomnego lennika utratą tego, co mu z warunkiem dochowania wierności było dane. Tymczasem mieli Jan Kazimierz i rządząca nim małżonka Marya Ludwika przedstawić tylko ponowne i poprawne widowisko zwycięstwa dynastycznéj, czy osobistéj polityki nad polityką interesu narodowego. Machiavelli mówi w swym traktacie *O Księciu*, iż panującemu raz lwem, inny raz lisem być wypada. Elektor Fryderyk Wilhelm jest żywém téj maksymy stwierdzeniem. Dotychczas widzieliśmy go lwem przy boku zwycięskiego Karola Gustawa; po ustąpieniu jego i pogromie widzimy go w drugiéj owéj roli w obec dworu warszawskiego i grożącego ze strony polskiéj odwetu. Elektor zjeżdża wraz ze swą małżonką Ludwiką księżniczką Oranii nasamprzód do Poznania, następnie do Bydgoszczy i odbywa z Janem Kazimierzem i Maryą Ludwiką osobiste konferencye. Małżonka elektora porozumiewa się łatwo z królową polską; nie ma prawie wątpliwoścci, że w tych konferencyach przemówiły względy wspólnego powinowactwa z domem panującym w Palatynacie. Nic łatwiejszego i prawdopodobniejszego daléj, jak że ulubiona myśl Jana Kazimierza i Maryi Ludwiki, wyznaczenia kandydata do tronu polskiego jeszcze za ich życia, znalazła ze strony elektora zaręczenie poparcia. Dość, kleiła się zgoda, przyjaźń może nawet między obu dworami, między obu rodzinami panującémi, kiedy poniszczone i popalone miasta wielkopolskie, kiedy ruiny i wymordowana tu i owdzie ludność, świadczyły jeszcze wymownie o srogości pierwszych odwiedzin brandenburgskich na ziemi polskiéj, kiedy rozbujałe ferworem wojennym pospolite ruszenie szlacheckie, pałało żądzą odwetu przeciw niewiernemu Rzeczypospoli-

téj lennikowi, kiedy zakłopotani o swą przyszłość mieszkańcy Księstwa Pruskiego zwracali tęskne oczy ku Polsce. Wśród takichto okoliczności przyszło do skutku dnia 19 września 1657, najniepotrzebniéj ze strony polskiéj, zawarcie znanego dobrze, nieszczęsnego traktatu Welawskiego. Ze strony króla polskiego podpisują go Wacław Leszczyński biskup Warmiński, Wincenty Korwin Gosiewski w. hetman Litewski, ze strony elektorskiéj Otto baron Schwerin i Wawrzyniec Krzysztof von Somnitz, jako reprezentant wreszcie pośredniczącego cesarza niemieckiego Franciszek baron de Lissola. Najgłówniejsze dla naszego przedmiotu warunki zatwierdzonego przez dodatkowe artykuły Bydgoskie z dnia 6 listopada 1657, traktatu Welawskiego, były następne. Artykuł V-ty stanowił, że elektor i prawi jego potomkowie płci męzkiéj posiadają księztwo pruskie w granicach, w których takowe elektor przed wojną jako lenność dzierzył, na przyszłość *jure supremi dominii*, z najwyższą absolutną władzą, bez żadnych przedtém podejmowanych ciężarów. Następny artykuł jednakże zaraz zastrzegał, iż ztąd nie wynika utrata na wieczne czasy lennictwa; przeciwnie pozostaje na przypadek wygaśnienia prawych, męskich potomków elektora, królom i Rzeczypospolitéj Polskiéj zupełne prawo ich do Księstwa, które to zastrzeżenie jednakże ,zwierzchniéj władzy elektora i jego potomstwa w niczém nie ma przesądzać. Również zaręcza król za siebie i za swych następców, w razie wygaśnienia elektorskiego potomstwa, użyć swego wpływu w sejmie w interesie sukcesyi domu Kulmbachsko-Ausbachskiego, aby tenże dostał się w posiadanie Pruss pod témi samémi warunkami, pod którymi elektor posiadał je niegdyś jako lennictwo. Król i Rzeczpospolita zwalniają stany, urzędników i poddanych Księstwa Pruskiego z dotychczasowéj przysięgi wierności, w zamian czego elektor i jego pruscy poddani przy wymianie ratyfikacyi zobowiązują się pod przysięgą dochować ściśle niniejszy traktat. Również przysięgają wszystkie stany, magistraty, komendanci zamków, portów, twierdz, miast, w razie wygaśnienia rodu elektorskiego, króla i Rzeczpospolitę Polską uznać za jedynych i bezpośrednich panów i być im posłusznymi. Przysięga zaś taka ma być powtarzana przy wszystkich hołdach pruskich w obec deputatów króla i Rzeczypospolitéj. *Artykuł dziewiąty* zastrzegał, że elektor i jego męscy potomkowie utrzymują szlachtę, miasta i poddanych pruskich przy wszystkich prawach i swobodach, które się obecnemu traktatowi nie sprzeciwiają, że wymierzają im nadto sprawiedliwość według zwyczajnego prawa pruskiego. Pokrzywdzony według swego mniemania w instancyach niższych, może się odwołać do usta-

nowionego przez elektora najwyższego trybunału Księstwa Pruskiego. Dalszéj apelacyi nie ma jednakże. Prezesa i asesorów tegoż trybunału mianuje elektor z pośród krajowców i odbiera od nich przysięgę. Poddanym nie wolno sporów swych prawnych odnosić do króla i Rzeczypospolitéj, również nie wolno królowi i Rzeczypospolitéj takowych przyjmować. Zarazem przyrzekają król i Rzeczpospolita, w razie wygaśnienia rodu elektorskiego, zachować stanom swobody, przywileje, statuta, zwyczaje, prawa w nieukróconéj mierze a w spokojném posiadaniu takowych utrzymać. Artykuły dziesiąty do piętnastego włącznie, zamieniały stan lennictwa między Rzecząpospolitą Polską a elektorem na wieczną między nimi przyjaźń i przymierze, zaręczały wolny przemarsz zobopólnych wojsk przez swe terytoria, wolność handlu między krajami Rzeczypospolitéj a Księstwem Pruskiém tak na lądzie, jak na morzu, oddawały wreszcie na przypadek jakiéjbądź wojny Rzeczypospolitéj, w usługi i pomoc zastęp posiłkowy 1,500 koni ze strony elektora. Artykuł szesnasty zastrzegał prawa biskupa Warmińskiego i swobodne wykonywanie wiary katolickiéj w Księstwie Pruskiém ze strony elektora; kiedy równocześnie król i Rzeczpospolita Polska zobowiązywali się w razie wygaśnienia rodu elektorskiego i objęcia Księstwa, nie robić w niém żadnych zmian ze szkodą Lutrów lub Kalwinów. Artykuł dwudziesty obdarzał na wyraźną interwencyą cesarską najwytrwalszego i najwinniejszego ze wszystkich odstępców sprawy ojczystéj podczas wojny szwedzkiéj Bogusława księcia Radziwiłła, który mimo to nie ważył się powrócić do kraju i przeniósł stanowisko namiestnika elektorskięgo w Królewcu nad godność senatora Rzeczypospolitéj, amnestyą z nienaruszalném posiadaniem rozległych włości w Wielkiém Księstwie Litewskiém i Księstwie Żmudzkiém. Najważniejszym był może dla rzeczy będącéj przedmiotem naszego opowiadania artykuł dwudziesty pierwszy, który brzmiał następnie; „Strony zawierające niniejszy układ zatwierdzą i zaprzysięgną zobopólnie to przymierze (król i senatorowie na przyszłym sejmie), również i wtedy, skoro w Polsce nowy król, w Prussach nowy książę na tron wstąpi. W razie, gdyby się jedna strona od tego przymierza usunąć lub w razie upomnienia satysfakcyi dać nie chciała, — ma dotknięta strona obowiązek odwołać się do pośredników obecnego traktatu (Austryi, Danii i Niderlandów) w celu załatwienia sporu.“ — Jak z treści traktatu Welawsko-Bydgowskiego widzimy, pozostawił on jeszcze z jednéj strony poważną, prawną podstawę opozycyi stanowéj przeciw wszelkim elektorskim pretensyom absolutnéj władzy. Z drugiéj strony nie przerywał zupełnie związku między ludnością Księstwa

Pruskiego a dotychczasową ich opiekunką, Rzecząpospolitą Polską. Stało jeszcze ciągłe w odwodzie ewentualne prawo Polski do Pruss po wygaśnieniu rodu elektorskiego; trwała ciągle jeszcze ewentualna przysięga reprezentantów Księstwa Pruskiego na rzecz króla i Rzeczypospolitéj w uroczyście zagwarantowanéj obecności ich deputatów. Trzeba było wreszcie wyraźnie zatwierdzenia traktatów Welawsko-Bydgowskich, zaprzysiężenia ich ze strony każdego, nowowstępującego na tron króla polskiego, aby je uczynić obowiązującém prawem w samychże Prussach i dla samychże Prussaków. Rzecz więcéj niż naturalna, iż w obec podobnego 'sformułowania, w obec podobnych tymczasowości stypulacyi Welawsko-Bydgowskich, mogła uprawnionéj artykułem dziewiątym opozycyi stanów pruskich, ukazywać się w razie zatargów z elektorem, nawet bez obrazy prawnéj litery nowego stanu rzeczy, w ostatnéj perspektywie pomoc i opieka polska, jako ostateczna kotwica zbawienia. Pierwsze zresztą lata po zawarciu wspomnionych co dopiero traktatów, nie dawały stanom pruskim uczuć zbyt dotkliwie zmiany pana i dotychczasowych stosunków. Do roku 1660 trwała jeszcze wojna. Elektor był nieobecny zatrudniony wyprawą do Danii przeciw Karolowi Gustawowi, zaprzątniony nadto sporami z opozycyą stanową Kliwii i Marchii Brandenburgskiéj. *Potrzebował* zresztą jeszcze Prussaków, którzy mu rzeczywiście tak długo, dopóki byli w przekonaniu, iż trzeba ich pomocy ku zasłonieniu granic własnych i Rzeczypospolitéj, nie szczędzili ani grosza, ani ludzi. Koniec roku 1659 patrzy na konającą w miastach pruskich obronę załóg szwedzkich, początek roku 1660 na przypieczętowanie traktatem Oliwskim wielkiéj wojny na północy Europy, a odtąd też to dopiero przybiérają stosunki między Księstwem Pruskiém a nowym ich panem odmienny całkiem charakter.

Przypatrzmy się im bliżéj:

Według dotychczasowéj ustawy politycznéj Księztwa Pruskiego miał kanclerz jego prawo odmówić pieczęci swéj rozporządzeniom panującego księcia. Tak zwani regenci Pruss (Oberräthe) zarządzałł całym majątkiem fiskalnym księstwa i dobrami książęcémi. Sejm czyli zgromadzenie tak zwanych radzców kraju (Landräthe) miał głos stanowczy we wszystkich ważniejszych sprawach. Elektor sam rządził z daleka. *Konstytucyjnie* tedy, jeśli tak wolno powiedzieć, rządziło Księstwem Pruskiem czterech regentów (Oberräthe) i czterech starostów (Hauptleute). Reprezentacyą kraju stanowił sejm składający się z deputatów miast i szlachty. Opuszczając w r. 1657 po zawarciu traktatów welawsko-bydgoskich kraj, zaprowadził elektor, nie tykając na tymczasem jeszcze w niczem praw

i przywilejów stanów, w zarządzie Księstwa Pruskiego tę *niekonstytucyjną* zmianę i zamianował namiestnikiem swoim z rezydencyą w Królewcu księcia Bogusława Radziwiłła, kalwina. Polaka nie chcącego wracać na Litwę, szczerze nieprzyjaznego Rzplitéj Polskiéj i jéj interesowi politycznemu, zostającego z sobą w stosunku osobistéj zażyłości, że nadto dodał mu do boku jako doradzcę, również zniemczałego kalwina polaka Jana Ulryka Dobrzyńskiego. Prócz tego znajdował się od roku 1660 jako nadzwyczajny komisarz elektora w Królewcu hr. Schwerin. Radziwiłł, Dobrzyński i Schwerin reprezentują wówczas zwierzchnictwo i władzę elektora przeciw prawom i pretensyom stanów pruskich pragnących się utrzymać na stanowisku dotychczasowéj swobody. Najoryginalniejszą tego stosunku stroną pozostanie pono, że kiedy *Niemcy* Księstwa Pruskiego w obawie o utratę dotychczasowych swobód, zwracają tęskne oczy ku Polsce, dwóch *Polaków* czy byłych Polaków, z ramienia elektorskiego podejmuje się odgrywać rolę stróżów ludności niemieckiéj w interesie elektorskim. Opozycya stanów pruskich przeciw władzy elektorskiéj rozpoczyna się tuż prawie po zawarciu traktatów welawsko-bydgoskich, już w r. 1659, niemal wśród zabobonnych jakoby objawów. Chodziły po kraju wieści, że elektor zamyśla w Księstwie Pruskiem zaprowadzić odtąd rządy absolutne na wzór króla francuskiego, który, jeżeli mu poddany odmówi swego majątku na potrzeby państwa, *jego* wiesza a majątek na rzecz skarbu zabiera. Podnosiły się daléj już w r. 1659, mimo pobytu załóg szwedzkich w sąsiednich Prusach Królewskich, głosy przeciw trzymaniu wojska elektorskiego w kraju. O nowych na nie ofiarach i podatkach nie chciano wcale słuchać. Wzburzenie w kraju było niesłychane, Królewiec zamknął swe bramy żołnierzowi elektorskiemu, małe miasto Bartenstein naśladowało ten przykład Radziwiłł; doradzając elektorowi użycia najenergiczniejszych w przyszłości przeciw opornym środków, radził mu zarazem, aby tylko nie pozwalał na zwołanie sejmu pruskiego, którego się opozycya głównie domaga, a któryby się w razie zwołania stał głównem zarzewiem i ogniskiem oporu przeciw elektorskiéj władzy. Owi czterej regenci, owi czteréj starostowie zarządzający konstytucyjnie Księstwem Pruskiem, byli wprawdzie zamianowani z ramienia elektora; ale pochodząc z krajowéj szlachty, związani tysiącznemi węzłami pokrewieństwa, interesu, stosunków, tradycyi, wyobrażeń, przekonań i dążeń z ludnością miejscową, byli dalekiemi od służenia bezwzględnie elektorskiemu interesowi. Najlepszym i *ich* opozycyjnego usposobienia pozostanie dowodem, że się nie myśleli wcale spieszyć osobiście ze złożeniem przysięgi ele-

ktorowi, jakkolwiek Rzplita już aktem z r. 1658 mieszkańców Księstwa Pruskiego z przysięgi dla siebie zwolniła. Akt téj przysięgi nastąpił dopiero z ich strony na wiosnę roku 1660 za przykładem reprezentanta znakomitego w kraju rodu Wallenrodtów, który w nagrodę owéj przysięgi i uległości został przez elektora zamianowany prezesem regencyi i landhofmistrzem. Uważano go za to w kraju nieledwie za zdrajcę. Nie dość na tém, było duchowieństwo luterskie tak dalece sfanatyzowane przeciw elektorowi, że w kazaniach mianych po całym kraju ciskało pioruny przeciw jego wierze (kalwińskiéj) jako *„diabelskiemu dziełu,“* że co więcéj nie chciało dopuszczać budowy kościoła reformowanego w murach Królewca. Nienawiść ta duchowieństwa luterskiego przeciw wierze i władzy elektora z ciągłém zwracaniem ócz ku Polsce, jako naturalnéj opiekunce swobód pruskich, posuwała się tak daleko, że zapomniano nawet o antagonizmie z katolicyzmem, że pastorowie luterscy znosili się po cichu z rektorem kolegium Jezuitów w Królewcu Radacza, by za dalszem pośrednictwem rektora kolegium Jezuitów warszszawskiego, Branickiego, pracował w interesie swobody pruskiéj przeciw roszczeniom absolutnéj władzy elektora. Tak więc stanęło i duchowieństwo luterskie w rzędzie najenergiczniejszych czynników opozycyi stanów pruskich przeciw panowaniu brandenburgskiemu. Elektor domaga się przez prokuracyą Radziwiłła, złożenia hołdu ze strony ludności pruskiéj. Radzcy kraju, *landraci*, odpowiadają, że hołdu bez poprzedniego zwołania sejmu być nie może. Tymczasem odradza sam Radziwiłł, jak już powiedziano, użycia owego obosiecznego środka, ponieważ widzi jak na dłoni, iż sejm stałby się dolaniem oliwy do ognia wśród panującego już przeciw rządom elektorskim roznamiętnienia. „Pastorowie luterscy,“ powiada najlepszy i najdokładniejszy stosunków tych historyk, profesor Drysen, „ortodoksyi luterskiéj byli mu (elektorowi) równie przeciwnymi, jak katolickie duchowieństwo z Jezuitami na czele; nie było w Prussach żadnéj partyi brandenburgskiéj; rząd nawet kraju był raczéj pruskim, aniżeli elektorskim a wszystkie stany jednoczyły się w opozycyi przeciw władzy i panowaniu elektora.“ Nie należy zaś zapominać, iż główną nadzieją, iż kardynalnym punktem oparcia dla téj opozycyi jest Polska, że ostatnią kotwicą dla Prus staje się przekonanie, że Polska pożałuje prędzéj czy późniéj traktatów welawsko-bydgoskich, że zerwie niegodne i upokarzające ich pęta, że toczące się właśnie o zastaw Elblągski układy dostarczą do tego pożądanéj sposobności i powodu. Nadzieja ta nie była zupełnie płonną. Marya Ludwika i większość senatorów żałowali ustępstw, jakiemi wiarołomnego elektora w nieopatrznéj chwili ob-

darzono. Miasto Elbląg miało być oddane elektorowi w zastaw za sumę 400,000 talarów pożyczoną na potrzeby wojenne Rzplitéj. Wtedy to następuje ze strony Pruss akt szczytnéj, rozrzewniającéj a nie ocenionéj dotąd, ani znanéj należycie, dla Polski sympatyi. Same widzą nieuchronną prawie konieczność zerwania dotychczasowych węzłów z Polską, poddania się panowaniu elektorskiemu, jakkolwiek przeciw podobnéj konieczności wierzgają. Chciałyby przecież oszczędzić choćby Elblągowi przynajmniéj smutnéj ostateczności. Gdy więc stany pruskie oświadczają Radziwiłłowi i Dobrzyńskiemu głośno, że Król Jego Mość Polski nie ma prawa zrzekać się nad nimi zwierzchnictwa,—składają *niemcy* mieszkańcy trzech dzielnic stanowiących miasto Królewiec, sumę 10,000 talarów i wyprawiają z nią do Warszawy jezuitę Rotha, brata mistrza ławników królewieckich, sławnego Hieronima Rotha, -- z poleceniem, by *skłonił* prowadzącego układy o Elbląg podskarbiego koronnego Reja, do odmowy elektorowi żądanego zastawu. Wzruszające do głębi, bolesne i wzniosłe razem widowisko, hołd szczytny oddany *idei* polskiéj, w połączeniu ze srogą obelgą wyrządzoną ówczesnym *ludziom* polskim. *Niemcy* zabierający się przekupić dygnitarza *polskiego*, by tenże działał zgodnie z dobrem własnego kraju, by ich nie pozwalal odrywać od łona Polski, w związku z którą, oni, *Niemcy*, upatrują swe dobro i szczęście, — widowisko tém jaskrawsze, tém boleśniejsze, że równocześnie elektor wyprawia własnego posła do Reja, w tym samym interesie z sumą 5,000 talarów! Przypuśćmy, według zasady procedury karnéj zalecającéj w razach wątpliwych rozstrzygać na korzyść obżałowanego, iż w tym licytacyjnym targu w obec osoby Reja, zwyciężyły nie pieniądze, lecz wzgląd na dobro i interes Rzplitéj. Elektor *nie* dostał istotnie zastawu Elbląskiego, a gdy wiadomość o tém doszła do Królewca, stała się tamże, wedlug dosłownego raportu Radziwiłła do elektora bawiącego ciągle w Kliwii, hasłem prawdziwéj ludowéj uroczystości. Na czele téj opozycyi miasta Królewca przeciw rządom elektorskim, odwołującéj się istnie, jak przed dwoma wiekami miasta pruskie przeciw zakonowi Krzyżackiemu do Polski, znajduje się śmiały, zacny, nieugięty żadnémi przeciwnościami, istny trybun ludu w dobrém tego wyrazu znaczaniu wspomniany wyżéj przez nas Hieronim Roth, mistrz ławników Królewieckich. Prawdziwy, choć mniéj szczęśliwy Jan Baisen XVII wieku, miał przypieczętować długiém cierpieniem, utratą wolności całego życia przywiązanie swe do Polski. On sam, uszlachcony nawiasowo powiedziawszy przez Jana Kazimierza, wyznawał religią luterską, brat jego, katolik i Jezuita pelnił obowiązki sprawnego agenta sta-

nów pruskich w Warszawie, syn znajdował się późniéj w wojskowéj służbie polskiéj za czasów króla Michała. Bogusław Radziwiłł nazywa go w swych sprawozdaniach do elektora „*niepoprawnym, najwytrwalszym człowiekiem całego świata*“ — najpiękniejsze, najszczytniejsze pono świadectwo, jakie się zacnemu człowiekowi ze strony przeciwnika politycznego dostać może! Widzimy tedy w owéj chwili przesilenia z r. 1659 na 1660, w owéj epoce zawierającego się właśnie traktatu Oliwskiego, występujące na scenę dawne czynniki opozycyi pruskiéj z zamierzchłéj przeszłości Krzyżackiéj. *Kościół* czyli *duchowieństwo* i *miasta*. Niezadługo zobaczymy występujący w sposób nader charakterystyczny, *trzeci* jeszcze żywioł, *szlachtę*. Radziwiłł, Dobrzyński i Schwerin znajdują się w obec podobnych elementów w trudném i krytycznem położeniu. Grożą i głaszczą na przemian, odradzają zwołania sejmu, odradzają energicznych środków, a tymczasem piszą do elektora listy ze skargami na oporność pruską, z błaganiami, by przybywał i radził złemu. Bogusław Radziwiłł mianowicie, nazywany w listach elektora „*kochanym wujem*,“ odstępny Polak, który już dawniéj oświadczył Cesarzowi zamiar wyprzedania się z posiadłości, w krajach Rzplitéj, by osiąść w krajach Rzeszy, a teraz pełnił obowiązki nadzorcy elektorskiego nad poczciwymi Niemcami wyciągającymi ręce do Polski,— był najniewyczerpańszym w skargach na ludność pruską: „Poddają się,“ pisze między innémi w Styczniu 1660 r. „wszystkiemu, tylko o obronie kraju nie chcą nic wiedzić; są to prawdziwi sąsiedzi Polaków... Ściągnęłem podatki nie pytając stanów, których zwołania pragną, aby wojsku odmówić zapłaty. Należy ich objaśnić, że to, co do utrzymania wojska i ojczyzny jest konieczném, nie jest nadwerężeniem ich przywilejów. Chcą gwałtem zwierzchnictwo (elektorskie) naruszyć!“ Maksyma Radziwilla wyborna, gdyby tylko nie wychodziła z ust i z pod pióra odstępcy, który troskliwością podobną o ojczyznę elektora, najlepiéj dowodził jak dalece przeciw własnéj grzeszy... Postępując daléj w dziejach owego zawziętego procesu między swobodą pruską a władzą absolutną elektora, wypada nam, jak już powiedzieliśmy wyżéj, wspomnieć o *trzecim* ważnym żywiole, prócz *miast* i *duchowieństwa*, opozycyi krajowéj, jakim była *szlachta*. Szlachta ówczesna księstwa pruskiego, luterska wiarą, niemiecka narodowością, ma mimo kardynalnych różnic, wiele podobieństwa *z polską*. Jest zazdrośną o swe prawa i przywileje, żądna władzy, targająca się o nią na każdym kroku z absolutnémi zachciankami elektora, dla ludu wiejskiego bez wątpienia twardsza daleko jeszcze od współczesnéj szlachty polskiéj, gotowa zresztą każdéj chwili odezwać się do

opieki polskiéj w walce swéj z elektorem. W szeregu owéj *szlacheckiéj* opozycyi napotykamy nasamprzód generała-lejtnanta Albrechta von Kalkstein właściciela dóbr Knauten pod Pruską Iławą, starostę Oleckiego; spotykamy daléj rodziny Schliebenów, Buddenbroków, Packmohrów, Redernow. Opozycya przeciw owéj opozycyi jest nieliczną i niepopularną w kraju. Reprezentują ją Eulenburgowie, głównie jednakże prezes regencyi von Wallenrodt, mianowany, jak już wyżéj powiedzieliśmy, przez elektora *landhofmeistrem*. Wallenrodt jest jedynym prawie, ale téż najenergiczniéjszym wyrazem elektorskiego prądu pośród krajowéj szlachty. Jego téż głównie rękę zobaczymy niżéj, czynną w tragedyi będącéj przedmiotem niniejszego opowiadania... Ubiegł wśród podobnych usposobień kraju, wśród takich targów między swobodą pruską a władzą elektorską pamiętny rok 1660. Pierwszy miesiąc roku następnego wskazuje wyższy stopień jeszcze opozycyjnego nurtu. Być łatwo może, iż na tę okoliczność wpłynęło równoczesne usposobienie dworu warszawskiego, w szczególności zaś królowéj Maryi Ludwiki. Wiadome jéj i Jana Kazmierza wspomniane przez nas wyżéj zamiary, dania sobie następcy na tronie polskim jeszcze za życia. Wiadomo daléj, jaką podobny zamiar pomiędzy szlachtą wywołał burzę i opozycyą, która na nieszczęście dla czci polskiéj, nie skończyla się jedynie tylko na sporach, zatargach a choćby nawet wojnie w obrębie własnego domu. Lubomirski wchodzi za pośrednictwem posła brandenburgskiego w Warszawie, Hoderbecka, w stosunki z elektorem i ofiaruje mu się na agenta w przyszłéj kandydaturze do tronu polskiego, *przeciw* Maryi Ludwice i Janowi Kazimierzowi. Elektor nie może się wprawdzie zgodzić bezwarunkowo na podobny projekt ze względu na konieczny i nieunikniony warunek zmiany religii; wchodzi jednakże mimo to w tajne umowy tak z Lubomirskim, jak z innymi naczelnikami opozycyi, ponieważ mu się myśl zyskania tronu polskiego uśmiecha, a nadto ważne dla jego stanowiska w północnéj Europie przedstawia korzyści. Tajemnica przecież owych stosunków elektora z opozycyą polską przenika do dworu warszawskiego, i wywołuje bardzo naturalnie jako próbę odwetu, ową gniewną i odmowną postawę w sprawie zastawu elblągskiego, następnie pewien niewyraźny i nieściśle sformułowany, ale widoczny interes dla opozycyi pruskiéj. Owa misya jezuity Rotha do Warszawy w celu pozyskania Reja nie była źle widzianą ze strony warszawskiego, dworu, jak tego dowodził najlepiéj rezultat w sprawie Elblągskiéj. Nie dość na tém, udała się królowa Marya Ludwika z początkiem roku 1661 do Prus Królewskich, jakoby chcąc je zasłonić od zamachu elektorskiego, być bliżéj

samychże Pruss Książęcych. Postawa podobna dworu warszawskiego, nie dająca opozycyi pruskiéj żadnéj rękojmi rzeczywistéj ze strony Polski pomocy, ale zdolna bardzo rozdraźnić ją nieokreślonémi nadziejami, wywołała téż istotnie w Księstwie Pruskiem bezzwłocznie nowe, znaczące objawy ze strony tamtejszéj szlachty. W styczniu roku 1661 zjeżdża się do Królewca zastęp około 200 szlachty, wydaje protest przeciw nałożonemu na kraj podatkowi akcyzy wraz z dodatkiem do niéj (Aufschlag), i uchwala wysłanie deputacyi do Warszawy w interesie spraw Księstwa i władzy zwierzchniéj elektora. Stary generał Kalkstein ofiaruje sam na pokrycie kosztów podobnéj deputacyi sumę 10,000 talarów. Deputacya ta ma w ostatecznym razie prosić choćby tylko o kilka pułków, za pomocą których księstwo pruskie potrafiłoby się ostatecznie rozprawić z władzą elaktorską. „Jeżli," odzywały się na szlacheckim zjeździe w Królewcu głosy „buntowniczym Kozakom powiodło się odzyskać swobodę, czemużby się podobneż odzyskanie swobody nie miało udać szlachcie pruskiéj, zwłaszcza przy pomocy polskiéj braci?"—Radziwiłł, Dobrzyński i Schwerin byli w coraz większym kłopocie, upominali zgromadzoną szlachtę, upominali wzburzone mieszczaństwo Królewieckie do umiarkowania, w skutek czego téż im się udało wysłanie deputacyi do Warszawy odroczyć przynajmniéj na czas niejaki. Wśród podobnych okoliczności przedstawił się bawiącemu ciągle w Kliwii elektorowi, jako jedyny, choć ostateczny środek uciszenia opozycyi pruskiéj, zwołanie sejmu do Królewca. Polecenia odnośne w téj mierze odebrał, jako pełnomocny komisarz elektorski, Schwerin. Pod dniem 31 maja 1661 r. rozpisano wezwania, w początku czerwca widzimy sejm zgromadzony w murach Królewca. Fakt zwołania sejmu miał dla zagrożonéj sprawy elektorskiéj to przynajmniéj dobre następstwo, że powstrzymał wysłanie deputacyi pruskiéj do Warszawy. Zobaczymy, mówiły stany pruskie, co sejm nam przyniesie, aż do jego ukończenia możemy poczekać z naszémi skargami w Warszawie. Tymczasem stał się ów tyle pożądany i tyle wyczekiwany sejm znów, zaraz z samego początku, niczém inném, jak widownią zaciętego sporu między władzą elektorską a swobodą stanów. Formalnie chodziła rzecz niby tylko o zniesienie akcyzy i jéj dodatku, o rozwiązanie lub wyprowadzenie z kraju wojska elektorskiego, które się w niém ciągle jeszcze mimo zawartego od roku pokoju znajdowało. Instrukcya elektorska dana Schwerinowi przyznawała poniekąd przeciążenie kraju podatkami, do czego się zresztą przyczyniała w nieskąpéj mierze, zła administracya dóbr fiskalnych,—zwracała jednakże uwagę na otaczający dokoła groźny stan rzeczy,

na zewnętrzne i wewnętrzne niebezpieczeństwa, które wymagają, aby siły zbrojnéj z rąk nie wypuszczać. Sejmujące stany nie protestowały tak bardzo przeciw wywodom elektorskim w téj ubocznéj wagi sprawie, ale natomiast posunęły rzecz o jeden ważny krok naprzód, przeniosly ją na pole właściwego i istotnego między sobą a elektorem zatargu. W połowie czerwca tegoż roku 1661 podały do rąk Schwerina obszerny memoryał, protestujący bezceremonialnie przeciw traktatom Welawsko-Bydgoskim, przeciw zwierzchnictwu elektorskiemu, wystawiając szkody podobnego stosunku dla kraju. Równocześnie podali i pastorowie Królewieccy podobnyż protest przeciw rządom elektorskim. Słabą była satysfakcya Schwerina, że mu po cichu i ukradkiem ci i owi z „*landratów*" przyznawali zbytnią śmiałość podobnego kroku; słabszą jeszcze, że wezwanych do siebie pastorów królewieckich zgromił surowo za akt opozycyi, który granice ich kompetencyi i stanowiska przekracza.— Prawdą pozostawało, że opozycya pruska stanęła na tym sejmie oporniéj, niż kiedykolwiek, iż coraz mniéj było nadziei, aby drogą jakiegoś kompromisu przyjść do zgody i porozumienia ze stanami pruskimi. Raz po raz wybuchały posiedzenia sejmowe w burzliwe sceny. Schlieben mówił o tyrańskich rządach elektora, stary generał Kalkstein wspomniał o zdrajcach pomiędzy regentami kraju i „landratami," domagając się, by sobie z nimi postąpić, jak swego czasu z komisarzami cesarskimi w Pradze. Gwałtowne to usposobienie kraju i stanów wzrastało gorączkowo w miarę wiadomości dochodzących z Warszawy, w miarę przedłużającego się tamże współczesnego sejmu, w miarę nadziei wzniecanych ztamtąd przez królowę, senatorów i dygnitarzy Rzplitéj. Pod dniem 12 lipca 1661 r. występują stany pruskie z nową pretensyą w obec reprezentantów władzy elektorskiéj. Domagają się w nowym, podanym Schwerinowi memoryale, rozpuszczenia żołnierza elektorskiego znajdującego się w kraju, zniesienia nowych twierdz, przywrócenia dawniejszéj organizacyi zbrojnéj kraju i innych jeszcze rzeczy, o których Radziwiłł pisał, „że podobne swobody nie istnieją w żadnym narodzie chrześciańskiego świata." Zauważyć zaś przedewszystkiem należy, że duszą i głównym czynnikiem podobnéj, coraz to wyżéj wzrastającéj energii opozycyjnéj, jest mistrz ławników królewieckich, jest ów Hieronim Roth, który nie pozwala zasnąć ani na chwilę pragnącéj raz po raz wytchnienia opozycyi szlacheckiéj; a którą do tego stopnia teroryzuje, iż ci i owi szlacheccy „*landraci*" przyznają się po cichu Schwerinowi, do gotowości wejścia w tranzakcyą z elektorską władzą, byle im tylko ów demagog Roth nie był na zawadzie! — Nie pozostawała żadna wątpliwość, że opozycya

zdąża i to zdąża szybko bardzo, do powzięcia uchwały dekretującéj wprost i bez ogródki zniesienie zwierzchnictwa elektorskiego w kraju pruskim. W obec podobnego niebezpieczeństwa a w celu jego uniknienia postanowił Schwerin w początku sierpnia 1661 r. ustąpić w ubocznéj sprawie akcyzy i podatków, a tymczasem sejm odroczyć. Podobny zamiar straszył niemało opozycyą a przedewszystkiem Rotha, którym było spieszno ze względu na usposobienie obecne sejmu i stan rzeczy w Warszawie.

Roth zwoływał w Królewcu zebrania ludowe, na których tłómaczył, iż wszelkie owe dyplomy Jana Kazimierza zwalniające Księstwo Pruskie od przysięgi wierności dla Rzeczypospolitéj, nie mają żadnego znaczenia, ponieważ król polski nie ma prawa rozdawać mieszkańców Pruss „jak gruszek lub jabłek.“ Wezwany następnie przez Schwerina — do tłómaczenia się, odpowiedział mu na uwagi o dobroci i życzliwych dla kraju intencyach elektora, dosłownie, jak następuje: „Na ratuszu naszym Królewieckim napisano, że nie ma tak pobożnego księcia, któryby nie nosił tyrana w sercu. Elektor uczynił nas już żebrakami, teraz chce jeszcze zrobić nas niewolnikami. Ja i moi przodkowie mieliśmy jedynie tylko na względzie ojczyznę a nie kłopotaliśmy się o dwór. Dziada mego powołał elektor Jan Zygmunt do służby, a gdy zajechał przed zamek i gdy mu oznajmiono, że mu elektor 70 włók roli darować zamyśla, odezwał się do woźnicy: Nawróć! Cóż mi może dać Pan, który sam nic nie ma!“ — Gdy mu zaś Schwerin, zgorszony przeciw swemu panu wycieczką, zwrócił uwagę na zbytnią śmiałość tych słów, odparł Roth, odzywając się jakoby do elektora samego: „Czyż ci nie dosyć elektorze, że nam zabrałeś całe nasze mienie? Czyż chcesz nam zabrać jeszcze wolność? Czyż nie możesz poprzestać na stanowisku swych przodków, a nas w dotychczasowym pozostawić stanie? Nie pozwolimy się sprzedać. Sprawę naszą odraczamy do przyszłego sejmu, wtedy wszystko się załatwi. Zdaniem wszystkich, że elektor nie będzie miał w kraju władzy!“ Podobny dyalog dumnego trybuna królewieckiego z reprezentantem powagi elektorskiéj jest pono najwymowniejszym symptomatem usposobienia ludności pruskiéj. Nie dość na tém, przyszło w kilka dni później, dnia 9 sierpnia, około stu przedniejszych obywateli królewieckich na zamek, „a kto z nich, pisze Schwerin, „krzyczał najgłośniéj przeciw władzy elektora, był wynoszony pod niebiosa.“ Wśród podobnych okoliczności, zdawało się reprezentantom elektorskiéj zwierzchności, rzeczą niepodobną pozwolić na dłuższe trwanie sejmu. Odroczyli go tedy mimo oporu opozycyi aż do miesiąca października. Tymczasem wybuchła w Pru-

sach straszliwa dżuma i zaczęła sprzątać liczne ofiary. Zwołany na miesiąc październik roku 1661 sejm nie zebrał się w uznanym za niebezpieczny Królewcu, lecz dnia 18 tegoż miesiąca w miasteczku Bartensteinie. Postawa jego była groźniejsza, wybryki opozycyi gwałtowniejsze, niż kiedykolwiek. Stary generał Kalkstein został wykluczony z grona sejmujących, za obelgę wyrządzoną marszałkowi Flauss, który sobie sam wyznaczył zastępców w osobach przychylnych sprawie elektorskiéj: pułkownika Eulenburga i deputata stanu szlacheckiego Leschenwanga. Podobne wykluczenie z grona sejmowego, dotknęło na wniosek Schwerina i reprezentanta miasta Królewca, Hieronima Rotha, z powodu wytoczonego mu kryminalnego śledztwa. Równéj treści wreszcie śledztwo wytoczył Schwerin miejscowemu pastorowi z miasteczka Bartensteinu, który kazanie sejmowe naszpikował samémi wycieczkami przeciw władzy elektorskiéj a skończył je modlitwą za króla polskiego i Rzeczpospolitę. Po tego rodzaju czynach energii przeciw opozycyi i po podobném usunieniu z łona sejmu najoporniejszych elementów, stanął komisarz elektorski Schwerin w obec stanów pruskich z tak zwanémi propozycyami, których sama potulność i powściągliwość była najlepszą miarą kłopotliwości położenia elektora. „*Propozycye*“ owe unikały troskliwie saméj wzmianki nawet o zwierzchniéj władzy (souverainеté) elektorskiéj; obiecywały zaspokojenie jak najspieszniejsze wszelkich uzasadnionych skarg i zażaleń kraju, oznajmiały iż elektor, aby ulżyć ciężarom kraju, rozpuścił już 4 kompanie piesze i 4 kompanie konne, — domagały się jednakże zachowania podatku akcyzy, nieodbicie potrzebnego na utrzymanie kraju w stanie obronnym. Usposobienie sejmu, być może, iż pod wrażeniem grasującéj ciągle straszliwie dżumy, zaczęło mięknąć w obec podobnéj pokory elektorskiéj; a pod dniem 16 listopada wygotowały stany obszerny memoryał, oświadczający się z gotowością uznania władzy elektora w zamian całego szeregu ustępstw, które w rzeczywistości były żywém owéj władzy zaprzeczeniem, a najwyższe rządy stanom pruskim windykowały. Roth jednakże, trzy dzielnice miasta Królewca, przedewszystkiém zaś pastorowie luterscy stolicy, nie byli z podobnego kroku sejmujących w Bartensteinie stanów zadowolnieni. Uznanie władzy elektorskiéj uważali za grzech przeciw zasadzie i podstawie prawnéj swéj dotychczasowéj opozycyi, zerwanie z Polską za błąd dość ciężko mogący się opłacić. Sypały się więc ze strony Królewszczan protesty przeciw aktowi sejmu, pastorowie odprawiali publicznie po kościołach modlitwy za króla polskiego i Rzeczpospolitę, znajdowano plakaty szarpiące szlachtę, wzywające niedwuznacznie do

rokoszu przeciw elektorskiéj władzy. Scysya tymczasem poboczna między gwałtownością opozycyi królewieckiéj a ustępnością sejmującéj w Bartensteinie szlachty, nie trwała długo. Miał ich pogodzić stanowczy a zbyt pośpieszny według samegoż Schwerina akt elektora. Elektor pochwycił ze skwapliwością ów memoryał sejmu ofiarujący mu uznanie jego zwierzchnictwa w zamian pewnych na rzecz stanów pruskich koncesyi, pojął tylko i wyzyskał rzecz inaczéj, aniżeli one. Pod d. 25 listopada 1661 r. wyprawił z podpisem i pod pieczęcią własną akt „*nowéj ustawy*" do Schwerina, który stawiał wyznanie luterskie na równym stopniu z kalwińskiém w Prussach, zastrzegał elektorowi i następcom jego prawo mianowania namiestników z własnego ramienia, nakładał regentom Pruss obowiązek odnoszenia się w każdéj rzeczy do decyzyi elektorskiéj, poddawał organizacyą kościelną kraju pod rozporządzenia zależnego od siebie konsystorza; co nie najmniéj ważna wreszcie, zastrzegał sobie prawo rewizyi tytułu posesyi i sposobu administracyi, znajdujących się w ręku szlachty krajowéj tak zwanych domen czyli dóbr fiskalnych (Hauptmannsschaften). Projekt ten nowéj natury stawał tak dalece w sprzeczności z całą postawą, z wszelkiemi pretensyami i postulatami ludności pruskiéj, że sam Schwerin mimo niezaprzeczonéj energii i mimo nie mniéj niezaprzeczonéj gorliwości w sprawie swego pana, nie miał odwagi przedłożyć go sejmowi. Zaczął więc akcyę od zakomunikowania go regentom z żądaniem; aby *oni* przedstawili go następnie *stanom*. Wezwani w ten sposób regenci odpowiedzieli, że wprawdzie jako urzędnicy z ramienia elektorskiego podejmą się podobnego żądania; że zarazem są jednakże mieszkańcami księstwa pruskiego, a że jako dbali o prawa kraju swego obywatele, nie mogą w żaden sposób przykładać ręki do wprowadzenia w życie projektu niszczącego swobody krajowe. Schwerin stracił w podobném położeniu rzeczy głowę i nie wiedział na prawdę co robić. Projekt elektorski zakomunikowany w nadesłanéj formie przez regentów sejmowi, wywołał tylko ogólny lament i oburzenie. Wśród jednogłośnego protestu, wśród kategorycznego oświadczenia stanów, że na podobnych warunkach żadnéj nawet rozmowy między nimi a elektorem być nie może, rozszedł się sejm dnia 7 grudnia 1661 i opuścił salę obrad. Kłopot Schwerina, Radziwiłła, Dobrzyńskiego, stawał się tém większym że w téj chwili właśnie zaczęły nadchodzić do Prus wiadomości o świetnych zwycięztwach Czarnieckiego i Pawła Sapiehy nad Rossyą, a że każde świetniejsze zabłyśnienie gwiazdy Rzeczypospolitéj stawało się zawsze zarazem hasłem tém energiczniejszych objawów opozycyi pruskiéj. Radzili tedy elektorowi ustępstwa, do

których on zawsze, tak w zewnętrznéj jak wewnętrznéj polityce był gotów, ile razy tego racya stanu wymagała. Zajęty walką ze stanami w Kliwie, zakłopotany równocześnie podobnym zatargiem w Marchii Brandenburgskiéj, uważał za rzecz konieczną spuścić nieco z tonu w Księstwie Pruskiém. W początku stycznia 1662 zmodyfikował tedy według wskazówek Schwerina swój projekt nowéj ustawy, wykreślił zeń co drażliwsze punkta, zniósł podatek akcyzy, rozwiązał znów część kompanii swego wojska a resztę przewiózł na inkwaterunek do dóbr fiskalnych, ograniczył wreszcie żądania swe do stanów na sumę 40,000 talarów, które na utrzymanie żołnierza, miały złożyć na przeciąg trzechletni czasu. Co też ważna w owéj zmodyfikowanéj deklaracyi elektorskiéj, to że oznajmiała stanom pruskim, iż wezwano dwór warszawski do wyznaczenia komisarzy, którzyby byli obecnymi aktowi tak zwanego ewentualnego hołdu na rzecz króla polskiego i Rzeczypospolitéj. Zadosyćuczynienie sympatyom pruskim dla Polski, zaspokojenie ludności pruskiéj co do nienaruszalności stosunku ich i związku z Polską, stawało się dla elektora środkiem jakoby własnego bezpieczeństwa, skutecznym sposobem zaprowadzenia i utrwalenia władzy swéj w Prusach. Wśród podobnych okoliczności a mając wspomniany co dopiero akt ustępczości elektorskiéj w ręku, zwołał Schwerin pozornie sejm na dzień 12 stycznia 1662 r. do Królewca, który jednakże w należytym komplecie się nie zebrał, a obradując burzliwie w niezupełnym składzie, żadnego właściwie z postulatów elektorskich nie przyjął. Konflikt na ten raz między władzą elektorską a stanami wyniknął znów z innego powodu. Schwerin żądał wykluczenia z grona sejmowego Rotha, generała Kalksteina i „*landrata*“ Finckego z Lötzen, żądał nadto wytoczenia im śledztwa o zdradę stanu i uwięzienia Rotha przez magistrat królewiecki. Stany odmówiły zadosyć uczynić podobnemu wezwaniu, sami regenci nie brali go zbyt na seryo; a magistrat Królewiecki, jakkolwiek zagrożony w razie nieposłuszeństwa karą 5,000 talarów, odparł pretensyą uwięzienia Rotha uwagą, iż krok podobny pociągnąłby za sobą niewątpliwie wybuch powstania w Królewcu. Równocześnie, gdy tak sejm pruski odpoczywał i nie ruszał z miejsca, rozpoczęły się groźne zatargi między ludnością królewiecką a władzami i żołnierzem elektorskim. Budowa kalwińskiego kościoła na tak zwanym Kneiphofie, stała się powodem groźnego wystąpienia pastorów luterskich i tumultu pospólstwa; odwach wystawiony dla żołnierza elektorskiego na gruncie miejskim, wywołał nie mniéj burzliwe sceny. Przyszło nawet do krwawego starcia między żołnierzami brandenburgskiémi a pospólstwem królewieckiém, z obu

stron padały strzały... Tymczasem w marcu 1662 r., znika z Królewca zagrożony mandatem aresztu Roth, i ukazuje się w Warszawie w niewiadomych jasno i stanowczo, ale łatwych do odgadnienia zamiarach. Wypierał się wprawdzie w obec przedstawień posła brandenburgskiego Hoverbecka wszelkich z nim stosunków król Jan Kazimierz; ale skryte jego porozumiewania z królową Maryą Ludwiką i różnymi dygnitarzami Rzplitéj nie utrzymały się w tajemnicy, a on sam przesyłał z Warszawy do ziomków swych w Prusach listy z upominaniami, by tylko wytrwali, by nie upadali na duchu, by nadewszystko nie brali na seryo owych wychodzących z kancelaryi warszawskiéj w skutek nagabywań elektorskich dyplomów, które się zrzekają wszelkiéj władzy i opieki nad Księstwem Pruskim .. Podjęty wśród podobnych okoliczności w kwietniu 1662 r. po raz trzeci, sejm pruski przedstawia burzliwe widowisko walki czy targu o na nowo mającą się zaprowadzić akcyzę w celu utrzymania wojska. Szlachta znużona i strudzona walką, miałaby już może ochotę ustąpić i skłonić głowę, przyjąć przedłożony jéj pod dniem 1 czerwca przez Schwerina projekt nowéj akcyzy. Kto tu jednakże podnosi znów głowę opozycyi i zaprzecza szlachcie prawa ustępowania choćby źdźbła z praw i swobód krajowych, to *mieszczanie Królewieccy.* Dnia 9 czerwca stanęła uroczysta deputacya obywatelstwa Królewieckiego na zamku w obec Schwerina, Radziwiłła, Dobrzyńskiego, zgromadzonych w komplecie na naradę regentów (Oberräthe); wystąpiła z przedstawieniem, że miasto gotowe dać na utrzymanie elektorskiego żołnierza w przeciągu trzech lat summę 200,000 złotych polskich, że natomiast jednostronnie i dowolnie nałożonéj akcyzy przyjąć nie może; że zaś w razie odmowy, nie pozostaje mu nic innego, jak wysłać deputacyą do Warszawy i odnieść się w celu załatwienia swych zażaleń do decyzyi króla polskiego. Napróżno wybuchnęli zagadnieni w ten sposób reprezentanci elektorskiéj władzy piorunującym zarzutem, że podobna postawa i podobne zamiary są niczém inném, jak czynem karogodnego buntu przeciw monarszéj władzy i monarszemu prawu elektora. *Miasto* przeciwnie uważało w tém obelgę, aby obywateli wiernych a uczciwych darzyć mianem buntowników za upominanie się o swe prawa; a powzięło w kilka dni później, 17 czerwca 1662 r. uchwałę niesłychanéj w dziejach ciekawego tego procesu doniosłości. Gminy i magistraty trzech dzielnic miasta Królewca wygotowały otóż pod tym dniem obszerny memoryał, zaopatrzony tysiącznymi podpisami i pieczęciami, obejmujący liczne zażalenia przeciw elektorskim rządom i wyprawiły z nim młodszego Rotha, syna Hieronima, do Warszawy. Misya jego nastąpiła tak zręcznie

i w takiéj tajemnicy, że Schwerin i regenci dowiedzieli się o niéj wtedy dopiero, gdy wysłaniec był już oddawna w Warszawie; gdy szerzył, według sprawozdania posła brandenburgskiego Hoverbecka, pomiędzy szlachtą skargi na tyrańskie postępowanie rządu elektorskiego w rzeczach świeckich, gdy opowiadał, jakie zamachy rząd tenże wymierza przeciw całości i nietykalności luterskiego wyznania. Naprożno zawezwał Schwerin na zamek trzech burmistrzów trzech dzielnic miasta Królewca i wyrzucał im buntowniczy krok. Uniewinniali się jego niewiadomością, tłumaczyli, że *osobiście* go nie podzielają, na co naturalnie Schwerin argumentu nie miał... Misya Rotha do Warszawy tymczasem, nie pozostała bez rezultatu i to, jak uzasadnimy niżéj, bez rezultatu bardzo smutnego. W Warszawie przyjęto wysłańca opozycyi pruskiéj i reprezentanta skarg pruskich z otwartémi rękoma. Podany przezeń memoryał uznano z zadowoleniem jako akt wierności miasta Królewca dla króla i Rzplitéj. Odpowiedzieć nań jaką chłodną odmową zdawało się niepodobieństwem. To téż pod dniem 30 czerwca 1662 r. doręcza Jan Kazimierz młodemu Rothowi dwa pisma, *jedno* do Królewca, zachęcające do wytrwania w obronie swych praw i swobód a zaręczające im w razie potrzeby opiekę polską; *drugie* do mistrza ławników, Hieronima Rotha, z pochwałami dotychczasowego postępowania i zachętą na przyszłość. Rezultat podobny misyi Rotha nazywamy niefortunnym, bo jeśli, jak się późniéj istotnie okazało, nie było zamiaru w Warszawie wspierać opozycyi pruskiéj w ostatecznym razie z bronią w ręku, było ciężkim grzechem rozdrażniać ich opór płonnémi nadziejami, przygotować niebacznie materyał rusztowania, na którém późniéj spaść miała szlachetna głowa Kalksteina; procesu, z którego się miała wysnuć wieczna, w odległości od ojczystego kraju spędzona niewola Hieronima Rotha. W chwili pisania owych listów nie zrobiono sobie prawdopodobnie w Warszawie téj bardzo prostéj rachuby; co się zaś tyczy Królewca, wywołał tu powrót Rotha dnia 5 lipca 1662 r. z pomienionymi listami króla polskiego najserdeczniejszy, najgłośniejszy entuzyazm. W obec zagrożonéj swobody kraju, pomyślała znajdując się w posiadaniu tak kategorycznych zaręczeń pomocy ze strony króla polskiego, stolica Prus w owych pierwszych dniach lipcowych roku 1662 na dobre o wznowieniu pamiętnego dzieła przodków z dni lutowych 1454 r. Dnia 4 lipca zgromadziły się gminy trzech dzielnic miasta Królewca w kościele na przedmieściu Kneiphofskiem, postanowiły zebrać składkę na rzecz popierania swéj sprawy w Warszawie, i zyskania pomocy skonfederowanego naówczas w Polsce żołnierza; nadto utworzyć nowy związek na wzór dawnego „*związku jaszczur-*

czego" wraz z rotą przysięgi, na mocy któréj zobowiązywano się „*krew i mienie poświęcić ku pozostaniu przy koronie Polskiéj i Rzeczypospolitéj, jedynie tylko na cześć Boską a bez obrazy praw elektora.*" Po ułożeniu podobnéj roty przysięgi wyprawiono znów mlodego Rotha czemprędzéj do Warszawy, z nieznaną bliżéj instrukcyą i w niewiadomych bliżéj celach. Późniéj dopiero stało się rzeczą wiadomą, że stany pruskie ofiarowały królowéj Maryi Ludwice sumę 200,000 złotych, jeśli ich kraj od zwierzchniéj władzy elektora oswobodzi; a że królowa, zgadzając się na żądanie Prusaków, poradziła młodemu Rothowi, starać się spowodować skonfederowane wojsko do wtargnienia w granice Księstwa Pruskiego; poczém królowi latwo się będzie wytlómaczyć, iż się to bez jego woli i wiedzy stalo. Po podobnych uchwałach ze strony miasta, po odbytéj daléj między burmistrzami jego a Radziwiłłem, bezplodnéj konferencyi,—nastąpił, można bez przesady powiedzieć, stan wojenny na bruku królewieckim między mieszkańcami a wyobrazicielami elektorskiéj władzy. Dnia 18 lipca 1662 r. miała wyjechać do Warszawy nowa, uroczysta deputacya, składająca się z obydwóch Rothów i mistrza ławników dzielnicy Löbenicht, Schimmelpfennige. Radziwiłł obawiał się skutków podobnéj deputacyi, postanowil nie wypuszczać jéj z miasta, a w najgorszym razie zamknąć jéj wyjazd z kraju. Zaczął tedy ściągać, ile się dało, do Królewca wojska, poobsadzał bramy, kazał nadto w kraju poobsadzać wszystkie drogi wiodące do Polski. Odtąd to widzimy w Królewcu dwa zbrojne przeciw sobie obozy, istne widowisko z średniowiecznych wojen domowych miast włoskich. Z jednéj strony Radziwiłł na czele sily zbrojnéj elektorskiéj, obsadzający tak zwaną Friedrichsburg, cytadelę Królewiecką i bramy miasta; z drugiéj strony mieszczanie królewieccy, stający również zbrojno pod chorągwiami własnémi. Z jednéj strony Polak gotowy bronić do upadłego przeciw Niemcom domagającym się bratniéj spójni z Polską władzy elektorskiéj; z drugiéj Niemcy gotowi podjąć niebezpieczną przeciw reprezentującemu zwierzchnictwo niemieckiego monarchy Polakowi walkę. Hieronim Roth był tu znów duszą opozycyi. Tak żołnierz brandenburgski, jak mieszczanie wystawiali swe straże; z obu stron padały w nocy strzały. Mieszczanie zbliżając się do szyldwachów elektorskich, wołali! „Precz z brandenburgczykami szelmami!" O nakazywaném wciąż z oddali berlińskiéj przez elektora uwięzieniu Rotha nie było mowy; do przełamania królewieckiego oporu trzeba było energiczniejszych postanowień i skuteczniejszych środków. Na nieszczęście miała być najlepszym przeciw owemu ruchowi pruskiemu sprzymierzeńcem elektora, słabość Polski. Królewszczanie

liczyli na dwór Warszawski, liczyli dalej na skonfederowanego żołnierza, który w pierwszych miesiącach roku 1662 obrał swe stanowisko w Warmii. Właśnie w tym czasie, w stanowczym owym miesiącu lipcu, ustępuje żołnierz skonfederowany z Warmii, pozbawiając tém samém Prusaków nadziei jakiejbądź pomocy.

Równocześnie zaś, co gorsza może, co więcéj upokarzająca jeszcze dla godności Polski, wypiera się Jan Kazimierz w skutek przedstawień Hoverbecka pism swoich z dnia 5 lipca; przyznając, że Królewszczanie, podobnie jak Gdańszczanie chcieliby mieć dwóch panów, aby żadnego z nich nie słuchać, i wydaje pod dniem 20-m lipca deklaracyą interpretującą w sposób niekorzystny dla Pruss oba swe pisma wygotowane na dwa tygodnie przed tém! Nie dość na tém, przecinały straże elektora pod pozorem nieopłaconéj akcyzy dowozy mąki do miasta, w skutek czego począł się dawać we znaki dotkliwy niedostatek żywności. Wreszcie ogłoszono miastu, iż natychmiast po ukończeniu żniw przybędzie osobiście do kraju elektor, z odpowiednią siłą zbrojną, by przyprowadzić rzeczy do należnego porządku... Łatwo pojąć, że wszystko to razem wpływało paraliżująco na usposobienie Królewszczan, a jeżeli kto, to znów tylko jedyny Roth podtrzymywał opór, wskazywał ciągle na Polskę, nie pozwalał upadać całkiem duchowi. Cała treść też, jeżeli tak wolno powiedzieć, ówczesnéj polityki elektorskiéj koncentrowała się około przytrzymania jego osoby, około przybycia daléj do Królewca samegoż elektora. Wszelkie próby reasumcyi sejmu, ułagodzenia opornych za pomocą drobniejszych ustępstw, okazywały się przez miesiąc sierpień i Wrzesień roku 1662 bezskutecznémi. Co więcéj, dokazał wpływ Rotha tyle nawet, iż mięknąca już szlachta połączyła się znowu z opozycyą królewiecką, i że najoporniejsi z pośród niéj odmówili wprost opłacania przyznanéj już elektorowi akcyzy. Wśród takich okoliczności postanowił elektor wybrać się osobiście do Prus, aby uciszyć opozycyą, jakkolwiek cała rodzina jego, mianowicie żona i matka upatrywały w podobnym kroku wielkie dlań niebezpieczeństwo i powstrzymać go odeń usiłowały. Mimo to wyruszył w miesiącu wrześniu na czele 1,200 piechoty, 800 jazdy do Prus, udał się następnie sam do Gdańska, gdzie wsiadł na okręt, a dnia 18 października 1662 wylądował w Porcie Piławskim. Trwał mimo to jeszcze opór miasta Królewca. Pułkownik elektorski Raesfeld był zelżony i zbezczeszczony na ulicy. Na muszkieterów elektorskich z pułkownikiem Hillem na czele, zabierających się uwięzić Rotha pośród jego dzielnicy na Kneiphofie, rzucił się przybywający zagrożonemu mistrzowi ławników na odsiecz, kilkutysięczny tłum zbrojny w drągi, kije

kamienie. Wśród podobnych gorączkowych wydarzeń i usposobień, wkroczył dnia 25 października 1662 do miasta na czele 8,000 żołnierza, z zapalonymi lontami, elektor Fryderyk Wilhelm. Miasto nie miało siły, by stawić opór podobnéj przewadze liczby. Zapanował zwykły po wszelkich gorączkowych wstrząśnieniach i wysileniach upadek ducha. Elektor kazał przeciągać działa na wały cytadeli, a za danym znakiem rozpocząć bezzwłocznie ogień przeciw przedmieściu Kneiphofowi, dzielnicy Rotha i głównéj siedzibie żarzącego oporu. Usadowiwszy się w ten sposób w mieście, przystąpił elektor do najważniejszéj części swego królewieckiego zadania. D. 30 paźdz. wysłał silny oddział żołnierstwa do mieszkania Rotha na Kneiphofie i kazał sprowadzić go sobie na zamek. Dzieło uwięzienia jego odbyło się na ten raz bez przeszkody. Stawiony przed obliczem elektora, badany przezeń osobiście, przyznał Roth z godnością i szlachetną otwartością stosunki swe z Polską, trwałą gotowość do obrony praw krajowych jako rzecz obywatelskiego obowiązku, a nie sprzeczną z traktatami welawsko-bydgowskimi zaręczającymi Prussom i pod rządami brandenburgskiemi wszelkie swobody; poczém elektor oświadczył, iż mu z powodu zdrady stanu proces wytoczony będzie. Pozbawiony wolności Roth nie miał długo pozostać w murach rodzinnego miasta. Nazajutrz już wywieziono go statkiem do Piławy, ztamtąd do Kołobrzega, nakoniec na dożywotnią pokutę do więzienia w miasteczku Peitz pod Magdeburgiem. Osierocone po stracie naczelnika swego miasto upadło, jak bardzo naturalnie, jeszcze bardziéj na duchu. Opozycya zamknęła się w obec przemagającéj siły w sobie, stała się z hałaśliwéj i głośnéj dawniéj, milczącą i ponurą. Co chwila przychodziły popierane instancyami warszawskiemi deputacye do elektora z prośbą o uwolnienie Rotha. Elektor czując potrzebę oszczędzania do pewnego stopnia drażliwości opozycyjnej stanów pruskich, odpowiadał wymijająco, że uwolnienie mistrza ławników przed ukończeniem śledztwa nastąpić nie może, ale że go z pewnością nic gorszego nie spotka nad to, co mu się z prawa i słuszności należy. Po cichu szeptał sobie jeszcze królewiecki optymizm, że przybędzie komisarz króla polskiego, że wyjedna niezadługo Rothowi wolność; liczono bezprzestannie jeszcze w Królewcu na pomoc owéj nie pewnéj siebie, zawichrzonéj konfederacyą wojska, rozdartéj we wnętrzu swém przez gotujący się rokosz Lubomirskiego Polski! Opozycya ta, jakkolwiek słabnąca bardzo naturalnie w obec przytomności elektora, jakkolwiek trzymana na wodzy energicznymi środkami przemocy i przymusu, nie kapituluje przecież ostatecznie, odzywa się ciągle jeszcze i to nawet w łonie zwołanego wkrótce

po przybyciu elektora sejmu. Uciera się tutaj krok za krokiem o akcyzę, o stanowisko kościoła luterskiego w kraju, o przytomność komisarzy polskich przy mającém się składać ze strony stanów pruskich *homagium*. Najzaciętsza walka zawrzała z powodu rewizyi zarządu dóbr fiskalnych, znajdujących się pod najrozmaitszymi tytułami w posiadaniu krajowéj szlachty. Kronikę ostatnich dwóch miesięcy roku 1662 wypełniają jedynie tylko podobne spory. Początek roku następnego nie położył im końca. Trwają jeszcze przez następnych pięć miesięcy. W maju dopiero r. 1663 zdobywa sobie elektor na stanach pruskich uznanie swéj zwierzchniéj władzy, przyzwolenie na akcyzę, na równouprawnieaie wyznania kalwińskiego z luterskiém, w zamian czego elektor zgadza się ze swéj strony na udział komisarzy Rzeczypospolitéj w mającym nastąpić akcie homagialnym. Pragnął zaś elektor tego aktu czémprędzéj z pewną gorączkową niecierpliwością. „Zależy na tém,“ pisał, „dobro całego mego państwa i moja dobra sława. Cóżby się z dziećmi mojémi stało, gdybym nagle umarł? *Ludność tutejsza ma ciągle jeszcze przeważny wzgląd na Polskę*.“ Za nieunikniony warunek złożenia hołdu, położyły stany pruskie obecność komisarzy polskich i złożenie z własnéj strony tak zwanéj przysięgi ewentualnéj na rzecz Polski. Mijał już tymczasem miesiąc sierpień a komisarze nie przybywali ku najwyższemu elektora zniecierpliwieniu. W skutek ponownych a szczególnych wezwań jego, znaleźli się nareszcie w miesiącu wrześniu 1663 roku w Braunsbergu w charakterze komissarzy Rzeczypospolitéj, Stefan Wydżga biskup warmiński i Jan Leszczyński podkanclerzy koronny. Elektor domagał się od nich jak najprędszego wyznaczenia terminu homagialnéj uroczystości. Na to oświadczyli komisarze polscy, iż do tego aktu nie przystąpią, aż elektor cofnie załogę swą z Braunsberga, a zarazem zrzecze się prawa wejścia w przyznany sobie zastaw Elblągski. W niecierpliwości o przeprowadzenie ostateczne dzieła uznania władzy swéj w księstwie pruskiém, postanowił elektor ustąpić w sprawie Elblągskiéj i Braunsbergskiéj. Komisarze zgodzili się w skutek tegoż ustępstwa na uroczystość aktu homagialnego. Odbył on się na zamku królewieckim dnia 18 października 1663 r. Elektor zasiadł na tronie; po prawéj stronie Stefan Wydżga, po lewéj Jan Leszczyński jako komisarze Rzeczypospolitéj. Po krótkich przedmowach kanclerza księstwa Pruskiego von Kospotz i landwójta von Tettau, odczytał tajny sekretarz Colow rotę przysięgi na wierność dla elektora, którą zgromadzone stany pruskie za nim powtórzyly. Po dopełnieniu tego aktu na rzecz

władzy elektorskiéj, przyszła koléj upomnieć się o swe prawo na Rzeczpospolitę Polską w osobie biskupa warmińskiego Wydżgi. Biskup zawarował stanowczo w łacińskiéj mowie prawa króla i Rzeczypospolitéj Polskiéj do Księstwa Pruskiego mimo spełnionego co dopiero aktu. „Król polski,“ mówił, „zachowuje przyrodzone i pisane swe prawa do Księstwa Pruskiego w ten sposób, iż zawsze będzie mu jakoby przytomna myśl: własność ta moja nie jest moją, lecz będzie moją.“ Po odpowiedzi landwójta von Tettau, złożyły stany pruskie w języku niemieckim ewentualną przysięgę wierności królowi i Rzeczypospolitéj Polskiéj. Nastąpił potém szereg uroczystości trwających cały tydzień. Elektor znalazł się panem kraju pruskiego, ze stojącém wszakże jakoby na straży ewentualném prawem polski. Dnia 30 października 1663 r. w rocznicę właśnie uwięzienia i wywiezienia Rotha, wyjechał z Królewca, zostawiając dalsze kłopoty rządów nad uciszoną, ale niespokojną opozycyą kraju, nad ludnością nie przestającą tęsknić skrycie za dawnym z Polską związkiem, dotychczasowym reprezentantom swéj władzy, Bogusławowi Radziwiłłowi, Dobrzyńskiemu i Schweinitzowi.

(D. c. n).

Z DZIEDZINY BIOLOGII.

O DŁUGOWIECZNOŚCI CZŁOWIEKA

napisał

Dr. Wincenty Szyszłło.

Stary Sileniusz będąc w niewoli u króla Midasa, nauczał go pod warunkiem wyzwolenia swego: że najpierwszém i największém szczęściem jest to wcale na świat nie przychodzić; w przeciwnym razie co najprędzéj zejść z niego. Że stroskany starzec, w kraju nieprzyjacielskim wtrącony do ciężkiego więzienia, doszedł do tak smutnego wniosku o życiu, to nas bynajmniéj nie zadziwia,—i nie poruszylibyśmy tego postulatu z tak odległéj przeszłości, gdyby tegoczesny filozof Hartmann, nie był przyszedł do podobnych wyników.

W rzeczy saméj, czyliżby życie które napełnia wszechświat cały, miało być karą niebios, od któréj tylko śmierć uwolnić może? lub jak sądzą inni, ślepym trafem natury przypadkowo objawiającym się w ten sposób?

W miarę oddziaływania podmiotowego przyrody na nasz umysł, pojęcia o życiu stawały się raczéj wyrazem wrażeń osobistych, niźli naukowego zapatrywania się. Życie dla teologa, to nieustanne pragnienie duszy będącéj w walce z ciałém, to ciągła walka zasady wieczystéj z doczesnością; dla panteisty—to uosobienie pierwiastku twórczego w naturze — to ciągła zmiana formy przy zachowaniu treści; dla pozytywisty—to nieprzerwalny obieg materyi i siły w przyrodzie; dla biologa — to powolna, lecz stała ewolucya od nieskończenie drobnych i prostych, do wielce złożonych i olbrzymich istot; wreszcie dla poety — to czar wiosennéj młodości, co tysiącami barw roztacza dokoła swe wdzięki, budząc

w duszy człowieka zachwyt i podziw piękna arcydzieł przyrody. W téj to skarbnicy czerpie psycholog wiarę, filozof ideę swych pomysłów, poeta natchnienie, a człowiek pracy i czynu, niezłomną wolę i energię do dalszego żywota.

Jakkolwiek w kwestyi obecnéj nie idzie nam o zgłębianie i rozbiór saméj istoty życia, wszakże gdy zamiarem naszym nie jest proste wyliczenie ludzi długowiecznych, lecz przedewszystkiém rozważanie warunków psycho-fizyologicznych, na podstawie których długowieczność ludzka polegać musi, z tego względu uważamy za konieczne zrobić wycieczkę na pole ogólnéj biologii, w celu możliwego wyjaśnienia problematów—życia.

Przedewszystkiém musimy określić nasze zapatrywanie się, będące dla nas punktem wyjścia, w rozważaniu życia w ogólności. Da się ono streścić do następującego twierdzenia: że tak w przyrodzie mineralnéj, jak i organicznéj, materyą uważamy jako warunek (nie zaś przyczynę) objawów fizyczno-chemicznych, oraz żywotnych; istotnéj przyczyny nie znamy i prawdopodobnie nigdy nie poznamy; wszelako z odległych olbrzymich skutków, jakie widzimy w naturze, możemy sądzić o pierwotnéj potędze — téj najwyższéj Zasady,—będącéj źródłem wszechbytu w przyrodzie. Postęp w naturze, stale objawiający się w celu rozumnym — daje świadectwo świadoméj swych czynów Mądrości; a jedność i powszechność praw przyrody—jedności Inteligencyi, która te prawa nakreśliła.

* * *

Od czasów Newtona nauczającego, że nie ma siły bez materyi (virtus sine substantia subsistere non potest), wszyscy uczeni, po długich wysileniach nauk doświadczalnych, doszli obecnie do przekonania—że nie ma materyi bez siły, zarówno—jak nie ma siły bez materyi; czyli że istnieje we wszechświecie tylko *materya czynna.* Czy ta czynna materya, jak utrzymuje astronom Boskowicz, jest skupieniem środkowych punktów sił, jako punktu wzajemnego przyciągania i odpychania, czy też taką od początku została stworzoną, lub ta jéj energia zależy od ożywiającego ją ducha w przyrodzie całéj—w dzisiejszym stanowisku nauk biologicznych, nie moglibyśmy téj kwestyi rozwiązać. Prawdą jest tylko od czasów Lavoisiera stwierdzoną, ża materya jest niezniszczalną. Twórca ten chemii naukowéj i nieubłagany burzyciel alchemii z ważką w ręku stwierdził, że nie jesteśmy w stanie ani jednego

atomu materyi stworzyć lub zniszczyć. Było to największém odkryciem w. XVIII.

Wiek nasz ruchliwszy nad inne nie dał się ubiedz, i w roku 1842 lekarz Robert Mayer z Heilbronnu wykazał nieźniszczalność siły czyli energii, jaką jest wszechświat obdarzony. Odkrycie to tyle jest w następstwach swych znaczącém, że nie obawiamy się zaliczyć go do największych, jakie wiek nasz dokonał. Na tém prawie polega cała nasza dzisiejsza dynamika.

Organizm zwierzęcy nie bez racyi przywykliśmy uważać za maszynę żyjącą, która do działania swego zużywa materyał odżywczy, lub w przeciwnym razie swą własną budowę; z tego względu musimy choćby w krótkości wyjaśnić niezniszczalność dwóch głównych w téj maszynie motorów: siły i materyi. Tym sposobem zdołamy ujawnić, że ogólne prawa dynamiki stosują się tak dobrze do przyrody mineralnéj jak i organicznéj.

Niezniszczalność materyi jest tak oczywistą, że nie potrzebuje żadnego udowodnienia. Ktokolwiek dziś jest choć trochę obeznany z chemią, wie doskonale, że dany atom tlenu, węglika lub wodoru, może przejść w roślinie najrozmaitsze połączenia chemiczne; a mianowicie: już to staje się składową treścią błony komórkowéj *cellulosą* zwanéj, albo się odnajduje w ciałach białkowych, cukrowych i tłuszczowych, wreszcie w ostatniéj przemianie materyi napowrót wydzielić się może pod postacią wody lub kwasu węglanego, przy spaleniu tych ciał bądź sztucznem, bądź organicznem u istot zwierzęcych.

Droga ta jaką dany atom przebywa, przemiany jakim towarzyszy w organizmie roślin i zwierząt, są tak skomplikowane, że napróżnobyśmy usiłowali wszystkie jego przejścia wyśledzić. Wszelako praca przez niego dokonana nie zostaje dla nas ukrytą i objawia się pod formą ciepła; gdzie zaś ciepło istnieje, tam niewątpliwie odbywa się ruch cząsteczkowy. W téj ciągłéj wędrówce od życia do śmierci i odwrotnie, atom pozostaje zawsze nie zmienionym wiecznie młodym, równie zdolnym do nowych związków, nie straciwszy nic ze swéj pierwotnéj energii. Po odbytéj wędrówce wraca do przyrody w téj saméj formie, w jakiéj przez organizm roślinny przyjętym został,—w ten sposób dopełnia się całkowity cykl przemiany materyi. Przemianę tę moglibyśmy porównać do drogi kołowéj nie mającéj początku ni końca, po któréj obieg atomu, w miarę ciągle zmieniających się środków otoczenia, już to zwolnionym, już to przyśpieszonym bywa. W tym nieprzerwalnym obiegu znajdujemy usprawiedliwienie zasady biologicznéj pzzez Klaudiusza Bernarda wypowiedzianéj: że *„między przyrodą organiczną a mineralną nic się nie tworzy i nic nie ginie.“*

Nie tyle pozornie jest oczywistą zasada zachowania energii, czyli zasada niezniszczalności siły. Od odkrycia Lavoisiera przeszło pół wieku upłynęło zanim nauka zdobyła tę nową prawdę. Nieznany światu lekarz Mayer (z Heilbronnu), rozważając w głębokim umyśle swoim zasadę Demokryta, że *nic zniczego powstać nie może, i nic z tego co jest nie może być zniszczoném*, przyszedł do przekonania, — że tak samo panuje w przyrodzie obieg siły jak i materyi: że podobnie jak materya w ciągłych przemianach zmienia swą formę, tak siła zmienia stan swego natężenia—przechodząc kolejno ze stanu spoczynku (potencyjnego) do stanu ruchu (dynamicznego). Bawiąc chwilowo w charakterze lekarza w strefach podzwrotnikowych dr. Mayer zauważył, że krew u Indyan tak w stanie zdrowia jak i choroby, posiada wyższą nieco temperaturę i ulega większym wahaniom dobowym aniżeli krew Europejczyków. To napozór niewielkiéj doniosłości spostrzeżenie, na wzór Newtonowskiego jabłka spadającego, doprowadziło go do odkrycia teoryi dynamicznéj ciepła. Zaraz bowiem postawił on sobie pytanie: czyli nie zachodzi ściślejszy związek pomiędzy nadmiarem wytworzonego ciepła w stanach gorączkowych, a ruchami serca? Jakoż po wielu doświadczeniach w tym celu przedsięwziętych, okazało się, że zawsze zachodzi ścisły związek pomiędzy ciepłem zużytém a pracą dokonaną i odwrotnie—że dana ilość pracy wytwarza zawsze daną ilość ciepła. Z doświadczeń tych tak własnych Mayera, jak i późniejszych po nim fizyków Joule'a, Grove, Foucault'a, Hirna (i wielu innych) nie wiele różniących się od siebie, wypada: że każda zużyta jednostka ciepła wydaje pracę równającą się 425 kilogrametrom. Ztąd jednostka ciepła i 425 kilogrametrów są równoważne, czyli stanowią *równoważnik mechaniczny ciepła.* Za jednostkę ciepła przyjęto dziś uważać potrzebną ilość ciepła do ogrzania jednego kilogramu wody na jeden stopień Cel., taż sama ilość ciepła zużytkowana na pracę mechaniczną (a nie na ogrzanie) jest zdolną podnieść 425 kilogramów na wysokość jednego metra.

Chcąc zawrzeć się w granicach możliwéj ścisłości, nie będziemy przytaczali innych praw thermo-dynamiki, ze względu wszakże wysokiego znaczenia, jakie już dziś zdobyła sobie thermo-dynamika w biologii w ogólności, nie moglibyśmy jéj wcale pominąć w rozważaniu zjawisk życia tak normalnego jak i anormalnego: Dzisiejsza medycyna jednocząc się coraz ściśléj z naukami przyrodniczemi, idąc w kierunku doświadczalno-racyonalnym, coraz bardziéj uwzględnia zasady teoryi dynamicznéj ciepła. Niewątpliwie z czasem powstanie cała teorya dynamicznego działania lekarstw, całkiem odmienna od dzisiejszéj homeopatyi, łączącéj w zasadzie gruby

empiryzm formułkowy z rzekomo naukowém pojęciem atomistyczném szkoły greckiéj. Było to dobrze w czasach panowania magnetyzmu zwierzęcego, spirytyzmu wirujących stolików, ale dziś w obec nauk pozytywnych—to dysonans rażący!

Powszechnie dzisiaj przyjęto uważać organizm ludzki jako pewnego rodzaju skombinowany mechanizm, w którym ciepło podobnie jak w maszynie parowéj, może się na pracę zamieniać. Na zasadzie licznych poszukiwań i doświadczeń fizyologicznych, udowodnioném jest dzisiaj, że $^4/_5$ ogólnéj ilości ciepla w organizmie ludzkim powstaje skutkiem utlenienia węglika przy produkowaniu kwasu węglanego, i tylko $^1/_5$ skutkiem utlenienia wodoru. Ażeby się przekonać jak znaczna ilość ciepła wytwarza się w organizmie ludzkim, dosyć przytoczyć, że spalony jeden kilogram węglika przy zamianie na kwas węglany, wydaje 8080 jednostek ciepła związek téjże saméj ilości wodoru z tlenem przy tworzeniu się wody, wydaje 4 razy przeszło tyle jednostek ciepla, a mianowicie 34460.

Cyfry te oznaczające ilość jednostek wytwarzającego się ciepla, jeśli zamienimy na równoznaczące im jednostki siły—będziemy mieli: w pierwszym razie 3,433,000 kilogrametrów, a w drugim 14,645,500,—co znaczy, że odpowiednio zużyte ciepło organiczne, byłoby zdolne wydać pracę, któraby mogła taką ilość kilogramów podnieść na wysokość metra. Aby łatwiéj stosunek ten zrozumieć, postaramy się objaśnić go w inny sposób. Dajmy na to, że pocisk jednego z olbrzymich armstrongów angielskich wynoszący 1,000 funtów wagi, z prędkością 1,100 stóp na sekundę, przy uderzeniu swém w czasie najsilniejszego lotu, rozwija siłę 2,250,000 pudów; chcąc taką samą siłę otrzymać przez ciepło, potrzebowalibyśmy ogrzać 80 kwart wody od 0 + do 100 Cel., czyli że wówczas wodzie téj nadamy ruch cząsteczkowy równający się otrzymanemu ruchowi całéj massy pocisku armstronga

Ponieważ człowiek dojrzały średniéj wagi (4 pudów) spożywa dziennie 750 gramów tlenu i tyleż produkuje kwasu węglanego (a mianowicie: przez płuca 740 gram. a 8 gram. przez skórę), a na podstawie postrzeżeń biegłego obserwatora Hirna jeden gram tlenu produkuje pięć jednostek ciepła, a zatém będziemy mieli na ogół 3,750 jednostek ciepła czyli 1,493,700 jednostek pracy mechanicznéj.

Z doświadczeń Hirna i Heidenmanna okazuje się, że zaledwie $^1/_5$ część ogólnéj ilości siły czyli energii—zamienia się na siłę żywą czyli pracę mechaniczną, a $^4/_5$ ukazuje się pod formą ciepła organicznego nadającego ruch płynom i tkankom organicznym. Bez względu zatém na istotę saméj kurczliwości mięśni, zawsze 4 razy więcéj wyrabia się energii pod formą dynamiczną ciepła

i tylko $1/_5$ część energii pod formą siły żywéj objawiać się może. Znakomity filozof Béclard robiąc poszukiwania w tym względzie, doszedł do podobnych rezultatów jakie Hirn otrzymywał. Badania ich stwierdziły, że człowiek przy pracy wydaje mniéj ciepła niż w stanie spoczynku. Zużyty w oddechu jeden gram tlenu w czasie spoczynku produkuje pięć jednostek ciepła, przy pracy zaś tylko dwie. Wiadomo jest z praw ogólnych thermo-dynamiki, że para wodna po przebytéj pracy mechanicznéj w maszynie parowéj traci znaczną ilość uprzedniego ciepła, tak samo stwierdzoném zostało: że przy odejmowaniu ciężarów, w organizmie zwierzęcym wydzielana ilość ciepła mniejszą jest, aniżeli przy zwyczajném kurczeniu się mięśni. Widzimy ztąd, że organizm ludzki ulega ogólnym prawom thermo-dynamiki.

Jakeśmy powiedzieli wyżéj zaledwie $1/_5$ część z ogólnéj ilości ciepła pod postacią pracy mechanicznéj okazuje się; ilość ta zmienia się stosownie do organizmów i ich żywotności. Słoń mniéj jest zdolnym do produkowania pracy od konia. a koń od człowieka; gdy znowu ruchliwy ptak przewyższa tego ostatniego, to pracowita mrówka celuje nad wszystkiémi. Jakkolwiek stosunek siły żywéj ($1/_5$) do ogólnéj ilości ciepła wydąje się nam małym, a utrata siły olbrzymią, to wszakże pod względem wydajności pracy, mechanizm biologiczny wyższym jest o wielekroć od wszystkich naszych maszyn parowych. W zwyczajnych maszynach parowych zaledwie $1/_{20}$ część materyału opałowego na pracę mechaniczną zamienia się: reszta znika pod formą ciepła. Na przebycie oceanu Atlantyckiego, mówi amerykański uczony Barkier, większych rozmiarów parowce, zużywają około 40,000 pudów węgla kamiennego. Otóż z téj ilości zaledwie 2,000 pudów idzie na pracę mechaniczną (co stanowi $1/_{20}$ część ogólnéj ilości materyału opałowego) reszta wydziela się pod postacią ciepła i ginie na ogrzanie wód oceanu. Wprawdzie w innych maszynach parowych utrata siły ciepła nie jest tak znaczna i siła żywa dochodzi podług rachunku inżyniera Hirna do $12/_{100}$.

Już samo zestawienie cyfr ilości wytwarzającego się ciepła w organizmie, wymownie świadczy o wielce udoskonalonéj produkcyi machiny zwierzęcéj. Oczywście, że siła ztąd powstająca nie jest darem jakimś szczególnym nadprzyrodzonym i tak w organizmie zwierząt jak i ludzi, nie wytwarza się wcale dowolnie; żaden organizm bowiem, nie jest zdolnym najmniejszą cząstkę siły lub materyi wytworzyć. Siła powstaje wyłącznie skutkiem przemiany materyi, i jakeśmy wspomnieli przeważnie ($4/_5$) w skutku łączenia się tlenu z węglikiem.

Uwzględniając to wysokie znaczenie pokarmowe węglika prof. Gavarret sprowadził w ogólnéj ocenie wartość środków pożywienia, do wartości pokarmowéj węglika. Podług tego wypada: że 1000 gr. materyi azotowych obojętnych zawierają węglika 698,1; 1000 gramów materyi tłuszczowych 1180; wreszcie 1000 gramów materyi krochmalnych, gumowych i cukrowych 420 gramów. W téj ilości znajduje się zamieniona ilość wolnego wodoru ciał tłuszczowych i azotowych na odpowiednią (czterykroć wynoszącą) ilość węglika. Tym sposobem przy podobnéj zamianie ciał tłuszczowych na 1000 gramów wypadło na ilość samego węglika 1180 gramów; w ciałach zaś cukrowych, krochmalnych i gumowych wodor znajduje się w związku z tlenem pod postacią wody i jako nie czynny nie wchodzi do obrachunku.

Téj saméj skali w ocenie dynamicznéj wartości pokarmów trzyma się M. Frankland. Dozwolimy tu sobie przytoczyć ułożoną przez niego tablicę równoważników ciepla i pracy mechanicznéj w pokarmach naszych zawartych.

Energia (siła) istotna jaką wydaje jeden kilogram następujących produktów pokarmowych spalonych w tlenie.

Produkta żywności w stanie naturalnym	Jednostki ciepła	Jednostki pracy	woda na 100 części
Tran rybi	9107	3870475	—
Tłuszcz wołowy . .	9069	3854325	—
Masło zwyczajne. .	7264	3087200	—
Kakao. , ...	6375	2921025	—
Skórka chleba . . .	4459	1895075	—
Kasza owsiana . .	4004	1701700	—
Mąka	3941	1674925	—
Mąka grochowa . .	3936	1672800	—
Arow-root.	3912	1662600	—
Mąka ryżowa. . . .	3813	1620525	—
Żółtko z jajka . . .	3423	1454775	47,0
Cukier zwyczajny.	3348	1422900	—
Jaja na twardo. . .	2383	1012775	62,3
Ośródek chleba . .	2231	948175	44,0
Szynka chuda . . .	1980	841500	54,4
Makrela ryba . . .	1789	760325	70,5
Mięso wołowe . . .	1567	665975	70,5
Mięso cielęce . . .	1314	558450	70,9
Kartofle.	1013	430525	73,0
Białko z jajka . . ,	671	285175	86,3
Mléko krowie . . .	662	281350	87,0
Marchew	537	228225	86,0
Kapusta.	434	184450	88,5

Wszakże nie cała ilość węglika zawartego w naszych pokarmach ulega utlenieniu w organizmie ludzkim. Poszukiwania Franklanda wykazały że z 698,1 węglika ciał azotowych obojętnych tylko 541 części ulega całkowitemu utlenieniu, reszta wydala się w części niezupełnie utlenionéj, w części stanowi przyrost organizmu jużto jako włóknik, jużto jako tłuszcz w skutku wstecznéj przemiany.

Podług obliczeń profesora Beneke, człowiek dojrzały przyjmuje w ciągu doby 750 gram tlenu z wolnego powietrza, od 1,000—1,200 stałego pożywienia azotowego i bezazotowego włącznie, i od 1,500—1,800 gram wody. W téj liczbie zawiera się od 15—20 *gramów azotu i 320 gramów węglika.*

Po przebytéj przemianie materyi przyjęte te ilości pokarmowe wydzielają się w następujący sposób: a) przez skórę koło 8 gr. kwasu węglowego i 300 gramów wody; b) przez płuca koło 740 gr. kwasu węglowego i 500 gramów wody; przez kiszki około 250 gr. (75 części stałych i 175 wody); d) przez nerki koło 1,550 gram. z których 1,500 wody i 50 części stałych. W téj liczbie przy zwyczajném mięszaném pożywieniu znajduje się od 30 do 33 gramów mocznika czyli 2, 2 %.

W przemianie materyi ilość mocznika odgrywa największą rolę gdyż to jest ostateczny produkt przemiany ciał azotowych w ogólności. Ilość jego wielce jest niestałą i zmienia się stosownie do pożywienia. Prace Dra Franque dokładnie stwierdziły, że w ciągu doby, człowiek dojrzały oddaje mocznika przy pożywieniu wyłącznie

mięsném	od	51—92	gr.
mięszaném	,,	36—38	—
roślinném	,,	24—28	—
bezazotowém		16.	—

Cyfry te wymownie świadczą kiedy organizm ponosi większy wysiłek, i są wielkiego znaczenia dla zdrowia indywiduum:

Jasną jest rzeczą że chcąc zachować równowagę organiczną, musimy tyle części przyjąć w pożywieniu dobowém, ile tracimy w postaci różnych wydzielin w tym samym czasie. Aby to pożywienie odbywało się w warunkach normalnych, potrzeba zachować wymagany stosunek przyjmowanych pokarmów—azotowych do bezazotowych, co podług mało różniących się wskazówek Payena i Beneke—winno być jak 1 : 4.

Naszém zdaniem ściśléj byłoby określać stosunek ten na podstawie pierwiastków czyli *względnie pobieranego azotu do węglika*, Przyjmując wymaganą ilość azotu jako 20 gram i węglika jak 320,

będziemy mieli jak 1 : 16. Mléko przedstawia nam pokarm gdzie stosunek azotu do węglika odpowiada najzupełniéj temu wymaganiu. W pewnych wypadkach stosunek ten może ulegać zmianie tak co do przewyżki azotu jak i węglika, nie powodując żadnych następstw w organizmie; wszelako gdy warunki życia tak się składają, że to zboczenie staje się ciągłém,—powstają w następstwie zmiany szkodliwe w przemianie materyi. Nadużycie azotu rychléj zboczenie sprowadza; ilekroć zaś wypada przewyżka węglika, organizm to łatwiéj wyrównuje na zasadzie szerokości swych funkcyj, wszakże w dalszym ciągu szkodliwe oddziaływanie podobnego żywienia się ujawniać się poczyna.

Z tego cośmy powiedzieli łatwo wywnioskować można, że przez samo umiejętne ustosunkowanie azotu do węglika, wiele przewlekłych chorobnych stanów może skutecznéj doznać naprawy. Aby ułatwić czytelnikowi to pożądane ustosunkowanie pokarmów, podajemy poniżéj tablicę (podług Payena) analizy chemicznéj różnych substancyj pokarmowych, względnie do ich zawartości azotu i węglika.

W 100 częściach danego pokarmu znajduje się azotu i węglika	Azotu	Węglika
Mięso wołowe.	3	41
Stokfisz solony	5,02	16
Séry.		
Gèuyrre . . , ...	5	38
Brie . . . . , . .	2,93	35
Holendenderski	4,40	43,54
Neuchâtel świeży . . .	1,27	50,71
Jarzyny.		
Bób	4,50	42
Fasola	3,92	43
Soczewica	3,87	43
Groch	3,66	44
Mléko krowie	0,66	8
Chléb	1.20	30
Marchew	0,31	3,50
Kartofle	0,33	11
Ryż	1,08	41
Słonina	1,18	71
Masło świeże	0,84	82
Oliwa	Ślady	98

Na podstawie tego obliczenia każdy z łatwością może obrachować wymaganą ilość azotu i węglika w swém dobowém pożywieniu.

Wówczas gdy żwierzęta zużywają z takim trudem i mozołem zdobyty pokarm, przyswajając sobie z niego bardzo nieznaczną ilość; rośliny pobierają pokarm nie ponosząc żadnéj pracy bądź wewnętrznéj, bądź zewnętznéj, ztąd nie potrzebują wcale rozwijać ciepła któreby u nich na pracę przeobrażało się. Przytwierdzone stale do ziemi, rośliny czerpią w niéj i z otaczającego powietrza wymagany dla siebie materyał pokarmowy. Pracy téj dopełniają siłą światła i ciepła słonecznego w komórkach zielonych liści. Pod tym dobroczynnym wpływem, wytwarza się w liściach roślinnych chlorophyll mający własność redukowania tlenu z kwasu węglowego i wody — owych najprostszych mineralnych ciał pozbawionych wszelkiéj energii czyli siły potencyjnéj. Wprawdzie, doświadczenia przez Darwina w ostatnich czasach dokonane, wykryły nam rośliny owadożerne i mięsożerne, przez co w części obaliły nasze dawne pojęcia o wyłączności żywienia się roślin, wszakże to wyjątkowo tylko zdarza się w pewnych nielicznych gatunkach.

Rośliny redukując ciała mineralne proste, zużywają taką samą ilość siły słonecznéj, jaka się napowrót wydziela w organizmie zwierząt, przy utlenieniu pokarmów, lub w naszych piecach przy spaleniu materyału opałowego. Ściśléj wyrażając się: do zredukowania jednego kilogramu węglika z kwasu węglanego, potrzeba zużyć tyle siły ile wymaga się do utlenienia tegoż kilogramu węglika. Zasada ta dowodnie nam wyjaśnia, dla czego niszczycieli lasów Humbold tak surowo potępia, zowiąc ich podwójnymi rabusiami siły słonecznéj i wody danego kraju.

Objawy życia począwszy od najprostszych istot organicznych zależnymi są wyłącznie od przemiany materyi. Im silniejsza ta zamiana, tém większe i wyższe spotykamy zjawiska żywotne, im powolniejszą jest zamiana tém bardziéj objawy żywotne w ciasném kole zawierają się. Pomiędzy zwolna rosnącym cedrem, a szybko rozwijącemi się kwiatowemi roślinami lub zimno-krwistym żółwiem a ptakiem lub człowiekiem,—jakaż olbrzymia różnica w zjawiskach ciepła, ruchu, czucia i inteligencyi!

Co to jest życie w ogólności jakie są prawa wzrostu, oraz jakie są możliwe granice długowieczności; te są kwestye które z kolei przychodzą nam pod rozbiór.

W rozważaniu tych wielce ciekawych kwestyi, nie mamy na celu powtarzanie dawno znanych hipotez, ani też źródłowego wyliczania zmiany pojęć o życiu z biegiem historycznym. Pragnący

z tém się obeznać znajdzie szczegółowy rozbiór w dziele naszem „Przegląd Dziejów Przyrody“ w rozdziale „o sile żywotnéj,“ tu tylko powtórzyć możemy bankructwo umysłowe w téj kwestyi wszystkich szkół filozoficznych. Istoty życia nie tłómaczy żadna ze znanych nam teoryj: animistów, materyalistów i pozytywistów; żadna z nich wyłącznie nie może być stosowaną do całéj przyrody organicznéj.

Teoryi animistów nie podobna rozciągać do wszystkich istot organicznych—na to się nie godzą sami jéj adepci. Materyaliści nie mogą wyjaśnić jakim sposobem materya samowolnie może przejść w stan czynny, powodujący ewolucyą istot organicznych.

Zgadzamy się, że życie pojmowane jako ruch, jako walka jest ogólnym przymiotem materyi: jużto jako walka atomów danego ciała – najprostszy wyraz życia w przyrodzie mineralnéj; jużto jako walka atomów zbiorowych oraz różnorodnych mass zorganizowanych w pryrodzie organicznéj. Lecz właśnie ten ruch, ta walka musi mieć swoistą, dla nas nieznaną przyczynę. Sam zaś wynik odmienny téj walki jest poniekąd wskazówką że i działanie *pierwotnéj przyczyny* musi być odmienne i różne tak co do stopnia jak i treści. W każdym razie, to pewna—że w téj walce i w jéj wynikach, przypadek miejsca mieć nie może..

Jakkolwiek pozytywiści umiejętnie zacieśniają swój zakres badań wyłącznie do zjawisk żywotnych, pojmując życie jako wynik procesów fizyczno-chemicznych, to wszakże możnaby zapatrywaniu się temu zrobić wiele zarzutów pewnéj doniosłości. Na podstawie téj teoryi niepodobna wyjaśnić, jakim sposobem jednostajne procesa chemiczne powodują różnorodne organizacye roślin i zwierząt; jakim sposobem zielona komórka roślin, spełnia w danych warunkach podwójną funkcyą raz odtleniającą (redukującą) węglik, drugi raz utleniającą; wreszcie samo odmienne zachowanie się ciał mączkowych i cukrowych w ustroju zwierząt i człowieka?

Zastanawiając się, powiada H. Spencer, nad ostateczną przemianą ciał mączkowych i cukrowych w organizmie, nie możemy sobie jasno zdać sprawy z przemian jakim te ciała w obec znanych nam fizycznych i chemicznych warunków ulegają. Wówczas, gdy te same ciała w zetknięciu się z ciałami azotowemi (fermentacyjnémi) zewnątrz organizmu, wytwarzają kwas węglany i alkohol zmieniający się w następstwie na kwas octowy; w organizmie zaś otrzymujemy wprost wyższy stopień utlenienia w postaci wody i kwasu węglanego, bez poprzedniego wytwarzania się tych pośrednich ogniw. Herbert Spencer przychodzi do wniosku że w tym razie obok siły zwyczajnéj do chemicznych związków wymygánéj, jest

jeszcze siła szczególna katalityczna działająca pośrednio na przemianę materyj. Tłómaczenie podobne nie wyjaśnia wcale kwestyi; przeciwnie, odsłania słabą stronę w teoryi pozytywisty angielskiego.

Potrąciliśmy tu tylko kwestyą życia przygodnie, aby wykazać, że rozwiązanie tej kwestyi nie jest tak łatwe jakby się na pozór zdawało. Żadna teorya, ani hypoteza nie tłómaczy téj nieznanéj nam władzy — co tysiącami form wciąż odradzających się, staje się dla nas wymownym wyrazem téj Przedwiecznéj Idei co je nakreśliła. Możemy tylko śledzić rozwój i stopniowe przeobrażanie się tych początkowych form, a i do tego brak jeszcze wielu materyałów. Trudność poznania istoty życia spoczywa jużto w trudności zbadania wszystkich w ogólności pierwotnych przyczyn, jużto w tém, że życie nam się objawia jako siła zbiorowa działająca w wielce skombinowanym mechanizmie, *Władze żywotne ruchu, czucia i inteligencyi, nie są własnościami ogólnémi materyi, okazują się w pewnych danych warunkaeh materyi i pomimo ich cały świat mineralny istnieje; nie dają się one przemieniać na znane nam siły proste,—i dla tego nie mogą być wynikiem ich działania.* Władze żywotne nie dają się na podobieństwo światła, ciepła, elektryczności, magnetyzmu analizować; procesa chemiczno-fizyczne tak dobrze się kontynują po śmierci indywiduum jak i za życia. — Moglibyśmy je przyrównać do ruchu strumieni elektryczno-magnetycznych, lecz co właściwie ruch ten wywołuje — nie wiemy. Za pomocą pryzmatu możemy promień słoneczny rozdzielić na siedm składowych barw i znów je sztucznie połączyć; nie mamy wszakże pryzmatu coby nam władze żywotne rozdzielał i łączył. W organizmie bowiem tak jak w maszynie, żadna cząstka nie może być odosobnioną bez uszkodzenia całości.

O ile na zasadzie przemiany materyi nie można istoty życia pojąć, o tyle trudniéj jeszcze zrozumieć stosunek i zależność wyższych władz psychicznych człowieka od téj przemiany. Że przemiana materyi przy pracy umysłowéj odbywa się w wysokim stopniu, nie ulega wątpliwości. Mózg jest narzędziem najbogaciéj w krew uposażonym, $^1/_5$ część z ogólnéj ilości krwi zawiera w sobie; tak wielka ilość pierwiastków odżywczych wymagana do téj funkcyi świadczy o nadmiernéj pracy jaka się tam odbywa. Jakoż doświadczenia Drów Byassona i Lombarda wykazały, że przy pracy umysłowéj przemiana materyi dosięga najwyższego stopnia, co znaczy że organizm w tym razie dopełnia największego wysiłku. Doświadczenia w tym względzie Dr. Byasson prowadził nad samym sobą w ciągu dziewięciu dni. Zachowując ściśle identyczny rodzaj pożywienia, po-

dawał organizm swój co trzy doby innemu rodzajowi pracy; a mianowicie, w ciągu pierwszych trzech dni oddawał się najzupełniejniejszemu spoczynkowi tak fizycznemu jak i psychicznemu; następne trzy dni zajmował się wyłącznie ćwiczeniami mięśni czyli pracą mechaniczną, unikając o ile możności zajęć umysłowych; wreszcie ostatnie trzy dni poświęcał się wyłącznie pracy umysłowéj, – zgłębianiu zadań matematycznych i fizyologicznych.

Owóż codziennie dokonywany rozbiór moczu wykazał, że w pierwszym wypadku zawartość mocznika wynosiła na do dobę:

	20,46	gramów
w drugim	22,90	„
w trzecim	23,48	„

Ostateczny wynik z tych doświadczeń dowodnie wykazuje stosunek stanu spoczynku do pracy fizycznéj i umysłowéj. Na podstawie tych danych możnaby wnioskować, że zachodzić musi wielki stosunek między pracą fizyczną a umysłową. I w istocie jak przy każdym ruchu mięśniowym przyjmują udział odpowiednie nerwy, tak przy każdym ruchu myśli, uczucia i woli, zachodzi odruchowa działalność mięśni. Dość spojrzeć na wyraz twarzy człowieka myślącego, zagniewanego, zakochanego i idyoty, aby się przekonać o prawdziwości tego założenia. Ciągłe oddziaływanie tak sfery psychicznéj na fizyczną, jak sfery fizycznéj na psychiczną, jest faktem nieulegającym zaprzeczeniu. Ścisły związek organów myśli i zmysłów, z organami czucia i ruchu, jest dla nas dziś oczywistym, wszelako podziwiać musimy gieniusz Lavoisiera co tak jasno zdawał sobie sprawę w téj kwestyi w r. 1789. W Pamiętniku Akademii Umiejętności Paryskiéj (str. 577) Lavoisier powiada: „na podstawie obliczeń zużytego tlenu, możnaby oznaczyć wysiłek jakiego dokonywa mówca parlamentu i artysta grający na estradzie; możnaby nawet ocenić to co wyłącznie jest mechanizmem w pracy filozofa, publicysty i kompozytora. Psychiczne wysilenia tych ludzi uważane jako wyłącznie duchowe, zawierają wszakże w sobie coś fizycznego i materyalnego, co pozwala je porównywać do wysileń człowieka pracy mechanicznéj. I dla tego język francuski pod słowem *travail* (praca), łączy pojęcie tak pracy umysłowéj jak i fizycznéj.“

Zależność organiczna pracy fizycznéj i umysłowéj ujawnia się nadto przez wytwarzanie się w obu wypadkach ciepła. Doświadczenia Lombarda i Melloni na bardzo czułym przyrządzie thermoelektrycznym, zastosowanym na tylnéj części głowy na kości potylicznéj (gdzie o $^1/_{20}{}^0$ Cel. temperatura jest zawsze wyższą od innych

części głowy), wykazały stałe wywiązywanie się ciepła przy pracy umysłowéj. Przy pomocy tego przyrządu sprawdzono, że mózg może być całkiem nieczynnym, lecz wystarcza najlżejsze wrażenie jak przemówienie, zapukanie do drzwi, aby go obudzić do stanu czynnego, — przytém wywiązujące się ciepło posuwa strzałkę przyrządu o 20^0. Podobnież sprawdzono, że przy pobudzeniu sfery uczucia więcéj wywiązuje się ciepla, aniżeli przy najgłębszém myśleniu. Jestże w tym razie prostą zamiana siły dynamicznéj ciepła na siłę dynamiczną myśli, jak tego chce profesor Barker, tłómacząc—że tak przy pracy mięśniowéj jak i umysłowéj, okazuje się oczywista tylko część ciepla nie zużyta na pracę?—Nie sądzimy. Wywiązujące się ciepło przy pracy umysłowéj niezbędném nam się wydaje do wprawienia w ruch pierwiastków mikroskopijnych mózgu; potrzebném jest do wywołania danego nastroju mózgu, przy którym proces myślenia odbywać się może; ale choćby najlepszy instrument bez artysty nie wyda dźwięków harmonijnych, tak téż i mózg bez tego bodźca nieczynnym staje się. Tylko wtenczas indywiduum wstępuje w owe prawa człowieczeństwa gdy z Kartezyuszem może powiedzieć myślę więc jestem (cogito-ergo sum). I dla tego w organizmach musimy przyjąć obok procesów chemiczno-fizycznych, nieznany nam ruch cząsteczkowy pierwiastków morfologicznych, dochodzący swego maximum w mózgu przy myśleniu. Ruch ten prawdopodobnie jest polaryzacyjnym na podobieństwo strumieni magnetycznych. Jaka jest jego przyczyna, rozwiązać nie możemy, bo „ludzki rozum—jak słusznie zauważył Tyndall, może być porównany do instrumentu muzycznego, który wydaje pewnego rodzaju tony, po za granicami téj umysłowéj klawiatury spotykamy wieczny spokój.“

Mały przykład wystarczy o ile obecne narzędzia fizyczne nie dostatecznemi są przy badaniu najprostszych zjawisk przyrody mineralnéj.

Badanie zjawisk żywotnych dotychczas odbywało się wyłącznie w komórkach zarodkowych dostrzeganych pod drobnowidzem przy powiększeniu 500—600 w średnicy. Najlepszy mikroskop dozwala badania przedmiotów równających się długośći fali świetlnéj eteru to jest $^1/_{5000}$ linii albo $^1/_{2000}$ milimetru. Jestto w istocie tak mała cząsteczka, że jeszcze przed kilkudziesięciu laty wiadomość podobna wprawiłaby w zdumienie badaczów. Dzisiaj to już nie wystarcza dla nas. Umysł ludzki posunął analizę swą o wiele daléj. Tutaj zanotować musimy fakt, że oko w odróżnianiu barw daleko przewyższa swą rozpoznawczą władzą rozróżnianie cząstek cial badanych na polu najdoskonalszych mikroskopów.

Wiadomo, że smoła nie jest rozpuszczalną w wodzie, ale łatwo się rozpuszcza w spirytusie. Profesor Brücke rozpuszczał jeden łut smoły w 87 łutach spirytusu, następnie roztwór ten mięszał z wodą. Otóż, za dodaniem wody ciecz pobielała w skutek osadzenia się drobnych cząsteczek smoły. Przepuszczając światło przez ten płyn, zastawiwszy butelkę od tyłu czarnym papierem, otrzymany błękitny kolor t. j. że roztwór takim wydawać się będzie dla oka. Płyn ten badany pod mikroskopem nie różni się od dystylowanéj wody, i nie ujawnia żadnych cząsteczek smoły, które dla oka naszego światło okazuje. Podobny wypadek miał miejsce przy badaniu mléka rozcieńczonego w wodzie przez profes. Huxleya.

To dowodzi, że cząsteczki smoły są mniejsze od długości najmniejszych fal świetlnych eteru. Doświadczenia w tym przedmiocie powtarzał profes. Tyndall na gazie kwasu siarkowego (SO_2). W tém wielce ciekawém dochodzeniu, możemy stopniowo śledzić za powstawaniem i wzrostem cząsteczek siarki. Gaz kwasu siarkowego zawarty w butelce, ustawia się w ciemnym pokoju i przez niego przepuszcza się wiązkę światła. Zrazu nie widzimy, mówi profes. Tyndall, żadnéj zmiany, lecz wkrótce poczyna formować się na drodze światła lekki błękitny dymek w skutek wydzielania się cząstek siarki. W miarę dłuższego działania światła jego zwiększające się fale, coraz bardziéj wydalają siarkę z jéj związku, i przez to kolor błękitny coraz ciemniejszym staje się; w dalszym ciągu zmiany kolorów stopniowo nabierają białego odcienia. Wówczas dopiero cząsteczki stają się dostrzegalne pod drobnowidzem. Zważywszy wszelako że w ciągu 20 minut mikroskop nie daje żadnych dodatnich rezultatów, możemy nabrać przekonania jak minimalne muszą być te cząsteczki na początku, jeśli po upływie tego czasu, nie są jeszcze widzialne pod drobnowidzem. W obec takich niedziałek — jakże olbrzymiémi przedstawiać się nam muszą najmniejsze twory organiczne!

Z tego względu Tyndall nie bez racyi zwraca uwagę biologów, wykazując im jak na błędnéj są drodze — dając w naukach biologicznych ostatnie słowo mikroskopowi. Mikroskop nie jest w stanie wykazać nam ten wielce złożony proces ruchu cząstkowego, jaki w komórkach zarodkowych się odbywa. W tym razie, powiada Tyndall, podobnie jak w obec niezmierzonych przestrzeni planetarnych, tak w obec nieskończonéj małości cząstek doznajemy w umyśle naszym przygnębiającego wrażenia. Tym sposobem możemy dowodnie przekonać się że pomiędzy granicą dla mikroskopu, a wielkościami cząsteczkowémi (moleculaires) rozciąga się obszerna kraina, będąca polem działania niezliczonych zmian cząsteczkowych

i nieskończonych kombinacyi atomistycznych. W tym zakresie, atomy skutkiem swych własności polaryzacyjnych i oznaczonych mutacyj materyi dosięgają pewnego natężenia, czyli skupienia pewnych własności, w moc których przy możebnéj swobodzie działania i wymaganego ku temu otoczenia, mogą grupować się w ciała zarodkowe, a w następstwie jako organizmy istot niższych rozwijać się. Zjawiska przytém zachodzące są natury do tyla złożonéj, że najgłębszy umysł i najśmielsza wyobraźnia cofać się muszą przed wielkością tego zadania! Tak tłómaczy angielski fizyk przyczynę przemiany materyi.

Znany filozof H. Spencer przypisuje zdolność przemiany własnościom ciał azotowych organicznych.

Oddawna znaną jest powszechnie zmienność ciał białkowych, i dla téj ich własności przezwano ich ciałami proteinowémi (przeobrażającemi się). Zdaniem H. Spencera zależy to od pewnego indyferentyzmu związków azotowych w ogólności, na które tlen z łatwością oddziaływać może — sprowadzając nowe bardziéj utlenione związki chemiczne. Atomy związków organicznych w ogólności, a białkanów w szczególności, mają budowę chemiczną wielce złożoną, a skutkiem tego posiadają większą stosunkowo bezwładność i ciężar gatunkowy. Z tego względu nie mogą one obojętnie zachowywać się w obec czynników fizyczno-chemicznych zewnątrz ich działających. Weźmy naprzykład, mówi H. Spencer, jedną z głównych i podstawowych części przyrody organicznéj — białko, bez którego istnieć nie może żaden organ, ani żyć — choćby najdrobniejsza komórka organiczna. Wszędzie bowiem gdzie istnieje życie, objawia się ono zawsze przy współudziale ciał białkowych. Zdarzają się wypadki, gdzie skutkiem wstecznéj przemiany ciała białkowe przeobrażają się w organizmie na tłuszczowe, tam jednocześnie funkcyonowanie organu istnieć przestaje.

Atom białka jest wielce złożony, w skład jego wchodzi:

40 atomów węglika
31 „ wodoru,
5 „ azotu i
12 „ tlenu.

Gdy wszakże nie istnieje białko w organizmie bez siarki i fosforu, a z tymi pierwiastkami białko się łączy stale w pewnéj oznaczonéj mierze, a mianowicie: podług Maldera dziesięć atomów białka łączy się z dwóma atomami siarki i jednym atomem fosforu,—co się wyraża chemiczną formułą $10\ (C_{40}\ H_{31}\ N_5\ O_{12}) + S_2\ Ph$. W rzeczywistości zatém jeden atom bialka złożonym jest z 886 atomów. Słusznie przytém zauważył Herbert Spencer, że tak złożony atom

posiada wysoki ciężar gatunkowy i wielką bezwładność i to mu nadaje zdolność do łatwiejszego przetwarzania się.

Indyferentyzm podobny związków azotowych nietylko w przyrodzie organicznéj ma miejsce, znajdujemy go niemniéj w przyrodzie mineralnéj. Związki ciał azotowych mineralnych z łatwością swój tlen oddają pierwszemu lepszemu przybyszowi, skutkiem wydzielania się azotu. Dla téj przyczyny najsilniejsze środki wybuchowe, należą do związków azotowych — jak np.: proch, nitro-gliceryna, dynamit, wata strzelnicza, jodek azotu, siarek azotu, a przedewszystkiem chlorek azotu.

Wszystkie ciałą fermentacyjne w przyrodzie organicznéj należą również do związków azotowych, jak niemniéj zdolność łatwego przeobrażania się ciał białkowych pochodzi z tego źródła.

Zważywszy na tę własność ciał azotowych, mocą któréj ciała te, nietylko same z łatwością ulegają utlenieniu, lecz nadto powodują fermentacyą (czyli wywołują ruch cząsteczkowy) w ciałach mączkowych i cukrowych—będących z niémi w zetknięciu się; zważywszy na to, pojmiemy całą ważność tych ciał w przyrodzie organicznéj.

Wszelako ani subtelne tłómaczenie Tyndalla, oparte na własności atomistycznéj, ani zbyt jednostronne objaśnienia Spencera polegające na zmienności ciał białkowych, nie tłómaczą wcale istoty życia tak różnorodnie objawiającego się w przyrodzie.

Nie mogąc w inny sposób pojąć tego zjawiska, nauka w tym razie musi uznać ożywiającego materyą ducha jako owe główne *principium* (zasadę) wszechżycia w naturze. Jestto punkt zetknięcia się nauki z religią. Tym sposobem dadzą się pogodzić wymogi serca i rozumu, czyli uczucia i wiedzy. Już gdzie indziéj wypowiedzieliśmy to nasze przekonanie — że wiedza musi być jako słońce nietylko *światłem* ale i *ciepłem* zarazem.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużéj nad kwestyą przemiany materyi — najpierw dla tego że to ułatwi nam dalsze wyjaśnienie kwestyi długowieczności; a powtóre, że obecnie nauka nie znając istoty samego życia, rozważać je musi tylko z objawów żywotnych będących następstwem przemiany materyi. W ten sposób pojmował życie nasz Jędrzej Śniadecki, który w owéj epoce zostawał przez długi czas *unikatem* nietylko u nas, ale nawet pomiędzy fizyologami zagranicą — zostającymi pod wpływem kierunku naukowego (witalistycznego) Bichâta i Barthosa.

Atoli przyznać należy, że stokroć więcéj moglibyśmy dzisiaj być dumni ze swego rodaka, gdyby poprzedzający go Lavoisier (nieśmiertelny twórca teoryi palenia i burzyciel alchemii i flogisto-

nu), nie był kategorycznie wygłosił zasady te w pismach swych. Lavoisiera przeto, jako twórcę teoryi przemiany materyi uważać należy. Nie tylko bowiem wskazał nam proces téj przemiany, lecz i główne jéj źródło w głębokiém swém orzeczeniu—że „*miłosierny Bóg dając nam światło, dał zarazem ziemi życie, czucie i myśl.*“

Nie będziemy tu wcale zatrzymywali się nad licznémi zboczeniami przemiany materyi w organizmie ludzkim, zboczeniami—będącémi częstokroć najbliższą przyczyną wielu przewlekłych stanów chorobnych; dzisiejsza medycyna wyzwolona od stronniczych dawnych kierunków, hołdujących rzekomo naukowym teoryom, — dostatecznie to ocenia. W tym razie wyłącznie zajmować nas będzie fizyologiczna przemiana materyi w stanie zdrowia, normalna długość życia ludziego i jego możebne fluktuacye.

Ktoby sądził, że znajdzie w artykule niniejszym przepisy szczegółowe do zachowania i przedłużenia życia — wielce by się omylił.

Od czasu upadku magii, astrologii, alchemii, medycyna nie poszukuje wcale na wzór Hoffmanna — żadnych eliksyrów życia lub filozoficznych kamieni; żadnéj oddzielnéj żywotnéj materyi Husztera (Materia vitae diffusa); żadnéj szczególnéj żywotnéj siły Bichâta (vis vitalis), albo jakiegoś oddzielnego pierwiastku organicznego Buffona. Dzięki postępowi fizyki i chemii, a zwłaszcza kierunkowi doświadczalnemu nauk przyrodniczych,— medycyna otrząsła się z grubéj pokrywającéj ją pleśni wieków. Rozmaite środki uniwersalne, tak niedawno jeszcze okrywające sławą i bogactwem swych wynalzców, straciły dziś wszelkie uznanie u wykształconéj publiczności.

Nikt dzisiaj nie poszukuje jakiegoś *panaceum* na wszystkie dolęgliwości ludzkie, przekonano się bowiem dowodnie iż *przedewszystkiém należy leczyć chorego, a nie chorobę*,

W naturze wszystko musi odbywać się stopniowo, w nieulegającym przerwie związku przyczyn i skutków między sobą; zaburzenia stopniowo gromadzą się, stopniowo też wyrównywać się muszą. W przyrodzie niema przeskoków. (Natura non facit saltum), — to prawo fizyczne tak dobrze stosuje się do przyrody organiczéj, jak i mineralnéj. We wszystkich bowiem wypadkach gdzie organizm podlega na raz gwałtownym przejściom bądź fizycznym, bądź psychicznym,—tam równowaga organiczna zachwianą zostaje a częstokroć i nić życia samego przerwaną bywa. Czy ludzkość kiedykolwiek może się uwolnić od wpływów podobnych? Czy w swém dążeniu do idealnego zdrowia może dójść— upragnionego celu? niepotrzebujemy mówić. Żadne *palladium* do zapewnienia

absolutnego szczęścia nie istnieje, stosuje się to zarówno tak *do organizacyi społecznéj narodów, jak i fizycznéj.* Pomijając tu cele idealne, które dziś coraz mniéj zwolenników liczą, a przechodząc do celów konkretnych czyli dosięgalnych w obecnym stanie wiedzy—sądzimy że głównym zadaniem naszém być winno: zachowanie *możliwego zdrowia* i *możliwego przedłużenia życia.* Aby sobie jaśniéj tę kwęstyą przedstawić, postaramy się w dalszym ciągu poznać *przyrodzone warunki długowieczności człowieka.* Nie mamy zamiaru tutaj podawania nowych, lub powtarzania dawno znanych przepisów hygieny; niewątpimy bowiem iż każdy, cokolwiek obeznany z naukami biologicznémi, dostatecznie przeświadczonym jest — że zachowanie zdrowia przy tych tylko warunkach miejsce mieć może.

Jakie są fizyologiczne warunki starości i śmierci? Pytanie to nader ważne nie może mieć stanowczéj odpowiedzi. Powiedzieliśmy wyżéj, że życie — to władza zbiorowa: odżywiania, ruchu, czucia i inteligencyi. Cechą téj zbiorowéj władzy jest ewolucya organiczna—to jest wzrost, reprodukcya i śmierć. W téj powolnéj ewolucyi nie można ściśle oznaczyć kiedy się kończy okres dojrzałości, młodości i starość się poczyna.

Kiedy podziwiamy w 80 letnim Thiersie niezwykłą energią, przytomność, żywość i giętkość umysłu,—co jakby orlim wzrokiem ogarnia szerokie pole — nauk społecznych, polityki i rządu; natomiast z pewném ubolewaniem czytamy o tak wczesnéj degradacyi umysłowéj jednego z największych geniuszów Izaaka Newtona. W saméj rzeczy twórca Mechaniki Niebieskiéj smutnie wyglądał tłómacząc znaczenie apokalipsy!

Przykładów podobnych nie będziemy mnożyć; nie rzadko się zdarza widzieć dzieci mające wygląd i umysł starczy, i odwrotnie starców z młodym i giętkim umysłem. Zachować ten drogocenny dar niebios do późnéj starości — jest w części w naszéj mocy, abyśmy tylko chcieli słuchać doświadczenia wieków i rad hygieny. Nie jest to wcale rzeczą małéj wagi stworzyć dla siebie świat myśli, — wiecznie młodéj, wciąż odradzającéj się nowémi barwami z krainy dobra, piękna i prawdy zapożyczanémi. W zdroju tym organizm czerpie natchnienie ideałów i siłę dalszego żywota. Jestto wyłączność jedynie ludzka. Gdy bowiem wszystko w naturze starzeje, więdnie i usycha; człowiek jeden w świecie myśli zostaje zawsze młodym! Nie o długość marnego i gnuśnego życia — raczéj o ten skarb wiecznéj młodości — starać się winniśmy! Nie wszyscy bowiem są wybrańcami losu, u znacznéj większości umysł na podobieństwo ciała—starzeje, rzutkość i giętkość myśli słabnie,

stopniowo pewne idee, że tak powiemy, krystalizują się i unieruchomiają się; zmysły powoli tępieją, jeden organ za drugim zamiéra, tak że w końcu sama śmierć przychodzi jako jeden z końcowych stopni téj smutnéj degradacyi organizmu i indywidualności.

O ile niepodobna ściśle oznaczyć czasu trwania każdego oddzielnego okresu w całkowitym rozwoju człowieka, o tyle niepodobna ściśle oznaczyć ostateczuego kresu życia ludzkiego. Jakkolwiek podania historyczne różnych narodów obliczają życie niektórych ludzi na kilkaset lat, wszelako nauka dotąd nie posiada *żadnego stwierdzonego faktu aby życie człowieka do 200 lat dochodziło.* Wprawdzie znany filozof Roger Bacon opowiada że w 1245 ukazał się pewien dzierżawca, który pomimo widocznego zdrowia, obliczał swoje lata na wiele wieków. Roger Bacon jako alchemik i astrolog, mógł w części dać temu wiarę, dla nas świadectwo jego nie posiada naukowéj wartości. W owych czasach kiedy nie było dokładnego spisywania metryk, nadto przy ogólnéj łatwowierności, moglo się ukazywać wielu kuglarzy, chcących na siebie zwrócić uwagę ogółu; nawet tacy uczeni jak Pliniusz i Walery Maxymus, ulegając powszechnéj łatwowierności, stwierdzają, że król pewnéj wyspy (Loemicus) współczesny J. Cezara umarł w 802 roku swego życia. Podług innego historyka Antoniego Fiune pewien wołoszyn w wieku 300 lat był przedstawionym naczelnemu wodzowi armii tureckiéj Solimanowi paszy w roku 1580. Pewien kronikarz Plempius opowiada o bogatym Indyaninie, który żył przeszło 340 lat i po trzykroć się odmładzał. W 1613 wydano w Turynie biografią pewnego mieszkańca z Goa, cieszącego się zdrowiem pomimo 380 lat życia.

Z pewném podziwieniem spotykamy w dziele Dra Foissae wzmiankę o świeżéj śmierci litewskiego wieśniaka, urodzonego w roku 1646 a tém samém mającego przeszło 200 lat wieku. Moglibyśmy przytoczyć wiele podobnych przykładów, nie mających za sobą faktycznéj pewności.

U narodów wschodnich, gdzie wyobraźnia o wiele jest żywszą, znaleźlibyśmy opisy długowieczności obliczanéj na wiele tysięcy lat. Do rzędu tych faktów zaliczyć musielibyśmy fakta o długowieczności pierwszych ludzi i patryarchów w historyi żydowskiéj. Buffon, którego twórczy umysł niezbyt się obliczał z trudnościami, usiłował naukowo długowieczność pierwszych ludzi wytłumaczyć. Zdaniem jego ziemia wówczas była mniéj skonsolidowaną solide), mniéj zwartą, w skutek tego środek ciężkości mniéj oddziaływał na każdą z jéj cząsteczek, a ztąd wszystkie twory miały mniejszą spójność, zwłaszcza stosowało się to do ciała ludzkiego

bardziéj do innych podobnego: tym sposobem wzrost ludzki przedłużał się do tego stopnia, że dosięgał dojrzałości w 130 leciech zamiast 14. A ponieważ dzisiaj wiek ludzki równa się 7 okresom młodzieńca (14): tym sposobem otrzymamy cyfrę 910 lat. jako normalny kres życia ludzi przedpotowych. Nie możemy się dziwić, że uczony naturalista dał się uwieść swéj bogatéj fantazyi, w epoce ślepéj wiary pozbawionéj wszelkiego krytycznego sądu, jeśli w tym samym czasie Akademia Umiejętności zajmowała się studyami Mikołaja Henriona nad skalą chronologiczną wymiarów ludzkich. Henrion utrzymywał, że Adam miał 132 stóp i 9 cali wysokości, piękna jego połowica Ewa tylko 118 stóp, 9 cali i 9 linii. Skutkiem stopniowego upadku, ludzie zmaleli do tego stopnia, że Noe nie przechodził 112 stóp, Abraham dosięgał zaledwie 28 stóp, Aleksander Macedoński 6-ciu, wreszcie Juliusz Cezar 5-ciu. Moglibyśmy pominąć milczeniem podobne brednie, którymby dzisiaj nikt nie uwierzył; jednakże gdy powszechne panuje przekonanie o olbrzymach dawnéj epoki, uważamy za stosowne powiedzieć słów kilka o prawach wzrostu w ogólności u istot organicznych.

W miarę wzrostu, siły ochrończe stopniowo się zmniejszają, zanim nie nastąpi ich wzajemna równowaga. Wprawdzie równowagi téj niema u roślin, które mało zużywając materyałów odżywczych, a natomiast wiele oszczędzając, mogą się rozwijać do śmierci, dochodząc znacznych rozmiarów. Inaczéj się dzieje u zwierząt. Bezwładność i ciężar, mówi Spencer, wzratają w stosunku sześcianów do objętości ciała, a spójność zachowuje się proporcyonalnie do kwadratów téjże objętości.. Czyli innémi słowy: w ciałach jednostajnych kształtów *masy ich mają się do objętości jako sześciany, a siły jako kwadraty tejże objętości.* Wyobraźmy sobie, iż zwierzę, które przed rokiem miało jedną stopę wysokości, urosło obecnie do dwóch stóp. W skutku tego ciężar ciała jego powiększył się osiemkroć — co znaczy, iż zwierzę to musi ośm razy więcéj zużywać siły przy wszelkich ruchach, aby zrównoważyć w téj ilości zwiększoną bezwładność (inercyą), siły zaś zwiększyły się tylko czterykroć. *W ciałach podobnych powierzchnie mają się do siebie w stosunku kwadratów z objętości ciała, a masy w stosunku sześcianów z tejże objętości.* Z tego wynika, że powierzchnie do odżywienia organizmu służące zwiększyły się czérykroć, a tymczasem ciężar całéj masy, którą pokarm przyjęty w ruch wprawić musi, zwiększył się ośmkroć. Jeśli zatém przed rokiem powierzchnia chłonąca soki odżywcze, przyjmowała dwa razy więcéj pokarmu niźli dla zrównania wydatków potrzeba było; w takim razie połowa téj ilości pokarmu zostawała w organizmie

jako naddatek, powodując wzrost indywidualny; po upływie roku stosunki te o tyle się zmieniły, że ta ilość zaledwie wystarcza na zrównoważenie sił przez organizm wydatkowanych. W tym wypadku całkowita ilość siły zużywa się na utrzymanie zwykłych funkcyi organizmu i nie pozostawia nic dla wzrostu. Wówczas organizm znajduje się w stanie równowagi i wzrost jego stale zachowuje się w jednéj mierze. Jestto stan równowagi organicznéj.

Po tém wszystkiém cośmy powiedzieli, jest rzeczą niewątpliwą, że istnieje pewna zależność wzrostu ludzkiego od rozwoju sił żywotnych, wprawiających w ruch całą maszynę indywidualną. Wzrost ten nie może prześcignąć pewnych granic, jakie mu siły nerwów i mięśni zakreślają. I jeśli dawniéj rozwój indywidualny geomytrycznie się odbywał, nie wynika ztąd, abymógł olbrzymich rozmiarów dosięgać, na podobieństwo tych, jakie pan Henrion podaje.

Pomijając te rzekome fakta, jako nie mające żadnéj wartości naukowéj, musimy zatrzymać się nad tymi tylko, które powagą historyczną są stwierdzone. Do liczby tych należy żywot arcybiskupa węgierskiego Spodisvoele żyjącego 185 lat, również kanonika z Lucerny zmarłego w 1346 roku, w 186 roku życia. Ludzi żyjących 150, 160, spotykamy niejednokrotnie w historyi nowszych czasów. Powszechnie znanym jest fakt, opisany przez Dra Harveya długowieczności szkockiego wieśniaka Tomasza Parre, zmarłego na dworze Karola I w 152 roku życia.

Wszelako wypadki takiéj długowieczności tak wypadkowo się zdarzają, że żadną miarą nie możemy uważać tego za stan normalny, Statystyka dzisiejsza wykazuje, jak stosunkowo mały procent dosięga stu lat życia. We Francyi podług tabeli Duvillarda, na 1,000,000 nowonarodzonych zaledwie jeden dochodzi 109 lat!

Czém się to dzieje, że organizm człowieka, ten najdoskonalszy wytwór natury, nie może iść w porównanie z długowiecznością innych istot organicznych? Czy w istocie brak mu do tego warunków organicznych, czy też pochodzi to z naszéj winy, stosownie do pewnéj maxymy—że człowiek nie umiéra, lecz się zabija?

Zanim rozpoznamy warunki długowieczności, musimy zbadać najpierwéj przyczyny krótkowieczności ludzkiéj. Organizm ludzki, na podobieństwo innych istot organicznych powstaje z komórki zarodkowéj; jestto pęcherzyk, którego treść płynna nie przedstawia dla oka nieuzbrojonego żadnych szczególnych różnic. Pod wpływem siły organizacyjnéj i środka otaczającego, odbywa się w nim szybko proces przemiany materyi, w skutek czego zarysy przyszłéj budowy odznaczają się. Jednocześnie z formą zmienia się stosunko-

wo skład czynników chemicznych. W życiu płodowém organizm niemowlęcia zawiéra 87 % wody, 11 % części stałych organicznych i 2 % mineralnych; w wieku dojrzałości tenże orgznizm składa się od 68—71 % wody, części organiczne od 24—28 %, a mineralne od 3—5 %. Widzimy z tego, że główuy przyrost w składnikach organicznych ma miejsce, a to w stosunku podwójnym względnie do organizmu niemowlęcia.

Przewadze téj części organicznych w wieku dojrzałości, oraz w nieznaczném stosunkowo zwiększeniu się mineralnych w starości, niepodobna upatrywać przyczyny śmierci. Materya, z któréj się składa nasz organizm, pochodzi w całości z przyrody mineralnéj i jako taka jest niezniszczalną; ani się psuć, ani starzéc nie może. Wiecznie młoda, wciąż jednostajnie czynna, mogłaby bez przerwy życie ludzkie utzymywać, gdyby to życie wyłącznie od związków chemicznych zależało. Tak wszakże nie jest. Przemiana materyi, będąca wynikiem procesów chemiczno-fizycznych, zależy od funkcyi różnych przyrządów organizmu; a sama funkcya, od budowy morfologicznéj danego organu.

W téj to budowie, jak w każdéj innéj fizycznéj budowie, zachodzą ważne zmiany, bądź w utkaniu samego organu, bądź w innych będących z nim w związku organicznym. Nie w pierwiastkach zatém chemicznych, lecz w pierwiastkach morfologicznych czyli w utkańiu przyrządu, przyczyny starości i śmierci szukać należy.

Z tego względu zastanowić się nam wypada, jakie mianowicie przyrządy organizmu ludzkiego, uwydatniają warunki wrodzonéj krótkowieczności.

Organizm do swego funkcyonowania potrzebuje nieustannie zużywać materyą; owoż aby zachować w zupełności równowagę pomiędzy wpływami a ubytkiem, zmuszony jest nieustannie ubytek ten wyrównywać, za pomocą pokarmów i napojów w naszém pożywieniu domowém przyjmowanych. Od tych zatém przyrządów przegląd nasz zacząć musimy.

Przyczyna wczesnéj smierci, nie leży zapewne w słabéj budowie zębów, które z wiekiem mechanicznie ścierać się muszą, jak tego oczywiste dowody mamy u zwierząt roślinożerczych: ostateczność podobna nie stosuje się jednak do człowieka. Od czasu bowiem jak z postępem przeddziejowéj cywilizacyi, człowiek zawładnął ogniem, mógłby niewątpliwie zęby do późnéj starości zachować, gdyby należycie wypełniał przepisy hygieny i zachował umiarkowanie w pokarmach i napojach.

Cierpienie skrofuliczne w wieku młodocianym, tak wielce rozpowszechnione zwłaszcza w kraju naszym, gdzie zaniedbanie warunków higienicznych dochodzi do najwyższego stopnia — znakomicie się przyczynia do ich wczesnéj utraty. Nie rzadko się zdarza widzieć u nas dzieci, u których całe ozębienie jest w stanie zniszczenia. Zależy to przeważnie, podobnież jak i same skrofuły od niewłaściwego odżywiania. Przewaga kwasów w płynach organizmu (w soku żołądkowym, we krwi i w ślinie) powstających w skutek nadużycia w wieku dziecinnym mięsnych pokarmów, przyczynia się do licznych zboczeń w przemianie materyi, do choroby tak dziąseł jak i zębów. Wszelako w obecnym stanie sztuki lekarskiéj mniéj już możemy troszczyć się o to, w sztucznych bowiem zębach posiadamy środek zastąpienia naturalnych, niemniéj możemy i całkiem bez nich obejść się, posługując się mlékiem roślinnymi pokarmami i stosownie przyrządzoném mięsem. Zęby mają ścisły związek z przyrządem trawienia, i dla tego z kolei o nim mówić będziemy.

Organa trawienia w rozwoju indywidualnym odegrywają niezmiernie ważną rolę; nadwerężenie ich funkcyi upośledza rychło organizm i zawsze sprowadza groźne następstwa, a jeśli niekiedy w tym stanie ciężki żywot utrzymuje się, to w żadnym razie stan podobny nie zapowiada długowieczności.

Czy zachowanie fizyologicznych funkcyi organów trawienia, jest możliwe po nad zakres dzisiejszéj długowieczności? na to pytanie tylko twierdząco odpowiedzieć możemy. Dowodnie nas o tém przekonywa długowieczność innych tworów o krwi ciepłéj. Własność ta zależy właściwie od peryodyczności funkcyi trawienia. W stanie zdrowia, dzięki obecnéj sztuce kulinarnéj, nie potrzebujemy tak często przyjmować pokarmów, jak to miało miejsce dawniéj, gdy mniéj znaną była odżywcza wartość pokarmów. Możemy dzisiaj w małych ilościach i w długich przestankach, dostateczny do żywienia pokarm przyjmować. Tym sposobem przyrząd trawienia doznaje wypoczynku, nietylko w nocy. ale dniem, w odstępach pomiędzy jedném pożywieniem a drugiém. Nadto organa te na podobieństwo skóry wciąż odnawiają swój nabłonek i przez to świeżość ich utrzymywać się może. Jeżeli zatém śmierć przez te wrota do nas przychodzi, własnéj to częstokroć winie przypisać należy. Nadużycie pokarmów i napojów, tak pod względem *ilości* jak i *jakości*, rozwiązuje zagadnienie: dla czego większa część ludzi wiekowych na tę słabość ginie.

Rozważając z ogólnego stanowiska biologicznego przyrząd trawienia, względnie do długowieczności danego osobnika, musimy

przyjąć jako zasądę, że długowieczność każdéj istoty zależy od *szerokości funkcyi trawienia* i od *prostoty samej budowy tego przyrządu.*

Wielce skombinowany przyrząd trawienia zwierząt przeżuwających, tłómaczy nam poniekąd ich krótkowieczność, pomimo nieraz troskliwéj opieki ludzkiéj około pielęgnowania pewnych gatunków tych zwierząt. Pod szerokością[1] funkcyi trawienia pojmujemy różnorodność przyjmowanych pokarmów przez danego osobnika. Pod tym względem pierwsze miejsce należy się człowiekowi, który dziś jedynie jest wszechżernym pomiędzy zwierzętami.

Mówiąc o przemianie materyi wykazaliśmy ilość zużytego na dobę (w organizmie człowieka) azotu i węglika; już to sąmo przekonać nas winno, że pożywienie ludzkie nie może być wyłącznie ani roślinném, ani mięsném, lecz tylko mięszaném. W pierwszym bowiem razie, chcąc zastąpić mięso kartoflami, musielibyśmy użyć 4,000 gramów kartofli, aby dostarczyć organizmowi wymaganą ilość azotu (20 gramów azotu czyli 130 gram. substancyi azotowych obojętnych), ale w téj olbrzymiéj ilości kartofli przyjęliśmy 130 gramów węglika więcéj nad potrzebę, a przytém trzykrotną ilość części stałych, które w skutkach swych wielce szkodliwémi dla przyrządu trawienia niebawem okazaćby się mogły.

Również niewłaściwém jest wyłącznie mięsne pożywienie. Chcąc na téj drodze przyjąć wymaganą ilość azotu, musielibyśmy użyć 619 gramów mięsa, a i w téj ilości zabrakłoby nam jeszcze 216 gramów węglika, a tém samém pożywienie tego rodzaju byłoby niedostateczném, i dla utrzymania jednostajnéj temperatury ciała organizm niszczyłby własne swe tkanki.

Chcąc zastąpić wymaganą ilość azotu chlebem wyłącznie, musielibyśmy spożyć 1857 gramów bułek pszennych, a w téj ilości zawiera się o 220 gramów więcéj węglika nad potrzebę, i tym sposobem obciążylibyśmy wielce przyrząd trawienia.

Do podobnych wniosków dochodzimy, rozważając przyrząd trawienia pod względem anatomo-fizyologicznym. W tym razie budowa tak zębów, jak i innych części do przyrządu tego należących, przemawia na korzyść pożywienia mięszanego.

Jakkolwiek szrankowe ozębienie nasze najbardziéj się zbliża do wyższych gatunków małp, zachodzą wszakże różnice dość znaczące w ich budowie—co nas upoważnia do wnioskowania: że pożywienie owocowe *przestało już być użyteczném* dla człowieka. Kły nasze nie są zdatne do rozłupywania twardych skorup owocowych, a zęby trzonowe opatrzone gładszémi nieco brodawkami, aniżeli u małp, nadają się również dobrze do innego pożywienia. Zęby

trzonowe człowieka bardziéj się wyróżniają od podobnych im u zwierząt mięsożernych i owadożernych, najeżonych ostrémi brodawkami, albo od zębów o powierzehni równéj, brózdowanéj, zwierząt roślinożernych.

Jeszcze wyraźniejsze różnice spotykamy w organach trawienia wyżéj wzmiankowanych grup istot ssących. Dane w tym razie są wysokiego znaczenia i stanowczo przemawiają na korzyść *mieszanego* pożywienia z dodatkami owoców.

Pomijając różnice budowy anatomicznéj tych organów, zwrócimy uwagę wyłącznie—względem różnic w pojemności tych narzędzi zachodzących. Różnice te w istocie są olbrzymie. Wówczas gdy lew, przy niewielkim stosunkowo żołądku, posiada kiszki zaledwie trzykrotną długość ciała jego wynoszące; przewód kiszkowy barana 28 razy przewyższa długość jego ciała, bawołu 32, a naszego zwyczajnego wołu 48 razy. Pomiędzy témi krańcowémi istotami: z jednéj strony wyłącznie mięsożernym lwem, a z drugiéj wyłącznie roślinożernym wołem, umieścić należy człowieka, którego przewód pokarmowy od 7 do 8 razy przenosi wysokość ciała. W tym samym stosunku zachowuje się przewód pokarmowy u wyższych gatunków małp. U małp Nowego świata kiszka ślepa bardziéj się rozrasta, wcale zaś jéj nie znajdujemy u lwa. Cyfry porównawcze wymiarów przewodu pokarmowego, są wysokiego znaczenia. Już à priori wnioskować możemy, że lew nie napróżno królem zwierząt uznany. Tytuł ten należy się mu ze względu siły fizycznéj oraz zręczności niepospolitéj. Mając tak krótki i lekki przewód pokarmowy, zużywa on nań stosunkowo bardzo nie wiele energii nerwowéj, która się skupia przeważnie w mięśniach i śródkach nerwowych. *Kiszki jego dla swéj lekkości podlegają o wiele silniejszemu ruchowi robaczkowemu* (motus peristalticus); dla swéj zaś *małéj pojemności* muszą zawierać *pokarm wysoce odżywczy i dobrze przysposobiony*. Taki pokarm łatwo assymilujący się — daje nasze wyłącznie mięso. Być może uczynią nam zarzut: że wół i koń tak dobrze może jeść kotlety, jak lew, kaszę i jarzyny tuszone? nie możemy zgodzić się na podobne twierdzenie. Jakkolwiek niezaprzeczenie, tak jeden jak drugi (lew i wół), spożywają w pożywieniu swém, jedne i te same pierwiastki ze świata organicznego poczerpnięte; wszelako każdy oddzielny produkt żywności wymaga odrębnéj pracy fizyologicznéj, do rozszczepienia na składające go pierwiastki. Chemia może wskazywać tylko wymaganą przez dany organizm ilość azotu, węglika, wodoru, tlenu, sodu, fosforu, siarki, wapna, żelaza i t. p., fizyologia zaś polegając na instynkcie zwierzęcym i metodzie doświadczalnéj, określa formę, pod jaką pokarm

ma być przyjęty. Rozpatrzmy co się stanie z wołem i lwem przy odwrotném pożywieniu. Wół mający *długi i ciężki* przewód pokarmowy, a ztąd *wielce powolny ruch robaczkowy kiszek*, dostawszy mięso w pożywieniu, niełatwo mógłby się pozbyć niestrawionych resztek jego, w licznych skrętach swych kiszek. Owóż prostém następstwem tego byłby rozkład pozostałycb części mięsa w przewodzie pokarmowym, powstałyby tą drogą trujące gazy w kiszkach, *a przy ich powolnym ruchu*, owe produkta chemicznego rozkładu *z wielką łatwością wsiąkałyby do gruczołów i naczyń przewodu pokarmowego i tą drogą zatruwałyby soki organizmu*, powodując malaryą tyfusową. Innémi słowy: sprowadzilibyśmy w organizmie tę samą *malaryą, jaka powstaje przy gniciu ciał zwierzęcych na powierzchni ziemi.* Gdy przeciwnie, *ten sam wół* spożywając rośliny, których białko i sernik nie tak łatwo ulegają rozkładowi, *ma czas* (w ciągu powolnego pożycia pokarmów) *wydobyć z nich potrzebne dlań pierwiastki.* W zupełnie odwrotnym stosunku znalazłby się lew karmiony roślinami. *Pokarmy roślinne przechodząc szybko*, w jego krótkim i nader ruchliwym przewodzie pokarmowym, *nie dałyby organizmowi czasu do spożytkowania potrzebnych mu pierwiastków.* Prostém następstwem takiego żywienia byłaby śmierć głodowa.

Dane te są wielce pouczające. Widzimy naprzód, że istoty mięsem żywiące się *muszą mieć krótki i wielce ruchliwy* przewód pokarmowy, aby co najprędzéj mogły wydalać trujące resztki tych pokarmów; gdy przeciwnie żyjące roślinami, *potrzebują je jak najdłużéj w organizmie zatrzymać*, aby wydobyć z nich potrzebne dla organizmu; produkta, jak: krochmal, białko, sernik, tłuszcz, cukier i sole. Zasady téj oddawna medycyna empiryczna się trzyma. W pewnych stanach, z podwojonym ruchem robaczkowym kiszek, podaje skutecznie mięsne pożywienie; w innych razach (z osłabionym ruchem), trzyma się wyłącznie roślin, owoców i mleka. Częstokroć chorzy sami instynktowo ten rodzaj pożywienia obierają.

Małpy i ludzie mający najzupełniéj podobną budowę przyrządu trawienia, zajmują pośrednie między niemi miejsce i z przyrodzenia są owocożerne (frugivorae). Jest to jak słusznie profesor Flourens utrzymuje, pierwotny i przyrodzony régime człówieka (régime primitif, instinctif). Z biegiem wszakże postępu, zwłaszcza po wynalezieniu i zachowaniu ognia, człowiek coraz większe przestrzenie geograficzne zajmował, a posuwając się w okolice nie mające owoców, zmuszonym był przy pomocy ognia szukać dla siebie innego wyżywienia i tym sposobem stał się dziś *wszechżernym* (omnivore). W każdym razie na podstawie budowy przewodu po-

karmowego człowieka (mającego kiszkę ślepą, wyrostek robaczkowy, oraz długość od 7 do 8 razy wysokość ciała przechodzącą), mamy najzupełniejsze prawo do wnioskowania, iż to jest *nabyty* czyli *sztuczny* (régime artificiel) *rodzaj żywienia się.*

Jest jeden fakt w naturze organicznéj, który dotąd nie został należycie przez fizyologią porównawczą oceniony. Powszechnie wiadomo, że wszyscy ludzie na kuli ziemskiéj używają w swém pożywieniu soli kuchennéj; również znanym jest ogólnie fakt, że zwierzęta bez tego dodatku najzupełniéj się obywają. Jeśli niektórym zwierzętom domowym, dodają w porze zimowéj soli do ich pożywienia, zależy to niewątpliwie od warunków ich bytu i celów, jakie przez to osiągnąć właściciele ich zamierzają. Powszechne zatém *używanie soli w rodzaju ludzkim stanowi jeden z ważnych dowodów sztucznego żywienia się.* Użycie to datuje się zapewne od czasu, jak do pożywienia naszego weszło używanie surowych ryb, raków i wszelkiego rodzaju mięsnych artykułów. Obecnie nawet, przy tak zupelném oswojeniu się z tym artykułem, do wszelkiego rodzaju jarzyn, mléka i owoców—soli całkiem nie używamy: w tym razie raczéj cukier niż sól nam smakuje. Bądź co bądź w dzisiejszém naszém pożywieniu obejść się bez soli nie możemy. Nieodwołalnie dodatek ten wymaganym jest już to dla smaku, dla łatwiejszego asymilowania białka i sernika, już dla regulowania procesów dyetetycznych, podniecania czynności przewodu pokarmowego, a przedewszystkiém *przyspieszenia swéj własnéj materyi.* Zasadę tę stanowczo dziś stwierdzono. Fizyolog Voit licznémi doświadczeniami na psach, sprawdził: że przy użyciu pokarmów mięsnych bez soli, pies oddawał na dobę mocznika 107,4 gramów; przy dodatku 5-u gramów soli 109,5; przy 10-u gramach soIi 110,9; przy 20-tu gramach soli 112,8 gramów mocznika wydzielał.

Po tém wszystkiém cośmy powiedzieli, zdaje się nam, iż dostatecznie usprawiedliwiliśmy, że *pierwotnie żywienie się ludzi* bylo odmienne od dzisiejszego, Nie chcemy przecież twierdzić, aby dzisiejszy sztuczny rodzaj żywienia się był mniéj korzystnym rodzajowi ludzkiemu, w ogólném znaczeniu tego wyrazu. Przeciwnie, rozszerzając zakres naszych artykułów żywności, ułatwiliśmy przez to rozpowszechnienie jeograficzne ludzi i staliśmy się tym sposobem rzeczywistymi panami ziemi. Inaczéj i być nie mogło; narody wszakże posuwając się w wędrówkach swych ku strefom północnym i umiarkowanym, stosownie do warunków otaczających bytu musiały zmieniać swą hygienę; tém bardziéj, że rozszerzona działalność wymagała silnlejszego pożywienia. Wreszcie w owym czasie człowiek zadawalniać się musiał tém, co na

miejscu znajdował. W ten sposób człowiek zmieniając przyrodzone warunki bytu stref podzwrotnikowych, zmuszonym był zmienić i rodzaj swego żywienia się. Z ciasnego zatém koła, tak geograficznego, jak i fizyologicznego (żywienia się owocami), stał się dziś wszędybytnym, wszechżernym. Korzyści ztąd wynikające dla *gatunku człowieka* są niewątpliwie znaczne. Glód mniéj dzisiaj ród ludzki zastrasza — w braku owoców i jarzyn, zostaje mu jeszcze mięso, ryby, chleb i mleko, i odwrotnie.

Ramy pisma nie pozwalają nam wchodzić w szczegółowy rozbiór żywienia się oddzielnych narodów, z tego względu musimy pominąć ważną kwestyą hygieny narodów, która w ogólności wiele jeszcze zostawia do życzenia. Jakkolwiek bądź, jedne narody mają więcéj dostateczne, inne mniéj dostateczne pożywienie. U jednych panuje przewaga tłuszczów, u innych krochmalnych, mięsnych lub owocowych produktów; wszelako dzisiaj—względnie do długowieczności, nie zachodzi pomiędzy różnymi narodami zbyt widoczna różnica. Nie ulega wszakże wątpliwości, że co do energii mięśniowéj i umysłowéj, różnice te są widoczne. Czy sztuczny dziś rodzaj żywienia się ludzi wpłynął ujemnie lub dodatnio na długowieczność człowieka? Pytanie to nie może być dziś stanowczo rozwiązaném. Naukowe dane przemawiają raczéj na niekorzyść długowieczności indywidualnéj. W obecnéj chwili na 1,200,000,000 ludzi, nie mamy ani jednego wypadku ściśle sprawdzonego, gdzieby wiek człowieka 150 lat dochodził. I w istocie, fizyologia i chemia stwierdzają, iż żyjemy życiem przyśpieszoném, a mianowicie: przy mięsném pożywieniu w ciągu 24 godzin wydziela się

mocznika	51—92	gramów
przy mieszaném	36—38	„
roślinném	24—28	„
owocowém (względnie do rodz. owoc.)	20—24	„
bezazotowém	16	„

Doświadczenia Bischoffa i Voita na psach czynione, przekonały, że jeden i ten sam pies przy spożyciu

	1800	gram.	mięsa,	wydz.	125	gram. moczn.
przy	900	„	„	„	67	„ „
„	176	„	„	„	26,5	„ „

Wypadki powyższych doświadczeń w zupełnéj z sobą zgodzie pozostają. Widoczném jest, że ilekroć zwiększa się przyjmowanie pokarmów azotowych, tylekroć zwiększać się musi ilość wydzielanego mocznika. Ciała bowiem azotowe w ostatecznéj przemianie, w naczyniach włosowatych i gruczołach naszego organizmu, zmieniają się na prostsze i pod postacią wody, kwasu węglowego

i azotu, wydzielają się na zewnątrz; wszelako całkowita przemiana rzadko się odbywa, najczęściéj zachodzi przemiana białkanów (albuminoides) nie zupełna, i resztki tych ciał w formie mocznika, kwasu moczowego, kościomoczowego, kreatyny etc. odchodzą z organizmu.

W stanach gorączkowych, podług obserwacyi Vogela, jako maximum wydziela się na dobę mocznika 78 gramów, w zapaleniu płuc podług Parkesa 85,5 gramów dochodzi. Jest zatém w ostatecznych rezultatach pewne zbliżenie pomiędzy gorączkowym stanem a wyłącznie mięsném pożywieniem; tak w jednym jak w drugim razie organizm przebywa (wewnątrz) olbrzymią pracę, nadmierny wysiłek—podjęty w celu rozłożenia białkanów i wydalenia różnych produktów ztąd powstających. Zważywszy przytém, że przy silnéj pracy ustawicznéj, wydzielanie mocznika zwiększa się w bardzo nieznaczącym stopniu, bo zaledwie o $^1/_{10}$ część (ilości mocznika wydzielanego w spoczynku) (1), musimy nabrać przekonania: że podobna praca wewnętrzna (przy niestosownéj z nadużycia mięsa dyecie) musi w rezultacie ostatecznym wielce wysilać organizm, a zanieczyszczając go resztkami rozłożonych białkanów, sprowadzać przedwczesną śmierć indywidualną.

Jakkolwiek przeto pożywienie mięszane (z nadmiarem owoców) najwłaściwszém jest człowiekowi, wszelako musi ono być w ścisłéj zależności, tak od warunków klimatycznych, sposobu życia i zatrudnienia, jak niemniéj i indywidualnych właściwości danego organizmu.

W obec téj zgodności w ostatecznych wnioskach, z chemii, anatomii i fizyologii zaczerpniętych, ustąpić muszą wszelkie wątpliwości co do natury naszego pożywienia istniejące.

* * *

Organa ruchu, a mianowicie mięśnie i odnośne ku temu nerwy, mogą po strudzeniu dziennem przez sen lub wypoczynek fizyczny, odzyskiwać równowagę. Podobnego spoczynku doznają we

(1) Biorąc w uwagę, że przy pracy mechanicznéj znakomicie się zwiększa ilość kwasu węglanego, a tylko bardzo nieznacząco ilość mocznika, fizyologowie skłaniają się bardziéj do przypuszczenia, że praca mechaniczna przeważnie przy współudziale węglowodorów odbywa się, Być może wszakże, że w tym razie odbywa się zupełna przemiana ciał azotowych na kwas węglany, wodę i azot. Możnaby to sprawdzić na zwierzętach pracujących w sztucznéj atmosferze (z tlenu i wodoru) obliczając ściśie ilość wydzielonego wówczas azotu.

śnie ośrodki nerwowe i cała sfera psychiczna człowieka. Bez przesady rzec można, że sen jest dowodem istnienia psychicznych zjawisk i zawsze się objawia u tych osobników, gdzie ośrodki nerwowe (mózg, móżdżek i rdzeń pacierzowy) mają główny udział w procesach żywotnych. Wszelako żaden z przyrządów organizmu nie doznaje tak zupełnego wypoczynku we śnie jak mózg— narzędzie myśli i zmysłów — owa najbliższa przyczyna wszystkich władz duchowych. To też potrzeba snu nigdzie tak gwałtownie nie występuje i nigdzie tak stale się nie objawia jak u człowieka. Jest to widoczną wskazówką przeznaczenia jego w kierunku psychicznéj działalności.

Gdyby podobny wypoczynek istniał dla przyrządów – krążenia krwi i oddechu, czyli właściwych organów odżywiania; natenczas podanie o długowieczności patryarchów nie byłoby rzeczą niepodobną lub wyjątkową. Tymczasem spotykamy tu zupełnie przeciwny stan rzeczy. Organa te — to jakby nieustanne *perpetuum mobile*—od chwili ukazania się nie przestają być czynnymi do saméj śmierci. W ścisłém znaczeniu i tu są chwilowe wypoczynki przy każdym wdechu i wydechu, podobnie jak przy każdym skurczu serca. Ale to są krótkie chwile w przerwie działalności serca; jeśli bowiem w stanie zdrowia tętno uderza 75 razy na minutę—jak nieznaczne muszą być jego przestanki? że jednak przestanki podobne istnieją, dowodzi tego przyspieszenie tętna w stanach gorączkowych, gdzie niekiedy do trzech uderzeń na sekundę dochodzi (180 na minutę).

Jakkolwiek małe są przestanki w działaniu serca, znaczenie ich wszakże jest wielce doniosłe dla życia indywiduum. Aby nabrać o tém dokładniejszego wyobrażenia, pozwolę tu sobie przytoczyć przykład ze stanu patologicznego zaczerpnięty.

Znanym jest powszechnie fakt, że niebezpieczeństwo w stanach gorączkowych rośnie w miarę wzrostu temperatury chorego i ciągłości gorączki. Gdy stan gorączkowy nie jest ciągłym i są wolne bezgorączkowe przestanki, wówczas zaburzenia, jakie skutkiem trwania gorączki (to jest podwyższonéj temperatury) nagromadzają się w komórkach pojedynczych organizmu, oraz wyczerpanie siły nerwowéj, przez podniecaną ich czynność powstałe, pod dobroczynnym wpływem wypoczynku, dają się w zupełności wyrównywać i stracone siły łatwo odzyskują się na powrót. Jak wielkie są w podobnym stanie straty organiczne, dosyć będzie przytoczyć w obliczeniu stratę zużytego ciepła. Weźmy naprzykład organizm dorosłego człowieka, 75 kilogramów wynoszący w stanie gorącz-

kowym: przypuszczając w danym przypadku podniesienie temperatury ciała na 1° C, otrzymamy 75 jednostek ciepła straconych czyli 22,275 jednostek siły, stawiąc własność ogrzewania organizmu na równi z wodą. A ponieważ w stanach gorączkowych ciepłota częstokroć się podnosi na 2°, 3° C, w takim razie i strata siły będzie dwakroć lub trzykroć większą *w danéj jednostce czasu*.

Chcąc dokonać ściślejszego obliczenia straty siły w stanach gorączkowych, należy obliczenie oprzeć na ilości zużytego tlenu w ciągu godziny czasu.

Wzmiankowaliśmy powyżéj, że w stanie zwyczajnym człowiek zużywa dziennie 750 gramów tlenu, co wynosi na godzinę 31¼ gramów i przy tém spotrzebowaniu temperatura ciała utrzymuje się stale około 32½ R., albo 37½ C. Podług tego obliczenia wypada na każdy stopień ciepła R. (nie zużytego na pracę) 1 gram tlenu. Jeden zaś gram tlenu łącząc się w organizmie (w stosunku określonym przez nas wyżéj) z węglikiem i wodorem, wydaje co najmniéj 3,22 jednostek ciepła. Przy podniesieniu gorączkowém temperatury na 1° stopień R., organizm zużywa w ciągu doby 24 gramów dodatkowo tlenu; ilość ta odpowiada 77,28 jednostkom ciepła czyli 32843 jednostkom siły na dobę! Jeśli to podniesienie wynosi dwal ub trzy stopnie i stan taki trwa tydzień, dwa lub więcéj, a przy tém dowóz materyałów odżywczych upośledzony—to jedno wystarcza już do zniszczenia organizmu przez spalenie tłuszczu i tkanin mięśniowych, a zwłaszcza samego mięśnia sercowego, czyli wywołania w nim przemiany wstecznéj (stłuszczenia włókien mięśniowych).

Być może zarzucą nam, że przykładem ze stanu patologicznego zaczerpniętym usiłujemy tłómaczyć kwestye fizyologiczne. Odpowiemy na to, że choroba nie jest żadnym stanem wyosobionym w organizmie;—choroba, to tylko chwilowe zboczenie normalnego stanu. Postaramy się to objaśnić innym jeszcze przykładem: Jest pewien rodzaj polowania z chartami, przyczém zwierzęta częstokroć na śmierć zapędzają. Na zwierzętach tym sposobem zapędzanych mamy dowód, jakim sposobem w zwyczajnym stanie fizyologicznym, śmierć następuje skutkiem porażenia serca czyli przerwania jego działalności. Przyczynę śmierci tych zwierząt, możemy najzupełniéj identyfikować z przyczyną śmierci skutkiem porażenia serca w stanach gorączkowych sprowadzonéj.

Przytaczając cały ten ustęp; mieliśmy na celu wykazani wpływu i skutków pracy ciągłéj i nie ulegającéj przerwie mięśnia sercowego. Przy normalnym zkądinąd stanie serca, siła jego z wiekiem wyczerpuje się i tętno liczebnie się zmienia.

Spotykają się w tym razie dwie ostateczności: raz słabe tętno noworodka usiłuje dorównać szybkiéj w organizmie jego przemia-

nie materyi, u starców przeciwnie, zmęczone serce po strudzoném życiu, przy słabszéj przemiauie materyi, okazuje widocznie upośledzenie swych czynności.

Pomijając wiele innych przyczyn, bądź fizycznych, bądź moralnych, na niekorzyść długowieczności gromadzących się w ciągu życia naszego; jeśli weźmiemy idealny organizm, wolny od wszelkich zboczeń, zdaniem naszem, w narządach odżywiania, a przedewszystkiém w narzędziach krążenia krwi, czyli w ciągłości ich funkcyi *Spoczywa najbliższa przyczyna śmierci.*

To nasze założenie sprawdza się w rozważaniu całéj przyrody organicznéj z ogólnego stanowiska biologicznego. U wszystkich istot organicznych, gdzie życie bądź skutkiem klimatu, bądź otoczenia, podlega pewnym wypoczynkom, tam długowieczność zawsze istnieje. Rośliny, u których przemiana materyi jest bardzo powolną i w czasie zimy całkowicie się zatrzymuje, cieszą się znaczną długowiecznością, tak że wiek niektórych roślin na kilka tysięcy lat obliczają. Podobnież u zwierząt krwi zimnéj, przemiana materyi jest wielce zwolniona, a częstokroć na czas pewien całkowicie wstrzymaną, jak się to dzieje w porze letniego lub zimowego odrętwienia.

Zwierzęta te mogą całe lata obywać się bez żadnego pokarmu, jak to stwierdził Rondelet na rybach w ciągu pięciu lat, bez pożywienia trzymanych, a Klaudyusz Bernard na ropuchach w ciągu trzech lat; nawet zwierzęta krwi ciepłéj, mające sen zimowy, znajdują w nim długi i trwały wypoczynek i po wyjściu z tego stanu prędko energią i siłę odzyskują.

Ptaki zmieniając stosownie do pory roku warunki swego istnienia, pędzą niezmiernie czynny żywot i skutkiem dzielnego przyswajania spożywanych pokarmów, rozwijają wielką energią, a sam ich ruch w sferach powietrznych jest wielce czynną pracą, i nie może iść w porównanie z ruchem biernym czworonogów lub człowieka. W téj to pracy oraz we właściwościach ich budowy (gdzie organa brzuszne zajmują w stosunku do organów oddechowych znacznie mniejszą przestrzeń), ułatwiających przyswajanie pokarmów, upatrujemy dlugowieczność niektórych ptaków.

Lubo nie mamy pewnych danych względem wieku różnych gatunków zwierząt, nie mniéj atoli nie zbywa nam na wskazówkach, dających miarę ich długowieczności. Jako podstawę do podobnego obliczenia przyjęto brać czas okresu dojrzałości, oraz różnorodny stopień rozwoju organizmów. Lecz tak w pierwszym jak w drugim razie, wnioski ztąd wypływające nie dają stosownych wyni-

ków. Przy szybkiéj wymianie materyi, okres dojrzałości ptaków jest bardzo krótkim i nie może służyć za podstawę do obliczenia ich długowieczności. Toż samo stosuje się do wielkości wzrostu organizmu, który w jednym i tym samym gatunku wielce różnym bywa. To dało powód nawet niektórym przyrodnikom (H. Spencer) do twierdzenia, że szczupak i krokodyl na podobieństwo roślin, mogą wzrastać w ciągu całego ich życia.

Jest to do dziś dnia prostem przypuszczeniem, opartém na wielce rozmaitéj wielkości spotykanych wyżéj gatunków.

Powszechnie znanym jest nasz pospolity szczupak, a wszakże, gdyby kto powiedział, że widział szczupaka ważącego fuutów 40, znalazłby się zaraz ktoś inny, co widział podwójnie większego. Tymczasem wiarogodne świadectwa historyczne, o wiele przewyższają podaną przez nas cyfrę. Szczupak złowiony w Kaisers-Lautern (1497 r.), miał 19 stóp długości i ważył 350 funtów; na jego pokrywach (operculae) oskrzelowych znajdowało się kółko miedziane, noszące napis: że z rozkazu cesarza Fryderyka II puszczony był do stawu, to jest na 261 lat przedtém.

Wszelako wspomniany wyżéj szczupak nie należał do największych okazów tego gatunku: są wzmianki o szczupakach mających około 1,000 funtów, czyli 25 pudów! Wiek zatém tych ostatnich, co najmniéj, w dwójnasób przewyższać musiał owego szczupaka z Kaisers-Lautern.

Wieloryb, ów kolos dzisiejszego świata organicznego, odznaczający się tak powolnym rozwojem (bądź w życiu płodowém, bądź w późniejszém), jak i ogromem kształtów swego ciała; musi być niewątpliwie długowiecznym—dotąd wszakże nie mamy na to pewnych dowodów. Jedni utrzymują, że życie jego kilkuset lat dosięga, inni posuwają wiek wieloryba do 1,000 lat.

Inny dzisiejszy kolos lądowy—słoń, cieszy się również znaczną długowiecznością. Aristoteles, Buffon i Cuvier przypisują mu 200 lat życia, niektórzy znacznie więcéj. Mowią, że Aleksander W. po zwycięstwie nad Pirusem poświęcił jednego słonia słońcu i nadając mu miano Ajaksa, wypuścił go na wolność, opatrzywszy wprzód znakiem; -dopiero w 350 lat późniéj poznano go po napisie.

Pomiędzy ptakami znajdują się podobnież gatunki odznaczające się długowiecznością. Faktycznie do dziś dnia stwierdzono, że orły, papugi i łabędzie żyją przeszło sto lat. Mallertin posiadal szkielet łabędzia, który przeżył 307 lat.

Przykłady te wystarcrą, aby nabrać przekonania, że człowiek nie należy do istot najdługowieczniejszych. Delikatnéj budowy,

o nagiéj skórze—poddany podwójnym wpływom, fizycznym i moralnym—w walce życiowéj rychléj stargać siły swe może.

Jakkolwiek Haller, Buffon i Flourens, posuwają kres ludzkiego życia do dwóchset lat, praktyka wszakże codzienna, oraz statystyka, coraz pilniéj prowadzona, nie upoważniają nas do przyjęcia tak śmiałego obliczenia. Wyjątkowe wypadki długowieczności nie stanowią bynajmniéj prawa ogólnego, a i te zdarzają się nie często. Zdarza się wprawdzie nie rzadko spotykać konia o 50-ciu i więcéj latach; powszechnie zaś przyjęto w zasadzie, liczyć życie konia na lat 25—30. Podobnież zdarzają się ludzie przeszło sto lat wieku mający; ale są to tak rzadkie okazy, że tego wcale w obrachunku przyjmować nie możemy.

O długowieczności ludzi epoki dyluwialnéj, nie mamy żadnych wskazówek. Wiemy tylko, że rodzaj ich pożywienia, warunki klimatyczne, oraz liczne zewnętrzne niebezpieczeństwa, nie musiały korzystnie oddziaływać na ich wiek.

Całe ich pożywienie składało się, już to z surowego mięsa, szpiku kościowego, już to z owoców i korzonków roślin, dalekich w smaku od dzisiejszych udoskonalonych hodowlą ludzką. Niemniéj i o ten lichy pokarm potrzeba było walczyć na każdym kroku z niebezpieczeństwami. Z tém wszystkiém zdarzały się niewątpliwie częstsze wypadki głodowéj śmierci całych okolic niż to obecnie w wieku pary i elektryczności się dzieje.

W czasach starożytnych (historycznych), wiek ludzki nie przedstawia różnicy istotnéj od dzisiejszego. Wprawdzie biorąc wiek filozofów starożytnych i nowożytnych—znajdujemy, że średni wiek pierwszych przewyższał o lat kilkanaście średni wiek tych ostatnich. Ale wpływało na to wiele warunków powodujących, że życie tych ostatnich nie było tak spokojném jak pierwszych.

Nadto, posiadamy w tym razie tylko dane dotyczące wyłącznie ludzi nauki i to różnych okresów czasu. Na podstawie tych danych, żadną miarą wnioskować nie możemy o wieku średnim całéj ówczesnéj społeczności świata starożytnego. W ogólności bowiem o ile pomiędzy ludźmi nauki nie daje się spotykać bardzo późnego wieku, niemniéj wszakże dane statystyczne wykazują, że rozbudzony umysł i uczucie dają najkorzystniejsze wyniki dla długowieczności téj klasy ludzi.

Dr. Farr, prezes statystyków angielskich, oblicza że ludzie uczeni wieku XVI żyli średnio lat 64, w XVII w. 63, w XVIII w. 65 lat. G. Beard, po wyliczeniu długowieczności 500 ludzi nauki, znalazł, że średnia ilość ich życia wynosi $64^2/_{10}$ lat. Dane te wielce

korzystnie za rozwojem umysłowym człowieka przemawiają: gdy bowiem statystyka dla ogółu ludzi, którzy przebyli rok 20-ty, wyznacza 50 lat średniego życia; dla ludzi poświęcających się pracy umysłowéj do 64²/₁₀ lat cyfrę tę podnosi: co daje 14²/₁₀ lat przewyżki.

Jakkolwiek nie zupełne są do dziś dnia dane statystyczne, wszelako te, jakie już teraz posiadamy, pozwalają nam stanowczo twierdzić, że średni wiek życia ludzkiego stopniowo wzrasta. We Francyi przed rewolucyą średni wiek dla każdego francuza wynosił podług Duvillarda 28 lat i 9 miesięcy, obecnie na 41 lat statystycy obliczają:

W	Prusiech	(r. 1849)	28,13	lat
„	Saksonii	„	29,05	„
„	Wirtembergii	„	30,00	„
„	Neapolitańskiém	„	31,05	„
„	Rossyi	„	29,50	„
„	Belgii	„	32,01	„
„	Bawaryi	(r. 1844)	34,03	„
„	Hollandyi	„	34,05	„
„	Królestwie Polskiém	„	32,90	„
„	Anglii	(r. 1849)	35,00	„
We	Francyi podług Deparcieux	„	39	„ 8 miesięcy
W	Danii	(r. 1849)	37, 6	„
„	Szleswigu	„	39, 8	„

W obliczeniach statystycznych długowieczności największą wagę stanowi przeciętna liczba lat. W każdym kraju przeciętna otrzymuje się zwykle po dokonaném roczném obliczeniu lat wszystkich zmarłych tego roku, w stosunku do liczby indywiduów zmarłych. Tak np. jeśli 10 zmarłych przedstawia nam summę ogólną 550 lat dla wszystkich—to przeciętna czyli średni wiek dla każdego wynosiłby 55 lat. O zmianach na korzyść téj przeciętnéj w danym kraju stanowią, nie rzadkie wypadki długowiecznych starców, lecz wzrost ogólny wieku wszystkich umierających oraz ilość wypadków śmierci noworodków. W każdym kraju, gdzie praca organiczna odbywa się w pewnym określonym kierunku a nie ślepą siłą wypadków, tam *przeciętna* wieku, dająca wymiar produkcyjnych sił danego społeczeństwa, jego zdrowia i stopnia cywilizacyi, nie może być pobieżnie i lekceważąco traktowana. Wszakże życie każdéj jednostki przedstawia społeczny kapitał, i tém samém obowiązuje społeczeństwo do opiekowania się nim, aby dany kapitał naprożno się nie marnował. Średni wiek danego kraju, mówi Dr. Foissac, stanowi o zdrowiu i pomyślności ogólnéj narodu.

Największa śmiertelność panuje u niemowląt w pierwszym roku życia. Ścisły badacz Esterlen w swéj statystyce lekarskiéj oblicza stosunek śmiertelności niemowląt w piérwszym roku życia na 30,32% wszystkich ogólnie wypadków śmierci. Z postępem lat stosunek ten o wiele korzystniejszym dla życia indywidualnego okazuje się, tak, iż od dwóch do pięciu lat śmiertelność stanowi 15,03% ogólnéj śmiertelności. Tym sposobem w ciągu piérwszych pięciu lat życia, łącznie z martwo urodzonemi, śmiertelność wynosi 45% ogólnéj śmiertelności. Pomijając w obliczeniu liczbę noworodków martwo urodzonych, stosunek ten zmieni się na 40% ogólnéj śmiertelności. Jak widzimy z tego, obliczenia statystyczne mogą być w różny sposób dokonywane, a ztąd i wyniki tych obliczeń muszą być odmienne. Znaczne różnice, jakie spotykamy w obliczeniach statystycznych śmiertelności danego kraju przez różnych ekonomistów podawane, dają się tym sposobem tłómaczyć, że tablice jednych obejmując tablice innych wyłączają noworodków martwo urodzonych. Tak np. średni wiek Francuzów Duvillard podaje na 28 lat i 9 miesięcy, Deparcieux na 39 lat i 8 miesięcy, Price na 41.

Przytoczymy tu tablicę wypadków śmierci i urodzin podług Esterlena z jego statystyki lekarskiéj w przekonaniu że ona może być dokładniejszą od innych, jako wyłącznie w celach naukowych dla lekarzy ułożona.

Nazwa krajów	Stosunek wypadków śmierci do ludności		Stosunek liczby urodzin		Różnica na 1,000 ludności
	Jak 1 na 1,000, na: mieszkańców				
Szwajcarya	43,4	23,0	33,4	29,9	6,9
Prusy	31,6	31,6	24,4	41,0	9,6
Bawarya	34,6	28,8	28,0	35,7	6,9
Hollandya	38,9	25,7	30,0	33,3	7,6
Belgia	41,3	24,2	33,1	30,2	6,0
Francya	42,7	23,4	35,9	27,8	4,4
Anglia	45,6	21,9	28,7	34,8	12,9
Szkocya	50,7	19,7	29,4	34,0	14,3
Rossya	29,5	33,9	23,4	42,7	8,8
Dania	48,7	20,5	32,1	31,1	10,1
Królestwo Polskie	32,9	30,4	23,6	44,2	11,8

Z tablicy tej statystycznéj przekonywamy się, że najniekorzystniejszy stosunek (liczby urodzin do śmierci) zachodzi we Francyi. Stosunek ten, podług sprawozdań Dauvergne i innych roku bie-

żącego, zmienił się jeszcze bardziéj na niekorzyść francuzów. W 10 departamentach cyfry śmiertelności przewyższają cyfrę noworodków.

Na 100 wypadków śmierci podług Esterlena rodzi się:

W Szwajcaryi . . . 103,
„ Frankfurcie . . . 117,
„ Francyi 118,
„ Sardynii 121,
„ Bawaryi . . . . . 124.
„ Belgii 124,9
„ Hollandyi 130,
„ Anglii 144,
„ Prusiech 148,

Towarzystwa ubezpieczeń na życie, któremi wiek nasz słusznie chlubić się może, prowadzą ścisłe studya nad długowiecznością ludzi. Wyniki tych badań doprowadziły je do przyjęcia wieku prawdopodobieństwa za podstawę w swych obliczeniach.

Wiek prawdopodobny każdego danego indywiduum obliczają na zasadzie następującego rachunku. Weźmy pewną ilość noworodków i śledźmy stopniowo ich ubytek, zanim ogólna ich cyfra zmniejszy się do połowy; rok wieku ich, w którym to nastąpi, będzie wiekiem prawdopodobnym dla innych indywiduów tegoż kraju. Przypuśćmy, że chcemy wiedzieć wiek prawdopodobny młodzieńca 18-letniego. W tym celu należy zbadać, w którym roku połowa tysiąca indywiduów tegoż wieku wymiera? podług Deparcieux znajdziemy, że we Francyi to przypada na 45 l. i 8 miesięcy życia. Tak postępując Towarzystwo gra w loteryą — gdzie jest połowa losów wygrywających, i jak widzimy ze stanu ich majątkowego, że się na statystycznych danych nie zawodzą wcale. Niektóre bowiem z tych towarzystw mają przeszło 60% czystego zysku.

Nie tylko wiek średni, ale i wiek prawdopodobny uległ olbrzymiéj zmianie z biegiem czasu i ulepszeniem warunków życia. Wszakże nie chcemy dziś wierzyć, aby tak kolosalna różnica zachodzić mogła między wiekiem prawdopodobieństwa noworodków Londynu w ciągu ubiegłego stólecia. Podług obliczeń Lescarta, noworodki Londynu miały tylko *4 lat wieku prawdopodobieństwa* czyli że połowa ich wymarła już w czwartym roku ich życia. Dzisiaj zaś, zdaniem Finlassona, w towarzystwie renty dożywotniéj, dochodzi 55 lat i 6 miesięcy. We Francyi podług Duvillarda, w zeszłém stóleciu wiek prawdopodobny noworodków równał się 20 latom i 3 miesiącom, obecnie 42 lata wynosi. Wiek prawdopodobny każdego indywiduum, mówi M. Mathieu, przechodzi wiek średni, od urodzenia do 56 lat,

życia: wówczas następuje równowaga (16 lat i 8 m): od téj pory do śmierci przeważa wyłącznie wiek średni.

Sądzę, że pożądaném będzie dla czytelników Ateneum, poznać tabellę wieku prawdopodobieństwa dla każdego danego wieku.

	Przy urodzeniu	Rok wieku życia					
		5	10	20	40	60	75
Francya { Deparcieux . . .	42	54,1	51,8	44,2	29,0	14,0	5,8
Francya { Duvillard	20,3	45,7	42,9	35,8	23,3	11,1	4,8
Paryż-Dupré de St.-Maur	8,1	41,4	40,1	33,5	21,8	10,2	4,5
Anglia { Farr	45,4	55,8	52,3	44,1	28,5	13,5	5,7
Anglia { Finlasson	55,6	50,4	49,4	41,6	28,0	16,9	8,6
Londyn-Smart	4,0	35,4	33,2	26,9	17,6	10,8	
Belgia-Quetelet	41,6	53,5	50,0	42,4	27,1	12,9	5,6
Hollandya-Kerstoum . . .	30,9	47,0	44,9	38,0	25,9	13,8	6,0
Szwecya-Wargentin	33,2	51,3	48,8	40,7	25,5	12,2	5,3
Niemcy { Baumann . . . . Sussnütz	17,7	46,2	43,8	36,0	22,5	10,8	5,5
Berlin-Casper	21,1	43,0	39,7	30.9	20,0	10,3	4,6
France-Duvillard	20,3	45,7	42,9	35,8	23,3	11,1	4,8

Widzimy z tego, że wiek prawdopodobny każdego indywiduum dosięga między 4 a 5 rokiem najwyższéj cyfry, od tego czasu stopniowo zniża się. Toż samo ma miejsce i z wiekiem średnim.

Rodzaj życia każdego indywiduum zmienia się stosownie do jego zatrudnienia czyli powołania. Każda praca, bądź fizyczna, bądź umysłowa, w pewnym wyłącznym kierunku przeprowadzana, wywiera potężny wpływ, nadający piętno tak charakterowi indywidualnemu, jak i całemu ustrojowi fizycznemu. Oczywiście, podług rozmaitości zatrudnień, zmieniać się musi i wiek prawdopodobny każdego indywiduum. Casper podaje następujący wiek prawdopodobny, podług zatrudnienia obliczony:

księży i duchownych	w ogólności	na 65,1	lat
kupców	„	„ 62,4	„
urzędników	„	„ 61,7	„
rolników	„	„ 61,6	„
wojskowych	„	„ 59,6	„
adwokatów i obrońców . .	„	„ 58,9	„
artystów	„	„ 57,3	„
profesorów i nauczycieli .	„	„ 56,9	„
lekarzy	„	„ 56,8	„

Niemniéj na wiek prawdopodobny życia człowieka potężny wpływ wywierają dwa ważne wyniki życia ludzkiego: małżeństwo i dobrobyt.

Jakkolwiek z przytoczonych powyżéj statystycznych danych wieku duchowieństwa, możnaby powziąść przekonanie o pożytecznym wpływie celibatu na długowieczność ludzką, wszelako tak nie jest. Długowieczność duchownych zależy od sposobu ich życia, i wyłącznie swym spokojnym zatrudnieniom przewagę tę zawdzięczają. Nie tak jest ze statystyką celibatu innych stanów ludzi.

Ścisły i pracowity badacz Déparcieux obliczywszy 48,540 osób zmarłych w różnym wieku, w parafii ś. Sulpicyusza w Paryżu, doszedł do niewątpliwych rezultatów, że w ogólności długowieczność w małżeństwie, przewyższa o wiele wiek kawalerów i panien. Liczba kawalerów umiérających po 21 leciech jest prawie podwójną od tejże liczby żonatych. Sześciu tylko nieżonatych na 43 żonatych dosięga 90 lat wieku.

Ekonomista z Amsterdamu Wirches podaje następującą tablicę śmiertelności.

Na 100 indywiduów umiéra:

	kawalerów	żonatych	panien	mężatek
od 20—30 lat	43,0	3,0	26,5	4,7
od 30—40 „	27,1	17,9	24,5	16,5
„ 40—60 „	15,6	29,2	19,2	22,6
„ 60—70 „	8,1	22,0	13,0	23,3
„ 70—80 „	4,3	10,4	11,6	22,9
„ 80—90 „	1,4	7,0	4,1	9,6
„ 90—100 „	0,0	0,8	0,7	1,2

O ile związki małżeńskie zawarte do 40-go roku życia dają korzystne wyniki dla długowieczności, o tyle niekorzystném okazuje się małżeństwo po 40 roku życia i w ogóle w późniejszéj starości zawarte.

Jeszcze potężniejszy wpływ niźli małżeństwo wywiéra stopień zamożności danego indywiduum czyli materyalne jego położenie. Na 1,000 indywiduów podług Caspera pozostaje przy życiu:

	bogatych	ubogich
W 5 roku	943	655
„ 10 „	938	598
„ 15 „	911	584
„ 20 „	886	566
„ 25 „	852	553
„ 30 „	796	527
„ 35 „	753	456

	bogatych	ubogich
W 40 roku	693	446
„ 45 „	624	396
„ 50 „	557	339
„ 55 „	464	283
„ 60 „	398	226
„ 65 „	318	172
„ 70 „	235	117
„ 75 „	139	65
„ 80 „	57	21
„ 85 „	29	9
„ 90 „	15	4
„ 95 „	1	2
„ 100 „	0	0

Rasowe różnice nie zdają się mieć wyraźnego wpływu na długowieczność ludzką, we wszystkich plemionach spotykamy starców przeszło sto lat żyjących — wszakże średni wiek najkorzystniejsze w plemieniu kaukazkiém zajmuje miejsce.

Niewątpliwe z ulepszeniem hygienicznych warunków Europa przedstawia najpomyślniejsze dziś szanse długowieczności, zwłaszcza kraje klimatu umiarkowanego środkowéj Europy. Do rzędu tych państw należą: Francya, Niemcy, Szwecya, Polska i Rossya.

Przykłady długowieczności w naszym kraju nie są rzadkie. W zeszłém stóleciu umarł w Warszawie wieśniak Solecki, mający 157 lat wieku, którego ojciec żył nie więcéj 150 lat. Przed dwudziestoma laty zmarł w Galicyi arcybiskup Stepanowicz liczący 105 lat wieku. W r. 1857, w miesiącu lutym umarł pewien wieśniak litewski z pod Wilna, Michał Kiewelkis, mając 137 lat, 10 miesięcy i 11 dni wieku! Wybraniec ten losu ożenil się w r. 120 i z kilku żon zostawił 32 dzieci, z których stuletnia córka zdaje się dotąd żyć jeszcze. Na parę lat przed śmiercią czytał jeszcze i zachował trzeźwość i żywość umysłu. Tych kilka przykładów wystarczy na dowód, że warunki klimatyczne kraju naszego nie stają na zawadzie długowieczności.

Lubo w kraju naszym zdarzają się niewątpliwie wyjątkowe przykłady długowieczności, atoli zaprzeczyć niepodobna, że średni wiek życia ludzkiego niższym jest u nas niż gdzieindziéj w Europie. Wprawdzie dla braku statystycznych danych, trudno nam stanowczo w téj kwestyi wyrokować; zważywszy wszakże, na wysoki stopień zaniedbania w pielęgnowaniu dzieci u ludu naszego, na znaczną liczbę śmiertelności noworodków, bądź to w skutku chorób na początku lekceważonych, bądź z przyczyn wypadkowych: z upa-

dnięcia, spalenia, zagorzenia i t. p., można à priori wnioskować o stosunkowo niższym wieku średnim w kraju naszym. Wszędzie bowiem, gdzie ginie przeważająca liczba niemowląt, obniża się wiek średni indywiduów danego kraju.

Do tego wniosku upoważnia nas niemniéj statystyka naszych miast. Warszawa, gdzie wypadki śmierci dokładniéj są notowane, daje cyfry śmiertelności zaprawdę przerażające. W r. 1873 śmiertelność Warszawy wynosiła w stosunku 1 : 29; wówczas gdy w Londynie (przeszło trzy miliony mieszkańców mającym) umiéra 1 na 40 mieszkańców.

Do tak wysokiéj śmiertelności, z którą żadne miasto europejskie porównać się nie może, nie sam wyłącznie brak kanalizacyi przyczyniać się musi. Przyczynę tego raczéj upatrywać należy w zaniedbaniu powszechném wszystkich warunków hygienicznych.

Temu zapewne przypisać należy wielce powolny wzrost ludności w kraju naszym. Przed stu laty ludność Polski 15,000,000 wynosiła w téj liczbie przeszło milion żydów. Dzisiaj na téj przestrzeni zaledwie 28,000,000 zamieszkuje — Gdy zatém w ciągu lat stu ludność nasza włącznie z napływową *nie podwoiła się* nawet, w tym samym czasie ludność żydowska *potroiła się*. Przy tém niewątpliwie i wiek średni korzystniéj się przedstawia u żydów, niźli u innych mieszkańców kraju naszego.

Podobne lekceważenie praw biologicznych w ciągu licznych pokoleń, nie mogło pozostać bez wpływu na ustrój, tak fizyczny, jak i moralny całego narodu. Jako proste następstwo zaniedbania hygieny, mieliśmy rzekomą chorobę *kołtunem* zwaną.

Zapewne człowiek przedhistoryczny, nie używający czapki, posiłkował się podobnego rodzaju okryciem głowy; kołtun zabezpieczał go w części od silnego wpływu promieni słonecznych latem, w części ogrzéwał go podczas zimy. Są świadectwa, że nawet w czasach historycznych plemię germańskie okrywało się kołtunami; ale naszemu wyłącznie narodowi należy się zaszczyt wytrwałości, że tę nieczystości oznakę a zarazem gruby przesąd, zachował do dni naszych.

Nizki stopień oświaty naszego ludu, jego wielce niedostateczne i liche pożywienie, brak światła i czystego powietrza w jego pomieszkaniu, wpłynęły na jego fizyczną i moralną słabość. Piérwsza przedewszystkiém ujawnia się w limfatyzmie, tak powszechnie rozwielmożnionym w naszém plemieniu; druga — w braku woli i wytrwałości; jedno zaś i drugie ściśle z sobą się wiąże. W saméj rzeczy. cóż to jest limfatyzm? nie jest to nic innego — jak *powolna przemiana materyi w ustroju*, *powolny wyrób i obieg my-*

śli, powolny jéj objaw w żywém słowie a jeszcze powolniejsze wcielenie słowa w czyn. Dla téj być może przyczyny, brak u nas tego początkowania (inicyatywy), rzutkości i zabiegliwości — jaka spostrzegać się daje na zachodzie; brak zaufania we własne siły, a tém samém zaufania wzajemnego. Narody podobnie dotknięte limfatyzmem, wymagają w codziennem życiu środków pobudzających i odżywiających nerwy, jak wódka, wino, piwo, kawa, herbata; nadto potrzebują czynnéj agitacyi, silnych bodźców moralnych (społeczno-politycznych), podniecających ich duchową stronę a przez nią oddziaływających na przyśpieszenie wymiany materyi w ustroju fizycznym.

Kwestya żywienia się każdego narodu, jest donioslej wagi i idzie ściśle w parze z jego kulturą i bogactwem narodowém. Aforyzm dawny: że poznają się narody po ich bogach, należałoby dziś uzupełnić — że oceniają się podlug ich średniéj długowieczności.

* * *

Streściliśmy wyżéj nasze zapatrywanie, co do życia w ogólności, przemiany materyi, oraz warunków przyrodzonych długowieczności: pozostaje nam teraz słów kilka powiedzieć, względem warunków indywidualnéj długowieczności i środków do zachowania téjże prowadzących.

Żadna bez wątpienia nauka nie przeszła w swoim rozwoju dziejowym tych różnych kolei, ile nauka o życiu. I dzisiaj aczkolwiek dalecy jesteśmy od wyrzeczenia ostatniego słowa téj wiedzy, w każdym razie postępujemy po drodze do tego celu prowadzącéj. W dawnych wiekach, kiedy słaba tylko jutrzenka myśli ludzkiéj budziła się; w owym zmroku dziejowym ludzkość niejednokrotnie zbaczała z drogi właściwéj, goniąc za ideałami młodości i nieśmiertelności. Wówczas to powstały: astrologia, alchemia, gerokomia i syrmaizm—mające na celu zapewnić człowiekowi szczęście i młodość wieczystą. Wszelako, wątła budowa tych umiejętności, prysła do razu przy piérwszych promieniach geniuszu ludzkiego.

Młodzieńcza i bogata fantazya ludów starożytnych wiele sobie obiecywała po owych rzekomo naukowych poszukiwaniach. Wierzono naówczas święcie, że *astrologia*, wykaże zależność życia naszego od wpływu pewnych planet i zarazem wynajdzie środki ten wpływ niweczące, jeśliby okazał on się zgubnym dla danego indywiduum; że *alchemia* wykryje kamień filozoficzny, zmieniający wszystkie metale na złoto i eliksyr życia—dający wieczną młodość; że *gerokomia* odnajdzie środki, skuteczne do odmładzania starców i przywracania im utraconych sił. Do tego celu prowadził *syr-*

maizm, metoda lecznicza panująca w Egipcie (o któréj wzmiankuje Herodot i Hipokrates). Zwolennicy syrmaizmu, trzy dni w każdym miesiącu używali środków czyszczącyh i wymiotnych, aby tym sposobem zapewnić sobie zdrowie w przyszłości. Metoda ta, ze względu na rodzaj żywienia się Egipcyan surowémi rybami i surowém ptastwem (jak to opowiada głęboki spostrzegacz Herodot) nie byla dla nich wcale szkodliwą. Pożywienie podobnego rodzaju, zwłaszcza w klimacie gorącym, wywołuje silnie zwiększoną czynność wątroby, dla wyrównania swéj funkcyi, w obec obficie przybywających ciał białkowych. Owoż, nadmiar zgęszczonnéj żółci i przeładowanie organizmu produktami rozkładowémi ciał azotowych, przy użyciu téj metody wydzielały się na zewnątrz i tym sposobem zapobiegało się w powstawaniu licznych chorób, jakie z podobnego trybu życia wynikać mogły. Lekarze, będący z Napoleonem w Egipcie, podziwiali zdrowy wygląd ludności tamecznéj, co niewątpliwie w znacznéj części swemu klimatowi zawdzięczają.

Przyjaciel Cycerona Asklepiades utworzył szkołę tak zwanych *metodystów*. Adepci téj szkoły stopniowo odbywali z chorymi różne praktyki, polegające na ciągłéj zmianie hygienicznych i dyetetycznych warunków, stosownie do ułożonych przez siebie cyklów czasu. Chorzy, poddający się temu rodzajowi kuracyi, byli na prawdę torturowani przez swych lekarzy i umierając nawet nie mieli téj pociechy, jaką daje wypoczynek po zupełném wyczerpaniu sił.

W późniejszych czasach powstawały kolejno nowe systematy lecznicze, którym napróżno usiłowano nadać uniwersalne znaczenie —stosując je do wszystkich stanów chorobliwych. Do takich zaliczyć należy: używanie wyłącznie środków wymiotnych purgujących, wytaczania krwi, oraz metody Raspaila, Le Roi, Morrisona i Hahnemanna. Ta ostatnia metoda pod nazwą *Homeopatyi* przetrwała dotąd. Istnienie swe dotychczasowe zawdzięcza raczéj negatywnemu swemu charakterowi, niźli swéj dodatniéj stronie. Wsparta na negacyi naukowéj — nie ma dziś warunków dalszego istnienia. Dogmatyczny charakter tego systematu przedstawia wiele podobieństwa do staro-katolicyzmu, który raz odrzuciwszy Głowę Kościoła, sądzi, iż bez tego członka w organizmie obejść się zdoła. Podobnie Homeopatya przyjąwszy raz *fałszywą w zasadzie* formułkę: „similia similibus curantur,“ mniema, że koła toczącego się rydwanu żywéj nauki wstrzymać i ustalić potrafi. Nauka o życiu nie znosi żadnych à priori ukutych formułek. będących w zupełném rozdrożu z fizyologią doświadczalną, tak samo i nauka

o zboczeniach normalnego życia — tylko prawami fizyologicznemi posiłkować się musi. Na nic tu się nie przydadzą, choćby najzręczniéj ułożone aforyzmy, jeśli te z faktami w sprzeczności znajdować się będą. Mówimy „*w sprzeczności*,“ ponieważ dotąd nie mamy żadnego środka, mocą którego moglibyśmy w organizmie pewne choroby sprowadzać, a tém samém na zasadzie homeopatycznéj „podobne podobnemi się leczą,“ w następstwie je uleczać. Chinina, wywołująca u pewnych nerwowych indywiduów dreszcze, skutkiem kurczu drobnych naczyń obwodowych—posłużyła Hahnemannowi za punkt wyjścia do utworzenia teoryi homeopatycznéj. Powiedział on sobie: Chinina leczy febrę, dla tego że sama przez się wywołuje febrę.“ Owoż jestto gruba pomyłka. Chinina nie tylko febry nie wywołuje, ale działa wprost przeciwnie. W tym razie raczéj; „*Contraria contrariis curantur*.“ Znamieniem wyróżniającém febrę są dla nas nie poprzedzające dreszcze, których częstokrzć brak, lecz obrzmienie śledziony: chinina zaś wywołując skurcz pierwiastków śledziony — działa wręcz przeciwnie. Notujemy tu sam fakt, nie wchodząc bynajmniéj w bliższe wyjaśnienie — czyli działanie chininy przypisać należy wpływowi tego środka na centra naczynio-ruchowe w ośrodkach nerwowych, lub też przychodzi to inną jaką drogą.

Jakkolwiek nieracyonalną jest główna zasada homeopatyi, oraz przypuszczalne działanie milionowych *potencyi*, oparte na fałszywéj teoryi atomistycznéj: przyznać jednak należy, że system Hahnemanna jest najzupełnéj nieszkodliwym, a przez swój negatywny charakter, oddał rzeczywistą przysługę Medycynie, powstrzymując Aleopatów od hazardownych kuracyi i wytaczania chorym krwi.

W obec astronomii Kopernika znikła astrologia, a przed chemią Lavoisiera ustąpiła alchemia. Napróżno genialny Kepler bronił astrologii, napróżno członkowie Akademii Berlinskiéj spalili dzieło Lavoissiera w obronie flogistonu—na nic to się nie przydało. Prawda posiada moc niepokonalną i jako światło przenika wszędzie, rozjaśniając najgłębsze tajniki duszy ludzkiéj. Przed tą wszechpotężną siłą zniknąć musi wszystko, co na podobieństwo chwastów ukrywa się w ciemnościach nocy. Ten sam los—astrologii i alchemii, spotkał gerokomią, w obec zasad naukowych biologii dzisiejszéj.

Dzisiejsza medycyna przeważnie na naukach przyrodniczych ugruntowana, z pewném wspóubolewaniem spogląda na dzieje swéj przeszłości, kędy wpływ alchemii dość potężnym widzieć się daje. Wielu znakomitych lekarzy, polityków i filozofów, jak:

Paracelsus, Roger Bacon, Van Helmont, Avicenna, Avenzoar, Averroes, nasz Sędziwój, a nawet kardynał Richelieu, podzielali w zupełności zasady alchemii. Pewien arabski alchemik Geber, w VIII wieku, zachwalał swój czerwony eliksir, nie tylko od wszelkich słabości ludzkich, ale nawet jako środek odmłodzenia starców. Płyn ten był zwyczajnym roztworem złota.. Ten sam eliksir Lapasse (w dziele o długowieczności w roku 1861) podaje jako środek uniwersalny. Ruchliwy i czelny Paracelsus zapewniał wszystkich, że posiada *alcahest* czyli *ens primum*, (wodę nieśmiertelną) na wszystkie dolegliwości. Płyn ten prawdopodobnie był mięszaniną merkuryuszu. Pomimo wielkich zalet tego płynu, powiada Dr. Foissac, nie przedłużył on życia swego wynalazcy — który umarl w 47 roku. Toż samo dałoby się powiedzieć o środku alchemika Dippela—wyciągu z rogu jelenia, który podług jego zapewnień, do dwustu lat miał życie przedłużać. Śmierć samego Dippela w r. 60 życia, zadała kłam temu twierdzeniu. Zresztą i dzisiaj jeszcze na wschodzie, różne narody mają swoje własne specyfiki — do takich należy: agar-agar, wchodzący do gniazd jaskółczych, i korzeń gingseng u Chińczyków, wreszcie kawa, herbata, napoje gorące oraz palenie tytuniu, opium i arszeniku. Są to wszysto środki nieobojętne, których zadaniem jest utrzymanie energii nerwowéj i podniecanie jéj tam, gdzie ta energia słabo się objawia.

Nie będziemy się zatrzymywali dłużéj nad témi środkami, z których jedne weszły już do codziennego użycia a przez to straciły dla nas swe własności trujące i moc swego oddziaływania; inneużywają się wyjątkowo, jako lekarstwo w pewnych chorobach. Powtórzymy w tém miejscu to samo, cośmy już wyżéj powiedzieli, że *panaceum* powszechne (środek uniwersalny), nie tylko dziś nie istnieje, ale *nigdy istnieć nie może*.

Z postępem medycyny coraz bardziéj zacieśniało się pole dla szarlatanów i pokątnych doradców. Sama publiczność już dzisiaj o wiele wykształceńsza, i nie tak łatwo dająca się uwodzić mesmeryzmowi, spirytyzmowi. jasnowidzącym, owczarzom i kuglarzom wszelkiego rodzaju. Czarnoksięstwo i kabała upadły na zawsze, nawet w prostym ludzie nie znajdują już wiary; przekonano się bowiem, że tą drogą żadnego odkrycia w nauce i w życiu nie dokonano. Z każdym rokiem Kościół mniéj odczytuje egzorcyzmów nad opętanymi. Niedaleki zapewne czas, że tego rodzaju praktyki w Europie zupełnie ustaną.

* * *

Jakie są warunki długowieczności, czy one spoczywają w organizmie lub też w otoczeniu? te są pytania, nad którémi w końcu zatrzymać się musimy.

Jakeśmy powiedzieli wyżéj, że życie polega na wymianie materyi, a zatém i długowieczność człowieka musi] być ściśle zależną od warunków tejże wymiany, tak w samym organizmie spoczywających, jak i w otoczeniu jego. Przedewszystkiém zależy to od normalnéj budowy fizycznéj i właściwego ustosunkowania czyli rozwoju jednych części organizmu względem drugich. Przy takiéj tylko doskonałéj równowadze może mieć miejsce—potrzebna ku temu szerokość funkcyi oddzielnych przyrządów i czynna wymiana materyi. W razie zachwiania się téj równowagi, w wypadku zboczenia z wymiany materyi, siły przyrodzone organizmu częstokroć starczą mu doskonale do wyrównania owych zboczeń i zapobieżenia rozwojowi objawów chorobnych. Szerokość funkcyi organicznych poznaje się po sile fizycznéj i wytrwałości organizmu w stanie normalnego trybu życia; lecz daleko widoczniéj to się ujawnia w stanach nadużycia fizyologicznego: już to w pokarmach, napojach, przedłużoném czuwaniu, już erotycznych lub umysłowych wysileniach danego indywiduum. Rozwinąć tę szerokość funkcyi, wyrównać zboczenia, bądź nabyte, bądź przyrodzone—jest zadaniem niezmiernéj wagi. Jak w ciasném korycie rzeki, ścieśnione nurty wody niszczą własne jéj łoże, podobnież ścieśnione koło obiegu materyi w organizmie ludzkim, tamuje drogi, którémi życie ujawniać się musi. Ztego względu zauważyć tu musimy, że chcąc przedłużyć życie oraz uczynić je znośniejszém i trwalszém, należy wprzód postarać się o hygieniczne wychowanie dzieci. Nie podajemy tu żadnych szczegółowych przepisów — bo te w każdym oddzielnym wypadku muszą być inne.

W wieku dojrzałości, kiedy zboczenia organizmu już że tak powiem, skrystalizowały się i pociągnęły za sobą liczne zmiany do wyrównania funkcyi prowadzące—nie wiele pozostaje do zrobienia. Takie indywiduum od czasu do czasu leczyć się musi.

Nie tak jest z wiekiem dziecięcym i młodocianym. Organizm wówczas jest wielce podatnym na wszelkie zewnętrzne oddziaływania. Wiedzą o tém doskonale angielscy hodowcy koni, bydła i gołębi, a udoskonalone przez nich rasy świadczą o rezultatach ich pracy. W saméj rzeczy, organizm dziecięcy, mający niedość skostniały układ kostny, chrząstkowe nasady kości (epiphyses) nieściśle jeszcze połączone z właściwémi kośćmi, wiotkie i nierozwinięte

mięśnie — przedstawia możność skutecznego oddziaływania. Wyjątkowo tylko dzieci przychodzą na świat z unormowanym rozwojem fizyologicznym wszystkich oddzielnych narzędzi pomiędzy sobą; najczęściéj zaś widzieć się dają pewne zboczenia, które w skutkach swych pociągają fizyologiczne zmiany w czynnościach tychże organów. Od stopnia rozwinięcia przyrządów: gruczołowego, naczyniowego, nerwowego oraz przyrządu trawienia, zależną jest wymiana materyi; każde więc zboczenie wywołuje zakłócenie (nieprawidłowe) w obiegu materyi i siły w organizmie. Nieustosunkowana wielkość serca, małe światło naczyń, idzie zwykle w parze ze słabym rozwojem klatki piersiowéj—obok silnie rozwiniętych trzewiów brzusznych i wątroby. Ogólne odżywienie dzieci, w stanie podobnym będących, pozostawia wiele do życzenia. Niedostateczność tego odżywienia ujawnia się coraz bardziéj w powstającym limfatyzmie, wiotkości mięśni i słabości nerwów;—co wszystko razem daje nam obraz dziecka, które będąc pozbawione warunków hygienicznego wychowania, urabiać się musi w przyszłości na indywidunm pielęgnujące w sobie zarodki wielu przewlekłych cierpień. Medycyna w tym razie nie jest tak bezsilną, jakby się to dla wielu zdawać mogło. Umiejętném stosowaniem hygieny, można podołać wielu zboczeniom: o czém słów kilka powiedzieć zamierzylismy..

Przy słabo rozwiniętym układzie kostnym, kiedy dla braku części mineralnych, zagraża dziecku rozwinięcie się choroby angielskiéj; kości wówczas nie dają dostatecznie silniéj podstawy i pod wpływem mięśni bardziéj się rozrastają w kierunku szerokości niźli ich długości. Przeważająca liczba dzieci limfatycznych jest dotknięta tym stanem. W tym razie stosowną zmianą pokarmów otoczenia, można stanowczo dalszym następstwom téj choroby zapobiedz.

Układ mięśniowy i układ nerwowy znąjdują się względem siebie w ścisłéj zależności; bo też każde poruszenie myśli i uczucia, zawsze znajduje swój wyraz zewnętrzny w poruszeniach mięśni. Ztąd przy słabym rozwoju nerwów mózgo-rdzeniowych, spotykamy słaby rozwój siły mięśniowéj; przy nieustosunkowanym zaś rozwoju nerwów i mięśni względem siebie, brak zręczności fizycznéj oraz zgodności ruchów spostrzegać się daje.

Powszechnie wiadomo, jak znakomicie wzrasta siła mięśniowa przez wzmożony dowóz do mięśni, materyałów odżywczych. Celu tego dopinamy przez leczniczą gimnastykę i ruch na świeżém powietrzu; pośrednio zaś, w skutek zależności obu przyrządów (mięśniowego i nerwowego) dochodzimy do polepszenia odżywiania

tego ostatniego. Wreszcie posiadamy w kąpielach, pokarmach, napojach i śnie, dość potężne środki do zwalczenia zboczeń układu nerwowego. Do rzędu środków fizycznych w tym celu działających, zaliczyć należy wpływy zewnętrzne: ciepła, światła, kolorów i ćwiczeń fizycznych wszelkiego rodzaju. Obok tych działaczów fizycznych, nie można zapominać o ćwiczeniach psychiczno-moralnych w kształceniu woli, umysłu i uczucia, dających wysoką podnietę sile nerwowéj.

Toż samo da się powiedzieć o układzie gruczołowym. Przy zatkaniu gruczołów, dającém wygląd silnie limfatycznéj budowy, po ściślejszém zbadaniu znajdziemy podobne obrzmienie w wewnętrznych gruczołach oraz w wątrobie — jako głównym organie, gdzie się przysposabiają produkta białkowe, do dalszego ich przeobrażenia, w ogólnéj przemianie materyi. Do tego stanu dochodzą najczęściéj dzieci przeważnie mięsem karmione i w ogólności w nadmiarze pokarmów używające.

Sprowadzenie do właściwych granic *ilości i jakości pokarmów*, przy zachowaniu wzmiankowanych warunków (kąpiel i gimnastyki) zwiększających wymianę materyi, zabezpieczamy dziecię w przyszłości od skutków tego zatkania, częstokroć groźnych dla życia indywiduum, a mianowicie: od rozszérzenia się podobnego obrzmienia (zatkania) na wewnętrzne gruczoły kréskowe i oskrzelowe, i od późniejszego ich wstecznego zwyrodnienia przy przejściu w stan zapalny.

Sprowadzenie równowagi w czynnościach tych narządów, daleko łatwiéj udać się nam może w wieku dziecięcym niźli w późniejszym. Przemiana bowiem materyi od 3—6 lat przewyższa prawie trzykrotnie podobną przemianę u człowieka dojrzałego. Podług ścisłych poszukiwań Vogla, w ciągu 24 godzin, na każdy kilogram wagi ciała wydziela się:

u dziecka od 3—6 lat	1,00	mocznika.
„ od 8—11 „	0,80	„
u człowieka dojrzałego	0,37	„

Jeszcze ważniejszą rolę odegrywa w ustroju układ naczyniowy. Serce, tętnice i żyły roznoszą najpożywniejszą treść organizmu — jego krew. Ten płyn szlachetny, zawierający w sobie żywe ciałka i kulki krwi, jest sam przez się żywotnym i z tego względu wielkiego znaczenia dla życia indywidualnego. Krwiobieg stanowi koło, w którém życie i śmierć we wzajemnéj harmonii sią łączą. Serce, to perpetuum mobile życia, spełnia bez przerwy tę ważną czynność od piérwszego drgnięcia żywotnego do ostatniego uderzenia. Z jednéj swéj połowy (lewéj), rozséła po tętnicach pier-

wiastki dla życia niezbędne, a w powrocie przez żyły, zbiera w prawéj swéj połowie, części zużyte, obumarłe, pod postacią wody, kwasu węglowego i azotu — aby je czém prędzéj z organizmu wydalić i krew nowém życiem zasilić. Spełniając tak doniosłe zadanie, będąc pośrednikiem wymiany z jednéj strony pierwiastków życia, z drugiéj pierwiastków śmierci, — krew wymaga ciągłego odwietrzania i czynnéj odnowy, już to przez płuca, skórę, nérki, już przez trzewia brzuszne.

Aby przyrząd naczyniowy dokładnie pełnił swą funkcyą, potrzeba ku temu należytego spełnienia czynności wszystkich innych narzędzi ustroju naszego. Ma się rozumiéć że *stosunkowa wielkość serca*, i *prawidłowe światło naczyń* nieodwołalnie wymaganémi być muszą dla skutecznéj wymiany materyi, należytego odżywiania organizmu (zwłaszcza układu mózgo-rdzeniowego), jak niemniéj dla zapewnienia długowieczności danego indywiduum. I w tym razie medycyna nie jest zupełnie bezsilną. Posiłkując się stosownémi środkami hygienicznémi i dyetetycznémi, oddziaływać można na zwiększone odżywienie mięśnia sercowego, a tym sposobem pośrednio na rozwój światła naczyń. Pobyt w górskiéj okolicy, łyżwowanie, pływanie, tańce, a zwłaszcza konna jazda — (wpływająca przeważnie na obieg materyi w górnéj części ciała), znakomicie przyczyniać się mogą do wyrównania pewnych niedokładności organizmu.

Najczęściéj wszakże punktem wyjścia wielu cierpień przewlekłych, staje się zaniedbanie, dość powszechne u nas, pod względem czystości skóry i funkcyi trawienia. Kto wié jak ścisły związek zachodzi pomiędzy ważną czynnością skóry i funkcyonowaniem błon śluzowych, układu gruczołowego a przedewszystkiém nerkowego, jak wielkie jest znaczenie naszéj zewnętrznéj powłoki w przemianie materyi, ten z pewnością utrzymanie w należytém funkcyonowaniu skóry, za piérwszą hygieniczną zasadę poczytywać będzie. W tym razie starożytni Grecy i Rzymianie o wiele nas wyprzedzili.

Powszechnie wiadomo, jak ogrodnicy starają się pielęgnować i zachowywać w czystości korę na drzewach. Zranienie kory wywołuje proces zapalny (jeśli tak godzi się nazwać zwiększoną czynność komórek otaczających), a odarcie kory w około, chociażby na małéj przestrzeni, powoduje śmierć rośliny. O ileż ważniejszą musi być funkcya skóry u zwierząt, a zwłaszcza u człowieka, gdzie zmysł tak ważny jak dotykanie miejsce swe znajduje. Jestto jeden z dowodów, że pomiędzy rozwojem skóry a ośrodkiem nerwowym zachodzi ścisły związek. Choroby w wieku dziecięcym na znacznéj

przestrzeni skóry rozszérzone stają się wielce groźnémi dla życia indywiduum. Silne oparzenie albo spalenie skóry, chociażby na nieznacznéj przestrzeni — śmierć dziecka przyczynia. Jeśli prawdą jest, że oko daje nam obraz duszy, to skóra przedstawia nam obraz zdrowia danego indywiduum. Białości skóry bez wątpienia zawdzięczamy stanowisko cywilizacyjne pokolenia Indo-Europejskiego i jego doniosłe znaczenie w rozwoju ludzkości. Znaczenie fizyologiczne skóry niedość dziś jeszcze uwzględnione w biologii i zoologii. W dziele naszém: Przegląd Dziejów Przyrody, opisując różnice pomiędzy gatunkami wyższych małp a człowiekiem zachodzące, kładliśmy szczególniéj nacisk na różnice w budowie skóry, z fizycznych różnic, naszém zdaniem, odgrywające największą rolę.

Hygiena mózgu, władz umysłowych dziecka i jego zmysłów, wymaga najbardziéj, pilnego i troskliwego wychowania. Wychowanie to polega na stopniowém i metodyczném rozwijaniu strony psychicznéj i umysłowéj dziecka. Zaniedbanie tych przepisów weszło u nas *w prawo zwyczajowe*, opłakane zaś następstwa położenia klasy dominującéj naszego narodu, są zanadto dotkliwe, abyśmy przypominać je potrzebowali. W wychowaniu naszéj szlachty za wiele było po paryzku, za mało po polsku. Zaledwie dziecko zaczyna piérwsze wyrazy wymawiać, aliści już sobie dodaną ma bonę, rzetelną paryżankę lub szwajcarkę: co wątłą jego myśl i serce skazić a nadewszystko skarłowacić potrafi. Po tém zaś wszystkiém jak często zdarza się słyszéć matki cieszące się, że ich dzieci 5—6 lub 7 letnie dwoma lub trzema mówią językami. Angielski fizyolog Bain szczególną uwagę zwraca rodziców na wielce szkodliwe skutki z podobnego wychowania wynikające. W tym razie kosztem naszych władz umysłowych pamięć się rozwija. Za duży to koszt— na tak mały zysk!

Żadne bez wątpienia społeczeństwo nie pracowało tyle nad rozszérzeniem zakresu dla pamięci — ile chińskie. Z opłakanych skutków możemy dziś sądzić, czy podobnego rodzaju wychowanie było dlań korzystném? Naród w starożytności przodujący na Wschodzie, na drodze przemysłu, nauk i wynalazków—utracił oddawna wszelką inicyatywę samodzielnego myślenia.

Umiejętna hygiena wiele naprawić a jeszcze więcéj zapobiedz może. Umiejętność wychowania jest *fachem pedagogicznym* i trudno od rodziców wymagać téj umiejętności. Wszelako, w kwestyi tak ważnéj, gdzie idzie o przyszłość własnego dziecka, mamy najzupełniejsze prawo domagać się, aby rodzice rad pedagogów znanych zasięgali. Zakładanie ogródków dziecinnych, wydanie metody poglądowéj Jeskiego, stanowi u nas krok piérwszy na tém polu;

umiejętny wykład nauk przyrodniczych, jak słusznie zwracał na to uwagę lekarzy i przyrodników prof. Chałubiński — może jedynie się przyczynić do rozwoju władz analitycznych, co dla nas jest niezbędném przy wrodzonéj nam skłonności ku syntezie. Zapewne, że przyrodzony wpływ rodzicielski nie tylko nadaje swe piętno budowie dziecka, ale nawet cechy długowieczności. Związki osób pokrewnych, zastarzały nałóg pijaństwa, przeważna część chorób przewlekłych, nerwowych i organicznyzh, niekorzystnie na żdrowiu dzieci się odbija. Ale to kwestya społeczna, po za granicami medycyny leżąca. Jakkolwiek niedosięgalne w tym razie są przepisy hygieny— niemniéj nauka musi statystyczne dane społeczeństwu przypominać. Sumienny obowiązek nakazuje rodzicom dbać o zdrowie swych dzieci. Życie dziecka przychodzącego na świat z wadliwą i zboczoną organizacyą, staje się jedném pasmem długiéj choroby, kończącéj się śmiercią. Dla długowieczności każdego indywiduum jest rzeczą największéj wagi, jaką odbiéra organizacyą i w jakich warunkach przebywa wiek dziecięcy i młodzieńczy. W późniejszym czasie organizm ostatecznie się urabia pod wpływem warunków otaczających i mamy naówczas budowę skończoną, że tak powiem, skrystalizowaną. Dla téj przyczyny zatrzymaliśmy się wyłącznie nad wiekiem dziecięcym, przy rozbiorze warunków długowieczności.

* * *

Medycyna dzisiejsza, oprócz leczenia chorób, ma cele szlachetniejsze, polegające na zabezpieczeniu tak indywiduum, jak i społeczeństwa od wszelkiego rodzaju fizycznego niedołęztwa i przedwczesnéj śmierci. Wpływ cywilizacyjny wieku naszego, humanitarne zasady, jakim stale przewodniczy, odbiły się szeroko na téj nauce, która od ciasnego koła jednostki choréj, do społeczeństwa i ludzkości wpływ swój rozciągnęła.

W wieku naszym powstała *Medycyna społeczna*, międzynarodowa, mająca na celu zbadanie przyczyn chorób szczegółowych u źródła a przez wymianę publiczną myśli (na kongresach), zdąża do ciągłego ulepszania warunków hygienicznych, a tém samém do zwiększenia średniego wieku życia ludzkiego. Tak pojęta nauka lekarska, staje się *par excellence* nauką biologiczną i nabiéra wysokiego znaczenia w ustroju społecznym, W tém zapewne rozumieniu powiedział Kartezyusz: „jeźli ludzkość ma dojść do większego udoskonalenia“ tylko przez medycynę osiągnąć to można będzie.

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a

przekład

MARYI FALEŃSKIEJ.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ X.

List do domu.

W Anglii tymczasem, wszystko nie zatrzymało się było w miejscu, już przez to samo, że z niéj odjechała Violetta. Szczupły światek, wśród którego żyła, daléj wędrował sobie po zwyczajnemu, i czas przynosił coraz nowe zmiany, większe lub mniejsze, dawnym jéj znajomym.

Najprzód tedy, James Drummond ukończył był plan wielkiéj pracy, któréj zamierzał poświęcić całą przyszłą zimę. Nie jeden już podobny układał przedtém, i zawsze miał w ciągu następnéj zimy zabrać się na dobre do roboty, ale nie wiedzić jakim sposobem owe pomnikowe dzieło schodziło zawsze do rozmiarów zwyczajnego czasopismowego artykułu; a i ten nieraz dziwacznością swą i paradoksami, zrażać umiał najcierpliwszego redaktora. Bądź co bądź jednak, Drummond postanowił był tym razem doprowadzić rzecz do skutku, i w tym celu, udał się do znajomego sobie wydawcy, zabierając z sobą notatki, zawierające główne zarysy dzieła, które pisać zamyślał. Twarz tego ostatniego stawała się coraz bardziéj zakłopotana, w miarę jak czytał następujące tytuły saméj książki i jéj rozdziałów:

„O projekcie pobielenia na zewnątrz Opactwa Westminsteru.

CZĘŚĆ I. Ogólne właściwości i dzieje pobielania murów.
Dział I. O karach oczyszczających.

Dział II. Uwagi o nowożytnych ocenieniach Judasza Iskaryoty, Nerona, Henryka VIII i Torquemady.

Dział III. Ulica Whitecross.

Dzlał IV. O wstecznie obowiązujących prawach, dotyczących małżeństwa, które określają stanowisko nieprawych dzieci.

Dział V. O napisach grobowych.

CZĘŚC II. Wnętrze Opactwa Westminsteru.

Dział I. O przywłaszczonych rozgłosach.

Dział II. Trzy pytania są tu rzucone: 1) Czy możliwém jest duchowi już od ciała odłączonemu, być obecnym na pogrzebie tegoż swojego ciała? 2) Czy możliżliwém jest takiemu duchowi zarumienić się? 3) Czy jest prawdopodobną rzeczą, aby w niejednym razie, duchy już rozłączone z ciałem, obecne bywały w Opactwie Westminsteru, i rumieniły się widząc swoje ciała tam pogrzebywane?

Dział III. O Dziekanie Westminsteru, jako o zbieraczu osobliwości.

Dział IV. O tém, jako Dziekan Westminsteru może posiadać złe oczy i przez to samo przysparzać znakomitości swoim zbiorom, uprzedzając czas właściwy.

Dział V. Projekt utworzenia filii Opactwa Westminsterskiego; zajmujący obecne Opactwo będą z niego usuwani kolejno, a miejsca tym sposobem opróżnione, zapełnione zostaną, przez filię nowo utworzoną.

Wydawca dalej już nie zaszedł. W głowie mu wirowało; usiłował ratować się powracając do punktu wyjścia owéj gmatwaniny.

— Ależ jak mi Bóg miły, co ci się dzieje, mój Drummondzie? zawołał. Pobielić mury Opactwa Westminsteru? Cóż za myśl dzika! Toż niktby słyszeć nawet niechciał o tém. Byłoby to zniewagą—barbarzyństwem.—Nigdy nic podobnego nie przyszło nikomu do głowy!

Dziwny jakiś, niby spłoszony, a zarazem bystry wyraz, pojawił się w oczach Drummonda.

— Czyż nie widzisz, że... że to żart, rzekł trochę zmieszany.

— Żart? Jakto? Więc to wszystko ma być żartem? I ty myślisz że publiczność będzie miala cierpliwość przeczytania żartu, który zajmuje pięćset stronic druku.

— Niech ją licho porwie! Alboż to ona nie czyta tysięców stronic, na których nie ma ani jednego słowa zabawnego?

— Mój przyjacielu, usiłował go przekonać wydawca, mówiąc z przyjaznym i pobłażliwym uśmiechem, czyż jest kto na świecie, coby chciał aby go zabawiano, przez kilkaset kart z rzędu?

— Nie mało znam ludzi co chcą być zabawianymi przez całe swoje życie, odparł Drummond miną nadrabiając, ale w głębi ducha trochę zbity z toru. A zresztą, Bóg tam wie, jakim jest ten świat i czego mu trzeba. Może on sam jest poprostu jednym nieustającym żartem?

— Usłuchaj mojéj rady Drummondzie, rzekł mu ów przychylny doradca; nie marnuj na tém czasu; wierzaj mi. Gdyby to był rzeczywisty utwór historyczny—rozumiesz—rzecz ładnie i ponętnie obrobiona, o samém Opactwie i o spoczywających w niém wielkich ludziach—i gdyby jeszcze zdobiła to wszystko spora miara patryotyzmu i religijnego uczucia; — o, wtedy z pewnością czytałaby to chętnie publiczność. Ale dla żartu książkę napisać—i za przedmiot wybrać sobie do niego z pośród całego świata właśnie Opactwo Westminsteru — no, to naprawdę myśl jedyna w swoim rodzaju.

— Nie miałem przecie na celu ubliżenia Opactwu, odezwał się pokornie Drummond.

— Powiadam ci; posłuchaj mnie i nie trać na to czasu, rzekl mu przyjaciel.

James Drummond powrócił do domu, bardzo na duchu upadły, i zaraz poszedł do siostry; na téj przynajmniéj jednostce w publiczności, wiedział, że nigdy nie dozna zawodu.

— Nie chcą tego dzieła, Saro, rzekł wchodząc.

— A to dla czego?

— Dla tego, że ogół czytelników nie zechce dopatrzyć się w tém myśli żartobliwéj; albo też, domyśliwszy się jéj, weźmie to za obelgę. Na niebo przysięgam! dodał z uniesieniem, radbym aby wszyscy wydawcy pochowani byli w Opactwie, i aby mnie przypadło położenie napisu na ich wspólnym grobowcu.

— Cóżbyś w nim powiedział?

Zawahał się przez chwilę, potém rzekł spokojnie:

— Zdaje mi się, że najlepiéj będzie, jeśli się zaraz zajmę obmyśleniem tego napisu. Uczynię tę łaskę jakiemu wydawcy, że mu go pokażę, a on go zaraz zużytkuje. Nie każdy potrafi powiedzieć przed śmiercią, co jego kamień grobowy zamierza wyrzec, po tém już zdarzeniu. Saro, nie wchodź do mnie i nie przeszkadzaj mi, dopóki nie ukończę mojéj pochwały wygasłego rodu wydawców.

Na tém się więc skończył w ostatku, ów wielki zamiar Drummonda i na ten raz znowu, pani Warrener wyrzec się musiała upragnionéj uciechy napisania do Violetty, że jéj przyjaciel sławy się dobił. Albowiem, ma się rozumieć, że nie zważając na pojęcia jakie James mógł mieć w tym przedmiocie, siostra jego przekonaną była, że nie spełnił swego obowiązku, dopóki znacznego nie pozyskał rozgłosu; co zaś do jego możności w tym względzie, ta nie ulegała w jéj oczach żadnéj wątpliwości.

Pod tę samą porę, czas ważniejsze przyniósł był zmiany dla Jerzego Millera—dla młodego Millera, jak go teraz poufale nazywał Drummond. Nasamprzód, ojciec nabył dla niego udział w interesie wcale przyzwoitym, i który nie zabierał mu znowu tak bardzo wiele czasu; młodzieniec tedy, rozpocząwszy już życie na własną rękę, uznał za dogodniejsze opuścić dom rodzicielski i najął ładne mieszkanko kawalerskie na Half-Moon Street. Następnie, uzyskał sobie wstęp do nielicznego, ale wielce okazałego klubu na Piccadilly, którego same już schody mogłyby usprawiedliwić ustanowienie dwa razy wyższéj jeszcze zapłaty, za wpisanie się do niego. Jakbądź klub ów mieścił się w zachodniéj stronie miasta, wschodni żywioł przeważał w składzie jego członków, i powiadano o nim nieraz, że rozproszone pokolenia Izraela, tam niespodzianie zeszły się znowu z sobą, skutkiem czego wypadło właścicielowi miejscowéj restauracyi usunąć wszelką wieprzowinę ze swego jadłospisu; ale niesmaczne te koncepta rozsiewała niechęć młodych gentlemanów ze Stock-Exchange, pochodzenia o wiele bardziéj zatraconego, niż nią była kiedykolwiek dola izraelskich pokoleń. Ma się rozumieć, iż dwie te części składowe nie tworzyły ogółu członków klubu; przeciwnie, było tam tyle zapewne co i po innych miejscach tego rodzaju gentlemanów, którzyby nie potrafili zapracować ani grosza—prócz—chyba przy zielonym stoliku, nawet gdyby chodziło o ocalenie własnego ich życia; co znowu nie wiadomo czy należałoby uważać za powód bardzo ważny. Jako potomkowie ludzi, którzy raczyli próżnować przez całe pięć wieków, młodzieńcy owi otoczeni byli wyjątkowymi względami. Znajdowali się tam także prawnicy, duchowni, doktorzy, wekslarze; jedném słowem wszystkie zwykle składowe pierwiastki klubu, nie mającego nic wspólnego z polityką; a było tam i kilku literatów, których nieustannie zapraszano do prywatnych domów na obiady i wieczory, bo takich zabawnych chłopaków ze świecą trzeba było szukać, i tyle mieli najpocieszniejszych zawsze konceptów, że byli w stanie rozweselić każde towarzystwo.

Jerzy Miller zaprzyjaźnił się był bardzo z Drummondem i nieraz go z sobą zabierał na obiad do owego klubu, który nazwijmy tu Judaeum, dla odróżnienia go od innych. Podczas owych wieczornych posiedzeń, James dziwił się coraz bardziéj nadzwyczajnéj znajomości świata, jaką ów młodzieniec zdołał sobie zdobyć. Nie było to u niego głębsze poznanie ludzi; ale świadomość zdarzeń i okoliczności życia, które go otaczało;—pospolitych pragnień tego oto człowieka, środków jakiemi tamten dorobił się majątku, sposobu jakim ów umiał związywać z sobą dwa końce swoich dochodów, zmieniając mieszkanie od czasu do czasu, nader umiejętnie. Drummond dostrzegał teraz, że bądź co bądź nie brak wcale sprytu temu młodemu Millerowi; ale jakim sposobem potrafił on nabyć owéj dokładnéj znajomości mechanizmu życia społecznego, która względnie rzecz biorąc, jest także cenną nauką? Podziwiając to w nim, Drummond słuchał go nieraz z upodobaniem; nie iżby go poglądy Jerzego zachwycały, ale że zajmującémi były dla niego w pewnym stopniu. Należy też dodać, że ów rodzaj wyższości, nie czynił Millera zarozumiałym. Zachowywał owszem ciągle pokorną postawę ucznia w obec tego dziwacznego mistrza; i okazywał się wielce zadowolony, ilekroć Gamaleil zaprosił go na spędzenie z nim razem wieczoru, w samotni owego słonecznego wzgórza, gdzie—przenośnie mówiąc—Jerzy siadywał u stóp swego nauczyciela, zdając się słuchać z wielkiém zajęciem monologów, których piątą część zaledwie był w stanie jakkolwiek zrozumieć.

Dziwnie dobraną była owa para przyjaciół. Ale jeśli Miller czuł niekorzystne swe stanowisko, wtedy gdy kierownik jego błądził niedbale po manowcach filozofii, sztuki i literatury; zrywając kwiat tu i owdzie i tlómacząc ukryte jego własności, — to znowu czuł się daleko bardziéj u siebie od Drummonda, na stacyach kolejowych w restauracyach lub eleganckich powozach najętych. To wszystko znał Jerzy na pamięć—jak to powiadają. Jeśli wydał pieniądze, wiedział co może za nie w zamian odebrać. Uśmiechem zbywał nagabania żebrzących oszustów; jako człowiek co nie od wczoraj zaczął żyć na świecie. Jeśli się tłum gdzie zrobił przy wsiadaniu do wagonów, Drummond gotów był zawsze z drogi ustąpić tym co się hałaśliwie do nich tłoczyli; ale młody Miller nie dawał nad sobą przewodzić w ten sposób. Miał równie ostre łokcie i twardą głowę jak i drudzy; a choćby go to miało kosztować niewiedzieć ile zgniecionych kapeluszy, nie darowałby nigdy swego i umiał o prawa swoje się upomnieć.

Pewnego wieczoru, podczas gdy jedli sobie we dwóch obiad, rozmawiając, w Judaeum; służący odkorkował butelkę szampana i ponalewał je w kieliszki. Zaledwie Miller skosztował wino, poznał że całkiem inne było, niż te którego zażądał i zawoławszy służącego zapytał jaki mu podał gatunek? Ten przypomniawszy sobie w téj chwili swą pomyłkę, litościwie patrzał w milczeniu na zmarnowaną butelkę.

— Zabierz ją, rzekł Jerzy, i przynieś takie wino, jakiego żądałem.

Po odejściu służącego, dodał:

— Ta nauczka uczyni tego chłopaka uważniejszym na przyszłość; stracił ośm szylingów przez swoje roztrzepanie.

Służący wrócił wkrótce z dosyć smutną twarzą, przynosząc inną butelkę, i obiad daléj się ciągnął.

— Jaką też zapłatę bierze tu ten człowiek? spytał po chwili Drummond, także teraz trochę posępny.

— Nie wiem tego; zapewne około gwinei na tydzień, a w dodatku ubranie i żywność.

— A może ma jeszcze żonę do utrzymania?

— Wolno i to przypuszczać.

— Może dzieci też mają i małe gospodarstwo; na co wszystko musi ta jedna gwinea wystarczać tygodniowo.

— Zapewne że tak jest.

Drummond milczał przez czas jakiś; nie mógł jakoś przełknąć w tym dniu swojego obiadu. W końcu, rzucił znagła nóż i widelec na talerz i odepchnął go od siebie.

— Millerze, rzekł; ten obiad w gardle mi dziś stoi.

Młodzieniec spojrzał na niego zdziwiony.

— Cóż to takiego? zapytał.

— Nie mogę tu jeść i pić spokojnie, podczas gdy ten nieborak ogołoconym jest z trzeciéj części przeszło swego tygodniowego zarobku;—nie—nie umiem znieść tego!

— A! więc ci chodzi o służącego? Poczekaj, mój drogi, w jednéj chwii wszystko będzie w porządku.

Chętny był we wszystkiém zadowolić swego przyjaciela. Zawołał więc służącego, i rozkazał mu aby wino pomyłkowo podane wpisane zostało do rachunku obiadu; co wywołało na twarz tego biednego człowieka wyraz najwyższéj wdzięczności.

— Z tém wszystkiém źle się bardzo stało, rzekł poważnie Miller, po jego odejściu. Widzisz Drummondzie, ty wcale nie rozumiesz podobnych rzeczy; nie lubisz aby się z ludźmi obchodzono jak z murzynami—a jednak, jeśli dasz wstęp delikatnym uczuciom

do zarządu klubu naprzykład, to po prostu tyle tylko na tém zyskasz, że będziesz miał złych, niedbałych, a nawet zuchwałych służących. Nic nie ma lepszego, jak kazać im znosić skutki ich własnych zapomnień i pomyłek. Alboż i my nie bywamy na to narażani? I któż się wtedy nad nami lituje? Powiedzże sam; czyż nie jest to słusznėm i rozsądném?

— O, zapewne, jest w tém spora porcya zdrowego rozsądku, odpowiedział Drummond w pewien sposób suchy i poważny, który zwykle rozdrażniał jego towarzysza, nie wiedzącego nigdy na pewno, czy się w nim nie ukrywa pewna miara szyderstwa.

— Mój ty kochany Drummondzie, ciągnął daléj Miller, rad też niekiedy módz odegrywać rolę nauczyciela; bądź pewien, że gdybyś tylko dozwolił służbie choć cokolwiek odstąpić w takim klubie od zasad najsurowszéj karności, wszystkoby od razu przepadło, i niktby się ładu nie doszukał. Przypominam sobie ciekawy przykład tego, do czego prowadzi zbyteczna przychylność i spoufalenie się, w rzeczach tego rodzaju. Mieliśmy tu pastora z Oxfordu—człowieka nowéj szkoły dzisiejszéj, rozumiesz—tego tęgo zbudowanego chłopa w filcowym kapeluszu, z grubym kijem sękatym i fajką zawsze w zębach; otóż miał zwyczaj wiecznie się wtrącać w sprawy służących i rozprawiać z nimi o ich żonach i rodzinach. Słuchaj tedy co się stało. Pewnego wieczoru, znajdował się w sali do palenia cygar przeznaczonéj...

Gdy to mówił Miller, twarz jego przeybierała wyraz coraz bardziéj uroczysty; szczerze mu o to chodziło, aby mógł wpoić w swego przyjaciela zdrowsze zasady, co do stosunków ze służącemi.

— Znajdował się w sali do palenia przeznaczonéj, a myśmy też tam siedzieli około kominka, o zmroku; czekając aby świecę przyniesiono. Służący wszedł był z czémś—zdaje się że musiał to być jakiś jego ulubieniec — on zażądał od niego aby mu podał światła. Nie było na stole zapałek; otóż co robi ten zuchwalec! wyjmuje z kieszeni pudełko, dobywa z niego zapałkę, ociera ją o podeszew swojego buta—*o podeszew swojego buta*, wystaw sobie! i podaje ją pastorowi.

— Boże wielki! zawołał Drummond z wyrazem przerażenia na twarzy. I cóż się tedy stało potém. Czy nie otworzyła się czasem ziemia dla pochłonięcia owego niesłychanego zbrodniarza?

— O, bierzesz to za żart tylko, rzekł Jerzy, cokolwiek urażony. Zapewniam cię jednak, że wcale nie żartuję. Gdyby który ze służących mojego ojca, dopuścił się względem mnie czegoś podobnego, nie pozostałby jednéj chwili w domu. A bądź także pewien, że żaden służący nie zrobiłby tego, gdyby go poprzednio

nie uczyniła niedbałym i śmiałym w obejściu, zbyteczna z nim poufałość. Ale mówiąc o tém, nie znam kobiety, coby lepiéj od lady North umiała służbą kierować.

— Lady North? powtórzył Drummond, mocno zdziwiony.

— Tak jest, rzekł Miller z wyraźném zadowoleniem. Zapomniałem podobno powiedzieć ci, że tymi dniami w Twickenham, znalazłem się wśród nich wszystkich na pewnym pikniku. Panienki wiele mają swobody i prostoty w obejściu; a ponieważ nikt się tak bardzo niémi nie zajmował, zaprzyjaźniliśmy się z sobą od razu, a także poznałem bliżéj ich matkę i resztę towarzystwa.

— Czy to także był jeden z twoich głęboko obmyślanych planów? spytał z uśmiechem Drummond, przypominając sobie zręczny sposób w jaki Jerzy zapoznał się był z nim samym.

— O nie, na honor ci zaręczam że tak nie było, odpowiedział młodzieniec. Przyznaję, że wiedziałem iż będą w Twickenham, i że gdyby nie to, może nie byłbym się tam wybrał; ale przysłano mi zaproszenie bez żadnych starań o to z mojéj strony. Lady North zdaje mi się być wcale nie złą kobietą. Byłem u niéj na obiedzie parę dni temu, w małém dosyć kółku. Trochę jest sucha i sztywna w obejściu, i ma szare oczy, dziwnie bystrego wyrazu. Otóż powiadam ci, ona jednem skinieniem całą służbę swoją prowadzi. Dziewczynki wcale uprzejme starsza, Anatolia trochę pokochala się we mnie, jak mi się widzi; o nie masz z czego się uśmiechać; na prawdę, nie pochlebia mi to wcale.

Drummond słuchał w milczeniu Jerzego, zarówno zabawiony jego naiwnémi wyznaniami, jak trafnémi a praktycznémi ocenami ludzi i rzeczy, jakie dorywczo powytwarzał sobie ów gadatliwy i z pozoru roztrzepany chłopak. Gdyby Drummonda spotkał był zaszczyt poznania lady North, potrzebowałby zapewne kilku miesięcy czasu, do wytworzenia sobie jakiegobądź o niéj sądu; a sąd ów wziąłby u niego za podstawę rozmaite dane dotyczące jéj urodzenia, wychowania, lat młodocianych i dzisiejszego duchowego ustroju. Miller zaś widzial ją zaledwie parę razy, z pewnością nic zgoła o niéj nie wiedział; a pomimo to wcale trafnie umiał jéj usposobienie odgadnąć i wyborny dawał swemu przyjacielowi obraz téj kobiety; pięknéj, ostréj, ale spokojnéj i na panią chorującéj, która ciasnotą swego umysłu i dokuczliwém obejsciem, o mało w błąd nie wprawiła swéj pasierzbicy, jakbądź ani względem niéj, ani w niczém inném złych chęci nigdy nie miała.

— A cóż tedy... co do—Violetty? zapytał zacinając się Drummond. Kiedyż jéj w domu z powrotem czekają?

— Nie zdaje mi się, aby urocza Anatolia bardzo niecierpliwie wyglądała owego zdarzenia; albowiem jednocześnie z niém zmniejszą się dla niéj nadzieje wydania się za mąż; powiadała mi jednak, że starsza jéj siostra,—jak ją zawsze z pewnym naciskiem nazywa,—wkrótce już bardzo jest spodziewaną. Prawie dwa lata minęło, odkąd Anglię opuściła; ciekawy też jestem jak teraz wygląda.

— Jak wygląda? rzekł Drummond. Na to łatwa odpowiedź. Ale czém się stała?—to rzecz daleko ważniejsza. Potém, po chwili milczenia, dodał:—Zapewne przeistoczyła się w kobietę, odkąd ją widziałeś.

— Ale przecież nie podobna przypuścić, zawołał Miller, aby w kim zajść mogła zupełna zmiana w ciągu dwóch lat. Zupełna—zapewne, że nie; odpowiedział jego towarzysz, z pewném roztargnieniem. Jak też ona teraz wygląda? Co do powierzchowności, pewnie zyskała nie mało; musi być cokolwiek pewniejsza siebie, a zarazem więcéj pomiarkowana w obejściu, jak to kobiecie przystoi. Niezawodnie ładniejsza dziś jest niż kiedykolwiek była. Ale jakiego rodzaju jest to teraz kobieta—któż to powiedzieć potrafi?

— O, nie wnoszę, aby się w tym względzie tak bardzo mogła zmienić, rzekł Miller trochę niecierpliwie.

Przyjaciel jego uśmiechnął się z łagodną pobłażliwością.

— Ach, ty dzieciaku! rzekł. Tę jedną myśl włożyłeś sobie w głowę, że ona taką samą jak pierwéj została i cieszysz się nadzieją, że z nią znowu będziesz snuł dalszy wątek owego romantycznego ustępu, raz już przerwanego w tak smutny sposób. A co? czy nie o to ci chodzi.

— Co znowu? rzekł młodzieniec z naiwną prostotą.

— Zdaje ci się, że wróci tu pensyonarka, znowu do psot wszelkich gotowa i do dziecinnych miłostek, wszak prawda? Otóż przypuszczam, że w tym względzie czeka cię zawód. Pomiędzy szesnastym a dwudziestym rokiem życia, jakże ogromnie przybywa młodéj dziewczynie doświadczenia, woli i rozwagi! Czy wiesz ty, Millerze, że wypadnie ci robić na nowo znajomość z panną North?

— Nie zdaje mi się, odpowiedział Jerzy. Zkądże tak wnosisz? czy ztąd, że piękne listy pisywała? Toż każdy potrafi korzystnie siebie w listach przedstawić i zachować w nich pewne formy towarzyskie, ale nie sądzę aby taką samą była w rozmowie.

— Tak i ja wnoszę, potwierdził Drummond, odbiegłszy wyraźnie myślą gdzieś daleko od tego stolika, przy którym siedzieli obadwa; i w ten sposób upadł na tę chwilę ów przedmiot rozmowy.

Gdy szli razem przez Piccadilly, tego samego wieczoru, Miller rzekł:

— Mówiono mi, że sir Acton North ma znaczny majątek.

— Zdaje mi się, że tak jest w istocie, odpowiedział Drummond.

— Posiada także zbiór obrazów, znakomitéj wartości; tak przynajmniéj mówiono na owym obiedzie, na którym byłem u jego żony. Co do mnie, nie znam się na takich rzeczach. Na honor, gdybym miał tyle co on pieniędzy, nie wydawałbym ich na malowidła, ani też bym mieszkał na Euston-Square. Ile też sądzisz, że da posagu za swą starszą córką?

Drummond parsknął śmiechem.

— Cóż za dziwne zapytanie? rzekł. Albož ci się zdaje życie dosyć długiém, aby był w nim czas do zastanawiania się nad podobnemi dziecińſtwami? Cóż mię to może obchodzić, jaki będzie miała majątek Violetta North i dla czegóż miałbym o tém przemyśliwać?

Ale w tém znagła, jakby opamiętawszy się, spojrzał na swego towarzysza z wyrazem zdziwionego zaciekawienia w oczach.

— A! rozumiem, rzekł; spodziewasz się... że sprawa ta niebędzie ci z czasem obojętna.

— Nie mam tu siebie na myśli, odparł trochę szorstko młodzieniec. Cóż w tém złego zapytać ile może mieć przypuszczalnie posagu jaka panna? Ma się rozumieć, że spodziewam się wziąść kiedyś za żoną cokolwiek majątku, skoro go sam też mieć będę. Jestże w tém tak bardzo wielka chciwość — sam powiedz, proszę? Mnie zdaje się to całkiem rozsądném. Zdajesz się myśleć, że każdy kto nie doszedł lat trzydziestu, musi mieć koniecznie głowę napakowaną romansami i tym podobnémi bredniami. Co do mnie, nie wdaję się w podobne przywidzenia. Mam ożenienie za prosty interes; wkładam w niego tyle a tyle, więc nie wiem dla czego nie byłbym wprawie żądać tego samego od panny, którą poślubię; tak samo jak ubogi człowiek żąda od swéj narzeczonéj, aby miała w posagu cokolwiek sprzętów i odzienia. Nawet, staje się przez to kobieta więcéj nie zależną. Może mieć pewne zbytkowne upodobania, lub biednym w pomoc przychodzić, nie lękając się być mężowi przez to nadto wielkim ciężarem. A co, cóż możesz przeciw temu powiedzieć?

— O, nic wcale, rzekł Drummond. Wszystko to bardzo jest rozsądne.

— Tak jest; myślę i ja także, że są to rozsądne przekonania, odparł Miller z niejaką żywością. I czyż nie sądzisz, że rozumna kobieta musi mieć te same pojęcia co do tego przedmiotu? Pen-

syonarka ma się rozumieć, myśli tylko o miłości, o świetle księżycowém i o serenadach. Ale rozumna kobiéta, wie co kosztuje prowadzenie domu na Hyde-Park-Square, i mocno jest zadowolona, jeśli ma dla dzieci swoich podwójny dochód w miejscu pojedynczego.

— A więc widzisz sam, że Violetta North powróci rozumną kobiétą, nie zaś pensyonarką rzekł mu na to Drummond, wyprowadzając z tych rozmaitych danych, logiczną ich konsekwencyą.

— O, wcale nie to miałem na myśli, odpowiedział młodzieniec. Chciałem tylko powiedzieć, że gdybym się żenił, nie gniewałbym się wcale o to, gdyby moja narzeczona miała cokolwiek własnego majątku. Nie zdaje mi się, abym był chciwszym od innych ludzi; ale rozumiem czém może być utrzymanie domu i rodziny z dochodu, który bardzo się zdawał dostateczném na opędzenie kosztów kawalerskiego gospodarstwa.

— Bardzo słuszna uwaga; bardzo słuszna, nie ma co mówić.

Nic więcéj nie było w stanie zniecierpliwić Millera, nad tego rodzaju odprawy, dawane mu nieraz od przyjaciela, wtedy gdy probował wciągnąć go w rozmowę o jakim ważniejszym przedmiocie. Już to James Drummond rzadko kiedy bywał w zgodzie z czyjémkolwiek zdaniem, a kiedy powiedział zwięźle: „Bardzo słusznie“—albo też: „Wybornie“—było to pewnym znakiem, że nie chce zadawać sobie trudu zgłębiania więcéj rzeczy, o któréj była mowa. Na szczęście w téj właśnie chwili dochodzili do rogu Half Moon Street; rozeszli się tedy z sobą i Drummond wziął powóz, aby odjechać do domu.

W jakie dwa tygodnie potém, Miller był z kolei gościem u swego przyjaciela, i szczupłe to kółko, do którego teraz należała Amy Warrener, prawie już dorosła panienka, zajęte było słuchaniem rozpraw owego filozofa, którego szkole trudno zaprawdę byłoby dać nazwisko. Pracował on właśnie nad dowiedzeniem—a raczéj zapewniał dogmatycznie—że prawdziwie szczęśliwym jest ten człowiek, który może zapomnieć o przeszłości, a za nic mieć sobie przyszłość, zwróciwszy całą swą uwagę na czynność chwili obecnéj i używając wesoło przyjemności i uciech, jakie po drodze życia napotka. Na co ci frasować się daleką podróżą do domu, dopóki jesteś w teatrze? Na co budząc się, myśleć o dniu następnym i wysilać się na odgadywanie, czy w nim mieć będziesz wieczór przyjemny? W mowie będący filozof utrzymywał, że owo wyrzeczenie się zaglądania w przyszłość powinnoby być w zwyczaj ludzi wprowadzaném, i że każdy rozumny człowiek staraćby się powinien nabyć tak nieoszacowane nawyknienie.

— A potém, ciągnął dalej, stając nagle w sprzeczności z sobą, z ową swobodną obojętnością jaka go cechowała w rozmowie, czémże są uciechy chwili obecnéj, w porównaniu z rozkoszą ich oczekiwania? Wyobraź je sobie dokładnie naprzód, upracuj się nad wytworzeniem ich w twojéj myśli, a wartość ich pozyskasz dwadzieścia razy, zanim rzeczywiście nadejdą. I tak my naprzykład wybieramy się znowu w Highlandy téj jesieni...

Tu pewna młoda panienka klasnęła radośnie w ręce.

— ... i w chwili obecnéj, rozkoszuję się więcéj owym pobytem w górach, niż mię one zachwycą, gdy się wśród nich znajdę. Mogę żartując sobie z owych morderczych wózków rzeźniczych, którymi tam ludzi dowożą, jednym susem wskoczyć w Highlandy i tam stać się od razu dzikim—na wskróś dzikim człowiekiem; nie dbającym ani o wiatr, ani o słotę, ani o upał, i gotowym do położenia trupem każdego dzikiego zwierzęcia, jakie ujrzy hasające wśród wrzosów...

— A czy dużo jest tam zwierzyny? spytał praktyczny Miller.

— O, mnóstwo! zawołała pani Warrener, z bezlitośną szczerością.—Ale on nigdy do niczego nie trafia; i gdyby nie poczciwy stary Piotr, to byśmy pewnie nie mieli nigdy ani jednego ptaka, lub téż zająca do stołu.

— Oszczerstwa to—po prostu oszczerstwa! rzekł Drummond, wracając do swego przedmiotu. — Pomyśl że sobie tylko, co to za rorkosz módz tu w tym gwarliwem pustkowiu Londyńskiém, zdjąć sobie na raz z kołka strzelbę, obejrzeć czy jest całkiem w porządku, a potém wyjąć z szafy i strzepnąć swoją kurtkę myśliwską, i w kieszeni jéj znaleść notatkę z wiadomością o któréj godzinie pocztowa kareta odchodzi od stacyi kolejowéj do Moor of Rannoch. No, to mi dopiero uciecha! Drwię sobie wtedy z Londynu. Staję się pierwotnym człowiekiem—zupełnie dzikim...

W tém właśnie miejscu, przerwało mu zastukanie do drzwi. Była to służąca z listem. O, czyż nie znał tego pisma!

— Darujecie mi państwo, rzekł, pośpiesznie rozdzierając kopertę—skoro wam powiem że — w istocie tak jest Violetta North, powiadam wam już znajduje się w Londynie.

W mgnieniu oka, wszyscy zapomnieli o Highlandach.

— Ach wujaszku! powiedz że nam, kiedy ją zobaczemy? zawołała Amy, z błagalném wejrzeniem.

— Jakto? już z powrotem w Londynie? wołała pani Warrener.

— A gdzież się ona znajduje? zawołał Jerzy Miller.

Drummond stał na środku pokoju, podnosząc w górę złożoną ćwiartkę.

— Ho, ho, moje dzieci, są tu w tym liście tajemnice; kto da więcéj za ich nabycie? Tysiąc kopalni Golkondy, na pierwszą cenę! Czy nikt wyżéj nie licytuje? Cóż tedy?...

Ale tu zamilkł i wszelka żartobliwość znikła z jego twarzy— gdy po za drzwiami ktoś odezwał się mówiąc spokojnie:

— Czy mogę wejść?

Amy Warrener najpierwsza odpowiedziała temu pytaniu, a odpowiedzią jéj był natychmiastowy rozgłośny wykrzyk radości, wraz z którym ku drzwiom poskoczyła. W jednéj chwili były otwarte i weszła do pokoju młoda kobiéta wyniosłego wzrostu, na pięknéj twarzy któréj był wyraz radości i zaciekawienia, a zarazem nieśmiałego zmięszania.

ROZDZIAŁ XI.

W domu.

Przez parę chwil, mało brakło aby uduszoną nie była w objęciach dwóch kobiét; potém zwróciła się z twarzą zarumienioną i z wyrazem radości w oczach, do Drummonda i do jego gościa. Ale była zarazem dziwnie wdzięczna swoboda i powaga w jéj postawie; nawet Amy Warrener, pomimo rozradowania swego, dochodzącego niemal do szału w téj chwili, od razu mogła spostrzedz, że jakbądź witała wracającą Violettę North, nie była to już wcale jéj Violetta z dawnych czasów. Obejście jéj miało teraz nową jakąś i niewysłowioną cechę; było to poważne jakieś panowanie nad sobą, zapowiadające rozwinięcie się w niéj kobiéty.

Z żywością jednak i namiętném zaciekawieniem młodego dziewczęcia, poczęła natychmiast rzucać rozliczne zapytania swym przyjaciołom. Pragnęła dowiedzieć się zaraz o wszystkiém: co się z niemi przez ten czas działo? gdzie są teraz jéj koleżanki z pensyi? jak się miewa panna Main? Potém z nagła zawołała:

— Ach! wy nie macie pojęcia co to za miła rzecz znaleść się znowu w domu; a wierzcie że nie czułam się w domu, choć już byłam w Anglii, dopóki do was nie przybiegłam.

— Czy nie dostrzegasz tu zmian żadnych? zapytał ją Drummond.

— I owszem, rzekła, bardziéj teraz na niego zwracając uwagę; widzę zmianę, ale zaledwie ją umiem zrozumieć. Naprawdę, wydaje mi się to snem chyba – bo całkiem co innego zastaję, niż to czegom się spodziewała.

— Dwa lata stanowią różnicę, rzekł jéj na to. My także, tak samo jak i ty, nie staliśmy przez ten czas w miejscu;—a ty przécież na kobiétę już całkiem teraz wyrosłaś.

— Ale kiedyż stało się właśnie przeciwnie, niż sobie wyobrażałam, rzekła zakłopotana. Wszyscy wyglądacie daleko mlodsi niż się tego spodziewałam,—z wyjątkiem jednéj Amy. Toż przecię— nawykłam była patrzeć na pana, trochę jak na...

— Jak na starego kawalera, przerwał jéj w samą porę ze śmiechem. który przyszedł w pomoc jéj zmięszaniu. No, w każdym razie, dosyć na to jestem stary, Violetto, aby dać ci przestrogę,— oto nie praw ludziom w oczy podobnych komplementów. Więc tedy powiadasz, żeśmy tu wszyscy odmłodnieli?

— Szczególniéj zaś pan;—ach, tak bardzo nawet!

— A czy i ja także? odważył się zapytać Miller, nie podnosząc jednak na nią oczu.

Nie rozmawiali dotąd z sobą. Wchodząc do pokoju, spojrzała była na niego z pewném zdziwieniem; potém od czasu do czasu, chwilowo na jego twarzy wzrok zatrzymywała, z ciekawością na wpół nieśmiałą, na wpół żartobliwą. Teraz, zdobyła się na odwagę spojrzenia mu śmiało w oczy; i lekki rumieniec zabarwił jéj lica, podczas gdy mu odpowiadała trochę niepewnym głosem.

— Zdaje mi się, że nie potrafię tego dobrze ocenić. Wiadomo panu że... że znajomość nasza bardzo krótko trwała.

Więc nie zadała sobie nawet przez te dwa lata trudu, przypominania go sobié!

— O ile mi się zdaje, rzekł nieco szorstko, musiałaś tam pani pozyskać tylu przyjaciół i znajomych, że cały czas twój zabrali.

— Nie zapomniałam o żadnym z przyjaciół których zostawiłam w Anglii, odpowiedziała łagodnie.—Wymówka ta była sluszna; dawała mu nią wyraźnie do zrozumienia, że nie miał żadnego prawa stawiać siebie na równi z tymi starymi jéj druhami.

— Wszyscy tymczasem uspokoili się już byli, po pierwszych wrażeniach radości i zaciekawienia; — i teraz panna North rozpowiadać im poczęła o nadzwyczajnych swoich przygogach i o ciekawych rzeczach jakie widziała w ciągu swéj podróży. Ale co w tém było dziwnego, to że opowiadania jéj, po większéj części się odbywały przez usta Drummonda. Za sprawą szczególnie bystrego subtelnego przeczucia, zdawał się odgadywać przypuszczalne wrażenia młodéj dziewczyny, w tych nowych dla niéj krainach; i w miarę jak przytaczała tę lub ową okoliczność, brał ją od niéj niby przypowieść, podejmując się jéj tłómaczenia. Nikt tego zresztą nie zauważył; zdawało się każdemu, że sama Violetta ciągle mówiła.

— Wyobrażam sobie dokładnie — powiadał naprzykład — jak silne wrażenie musiał sprawiać na tobie ów tryb życia społeczeństw na wpół zaledwie cywilizowanych. Przyznaj żeś tam nabrała pewnego pojęcia o sposobie w jaki ród człowieczy rozpoczynał walkę z przyrodą, o wiele wcześniéj niźli poczęły miasta powstawać. Widziałaś ludzi wycinających lasy kopiących drogi, budujących domy, zakładających małe osady. Patrzałaś na kolebki wiosek, i na urządzanie się prawidłowo społeczeństw. Przyglądałaś się zawiązkom cywilizacyi, że tak powiem; poznałaś konieczność wzajemnéj pomocy pomiędzy osadnikami, a także ogólne działanie podobnego życia, wyrabiającego człowieka w kształty twarde wprawdzie, ale silne i praktyczne. Alboż ci to nie było cennym nabytkiem, przekonać się, za sprawą własnego doświadczenia, jak zupełnie młodém może być życie i społeczeństwo? W Londynie będąc dawniéj, niezawodnie miałaś przekonanie, że w nim zawsze istniały domy i sklepy; że odchodzące na wszystkie strony pociągi stanowią konieczną część światowego ustroju; że wszystkie wypracowane urządzenia i zwyczaje miejskiego życia, odwieczny i niezmienny byt mają...

— A późniéj, jakże to zajmującém było w tych różnych miejscach, dowiadywać się jak ludzie żyją, czém się żywią mówiła Violetta; — doprawdy znam się nawet teraz na gatunkach zboża i na urodzajach.

— Otóż to właśnie com chciał powiedzić; byłaś tam u samego źródła pożywienia człowieka, miasto widzieć je sprzedawane w błękitnych paczkach, po korzennych sklepach. I ma się rozumieć, że każdy taki człowiek rad był pochwalić się swojém polem i zapytywał ciebie co myślisz o jego zbożu;—a tym sposobem przyszłaś do tego, że nie widzisz w krajobrazie samych tylko barw jego, jak to czynią nasze angielskie panie. Ale bydło? czy téż znasz się teraz trochę na bydle?

Musiala wyznać swoją niewiadomość co do owego przedmiotu.

— A także o dzikiém i rozchukaném bydle, opowiedz nam Violetto — o bawołach, o gazellach i o tym podobnych mieszkańcach łąk i gór. Gazelle! kiedy małym byłem jeszcze chłopakiem, już miałem do tego słowa upodobanie. O mój miły Boże! jakże to ja tęskniłem zawsze za życiem człowieka zostającego w stanie pierwotnym, — za łąkami, za wojennémi rozprawami, za nocami przesypianémi po wignamach, i za owymi mokossynami, tak wyborne stanowiącymi u dzikich obuwie! Powiedz mi Violetto, czyś sobie choć jedną parę takich zdobyła, w wędrówkach twoich pośród Gór Skalistych?

— Na pana miejscu, rzekła z łagodną żartobliwością, mówiłabym: mokassyny, nie zaś: mokossyny.

— Otóż ją macie! upokarza nas teraz swą nowonabytą erudycyą. Ale mniejsza o to — chętni jesteśmy do nauki. Violetto musisz nas objaśnić we wszystkiém co dotyczy ludożerców i ich okrucieństw — ale prawda — ci już nie należą do Ameryki, a my chcemy tylko podziwiać szlachetną stronę człowieka w stanie dzikości.

— Mówiłeś pan właśnie o rozkoszach życia pierwotnego — w Highland—wtedy gdy nam panna North sprawiła niespodziankę swojém przybyciem, odezwał się Miller.

— A! Highlandy! zawołała z żywością Violetta; — powiedz że mi pan, dla czego nie wybrałeś się tam zeszłego roku? Zdawało mi się, że po pierwszéj tak pomyślnéj próbie, postanowiłeś bywać tam każdéj jesieni?

Prawdę powiedziawszy... rzekł Drummond, z pewném zakłopotaniem.

Miller wdał się znowu w rozmowę, rad że może objaśnień udzielić.

— On nie chce pani prawdy wyznać, rzekł do Violetty. Rzecz jest taka, że oddał wszystkie pieniądze jakie przeznaczał sobie na tę jesienną wycieczkę, pewnéj owdowiałéj pastorowéj, która potrzebowała dzieci swe zawieść do morskich kąpieli. Co prawda, zdaniem mojem, było w tém za wiele szlachetności. Cóż znowu za potrzeba...

— Powiedz no mi téż Violetto, co sądzisz o Nowym Yorku, przerwał mu śpiesznie Drummond.

Roześmiała się na to, wiedząc że go bardzo mało obchodzi jéj zdanie w tym przedmiocie.

— Ale wybierasz się pan w tym roku w Highlandy, wszak prawda? spytała.

— Zdaje mi się, że tam jesień spędzę.

— Radabym módz z wami odbyć tę wycieczkę, rzekła.

— Czemuż byś pani nie miała tego uczynić? odezwał się znowu Miller.

Na razie, nastręczał mu się na myśl wcale ładny planik. Panna North zamieszkała by ze swemi przyjaciółmi w téj myśliwskiej chatce wśród gór ukrytéj, i rozkosznie by tam oni czas spędzali na przechadzkach wieczornych, po całodziennném zajęciu polowaniem lub rybołówstwem. A gdyby téż—prostym trafem ma się rozumieć—pewien młodzieniec znalazł się gdzieś w sąsiedztwie, to czyżby człowiek tyle uprzejmy i gościnny co Drummond, mógł mu odmówić

kilkodniowego udziału w swych myśliwskich i rybackich rozrywkach? Osobliwe by też tam przyszło miewać zabawy co prawda, czepiając się po wzgórzach, na to aby się dostać na skwarny szczyt jaki i tam słuchać brzęczenia pszczół po nad wrzosami; — albo też wałęsając się w zadumanem milczeniu wieczorami, po chłodnych dolinach patrząc na gasnące po górach ostatnie blaski zachodu i na podnoszące się białe opary z dalekich jezior. Myśląc o tém wszystkiem, Jerzy niespokojnie wyczekiwał odpowiedzi na rzucone przez siebie pytanie.

— Czemuż byś tego nie uczyniła? powtórzył za nim Drummond. Wiesz przecię ilebyś nam tém sprawiła przyjemności.

— Wdzięczna panu jestem za tyle dobroci, odpowiedziała Violetta z uśmiechem, ale mam przecię władzę od której zależę. Lady North stara się teraz znosić mię tak cierpliwie, jak tylko może, a siostrom moim prawie się udało, nie daléj jak dzisiejszego poranku wmówić we mnie, że mię kochają. Mam więc w domu pozostać; i o ile mi się zdaje, wybieramy się wkrótce w podróż, gdzieś ku zachodowi. Najgorzéj na tém wyjdzie biedny ojczulek, bo gdzie bądź przeniesie domowe swoje ognisko, na nic się to przyda.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Violetto?

— Że z pewnością Lady North i ja będziemy w ciągłém z sobą starciu, odpowiedziała młoda dziewczyna ze zwykłą sobie chłodną otwartością. Mam ją za kobiecinę obłudną i ciasnego umysłu; włożyła sobie w głowę, że mam najniegodziwszy charakter; zatém wróci znowu wszystko co dawniéj między nami bywało.

-- Mylisz się najzupełniéj, odparł spokojnie Drummond. Inaczéj teraz będzie, niż przedtém było. Czy wiesz co ludzie powiedzieliby teraz o tobie, jeślibyś nie potrafiła żyć w zgodzie z twoją macochą? Oto, że masz taką złą naturę, że nie możesz żyć w domu własnego ojca.

— Ha! może też jest w tém niemało prawdy, rzekła z pokorą—a w jéj uśmiechu złośliwym Amy Warrener dostrzegła teraz cóś z dawnéj Violetty.

— Zresztą, ciągnął daléj jéj nauczyciel, poprzednio, gdyś w nieporozumieniu bywała z macochą, mogłaś przebywać u panny Main. Ale gdzież się teraz udasz? Nie do szkoły przecię?

— Ach, dajmyż teraz pokój téj niemiłéj rozmowie rzekła wesoło Violetta; — tak szczęśliwą jestem z mojego powrotu i z tego, że się znowu pomiędzy wami znajduję, że się czuję usposobiona do uległości i do pokory nawet względem mojéj macochy. Ona też naprawdę usiłuje teraz okazywać się dla mnie przychylną. Wolno mi dziś zatrzymać powóz do jedenastéj godziny, jeśli mię wcześniéj

od siebie nie wypędzicie. Lady North ma także być tu dla zaproszenia pani do siebie — dodała, zwracając mowę do pani Warrener—chcę mieć państwa u siebie na swojem przyszłem przyjęciu, w końcu miesiąca. Panie Miller, sądzę że musiałeś pan odebrać zaproszenie?

— Tak jest, odpowiedział cokolwiek zmięszany. Ale może ojciec pani nie rad będzie widzić mię w swoim domu?...

— Ach, nie lękaj się pan tego, odpowiedziała mu całkiem swobodnie. Mój ojciec nie ma nigdy zwyczaju starych rzeczy brać w rachunek; a przytém, o ile sobie przypominam, zdaje mi się że otwartość z jaką pan z nim postąpiłeś, podobała mu się. Jakże dziecinnémi byliśmy wtedy! dodała żartobliwie, ale z żywym rumieńcem na twarzy.

Na tém się skończyła wzmianka o tym przedmiocie i nie powrócono więcéj do niego. Violetta oddana była cała radości znalezienia się znowu ze swymi starymi przyjaciołmi, a zmiany jakie w nich na wstępie zauważyła, mniéj ją teraz uderzały. Poddawała się, jak za dawnych czasów, napomnieniom, żartom i dogryzkom Drummonda, i nie dziwiła się temu, że ją po imieniu nazywał. Wyjednała u pani Warrener obietnicę że przyjmie zaproszenie Lady North. Chciała mieć z sobą Amy na przyszłą przejażdżkę do parku, w któréj już na to otrzymawszy pozwolenie ojca—miała sama powozić amerykanką macochy.

— Millerowi dostała się w udziale najmniejsza cząstka jéj uwagi. Mówili mało z sobą, a gdy się to zdarzało, widoczne było u obojga pewne zakłopotanie; często jednak Violetta spoglądała na niego wzrokiem ciekawym, ale spokojnym, zapewne probując cośkolwiek w nim odkryć. On zaś, poprostu siedział wpatrując się w nią — śledząc każde jéj poruszenie, oczarowany jéj głosem, jéj uśmiechem pełnym szczerości, wejrzeniem tych promiennych oczu, o ciemnych długich rzęsach. Czekała go jednak wielka uciecha. Potrzebując coś sobie zapisać, panna North wyjęła ołówek z kieszeni, ale okazało się że był złamany.

— O, pozwól mi pani temu zaradzić, rzekł skwapliwie Miller Znam człowieka nadzwyczaj uzdolnionego w téj robocie.

— Ależ czy wart tego ten ołówek? rzekła, podając mu go.

W miejscu odpowiedzi, dobył z kieszeni śliczny ołóweczek wraz z osadką do pióra i małym scyzorykiem, i prosił ją aby go w zamian za swój przyjęła, jako dogodniejszy.

— Ależ to byłby nadto korzystny dla mnie interes, rzekła z uśmiechem cenniejszym dla niego niż tysiące najpiękniejszych

ołówków i osadek. Ten ołówek jest złoty, a mój z aluminium; dziękuję bardzo, ale nie mogę przecię pana tak krzywdzić.

— A więc przynajmniéj, chciéj go pani zatrzymać, dopóki ci twojego nie zwrócę.

— I owszem, odpowiedziała; skorzystam z pana uprzejmości.

Włożył w swoją kieszeń ów ołówek, wart może z jakie pięć szellingów, z takiém poszanowaniem jak gdyby to był klejnot drogocenny; i w duchu postanowił nie oddać go nigdy więcéj prawéj właścicielce.

Wkrótce potém, według dawnego zwyczaju, dobrze znanego Violecie, z czasów w których tu tyle razy bywała, Marysia, domowa służąca, pojawiła się, przynosząc skromny posiłek wieczorny; nie mało też było uciechy ze zdziwienia w jaki ją wprawił widok Violetty. Ta ostatnia witała ją z przyjazną uprzejmością, jaką miewała zawsze w obejściu ze służącemi i w ogóle z ludźmi niższego stanu; ale Marysia tak zdumiona była widząc dawną pensyonarkę dziś przeistoczoną w tę piekną pannę, całkiem już dorosłą, że ledwie umiała odpowiedzieć na życzliwe zapytania, jakie zadawała jéj Violetta,

— Jeszcze mi jedno musicie powiedzieć — rzekła ta ostatnia, gdy już do herbaty zasiedli; chociaż doprawdy z trwogą o to pytam. Czy już pobudowano domy na Grove-Park?

— Bynajmniéj—była odpowiedź Drummonda.

— Więc dotąd stoją tam moje sędziwe jawory i gnieżdżą się w nich kawki, po dawnemu?

— Nic się nie zmieniło od twojego wyjazdu

— Ach, czy wiecie, powiadała znowu, o czém ja myślałam tam daleko, kiedym chciała wybrać sobie w przeszłości najszczęśliwsze dni jakie w Anglii kiedykolwiek miewałam? Oto powracałam pamięcią do owych świąt Bożego Narodzenia spędzanych tu z wami i do naszych przechadzek wieczorami w téj porze. Czy pamiętasz pan jak to szliśmy nieraz, kiedy już ciemno było, a śnieg skrzypiał pod nogami, kiedyśmy park mijali, światła gazowych latarni błyskały z pośród drzew, w których ciemną gęstwinę zapuszczała się nasza droga? I ta cisza jaka tam daléj panowała —już w pobliżu łąk; taka cisza, że zdawalo się człowiekowi, iż jest bliżéj nieba jak ziemi; i że niepodobna było życia się domyśléć w tych kilku domach zrzadka rozsianych, kolo których przechodziliśmy. A co do Londynu, to chociaż był prawie pod naszémi nogami, ani go dostrzedz można było, ani też żaden z niego odgłos dosłyszeć; — nic w około siebie niemieliśmy

wtedy, prócz białego śniegu, drzew czarnych, i gwiazd. Czy pamiętasz pan to wszystko?

— Ale gdzież to jest? spytał młody Miller ze zdziwieniem,— nieprzypuszczając aby mówiła z takim zapałem o czémś znajdującém się w obrębie Camberwellu?

— Gdzie?

— Z obu stron drogi, odpowiedziała. O jakie paręset kroków ztąd, najdaléj.

— Więc to jest najpiękniejsza miejscowość jaką sobie pani przypominasz? Byłaś jednak przecię w Chamouny?

— Wolę Camberwell, odpowiedziała, chociaż Chamouny o wiele jest piękniejsze. W porze zwłaszcza zimowéj ta okolica jest uroczą. Ale może nie byłeś pan nigdy w Grove-Parku?

— Zaprowadzimy go tam dziś jeszcze, rzekł Drummond; skoro się tylko załatwimy z wieczerzą. Sam też ciekawy jestem odkryć coby tam mogło współzawodniczyć z widokami Szwajcaryi.

— Więc pan tego nie pamiętasz? rzekła, z wyrazem przykrego zawodu na twarzy.

— Pamiętam śnieg i noce cudownie gwiaździste, rzekł — o, bardzo je dobrze sobie przypominam.

— Spodziewam się że warte są pamięci. A cóż może komu przypominać Chamouny? Restauracyą zapełnioną nieznanémi ludźmi; wszędzie tłum rojący się i niezostawiający chwili spoczynku. Co mi po najpiękniejszych widokach, oglądanych w niemiłém towarzystwie?

Tu, z przyczyny jemu jednemu wiadoméj, Drummond roześmiał się, w najniegrzeczniejszy w świecie sposób.

— Tak jest, rzekła Violetta zarumieniona, nie wstydzę się prawdę powiedzieć; kocham tych z którémi bywałam nieraz w Grove-Parku, i może go to w moich oczach upiększyło. W takim razie tém lepiéj dla niego.

— I oni cię także kochają, odezwała się na to Amy Warrener. Masz słuszność Violetto. Ładniejszy nasz Camberwell od wszystkiego co ludzie najbardziéj wychwalają na świecie.

Na tém tedy stanęło, i nikt nie prowadził daléj sprzeczki w tym przedmiocie, bo się niebawem wybrano na zamierzoną przechadzkę. Pani Warrener kierowała nią z Violettą i rzeczywiście potrafiły w jak najkorzystniejszy sposób uwydatnić piękność swego ukochanego zakątka świata. Gdy po dosyć długiéj wędrówce w mrocznych półcieniach parku, całe towarzystwo znalazło się wreszcie na odkrytém wzgórzu, tworzącém część jego najwynioślejszą, widok był ztamtąd prześliczny na rozległe przestrzenie za-

lane światłem księżycowém, a tak milczące, jak gdyby do ziemi nie należały.

— No, niech się [tam nazywa Camberwell czy Chamouny, mniejsza o to, rzekł Drummond z westchnieniem, po chwili cichego rozpatrywania się po tym krajobrazie;—zawsze noc taka pogodna w połączeniu z takim widokiem, zbliża człowieka z niebem koniecznie.

Jerzy Miller tego samego doznawał wrażenia; albowiem stojąc obok Violetty, mógł podczas gdy z zajęciem rozglądała się w około siebie, podziwiać piękne rysy jéj twarzy, teraz bladą i fantastyczną oświetlone jasnością. Chciałby był odezwać się do niéj, ale przerwać nie śmiał, sam niewiedząc czemu, owéj ciszy tajemniczéj. Nie zdawała się zresztą wcale uważać, że był tak blisko, iż nieraz brzeg jéj lekkiego okrycia, dotykał jego ręki, co mu niewymowną rozkosz sprawiało.

— Jest że ten widok tak piękny, jak go sobie pani przypominasz w dawnych czasach? spytał ją wreszcie z cicha.

Zdała się przez chwilę zbiérać rozpierzchłe myśli, potém rzekła:—Tak jest;—ale zaraz potém odwróciła głowę w inną stronę;—nie tak szybko jednak aby się przed nim ukryły łzy, któremi zaszły były jéj oczy.

— Cóż tedy Jerzy, rzekł Drummond, gdy szli z powrotem, pobiliśmy cię na głowę z twoją Szwajcarją, wszak prawda?

— Święta prawda, odpowiedział młodzieniec; nie ma co mówić; składam broń w pokorze.

Gdy do domu powrócili, Violetta nie chciała już ze wszystkiémi wejść do niego, zastawszy powóz ojca czekający przed drzwiami; przed odjazdem, chcąc zostawić swym przjaciołom przywiezione dla nich z podróży upominki, prosiła Millera aby je za nią oddał. Były w niéj resztki pensyonarskiéj nieśmiałości; odzywała się ona w pewnych razach, pomimo pozornéj swobody jéj obejścia, Jerzy przyjął z radością to małe zlecenie; oddała mu więc paczkę zostawioną w powozie, siadając do niego z niejakim smutkiem; zdawało się jéj, że oddalając się ztąd, znowu domowe ognisko opuszcza.

— Zobaczę zatém panią znowu trzydziestego, rzekł Jerzy, trochę nieśmiało na nią spoglądając.

— O tak; bardzo mi będzie przyjemnie pana widzieć, odpowiedziała spokojnie i zaraz potém odjechała.

Zaniósł do domu sporą paczkę którą mu powierzyła, i tam zajął się jéj otworzeniem. Ciekawy zbiór przedmiotów znalazł się po chwili na stole; a w doborze ich znać było staraną pamięć

Violetty. Były tam indyjskie fajki, nakładane złotem i emalią, dla Drummonda, a także prześliczne rewolwery z kolbami ze srébra i kości słoniowéj; pani Warrener znalazła przeznaczone dla siebie wachlarze, oraz szal rzadkiéj piękności; Amy dostał się naszyjnik z różowych korali, z takąż bransoletą i kolczykami. James Drummond, podziwiając te dary, nie omieszkał odezwać się po swojemu, przy téj okoliczności.

— Pewnego razu, rzekł, zdarzyło się iż gromadka biedaków, siedziała razem zebrana, coraz bardziéj zmęczona i zasmucona posępną drogą żywota. Aż tu, pojawia się im zaczarowana księżniczka z uśmiechem na ustach, i przemawia do nich; a wtedy ucieka z serc ich wszelka tęsknota i taka ich wesołość ogarnia, że wierzyć znowu poczynają iż życie nie złą jest rzeczą. A kiedy potém odeszła, cóż oni ujrzeli? Oto nic o tém nie powiedziawszy, zostawiła za sobą mnóstwo prześlicznych rzeczy, których ci biedni ludzie dotknąć się nie śmieli, z obawy aby to wszystko w jednéj chwili z pod ich palców nie znikło. Ale nic nie znikło, gdyż była to żyjąca i rzeczywista czarodziejka; i obiecała że znowu od czasu do czasu przyjdzie ich rozweselać. — Żal mi ciebie Millerze, dodał, że nic dla ciebie nie przywiozła, nie spodziewając się, że cię tu zastanie.

Jerzy dobył z kieszeni jéj ołóweczek i rzekł z dumą, pokazując go:

— Patrzcie na to; przekładam tę drobnostkę nad wasze dary; bo była jéj własnością.

Rozmawiano przez czas jakiś o Violecie, a każdy był nią po swojemu zachwycony. Miller wyglądał jednak cokolwiek zakłopotany. Po pewnym czasie, rzekł:

— Jeśli ona teraz pozostanie w domu ojca, będzie zapewne widywała wiele osób. Także w Hyde-Parku, musi zwrócić uwagę każdego, ilekroć się tam pokaże. Jakże to łatwo aby się przy podobnych warunkach przewróciło w głowie młodéj panience!

— Nie prędko się to stanie z Violettą. rzekła pani Warrener z uśmiechem; bystra to główka, wierzaj pan temu.

Gdy Jerzy Miller szedł z powrotem do siebie, owego wieczora, myśli jakie go nawiedzały, na przemian były przyjemne i frasobliwe. Miał przy sobie przedmiot, który niedawno temu był własnością, Violetty; używała go pewnie długo, nie wiedzieć ile razy miewała go w białéj rączce, kto wie? może nawet ustami dotykała. Wyjął ołóweczek ze swojéj kieszeni, i wśród samotności téj nocy księżycowéj, całował go namiętnie. A czyż nie powiedziała także, iż rada będzie zobaczyć go znowu? Stanie się to

niedługo, oto wkrótce nowy dzień się rozpocznie', już o jedną liczbę bliższy od tego upragnionego czasu. Ale ileż to młodzieży będzie się koło niéj kręciło! Lady North lubi życie światowe; tém więcéj będzie'teraz zbiérała ludzi u siebie, a każdy chętnie postara się o względy panny, równie hojnie uposażonéj w urodę, jak w majątek. Prześliczny krajobraz księżycowy, mniéj teraz zachwycał młodzieńca. Światełka błyszczące po wzgórzach, zdawały mu się niby przyćmione; cały świat mniéj jakoś czarownie wyglądał; — ależ, koniec końcem, Jerzy zobaczy ją znowu w niespełna dwa tygodnie.

ROZDZIAŁ XII.

Noc Walpurgii.

W krótce zaraz potém, Lady Norh oddała w towarzystwie Violetty, przyrzeczoną wizytę pani Warrener. Na nieszczęście, nie było wtedy w domu pana Drummonda; ale siostra jego posiadała w dosyć znacznym stopniu tę samą co on przenikliwość, i ła.wo zatém mogła dostrzedz, ile było nieprawdopodobném aby ta macocha ze swą pasierzbicą mogła kiedykolwiek być w zgodzie. Była to sztywnie przesadna w obejściu, a do tego bardzo wyrachowana kobieta, któréj szare oczy mieściły w sobie wyraz równie chłodny, jak ciekawie przenikliwy; stanowiąca we wszystkiém sprzeczność z ową dumną i popędliwą młodą dziewczyną; mającą wstręt pogardliwy do wszelkiego udania, i dającą go poznać na każdym kroku z zadziwiającą otwartością.

O ile na to pozwalało zimne obejście Lady North, okazała się bardzo uprzejmą względem pani Warrener, i ponowiła z wielkiém naleganiem swe zaproszenie; przyczém okazało się że to co Violetta nazwała skromnie zwyczajném przyjęciem, miało być rzeczywiście balem kostiumowym.

— Wprawdzie czas już hardzo krótki, rzekła Lady North; wszelako mam nadzieję, że nam pani nie zechcesz odmówić — a także iź zabierzesz za sobą córkę.

— O pani, Amy za młodą jest jeszcze do tak licznych zebrań, odpowiedziała pani Warrener, ale co do nas, z chęcią służyć ci będziemy. Idzie tylko o to, dodała z uśmiechem, abym potrafiła namówić mojego brata na podobne przeniewierzenie się samotnemu życiu, do którego tak nawykł.

— Moja droga pani, rzekła na to Violetta, przecież dla najbardziéj nawet światowych osób, bal kostiumowy jest czémś niezwyczajném; ale właśnie dla tego, rozrywka ta bawi każdego, dając pole do różnych zabawnych i dowcipnych pomysłów, Zobaczysz pani jak przyjemném będzie twemu bratu widok tylu strojów rozmaitych. Pewna jestem, że nam nie odmówi swojéj bytności, skoro mu powiesz że go bardzo o to proszę. Będziemy tam mieli swoje osobne kółko—bo i pan Miller jest proszony.

— A jakiż sobie strój obrał? spytała pani Warrener.

— Nie wiem tego, odpowiedziała Violetta; — a zaraz potém dodała z figlarnym uśmiechem, który przypomniał jéj przyjaciółce dawną pensyonarkę panny Main:—Powiedz mu pani, żeby się przebrał za Romea. Wszak prawda że mu z tém będzie do twarzy? Proszę, pamiętaj pani powiedzieć, że sobie tego życzę.

— Zrobię jak chcesz, Violetto, odpowiedziała pani Warrener z uśmiechem, ale potrząsając zarazem głową, nad niepoprawnością psotnego dziewczęcia.

Wbrew obawom siostry, Drummond przyjął zaproszenie ze skwapliwém zadowoleniem — znajdował tu chwilową podnietę dla swéj wyobraźni, zawsze chciwéj pokarmu. Myśli jego zaraz pracować poczęły nad obmyśleniem dla siebie i siostry właściwego stroju. On miał być tym lub owym, ona miała przedstawiać to córkę Faraona, to znowu Conzuelo, lub Joannę Grey. Przy téj sposobności, czynił w rozmowie przeróżne wycieczki, w coraz to nowe epoki dziejów, lub sfery duchwe. W końcu jednak nawędrowawszy tak do umęczenia się, wyznać musiał że sam nie wie jak ma sobie daléj w tym razie poradzić.

Ale w pomoc mu przyszedł niebawem, pewien praktyczny bardzo młodzieniec.

— Najprostsza to rzecz w świecie, rzekł do niego Miller, z wyrazem wyższości jaki miewał w podobnych okolicznościach. Wybierzemy się we troje do znajowego mi krawca na Bow-Strett, trudniącego się wyłącznie wyrobem kostiomów; przejrzemy jego zbiór rycin i zamówimy co nam się podoba. Już tam jest w robocie moje ubranie: będę przedstawiał Karola I.

— A! dobrze żem sobie przypomniała — mam do pana polecenie od Violetty, rzekła mu pani Warrener. Prosiła mię, będąc u nas wczoraj, abym panu powiedziała, że radaby widzieć pana na tym balu w postaci Romea.

— Doprawdy? zawołał z żywością. Żądała tego? ale może był to żart tylko?

— Nic nie wiem; spełniam po prostu zlecenie jakie mi dano.

— Muszę więc zaraz dać wiedzieć krawcowi żeby dał pokój ze strojem Karola I. Bądź co bądź, wypada mi dogodzić jéj życzeniu. Jeśli sobie ze mnie żart zrobiła, zażartuję z niéj także tą niespodzianką.

Wybrali się tedy wszyscy na Bow-Street, w sprawie owych kostiumów, a w drodze Drummond nieustannie o tym przedmiocie rozprawiał, wywołując kolejno z przeszłości postacie o których wspominał i malując je przy téj sposobności, owym szkicowym, pośpiesznym, a zawsze wielce zajmującym sposobem, jaki mu był właściwy. Miller niecierpliwił się tém nieustanném odbieganiem swojego przyjaciela, od tego czém należało im być teraz wyłącznie zajętymi. Nierozumiał na co się tu przydać mogły owe zestawiania strojów, z usposobieniem i czynami tych co je kiedyś nosili? Co za przyjemność wywoływać duchy z grobów, i z nich układać sobie niby bal kostiumowy, przy fantastycznem oświetleniu wyobraźni? Drażniły go podobne dziwactwa; wolałby był aby raz Drummond powiedział wyraźnie jak się zamierza przebrać.

Ale nie łatwa z nim była sprawa, Za każdą prawie stronnicą księgi rycin, jaką przewracał przed nim cierpliwy krawiec, znajdował sposobnośc do coraz nowych uwag.

— A, to Merkutio, powiadał. Jaki przystojny i tęgo zbudowany! Zawsze miałem słabość do tego Merkutia, ale nie wiedziałem że tak korzystnie wygląda. Dowodzą niektórzy, że go dla tego uśmiercił Szekspir, że nie mógł podołać ilości konceptów, jakich dla niego było potrzeba. To tak samo jak żeby kto powiedział, że Bóg starał się jaknajprędzéj rzeki do morza podoprowadzać, z obawy aby w przedłużonym ich biegu przez ziemię, nie zabrakło jéj wody dla nich. Dla tego to niby, rzeki najkrótszą drogę zwykły sobie obiérać, i dla téj saméj przyczyny życie postradał biedny Merkutio.

Miller ruszał ramionami, na te uwagi czynione zdziwionemu kupcowi, który skutkiem tylko grzeczności nieodłącznéj od jego przemysłu, był w stanie od śmiechu się powstrzymać. Z wielką biédą wreszcie, przyszło do ukończenia owego interesu, i przytém Jerzy dał nowy dowód swéj praktyczności. Ułożywszy się z krawcem, co do zostawienia mu na własność kostiumów, po jednorazowém ich użyciu, otrzymał je tym sposobem za polowę ceny żądanéj.

Pewnego wieczora, ogródek ów zaciszny, gdzie Violetta tyle miłych chwil spędziła, dziwnego widoku był świadkiem. Przy zapadającym już zmroku, przechadzała się w nim pod drzewami

milcząca i wyniosła jakaś postać w ciemno-czerwony strój przybrana, z takimże piórem u aksamitnéj czarnéj czapki i ze szpadą któréj koniec wyglądał z pod płaszczyka. Kim mógł być ten człowiek z ostro zakończoną bródką, oczami pałającémi ogniem, i śmiechem szyderczym na ustach? Potém, zeszedł z ganku i zbliżył się ku niemu, przystojny młodzian jasnowłosy, w biały i błękitny aksamit ubrany a z nim razem wyszła z domu ładna kobiéta w bieli, ze złotawemi włosami spadającymi w bujnych warkoczach,—i wszystkie te trzy postacie tak odmienne: Mefistofil, Romeo i Małgorzata, złączyły się z sobą i ze śmiechem rozmawiały jednym językiem. Była to próba balu kostiumowego; jedynego miała ona widza, w osobfe młodéj panienki stojącéj na ganku, która potém powiedziała, że zdawało jéj się w téj chwili, że patrzy na duchy powstałe z grobów, i że drżała aby jéj się w nocy nie przyśniły.

Pamiętny wieczór balu nadszedł wreszcie; Miller ułożył był rzeczy tak, że się sam u Drummonda ubiérał, gdyż wiedział że bez jego nadzoru, Mefistofil zapomnialby z pewnościa o przyprawnych brwiach, lub wąsach Pod tym umiejętnym zaś kierunkiem, wszystko załatwiło się wzorowo.

Dom państwa North iskrzył się cały od świateł; chińskie latarnie pozawieszane były na całéj długości krytego przejścia wiodącego od niego do bramy wjazdowéj; a na ulicy mnóstwo ludzi stało dla przyglądania się gościom wysiadającym z powozów, i idącym tą drogą, różnobarwnemi światłami rozjaśnioną. Mefistofil sprawił na wszystkich nie małe wrażenie, zewsząd powtarzano w około niego: „To istny Szatan;“—co do Romea, ten nadto był zaprzątnięty własnémi myślami, aby mógł słyszeć co o nim mówiono. Jak też będzie ubrana Violetta i w jakim ją zastanie usposobieniu? zapytywał siebie, zawczasu przykro dotknięty myślą o hołdach, którémi ją ujrzy otoczoną tego wieczora.

Podczas gdy przechodzili przez obszerną sień dolną, roił się wkoło nich tłum przeróżnych postaci, tak urozmaicony i widokiem swoim nastręczający tyle myśli coraz odmiennych, że zdawalo się im we śnie raczéj to wszystko oglądać, niż na jawie. a k samo jak oko nie mogło tu dlużéj nad niczém się zatrzymać, nieustannie nowym nęcone widokiem, tak też i ucho wyraźniejszego dźwięku nie umialo pochwycić, wśród zmięszanego gwaru rozmów. Ale w tém, głos dobrze im znajomy tuż przed niemi wyrzekł:

„Jestżeś Romeo—mów, jestżeś Montechi?“

Wszyscy troje w miejscu stanęli, podziwiając cudne widzenie jakie mieli przed sobą. Nie była to już owa Violetta North, którą znali, ale istna Julietta zstępująca w całym blasku swéj urody z balkonu od księżyca oświetlonego; trochę blada na twarzy, ale może ją taką czynił odblask białego atłasu sukni, od którego też cudownie odbijały czarne jéj włosy; oczy miała rozjaśnione podnieceniem zabawy, i dumny, a zarazem słodki uśmiech na ustach. Młody Romeo stał przed nią osłupiały,—byłże to znak wyjątkowéj dla niego przychylności, czy też lekceważenie młodéj kobiety, dającéj mu poznać wyborem tego ubrania, że nie przypuszcza nawet, aby mógł go wziąść na seryo do siebie? Z twarzy jéj, wyrażającéj tylko wesołe ożywienie, trudno było coś odgadnąć; zbliżyła się uprzejmie ku swym przyjaciołom i ofiarowała się zaprowadzić ich do salonów pierwszego piętra, gdzie znajdowała się gospodyni domu.

— Pójdźmy naprzód, aby wskazać tym państwu drogę, rzekła opierając się na ramieniu Drummonda.

Miller poszedł za nią z panią Warrener. cokolwiek zasępiony; czyż nie stosowniéj było, aby Julietta wchodziła na bal, podając rękę Romeowi.

Przez chwilę tłum nagromadzony na schodach, zmusił ich do zatrzymania się. Violetta obejrzała się i ujrzawszy tuż za sobą Romea, rzekła do niego z tkliwą słodyczą:

„Jakżeś tu przyszedł, powiedz, i dla czego?
Mur jest wysoki i trudny do przejścia,
A miejsce zgubne: gdyby cię kto z moich
Krewnych tu zastał—“

Nie umiał odpowiedzieć,—twarz mu się zarumieniła od zakłopotania; ale na szczęście w téj saméj chwili poruszenie tłumu popchnęło ich naprzód.

— Nauczyła się swojéj roli, lepiéj niż pan, rzekła z uśmiechem pani Werrener do Jerzego.

— A cóż ja tu mogłem wiedzieć? odparł z rozdrażnieniem. Alboż się spodziewałem że zechce być dzisiaj Juliettą? Zapewne powtarza słowa Szekspira;—a tu człowiek nie wie co odpowiedzieć, i wygląda jak dudek.

— Ależ musisz pan znać przecie, te cudne wyrazy jakiemi Romeo do swéj kochanki przemawia? rzekła mu jego towarzyszka.

— Nie znam ich wcale, odparł zafrasowany. Poezya nię była nigdy moją rzeczą. Ale — gdybyś też pani chciała mi podpowiedzieć z jakie parę chociaż wierszy...

— Ach, możesz pan być spokojny, odpowiedziała śmiejąc się; uważam że mój brat wyręcza cię wyśmienicie. Posłuchaj tylko co mówi teraz do Julietty.

Rozmawiali w istocie z sobą słowami poety; słuchając ich, Jerzy przyszedł do przekonania, że sława Szekspira jest przecenioną, a także, że teatrowi należy zostawić, to co do niego należy.

W gabinecie, po za balową salą, zastali nasi goście panią domu, bardziéj uroczystą niż kiedy, ale wielce też uprzejmą. Miała przy sobie starszą córkę swoją, Anatolią, dosyć pospolitéj powierzchowności panienkę, którą jednak skwapliwie zaprosił zaraz Miller do pierwszego walca, jakimby mogła rozporządzić. Violetty zaś wcale do tańca nie zamawiał, wyraźnie do niéj chowając urazę.

Wrócili do balowéj sali, aby się zabawiać malowniczym widokiem jaki przedstawiała w téj chwili. Julietta ciągle wsparta na ramieniu Mefistofila, pokazała mu balowy swój pugilaresik mówiąc:

— Patrz pan, nie zapisałam tu jeszcze żadnego zamówienia.

— Czy chcesz zacząć odemnie? zapytał.

— Tak jest.

— Ależ przecie, wypada aby Romeo tańczył z Juliettą.

— Życzę sobie tańczyć z panem; czyli raczéj — co na jedno wyjdzie, chcę być od pana zaproszoną do kilku tańców, podczas których będziemy mogli siedząc sobie na uboczu, rozmawiać swobodnie i przyglądać się zabawie.

— Dajże mi twoją tabliczkę, Violetto.

Podała mu ją, a on nakreślił na niéj pewną ilość głosek dosyć niekształtnych.

— Co to znaczy? dla czegoś pan napisał J. D. na każdym wierszu?—zawołała.

— Zrobiłem jak mi się najlepiéj zdawało, rzekł. Ale nie lękaj się, abym nadużywał mojego położenia. Ile razy zechcesz pokrzepić na duchu twego zasmuconego Romea, zostawię ci wszelką swobodę ku temu. Cóżeś mu tak niemiłego powiedziała?

Obejrzała się i spojrzała na młodzieńca z niejakiém zdziwieniem. Wyraźnie, nie zdawał się bynajmniéj zadowolony.

— Chodź pan, rzekła do niego, zaprowadzę cię na balkon sali balowéj i będziesz miał ztamtąd prześliczny na nią widok. Ale może wolałbyś tańczyć?

— Dziękuję bardzo pani, odrzekł chmurno, nie mam tego zamiaru.

Ona nie zdawała się wcale zważać na jego posępne usposobienie i rzekła uprzejmie:

— Jeżeli zechcesz pan pójść z nami, wybierzemy sobie chłodne miejsce na balkonie. Chodźmy, panie Drummond.

— Nie jestem sternikiem, odpowiedział głosem tragicznym.

„Gdybyś jednak była
Równie daleko, jak ów brzeg, którego
Morze najdalsze podmywa krawędzie
Śmiało po taki klejnot bym popłynął.“

A ona rzuciła mu bez namysłu następujące w dramacie wyrazy, i śmiejąc się, wzięła jego ramię; a tak razem odeszli, wiodąc daléj swą poetyczną rozmowę.

— Wyglądamy jak gdybyśmy byli za kulisami jakiego teatru, naprawdę, rzekł kwaśno Jerzy do pani Warrener.

— Czyż to pana nie zajmuje, odpowiedziała mu, widzieć jak wybornie to dziewczę odgrywa rolę Juliettу?

— Kiedy chcę zabawiać się teatrem, idę wtedy na teatr, odparł szorstko; a w domu prywatnym szukam innéj rozrywki.

Wązkie przejście, którém szli, w istocie przypominało trochę kulisy teatralne. W końcu jego był niewielki pokój, ze stolikiem nakrytym na środku; zatrzymawszy się tu na chwilę, Violetta rzekła:

— Lady North była tyle uprzejmą, że nam wyznaczyła to miejsce do wieczerzy, abyśmy we czworo mieli sobie kątek ustronny. Wrócimy tu niedługo.

Poszli dalej i wkrótce znaleźli się w uroczym półcieniu balkonu, przystrojonego kwiatami i białémi z czerwoném draperyami, zkąd wprost widok mieli przez otwarte drzwi szklanne na wspaniałość sali balowéj. Tańce rozpoczęły się były znowu, nikogo zatém prawie nie było na balkonie i wybornie iść mogła poufna rozmowa naszego gronka.

Z razu nie brał w niéj udziału Jerzy, ale gdy się zajęła Violetta wypłoszeniem szatana zazdrości, który go opętał, wkrótce potrafiła myśli jego rozjaśnić. Byłaż to jednak zazdrość naprawdę? Nie zastanawiając się głębiéj nad tém, probowała uprzejmie rozweselić swego gościa, i udało jéj się to najzupełniéj. Samo zresztą miejsce, w którém się znajdowali, już go mogło usposabiać do najrozkoszniejszych złudzeń. Nie był że to balkon Julietty, na któ-

rym widział się przy niéj, zamiast z daleka oczy ku niéj wznosić?

— Czy nie zamierzasz pan wcale dziś tańczyć? zapytała go.

— Tak jest, pani.

— I nie zrobisz pan nawet wyjątku w tém dla mnie?

— Widzę, że pani tabliczka jest całkiem zapisana.

— Ach! to żart tylko. Ułożyłam się w ten sposób z panem Drummond, ażeby ocalić moją swobodę na cały wieczór; i bardzo na tém dobrze wychodzę. Ale zdaje mi się, dodała, że taniec nie zgadza się z powagą Mefistofila; wszak prawda, panie Drummond?

— Ani też z wiekiem jego, odpowiedział. Rozrywka ta jest stosowną tylko dla młodych Romeów. Czemuż więc tu czas tracisz próżniaczo, piękny młodzieńcze?

Jerzy zaprosił nieśmiało Violettę do walca, nie pewien czy mu zechce przebaczyć jego poprzednią szorstkość i przejęty obawą, aby znowu go jakim żartem nie odstraszyła. Ale przyjęła z uśmiechem jego ramię i po chwili wirowali razem wśród zamętu sali balowéj.

Drummond stojący z siostrą we drzwiach, wiódł wzrokiem za tą piękną parą, tak dobraną, zarówno urodą jak strojem. Raz mu ona z oczu znikała wśród tłumu tancerzy, raz znowu z pomiędzy niego błyskała, to białą szatą Julietty, to błękitném piórem Romea, lub srebrnym haftem jego ubrania.

— To jest najpiękniejsza pora życia, rzekł wreszcie Drummond do siostry. Wtedy człowiek posiada wszystko: młodość, zdrowie, swobodę ducha, i radość własnego istnienia, — nie zaś ogląda tylko w innych owe dary. Widok ten sprawia koniecznie pewien smutek, patrzącemu, ma się rozumieć. Ci na których on patrzy, nie myślą o jutrze, tém mniéj o wieku dojrzałym, lub też o czém bądź, co może być obawą jaką lub niepokojem. Spójrz na nich— czyż nie chciałoby się módz im w wieczność zamienić tę chwilę, i przedłużyć dla nich do nieskończoności rozkosz tego zawrotnego wirowania?

— Nie rozumiem dla czego, rzekła mu z żywością siostra, łączysz ich z sobą zawsze w twojéj myśli i tak o nich mówisz, jak gdybyś sądził, że się koniecznie pobrać z sobą mają.

— A czemużby nie? odparł, jakby z roztargnieniem.

— Czemu nie? Alboż można przypuścić, żeby młoda dziewczyna tyle bystrości i wrodzonéj dumy posiadająca co Violetta, mogła poślubić kogoś takiego jak ten młody Miller; — toż on nie więcéj posiada wyobraźni, uczucia, słowem życia duchowego, co kawałek drewna!

— Już to uważałem Saro, że Jerzy nie jest teraz w łaskach u ciebie; z tém wszystkiém nie głupi wcale z niego chłopak, a przynajmniéj tyle ma głowy, co większa część ludzi, i do tego więcéj niż ktokolwiek chęci skorzystania z wiadomości drugich.

— Nie powinna nigdy iść za niego Violetta, takie moje zdanie.

— Jednak dawniéj lubiłaś go dosyć.

— Zapewne; ale nie śniło mi się nigdy, aby owa dziecinna ich sprawka miała kiedyś wpłynąć na dalszą ich przyszłość. Teraz, widzę wyraźnie, że byleby się na to zgodziła Violetta, on radby z nią się ożenić i starać się o to będzie wszelkiemi sposoby; co do niéj zaś ma ona dla niego pewien rodzaj sympatyi, biorącéj może dotąd źródło w saméj tylko wyobraźni, ale z któréj może czasem wyniknąć dla niéj wielkie nieszczęście.

— A! w taki to sposób określasz małżeński związek? rzekł nawpół żartem.

Ale w téj chwili, młoda para, o któréj rozmawiali, do nich wróciła. Oboje ożywieni byli, weseli, i znać w nich było chęć podzielenia się z drugiémi własném zadowoleniem. Miller z takiém naleganiem zapraszać począł do tańca panią Warrener, że na raz jeden uledz musiała jego prośbom, ale gdy się potém zwrócił znowu ku Violecie, odmówiła mu już stanowczo, chcąc resztę wieczora spędzić ze swoimi przyjaciołmi. Pozostała więc z niemi, wytrwale odrzucając prośby młodzieży, domagającéj się ciągle o zaszczyt tańczenia z nią.

Podczas wieczerzy, którą spożyli we czworo, w owym ustronnym saloniku, lady North przyszła zabawić jakiś czas z niemi i uczyniła uwagę, że nie widziała jeszcze nigdy Violetty tak rozpromienionéj. W rzeczy saméj, uczucie szczęścia z oczu jéj tryskało, patrząc na nią, rzec było można, że nic dorównać nie może dla młodéj dziewczyny pierwszemu wrażeniu podobnéj zabawy.

— Cóż pan myślisz o tém wszystkiém? rzekła do Drummonda, gdy potém poszli znowu przyglądać się tańczącym parom.— Wszak prawda, że to widok uroczy?

— Co myślę? Oto staram się we własną twoją myśl wchodzić w téj chwili. Najwyższą jest mi tu rozkoszą ta, jaką na twarzy twojéj czytam. Poraz to pierwszy widzieć mi się zdarza wrażenie jakie sprawia pierwszy bal na młodéj dziewczynie, i na prawdę, rzecz ta warta aby się jéj przyjrzeć.

— Dla czegoż to mówisz pan tak posępnie?

— Czyż w istocie to znajdujesz?

— O tak; a jak przy tobie nie jestem, to widzę z daleka, że patrzysz na tę całą zabawę, jak gdyby cię ogromna przestrzeń od niéj dzieliła. Wolałabym, żebyś pan ze mną tańczył, niźli co tak stoisz zadumany, z tym dziwnym twoim wzrokiem.

— Taniec przystoi młodym Romeom, nie zaś mnie, odpowiedział jéj, a w téj właśnie chwili, Romeo we własnéj osobie, pociągnął ją znowu z sobą w wir sali balowéj.

Po skończonym tańcu, gdy w miejsce hucznéj muzyki słychać było tylko przyciszone rozmów gwary, Violetta poszła ze swym towarzyszem odszukać reszty ich kółka. Chcąc się dostać do balkonu, przechodzili przez salonik, w którym niedawno temu jedli wieczerzę. Stół był w nim jeszcze nakryty; że zaś ciasne pozostawało koło niego przejście, Violetta chciała pójść przodem, ale Jerzy zatrzymał ją, wziąwszy za rękę. Obejrzała się na niego ze zdziwieniem.

— O chwilę tylko panią proszę, rzekł. Ona zrozumieć nie mogła, dla czego był taki wyraz niepokoju w jego oczach. — Potrzebuję rozmówić się z tobą, Violetto, dodał, chcę ci powiedzieć...

Wtedy od razu zrozumiala go, i cofnęła się strwożona. Pierwszą jéj myślą było po pensyonarsku ratować się spieszną ucieczką na balkon, ale po chwili kobieta odezwała się w niéj, i zrozumiawszy, że podobny środek nic nie załatwi, błagać poczęła Jerzego, aby sobie oszczędził przykrości prośby, na którą musiałaby odpowiedzieć odmową. Ale nie przewidziała jego zamiarów.

— O jedno cię tylko poproszę, rzekł z gorączkowym pośpiechem;—przyrzeknij mi, że przez dwa lata nie oddasz nikomu twojéj ręki;—czy to zechcesz uczynić?

Dziwne było to żądanie; raczéj zazdrości zdawało się wyznaniem, niźli miłośnego uczucia. Violetta zbladła cokolwiek, w głębi duszy strwożona; chciałaby była zbyć rzecz całą śmiechem, ale nie umiała zdobyć się na to.

— Nie rozumiem wcale pana, rzekła. Nie zabieram się wcale do wyjścia za kogokolwiek; nie przeszło mi przez głowę nic podobnego.

— Żądam tylko prawa do zachowania nadziei, rzekł zatrzymując jéj rękę w swoich i w oczy jéj patrząc bystro. Zostaw mi chociaż to; może kiedyś potrafię cię nakłonić do zostania moją żoną.

— Nie mogę—nie mogę nic przyrzekać, rzekła zmięszana.

— Nie żądam też przyrzeczenia, Violetto—wysłuchaj mnie—nie bądź nadto srogą względem mnie.

Spojrzała na niego i ujrzała w oczach jego wyraz gorącéj prośby.

— Cóż chcesz pan abym powiedziała? spytała zcicha.

— Że mi nie zabraniasz mieć nadzieję, iż kiedyś zechcesz mię poślubić.

— Ale to będzie znaczyło tylko: „że może kiedyś“—rzekła z wzrokiem ku ziemi spuszczonym.

— Niechże i tak będzie—dosyć mi tego, odpowiedział skwapliwie.

— A więc dobrze—przystaję na to.

W uniesieniu swéj radości, o mało jéj nie pochwycił w swe objęcia, ale nie ośmielił się na to; ucałował tylko jéj ręce namiętnie, nazywając ją aniołem dobroci.

— Teraz, Violetto, rzekł, pojmujesz że wypada mi prosić twego ojca o pozwolenie...

— Ach, nie! nie chcę tego za nic! — zawołała przeczuwając, że krok podobny związałby ją jeszcze bardziéj.

— Ależ to będzie rzecz pomiędzy nim a mną tylko, zawołał Jerzy z tymże samym gorączkowym pośpiechem. W niczém to ciebie nie zobowiąże. Przecież i bez tego, już się zapewne domyśla twój ojciec dla czego starałem się o bliższy stosunek z jego domem; ten krok posłuży tylko do należytego wyjaśnienia całego położenia.

— Dobrze więc, rzekła, zgadzam się na to. Nie widzę tu powodu do niedorzecznych tajemnic. Ale powiesz pan mojemu ojcu, że nie przyrzekałam pójść za pana, żem tylko...

— Powiem mu wszystko. O Violetto, jakżeś ty dobra!

— Idź pan, przerwała mu spiesznie, a twarz miała bardzo bladą—idź pan—masz przecie tańczyć z panią Warrener.

Radość Jerzego dochodziła niemal do szaleństwa. Upojony był szczęściem; twarz jego promieniała niém, śmiech miał nerwowy, mowę szybką i gorączkową. Violetta przeciwnie, smutna była, blada i milcząca. Gdy po odejściu pani Warrener do sali balowéj, pozostała sam na sam z Drummondem, rozmawiała z nim mało, ale wszystko co powiedziała tchnęło żywém uczuciem przychylności. Jakbądź zwykłem było u niéj to usposobienie względem jéj dawnych przyjaciół, wyrażało się ono w téj chwili o tyle gorręcéj niż zwykle, że mogło to zdziwić bystrzejszego spostrzegacza.

James Drummond zwrócił uwagę swéj towarzyszki, na bladą błękitnawą smugę widniejącą na widnokręgu; czas mu już było zabierać się z siostrą do domu, powiadał.

— Jakżem rada, rzekła, żeś się pan dobrze tu zabawił. Byłoby mi to niemałą przykrością, gdyby ci się nie opłacił cały kłopot jaki miałeś z powodu tego wieczoru.

— O, nie miałaś się czego lękać, odpowiedział z uśmiechem. Sam widok twéj uciechy mógł w tym razie zadowolnić każdego.

Już na dobre brzask szary coraz bledszym się stawał, gdy te trzy dziwaczne postacie do domu powracały, dumając pod wpływem świeżo doznanych wrażeń. O czém też myśleli oni wszyscy, teraz gdy już nastawał dzień nowy, a gorączkowe podniecenie téj nocy Walpurgii przeminęło, i na zawsze w cichą przeszłość zapadł jéj zamęt gwarliwy.

Pewien młodzieniec, zdążający eleganckim powozem w stronę Piccadilly, następujące w myśli swojéj czynił uwagi:

— Jak ona ślicznie będzie wyglądała bawiąc swych gości przy stole, na proszonym obiedzie! Naprawdę, taką żonę można będzie z dumą wieść z sobą na przejażdżkę do Parku. Jestem też ciekawy co mi ojciec przeznaczy? — no, w każdym razie, będzie to przecie coś przyzwoitego; a jeśli przytém sir North postąpi ze swéj strony jak należy, znajdziemy się w całkiém dobrém położeniu. Na honor, szczęśliwy ze mnie chłopak; w czapce się chyba musiałem urodzić. Niech się ona nie lęka z mojéj strony obojętności, lub jakiegokolwiek uchybienia; za nadto mi przecie na tym interesie zależy, abym go zaniedbał.

Jednocześnie, w innym powozie, toczącym się w przeciwnym kierunku, śniady mężczyzna, w średnich już latach będący, twarzy posępnéj i znużonéj, mówił z siostrą swoją. Ale o czémże jéj prawił? Z pewnością, nie o balu, z którego wracali.

— Przypuszczam, powiadał, z tém rozmarzoném roztargnieniem jakie mu bywało właściwém w rozmowie, że Roland, ów szlachetny wzór rycerstwa—nigdy nie istniał. Ale mało mnie to obchodzi; albowiem ten, który zdołał stworzyć tak skończone uosobienie męzkiéj doskonałości, — który, pośród tylu poniżających i tuzinkowych zajęć życia powszedniego—wśród śniadań, obiadów, konieczności golenia się i umywania — słowem wśród tylu wstrętnych szczegółów, które z sobą każda godzina przynosi; człowiek, który tém wszystkiem otoczony, potrafił z wyobraźni swéj wysnuć tak wspaniałą postać jak typ Rolanda, większym był daleko od swego utworu. Czy nie podzielasz mojego zdania, Saro? Nie dbam o to czy żył kiedy na świecie król Artur, skoro wyższe od niego duchy umieją nam o nim opowiadać. Z tém wszystkiém zdaniem mojém, Tristram męztwem przewyższa wszystkich ryce-

rzy, i opowieść o nim jest najbardziéj malowniczą, w całym utworze *Śmierci Artura*...

I znowu daléj o czém inném prawił, a z pewnością nie miało to nic wspólnego z balem kostiumowym:

— Ciekawy też jestem, czy mędrcy Egiptu, mieli na celu wpajanie w ludzi pokory, gdy im chrząszcze czcić kazali? Czy też było to poprostu probowanie ich wiary? Pomyśl-no tylko, co to było za oszustwo przedstawiać w sowie uosobienie Minerwy! toż to najgłupszy ptak przecie jakiego sobie można wyobrazić. Zdaje mi się, że sowy nie jadają winogron; ale żaden ptak chyba oprócz nawpół ślepéj sowy, nie byłby tyle niedorzecznym, aby przyjść dziubać malowane grona Zeuxisa.

A potém znowu—ale cóż u Boga mogło to mieć za związek z owym balem kostiumowym?

— Co to za miła rzecz musiała być, módz nosić miecz z sobą; stanowiło to niby przeświadczenie rozrządzania życiem lub śmiercią drugich. Miecz ten zrastał się niby z tobą;—gdyś słabym był on ci siły dodawał. Teraz ludzie idą na wojaczkę, z różnemi maszynami i przyrządami; i zdaje mi się, że mało kto wie czy zabił, lub nie, człowieka podczas bitwy. Ale czy nie zdaje ci się jednak, że wielka wojna musi po sobie zostawiać w tysiącach piersi ludzkich, skryte przeświadczenie popełnionych morderstw?—przypuszczenie lub przekonanie, którém ten co go doświadcza, nie dzieli się nawet z własną żoną? — majaczący obraz konającéj twarzy, straszliwe przypomnienie jakiegoś krwi bryzgnięcia?

W domu, z którego wyszły były nie dawno te trzy osoby, młoda dziewczyna siedziała sama jedna w swoim pokoju, z głową spuszczoną i z rękami zaplecionémi na kolanach.

— Czym ja przyrzekła? czy mu przyrzekłam? — powtarzała sobie. O, jakże on wyglądał zaniepokojony i nieszczęśliwy! Była to dla mnie owa chwila stanowcza, w któréj kobiéta musi być okrutną lub też litościwą dla pierwszego człowieka, który ją pokochał. Nie umiałam być okrutną; ale przecież nie zobowiązałam się do niczego. Może się jeszcze okazać, że to wszystko było pomyłką; i kto wie, czy zestarzawszy się oboje, śmiać się nie będziemy z naszego młodocianego romansu. Ale kiedy on też mówić będzie z moim ojcem?

Myśli jéj wzięły znagła inny obrót z szybkością błyskawicy skierowały się ku domkowi na słonecznym wzgórzu Camberwellu.

— O mój ty dobry poczciwy przyjacielu, powiadały one, czemużeś był tak smutny téj nocy, i czemu zdawałeś się z tak daleka

na nas spoglądać? Mówiłeś że ci przyjemną była ta zabawa, ale czyniłeś to jedynie dla ucieszenia mnie. Czy nie masz ty nikogo, coby ciebie zapytał, o czém téż myślisz, wtedy gdy tak wyglądasz? I czy wiesz o tém, że są tacy, co by oddali własne życie,—co by z chęcią i z radością poświęcili to swoje tak mało warte istnienie — byleby za tę cenę mogli rozjaśnić posępne twoje oczy i uczynić cię wesołym i szczęśliwym.

ROZDZIAŁ XIII.

Ogień i woda.

Jeśli Jerzy Miłler miał jakąkolwiek nadzieję pozyskania ręki Violetty North, to należy przyznać, że wziął się do tego nie w najzręczniejszy sposób. Przy większym cokolwiek zasobie wyobraźni i za pomocą towarzyszącéj jéj zwykle przenikliwości, byłby poznał szaleństwo potrząsania przedwczesnie przed oczami młodéj dziewczyny bystréj i namiętnie przywiązanéj do własnéj swobody, tymi kajdanami małżeństwa, które raczéj powinny były zostać do czasu zachowane w półcieniu dalszych planów, lub nawat całkiem przed nią zakryte. Byłby zrozumiał, że najkorzystniejszem dla niego było, utrzymywać w niéj to uczucie na wpół tkliwe, na wpół żartem zaprawne, do którego była usposobiona względem swojego młodego wielbiciela, zostawiając przyjaźnemu działaniu czasu, staranie umocnienia go i uczynienia głębszém, i przyzwyczajając ją do myśli utracenia swéj niezawisłości zręczném i powolném stopniowaniem. Ale praktyczny ów młodzieniec zaniedbał tego wszystkiego. Zapragnął wyjaśnić od razu ich wzajemny stosunek. Nie rozumiał dla czegoby nie mieli związać się przyrzeczeniem, tak samo jak to drudzy czynią. Cóż tu zaszkodzić mogła obrączka zaręczynowa? Jednèm słowem, pilno mu było zapewnić sobie posiadanie cudnie pięknéj żony; a tymczasem ona zapatrywała się na prawa jakie rościł do niéj ze zdziwieniem i z wyraźnym wstrętem; a ztąd brały źródło pomiędzy niemi wszelkie rodzaje nieporozumień bywających w użyciu pomiędzy kochankami, sprzeczek wprawdzie dosyć podniecających, ale także cokolwiek niebezpiecznych.

Przedewszystkiém zaś, poszedł się rozmówić z ojcem Violetty, który go przyjął nader przyjaźnie.

— Jakto? rzekł wysłuchawszy jego przemowę, wykradasz naprzód młodą dziewczynę, a potém przychodzisz prosić jéj ojca o pozwolenie starania się o nią; nie jest że to tém samém co zostawiać konia za powozem, zamiast przed nim?

Miller dosyć się czuł zakłopotany, ale skoro przyszły jego teść tyle był łaskaw, że chciał w téj chwili w żarty się wdawać, wypadało i jemu śmiać się; wykrzywił tedy usta do nie bardzo wesołego uśmiechu.

— Ale cóż ona na to powiada? Bo przecież oto najwięcéj tu chodzi?

Naprawdę, nie było powodu, dla któregoby Sir Acton North mógł chcieć odmówić temu młodzieńcowi ręki swojéj córki. Należał do zacnéj i bogatéj rodziny, osobiście téż wszystko za nim przemawiało; co do interesów, zdawał się mieć jak najlepsze widoki na przyszłość. Zresztą, inny wzgląd jeszcze zasługiwał tu na uwagę. Sir Acton uważał za bardzo kruchy rozejm istniejący pomiędzy swą żoną i jéj pasierzbicą; lada chwila mógł stać się niemożliwym dłuższy pobyt Violetty w jego domu, a wtedy gdzież by ją pomieścić? Jeśli chce poślubić tego młodzieńca, czemuż nie ma tego uczynić? Wszystko się na to składa, bo i Lady North rada będzie z przychylności okazanéj zamiarom Jerzego Miller. Sir Acton wiedział to dobrze, i z tego powodu zamierzał przedstawić jako ustępstwo uczynione jéj chęciom, przyzwolenie na to co sam uważał jako najlepszy sposób zabezpieczenia przyszłości swéj córki. Należy tu dodać, że podobna polityka najlepszą bywa dla mężów.

— Przyznam się panu, odpowiedział młodzieniec, że dotąd nie postawiłem wyraźnego pytania. Zdawało mi się że powinienem naprzód pomówić z panem.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie. Ale teraz musisz jéj o zdanie zapytać; tylko pamiętaj, bądź z tém ostrożny.

Miller uczuł się trochę zdziwiony sposobem w jaki to powiadał Sir Acton.

— Z nią trzeba działać nader oględnie, dodał ten ostatni. Ona nie znosi aby nią kto chciał rządzić. Wszelako, od powrotu naszego z Kanady, okazuje się bardzo łagodna i spokojna, — może téż to i nadal potrwa.

Przestrogi te były całkiem zbyteczne; bo koniec końcem każdy młodzieniec przekonany jest że tysiąc razy więcéj wie o usposobieniu swéj ukochanéj, od jéj własnego ojca, który tylko z jakie dwadzieścia lat czasu z nią przeżył.

— Jest tu jeszcze inna rzecz do ogadania, rzekł Jerzy, zbierając wszystką swoję odwagę i poczynając mówić na sposób człowieka oswojonego z interesami. Jakbądź nie wiem wcale jaką odpowiedź od niéj otrzymam, w każdym razie lepiéj będzie jeśli od razu panu powiem jaki jest mój stan majątkowy. Ze współki do któréj należę mogę mieć rocznie około tysiąca funtów dochodu.

Przytém, jeśli sie ożenię, spodziewam się dostać od ojca z jakie dwadzieśria tysięcy funtów. Mniéj mi dać nie może, skoro tak wyposażył moję siostrę gdy szła za mąż. a jestem przecię jedynym u niego synem.

— Skoro będziesz miał w ręku te ieniądze, nie radzę ci wkładać je w interesa kolejowe, rzekł mu zwięźle Sir Acton.

— O, nie myślę téż tego robić, kochany panie, odpowiedział Miller,—choć może w duchu byłby rad sprobować szczęścia na tém polu pod kierunkiem tak uznanéj w tym względzie powagi. Sądzę że przy pewnéj zręczności, potrafię ponabywać za tę sumę wartości bardzo pewne, w taki sposób że mi dadzą pięć a może i sześć od sta procentu.

— Wybornie, wybornie, — rzekł Sir Acton; — wszelako trzymaj się lepiej pięciu od sta. Wyższy procent nie jest nigdy całkiem bezpieczny.

— A zatém, ciągnął daléj młodzieniec, z niejakiém wahaniem się, spodziewam się mieć około dwóch tysięsięcy funtów rocznego dochodu.

— Bardzo dobrze; wystarczyć to może z pewnością na przyzwoite utrzymanie,—była odpowiedź ojca Violetty. Powiedziałbym nawet, że za wiele, jak dla dwojga młodych ludzi. Będziesz mógł coś z tego zaoszczędzić.

Miller milczał przez chwilę, oczekując czegoś więcéj. Czyż nie była to właśnie pora, w któréj można się było spodziewać od drugiéj strony jakichkolwiek objaśnień co do cyfry posagowéj?

W tém służący wszedł powiedzieć, że powóz czeka na dole.

— Wszak mi zechcesz wybaczyć? rzekł Sir Acton, ściskając rękę młodzieńca. Mam pilne interesa do załatwienia. Ale może byś chciał pójść do salonu, pewnie tam zastaniesz moje panienki.

— Łaskawy panie rzekł Miller zatrzymując go; nie powiedziałem ci jeszcze ile jestem ci wdzięczny za za...

— No, no, nie masz za co być mi wdzięcznym, odpowiedział Sir Acton, odchodząc spiesznie. Wszakże z nią rzecz całą załatwiłeś.

Jerzy Miller udał się do salonu, gdzie za jego wejściem ucichł głos fortepianu, od którego wstała jedna z panien North. Wszystkie cztery były w salonie; Violetta bowiem, wiedząc że Miller jest u jéj ojca, i domyślając się powodu tych odwiedzin, poszukała schronienia przy swych siostrach, aby się nie znaleść sam na sam z Jerzym.

Był to duży pokój posępnéj powierzchowności, jakbądź zbytkownie urządzony; barwy tam przemagały ciemne, zarówno w obiciach jak na dywanie, co w przekonaniu Lady North stanowiło

cechę wykwintnego smaku, a w istocie nadawało tylko jéj salonowi postać jak najbardziéj zasmucającą. Młodsze panny North wydały się jakoś zaniepokojone i zmięszane pojawieniem się Millera, a na twarzy Violetty ukazał się na jego widok wyraz zniecierpliwienia i nieukontentowania. Po chwili panna która przedtém grała na fortepianie wyszła po jakieś nuty których tu znaleść nie mogła, a zaraz potém druga uznała za stosowne pójść jéj pomagać w tych poszukiwaniach. Wtedy na twarz Violetty wystąpił żywszy rumieniec. Po niedługim czasie, trzecia jéj siostra, jedyna już pozostała z nią w salonie, zerwała się z miejsca i rzekła:

— Ach, czy to czasem nie listonosz dzwoni do drzwi? To jego godzina: muszę pójść i zobaczyć co tam przyniósł.

Tego już było za wiele.

— Wiesz dobrze że nie przyszedł wcale listonosz, odezwała się z żywością Violetta. Proszę cię, Anatolio, chciéj zostać tutaj ne teraz.

— Powrócę za chwilę, odpowiedziała Anatolia, i to mówiąc śpiesznie odeszła, pozostawiając ich oboje w uroczystym milczeniu, jednakowo zmięszanych, ale nie w jednakowém usposobieniu; albowiem po jednéj stronie, położenie to kłopotliwe wywoływało gniewne wzburzenie.

— Dla czego chciałaś ją tu zatrzymać Violetto? zapytał wreszcie Jerzy.

— Bo nie lubię żeby sobie ze mnie żarty strojono. One wiedzą bardzo dobrze po co pan tu dzisiaj przyszedłeś, i myślą — nie mogę nawet powiedzić panu jakie sobie wyobrażają niedorzeczności!

— Rozumiem, odpowiedział. Panny North bardzo rozsądnie rzecz tę biorą. Sądzą że jesteśmy z sobą słowem związani, lub że to lada chwila nastąpi. I dla czegoż by nastąpić nie miało?

— Dla tego że sobie wcale tego nie życzę.

— Każdy przychylny jest temu, rzekł; twój ojciec nic nie ma przeciw moim zamiarom, a zapewne i Lady North nie będzie im przeciwną; co do mojéj rodziny, zapewnić mogę że z radością o nich się dowie. Chciałem też ci powiedzić, Violetto, że radbym bardzo ciebie z nią zapoznać.

— Bardzo to uprzejmie ze strony pana, ale co do mnie, nie wiem z jakiego powodu miałabym się zapoznać raczéj z tą rodziną, niż z jakąkolwiek inną dotąd mi nieznajomą.

— Naprawdę, ze względu na nasz wzajemny stosunek, muszę znaleść twoją odpowiedź dosyć dziwną.

— Nie uważam aby jaki wyjątkowy stosunek istniał pomiędzy nami.

— Doprawdy?

— Nie uznaję tego wcale.

— Jak mi się zdaje, jesteś dzisiaj trochę w złym humorze.

— Nie chciałabym pana urazić, rzekła, ale lepiéj będzie jeśli od razu całą prawdę powiem. Kiedy wspominasz o tém abym się słowem zobowiązała i była przedstawioną pana rodzinie, wtedy żałuję żem cię kiedykolwiek spotkała; o, tak jest naprawdę. Bo gniew mię bierze, gdy pomyślę, że te młode dziewczęta powynosiły się ztąd, sądząc że mamy z sobą do pomówienia o jakichś tajemnicach, istniejących pomiędzy nami.

W zniecierpliwieniu swém wstała z miejsca i poszła ku fortepianowi.

— Co życzyłbyś pan abym ci zagrała? spytała chłodno.

Równie był w téj chwili rozdraźniony jak ona, ale powstrzymywała go obawa możliwych następstw byle jakiego słowa nieostrożnego. W usposobieniu w jakim się znajdowała, można się od niéj było wszystkiego spodziewać, wyzwawszy ją czemśkolwiek do walki.

— Violetto, rzekł, chciéj być rozsądną. Nadto masz dumy naprawdę. Nie miłą ci jest ta myśl, iż ktośkolwiek może sobie wyobrazić że dosyć cenisz mnie, albo innego jakiego człowieka, na to abyś mu rękę swoją oddała. Ależ każda młoda dziewczyna musi przez to przechodzić; a gdy się o prawdzie dowiedzą jéj rówienniczki, nie żartują sobie z niéj, ale jéj raczéj zazdroszczą. Nie chcę zmuszać ciebie do niczego co by ci przykrém być mogło, ale przyznaję że przybywając tu dzisiaj, trochę lepszego spodziewałem się od ciebie obejścia.

— Nie mam zamiaru obchodzić się z panem ani źle, ani dobrze ani w żaden szczególny sposób, odpowiedziała mu z oburzającą niekonsekwentnością. Dla czegóż nie możemy być z sobą w przyjaźni, jak bywają inni ludzie? Chcę być jak najlepszą dla pana; mówię to z wszelką szczerością. Gdym była w Kanadzie, o nikim z tych co w Anglii zostawiłam, nie myślałam tyle co o panu, albo prawie o nikim. I kiedym cię wtedy zastała u pana Drummonda, powiedziałam sobie że miłym mi będzie ten nasz przyjazny stosunek. A teraz, chcesz mię pan skłonić do jakichś zobowiązań i zapoznawać mię ze swoją rodziną...

— Ach! doprawdy osobliwsza z ciebie istota, zawołał z nagłym wybuchem wesołości. Czyż tego nie rozumiesz, że cię znajduję prześliczną i że wszelkich starań na to dołożę aby cię za żonę pozyskać? Gdyby owa miła przyjaźń stanowiła jedyny węzeł po-

między nami, mogłabyś lada chwila poślubić kogo innego. Słuchajże Violetto.

Wziął jéj rękę, ale ją żywo cofnęła.

— Co mam panu zagrać? rzekła.

Znagła spojrzał na nią wzrokiem podejrzliwym, i spytał mówiąc równie chłodno jak ona:

— Może masz jakie powody dla których nie chcesz związać się ze mną słowem?

— Mam ich mnóstwo, odpowiedziała otwarcie.

— Może jest kto inny komu wolałabyś przyrzec twoją rękę?

Złośliwa myśl nawiedziła ją w téj chwili: nic mu na to nie odpowiedziała.

— Więc mam słuszność w tém przypuszczeniu? rzekł, siląc się na dumny spokój.

— A gdyby też tak było? spytała wzrok w dół spuściwszy.

Cała zimna krew opuściła go odrazu.

— W takim razie miałbym prawo powiedzieć, odparł z żywością, że obeszłaś się ze mną w niegodny sposób, pozwoliwszy abym się wybrał tutaj do twego ojca, nie wiedzieć po co, jak jaki półgłówek;—ale nie wierzę temu, powtarzam ci, nie mogę temu uwierzyć.

— Nie możesz pan uwierzyć czemu, naprzykład?

— Temu że byłabyś skłonną oddać swoją rękę komu innemu.

— Nic podobnego nigdy nie powiedziałam, rzekła z wyzywawającą słodyczą; zdaje mi się owszem że nie taiłam ile mi jest wstrętną myśl wyrzeczenia się mojéj swobody na czyjąkolwiek korzyść. Jeśli się panu podoba przypuszczać nie wiedzieć ile niedorzeczności, nie jestem w stanie nic na to poradzić. Radabym abyśmy pozostali z sobą w dobrym stosunku, nie rozumiem dla czego unosisz się pan gniewem. Ale nie dowiedziałam się dotąd co życzysz abym zagrała.

— Dziękuję za dobre chęci, odpowiedział; sądzę że mi już czas się wybierać.

Podniosła się z bardzo uprzejmą powagą, i podała mu rękę mówiąc:

— Przykro mi że tak wcześnie pan odchodzisz.

Stał patrząc na nią z wyrazem niepewności, urazy i przykrości z doznanego zawodu. To ostatnie uczucie najwybitniéj się malowało na jego twarzy, wśród przemian jakie się na niéj pojawiały.

— Kto inny na moim miejscu, rzekł spokojnie. nazwałby zapewne twoje postępowanie niepochlebném imieniem — powiedziałby że było to zachowanie się kobiéty zalotnéj.

Zdała się dotkniętą témi słowami, jakby ostrzem kolącem.

— Nie byłam nigdy w życiu z nikim zalotna, rzekła z uniesieniem. Nie sądzę aby się ktokolwiek odważył zarzucić mi coś podobnego.

— Dla czegóż by nie? odparł, zapominając już o przybranym spokoju, i z tą samą co ona mówiąc gorącością. Pozwalasz mężczyznie zażądać od ciebie twojéj ręki...

— Jakże mogłam temu przeszkodzić?

— Upoważniasz go do oświadczenia się twojemu ojcu, i do porozumienia się z nim co do téj sprawy, a potém, ni ztąd ni z owąd zmieniasz się od razu; powiadasz że nie wiedziałaś o niczem i dajesz do zrozumienia że skłonniejszą byłabyś zrobić inny wybór; — nie jest że podobne postępowanie godném kobiety zalotnéj i bez serca? Radbym wiedzieć jaką mu inną można dać nazwę?

— Ha! jeśli takie masz pan zdanie o mnie, zawołała z zaiskrzonémi oczami, lepiéj zrobisz jeśli ztąd odejdziesz.

— To właśnie myślę uczynić, odpowiedział, i wziąwszy za kapelusz, pożegnał ją głębokim ukłonem i wyszedł z salonu.

Usiadła z twarzą rozpłomienioną do fortepianu i sprobowała grać. Ale nie na wiele się to zdało; po chwili, zerwała się z krzesła i pobiegła do swego pokoju. Tam rzuciwszy się twarzą na łóżko, wybuchnęła głośnym i namiętnym płaczem, poprzysięgając sobie w swém gniewném rozżaleniu, że nigdy więcéj, choćby tysiąc lat żyła na świecie, nie chce mieć nic do czynienia z żadnym mężczyzną.

(D. c. n).

NASZE DZISIEJSZE
Sądy Szlacheckie Polubowne.

(Sprawozdanie z czynności sądu polubownego w sprawie Tytusa Szczeniowskiego z Józefem Jaroszyńskim. Kraków, 1875, XVI i 563. Wydanie i nakład J. Jaroszyńskiego).

I.

Jednym z przymiotów naszych narodowych nienajlepszych, było upodobanie w walkach wyborowych i sądowych, nałóg pieniactwa po przodkach odziedziczony i starannie pielęgnowany jeszcze w pierwszéj połowie XIX wieku. „Polacy lubili nałogowo prawować się, powiada Heleniusz (Rozmowy o P. K. t. II, 230), sprawy zawsze się ciągnęły i było ich wiele. Na Litwie i Rusi, do urzędu prezesów przywiązywano wielką wagę. Przypominały sądy dawne trybunały, adwokaci rojem je otaczali. Całe sądownictwo było wyborowe.“ Na historyczną chorobę okoliczności przyniosły ostre lekarstwo w 1840 roku; w skutek którego nadużywanie ustało razem z ustaniem samego używania, a te ograniczyło się do wypadków ostatecznéj prawie konieczności. — Wraz ze zniesieniem procesu cywilnego wedle statutu litewskiego, odeszło i zniknęło to właśnie co stanowiło prawowanie się dla publiczności ponętném: widowisko i wzruszenia walki, popis z wymową, zaciekanie się nad treścją, brzmieniem i doniosłością artykułów staroświeckiego kodexu znanych z dzieciństwa na pamięć prawie jak pacierze. O tém nowém które stanęło na miejscu dawnego można dziś mówic zupełnie swobodnie, bo i ono już dziś albo przeżyło się i odsunęło się w przeszłość, albo ma dni swoje policzone. W obronie inkwizycyjnéj procedury cywilnéj z jéj stosami zapisanego stemplowego pa-

pieru, z jéj rutyną, z jéj nieskończoną drabiną instancyi sztuczną teoryą dowodów i otaczającą każdy krok sądu chmurą kancelaryjnéj tajemnicy, nikt nie stanął w obronie w stanowczéj chwili reformy sądowéj 1864 r.; potępiono ją a zawsze milcząca nie wydała nawet głosu. Cywilne prawo materyalne które zajęło miejsce statutowego rozrobi się z czasem i urośnie w wielki i opracowany system, ale powszechnie jest wiadomém że prawodawstwo te nie wyszlo z okresu pierwotnego rozwijania się za pomocą indukcyi, że podobne w tym względzie do dawnych kodexów z średnich wieków, składa się głównie z słabo uogólnionych i nieprzypasowanych jeden do drugiego przypadków, i że ani się daje oznaczyć z pewnością kiedy dojdzie do ogólnych prawideł do pierwszych zasad i wstąpi w okres formowania się dedukcyjnego. Ciekawe były pod tym względem rozprawy na kongresie prawników w Moskwie w czerwcu 1875 roku w kwestyi kodyfikacyi i ujednostajnienia za jéj pomocą prawodawstwa cywilnego z uchyleniem prawodawstw miejscowych. Pomiędzy zebranymi w Moskwie prawnikami panowała zupełna zgoda co do tych punktów: 1, że część 1, t. X. Zb. Praw jest prawodawstwem bardzo odrębném, mocno narodowém, przesiąkłém na wskróś pierwiastkami politycznymi które stanowią osnowę państwa; 2, że pod względem technicznym nie odpowiada potrzebom czasu, wymaganiom nauki i wymaga nowéj kodyfikacyi, radykalnéj; 3, że w terazniejszéj formie nie nadało się wcale do zastąpienia i wygluzowania prawodawstw miejscowych. Co do sposobów przeprowadzenia kodyfikacyi chociaż rozchodziły się zdania, jednak przeważna większość obradujących redukowała desiderata do wcale skromnych rozmiarów, do prostéj dedukcyjnéj kodyfikacyi 1 części X t., bez wszelkich zaczepnych zamiarów względem kodexów miejscowych, ale z wielkiém zapożyczeniem się w każdym razie od najlepszych cudzoziemskich prawodawstw. Jeżeli kwestya o prawie materyalném cywilném tak się stawi obecnie w Rossyi po ostanich dwudziestu latach bardzo płodnych w prawodawcze reformy, bardzo pracowitych, w ciągu których podjęto głębsze studya naukowe nad prawem rossyjskiém i stworzono praktykę sądową z jéj obowiązującymi na przyszłość prejudicatami; cóż było dopiero przed laty trzydziestu pięciu, kiedy nauka prawa uniwersytecka bawiła się w teorye i utopje bez stosowania, w sądach panowała wszechwładnie sama rutyna, a w prawodawstwie był zastój bez jakichkolwiekbądź objawów ruchu, kształcenia się i postępu. Z powodu małego obeznania się z nowém prawodawstwem postatutowem prawujące się strony były jak w lesie, nie miały żadnego pojęcia o tém jakim trybem sądzono i prawie żadnego po-

jęcia o tém wedle czego je sądzono. Dodajmy daleką drogę sprawy najmniejszéj przez stolicę, przez 3-ci Departament Senatu i całe lata czekania na wyrok, który zapadał często kiedy wystygło zainteresowanie się obudzone przez proces, i z biegiem czasu odmieniły się pierwotne stanowiska i stosunki prawujących się stron. Każdy o ile poprzednio sąd lubił o tyle go potém unikał, prawował się z musu i konieczności, z cudzoziemcem, z żydem, z kupcem: ale kiedy zaszła dyferencya z sąsiadem, z bratem szlachcicem; z obywatelem z którym go łączyły pewne tradycye, pewne wspólne moralne zasady, jednakie uszanowanie dla pewnéj powagi, wolał rzecz kończyć ugodliwie kompromisem, albo przeciąć ją sądem przyjacielskim, sumiennym, polubownym. Instytucya sądów obywatelskich całkiem domowa, autonomiczna, żadnémi normami nieujęta i niczém oprócz sumienia nie związana, rozwinęła się znakomicie i doszla do niepraktykowanych rozmiarów. Wartość spraw w ten sposób rozstrzyganych da się oznaczyć nawet nie na setki tysięcy ale na miliony. Byli i są ludzie wielkiéj zasługi nie uchylający się od ciężkich i pracowitych posług obywatelskich, do których z dalekich stron sądzić się jechano. Były sądy z zapisami i bez zapisów, w jednéj osobie i w kilku, bez superarbitra i z superarbitrem. Przyszli badacze z archiwów familijnych krajowych wydobędą może kiedyś na jaw ciekawe dzieje téj wielkiéj krajowéj instytucyi, i zaznaczą zapewne okresy jéj rozwoju, jéj przekształcanie się stopniowe począwszy od prostego kompromisu z zainteresowanych mniéj więcéj pośredników to jest z rzeczników stron złożonych, do rzeczywistych sędziów spraw y bezstronnych, trzymających szale sprawiedliwości w ręku i wyrzekających to co dla prawujących się ma być odtąd nowém prawem i świętym obowiązkiem. Sądy polubowne obywatelskie przyczyniły się do wyrobienia społecznego charakteru, do utrzymania dobrych zasad, zdrowych pojęć jeżeli nie o ściśle prawném to o godziwém i wniosły coś do tego obywatelskiego życia, które upływa tak nieznacznie tak niewidzialnie że z ubocza patrzącemu wyda się jako zupełny zastój, a jednak ma swoje przemiany i swój postęp niezmiernie wolny lecz ciągły i nieprzerwany. Z krajowego znaczenia tych sądów wynikła ich wielka powaga, domniemanie że wyrok słuszny, skoro go wyrzekli arbitrowie. Z tą powagą rzecz ma się jak ze wszelkiémi w ogóle li tylko moralnémi powagami na tym świecie, na którym nie bywa władz i potęg nieomylnych, istnieją dopóki nie zostaną na seryo zakwestyonowane, to jest dopóki takiéj powadze nie będzie zrobiony uzasadniony zarzut o błędne postępowanie, o fałsz rozmyślny, albo omyłki w rozumowaniu. W procesie feudalnym, który wszyst-

kie sprawy rozstrzygał sądowym pojedynkiem, istniał przeciwko wyrokowi środek: pokrzywdzony wyrokiem ciskał w twarz sędziom rękawicę i wyzywał ich w szranki twierdząc że wyrok był zły i fałszywy (faux malvés et deloial — Appel de faux jugement. Faustin Helie Traité de l'instr. cr. I § 65). Ten środek i ta pociecha służą i do dziś dnia każdemu nieborakowi, któremu po zupełnéj przegranéj czy to w sądzie zwyczajnym czy w polubownym pozostało odwołać się chyba do Pana Boga. Ciśnięcie rękawicy zastępuje krytyka, zamiast rozprawy na szpady, wydaje się bitwa na dowody i rozumowania, za plac boju służy dziennikarstwo i prasa w ogóle, o uzasadnieniu zaś rozumowań i zarzutów sądzi i stanowi ostatecznie bardzo można pani, potężniejsza nad wszelkie sądy zwyczajne czy polubowne, chociaż również jak każdy człowiek i jak każdy trybunał nie nieomylna — opinia publiczna. Żaden sąd na świecie nie może się wycofać z pod téj ostatecznéj nad nim moralnéj juryzdykcyi. Sądy zwyczajne już są z nią ostrzelane i żaden z nich nie obraża się zwykle na wolne wyrażanie opinii o jego postanowieniach. Co do sądów polubownych są pewne skrupuły i chodzą po ludziach opinie jakoby nie tylko nie godzi się stronie, która z wolnéj woli i nieprzymuszonéj ochoty zdała się na sumienie współobywateli, pozwolić sobie naganę ich wyroku, ale nawet nikomu nie wolno krytykować wyroku i wstrząsać powagę krajowéj instytucyi. Na tym drażliwym punkcie zawisło dzis opiniowanie o bardzo głośnych sądach polubownych w bardzo wiadoméj sprawie Tytusa Szczeniowskiego z Józefem Jaroszyńskim. W ciągu lat dwóch (1875 i 1876) sprawa ta stanowiła główny przedmiot rozpraw i gawęd na lutowych kijowskich kontraktach i stała się niemal sprawą publiczną obywatelstwa Wołynia, Podola i Ukrainy. Tytus Szczeniowski znany satyryk nie naszéj daty starszego pokolenia, którego ostry dowcip dał się niegdyś dobrze i słusznie we znaki Henrykowi Rzewuskiemu, autor którego „Bigos hultajski“ może śmiało stanąć obok parafiańszczyzny Leszka Dunina Borkowskiego, zaplątany w interesach, zrujnowany na majątku próbował rozprawić się polubownie z człowiekiem, któremu zaufał w złéj godzinie i którego słusznie czy niesłusznie posądzał o doprowadzenie go do ostatecznéj majątkowéj katastrofy. Pierwszy wyrok polubowny z dnia 28 października 1876 roku nieziścił nadziei, nie zaspokoił żądań p. Szczeniowskiego.

Wtedy chwyciwszy niestępione wiekiem pióro nasz humorysta napisał ostro, jadowicie, ukąśliwie „list do I. I. z powodu nabycia Siedliskiego majątku.“ Siła zarzutów możnaby zrobić przeciwko temu pamfletowi, który zakrawa na paszkwil. Trudno

bezwzględnie winić pana Szczeniowskiego za to, że ku końcowi swego pisarskiego zawodu zdegradował zasłużone w literaturze pióro obracając je na rzecz prywatną. Tonący chwyta się brzytwy, pokrzywdzony i cierpiący broni się wszelkiemi sposobami, więc i zapomocą druku; wszakże są granice przyzwoitości, których nie wolno nikomu bezkarnie przestąpić, a tém bardziéj człowiekowi mającemu poważną przeszłość za sobą. Nasz satyryk ma naturę gorącą i namiętną, jednak żadna namiętność nie może usprawiedliwić grubych inwektyw godnych rabulisty staréj daty, i obelg którychby użycie nie było dopuszczalne nawet przed kratkami sądowémi. Pan Szczeniowski przebrał miarę, przyklaskiwać mu mogła gawiedź lubiąca wszelkie biczowania, lecz jakiemuż człowiekowi przyzwoitemu i ze smakiem mogły się podobać takiego rodzaju apostrofy do przeciwnika: z brudów postępowania ukułeś zbroję, która cię od wszelkiego szlachetnego wyzywu zasłania. We wszystkich interesach jesteś jak tchórz, który wśród biednych kur swój wewnętrzny smród wypuszcza, tym smrodem je odurza i potém wedle rozbójniczego twego wyrażenia je dusi (2). Masz tę tylko odwagę, którą Roczester określał: le plus grand des courages c'est d'être lache (25). Obluzgawszy błotem nieskąpą ręką przeciwnika, pomówiwszy go o schapscydensowanie intraty (73), jego samego porównawszy ze zbójami w Abruzzach (74), a przyjaciół jego płatnymi nazwawszy opryszkami; pan Szczeniowski tymże doraźnym sposobem oporządził i wywaszmościł medyatorów czy arbitrów co go tak mało zadowolnili. P. Czarnomski został w odręcznéj dedykacyi do listu Mikołajem na Rozbójnie Czarnomskim (89) Eskobarem XIX w. arcy jezuitą wedle cywilizacyi zmodyfikowanym (45), postępującym *loyolnie*, a nie *lojalnie*. W tym punkcie nie może być przytoczona namiętność jako łagodząca winę okoliczność, bo nie wolno być we własnéj sprawie i stroną i sędzią i oprawcą, a temu kto się pomylił w obiorze arbitrów, można tylko powiedzieć po molierowsku: tu l'as voulu Georges Dandin. P. Szczeniowski nie może wyjść z kleszczów tego dylematu, albo nie wiedział kogo wybiera na sędziego i przystał na pierwszego lepszego z ulicy, więc radził sobie wcale nieroztropnie, albo doskonale wiedział o całéj przeszłości p. Czarnomskiego, o domach w Odessie i o mogiłach trzech braci Denisków i o wszystkich szczegółach, które sposobem insynuacyi à la don Basilio przytacza, więc działa malafide, dla interesu to honorując człowieka swoim wyborem, to go lżąc i bezczeszcząc za to że tak a nie inaczéj osądził. Naganiając za stronność medyatorski sąd pierwszy, P. Szczeniowski założył apelacyą do sądu innego, lepszego: „Ja T. S. dotąd niczém nie

poszlakowany, wiekiem prędzéj do śmierci niż do życia zbliżony, a zatém lękający się nie odległego sądu Bożego, obwiniam ciebie J. J... To wszystko jako wyżéj wykazałem podaję pod rozbiór i sąd obywateli z trzech ncszych gubernii zaproszonych..... A jeśli od tego sadu odbiegniesz, sam na siebie wydasz wyrok zgodny z obwinieniem i sam aż do zgonu przykujesz się do pręgierza, nad którym ognistémi i twe potomstwo palącémi zgłoskami sterczyć będą wyrazy: Złodziéj i zdrajca! (85).“

II.

Gdyby list p. Szczeniowskiego był przyzwoiciéj i w granicach umiarkowania napisany, zapewne przeminąłby bez śladu i nie zamąciłby powierzchni tego społeczeństwa, w które go wprawną ręką cisnął autor, jak prochem nadzianą bombę o niszczących skutkach. Bomba pękła z łoskotem, poraniła wielu, rumor wszczął się ogromny i już nie autor, ale sami medyatorowie rozpisali okólnik (styczeń 1875), pozywając Tytusa Szczeniowskiego jako oszczercę na sąd obywatelski za występek przeciwko społeczeństwu, za zelżenie sumienia publicznego przez targnięcie się na wiekami i uznaniem ogólném uświęconą zasadę (1). Z majątkowéj sprawy o Siedliski majątek między T. Sz. i J. J. wynikła druga honorowa o zelżenie medyatorów, pomiędzy medyatorami i T. Szczeniowskim. Ludzie zaufania, powagi kraju w liczbie siedmnastu, zebrani na kontraktach w Kijowie zauważali w swéj odezwie, że nie mogą w sprawie arbitrów kompromisu przyjąć na się charakteru sędziów, skoro na to nie ma zgody ze strony przeciwnéj (to jest p. Szczeniowskiego), lecz zdradzając już naprzód swoje uprzedzenia uznali za stosowne, wyrazić swoje nie bezstronne i nie chłodne jak na sędziów przystoi, ale *gorące* spółczucie panom arbitrom. Usposobienie ogółu musiało być przeciwne T. Szczeniowskiemu, kiedy pod parciem jego „ustępując głosowi i woli współobywateli, potępiających formę użytą w broszurze,“ cofnął jéj wyrażenia ostre i wystosowane do osobistości arbitrów i wyznał, że w uniesieniu poszedł po za granice zwyczajnie przyjęte i dozwolone (luty 13 1875 str. 5). W skutek nie dość jasno tłómaczących się pobudek stanęło na tém, że ma być nie zbiorowe potępienie i skarcenie człowieka, który przekroczył granice przyzwoitości, ale sąd polubowny wysadzony z pośrodka ludzi, już naprzód wyznających że są gorąco przeciwko Szczeniowskiemu uprzedzeni; i to wcale nie między stronami, które do walki powołała broszura Szczeniowskiego, to

jest między arbitrami i p. Sz., ale między dawnymi, to jest panem Sz. i Jaroszyńskim, między którymi stał zapadły już pierwszy wyrok kompromisarski. Zdaje się, że do takiego obrotu sprawy przyczynili się dawni arbitrowie (7), którym chodziło nie o to tylko aby formalnie podtrzymaną została ich powaga przez skarcenie p. Szczeniowskiego, ale o to, aby ich konkluzye zostały co do zasad sprawdzone, potwierdzone i umocowane powtórnym wyrokiem przez nowych arbitrów. Na nowém osądzeniu sprawy mniemał, że może tylko zyskać p. Szczeniowski. Chodziło tylko o to, jak pogodzić to sądzenie sprawy już rozsądzonéj z prawomocnością kompromisarskiego wyroku. Powagi obywatelstwa, ludzie zaufania zebrani w Kijowie wyraźnie orzekli w punkcie 3 listu z dnia 13 lutego, że nowi sędziowie, nowy kompromis może rozpatrywać jedynie kwestye po pierwszym kompromisie wynikłe (4). Za pomocą rozmaitych finezyi, do których jeszcze wrócimy w dalszym ciągu niniejszego wywodu, ułożono, że mogą wykrywać prawdę mylnie lub niedostatecznie wyjaśnioną przy pierwszém wyrokowaniu, nie przesądzając jednak czynności poprzedników i nie kasując ich wyroku. Każdy to przyzna, że mimo wykręty słów i obwijanie rzeczy w bawełnę, wyrazy te znaczą to samo co uchylenie pierwszego wyroku i oczyszczenie a splantowanie gruntu, na którym ma się nowe budowanie rozpocząć. Samo silenie się na te wykręty, samo obstawanie przy tém, że się wyrok pierwszy nie uchyla, kiedy przeciwnie on się uchyla i znosi, zdradzały mylne pojmowanie rzeczy i fałszywy punkt wyjścia. Skoro sprawa wytoczona nie była nową, publiczną z arbitrami, ale odnowioną dawną prywatną z p. J. J., chociażby skomplikowaną przez obelgi słowne między p. Sz. i p. J. J.; wyrok pierwszych arbitrów mógł być dowolnie i nie pytając nikogo przez spierające się strony uchylony i w niwecz obrócony: pacta dant leges contrahentibus i może być takie pactum, aby się wyrzec zapadłego wyroku i uważać go za nieistniejący; a nikomu zresztą nic do tego, że strony podrą wyrok już zapadły, nie cierpi na tém instytucya, wolna w tém wola każdemu i wcale nie trzeba ani kłaniać się, aby dawni arbitrowie przystali na sąd nowy, ani podawać ich powolność za czyn obywatelski. Skoro sprawa wytoczona nie była nową, ale odnowioną dawną, a więc głównie majątkową pomiędzy p. Sz. i J., zaś na pierwszém już posiedzeniu drugiego sądu na żądanie arbitrów, p. Szczeniowski oświadczył, że cofa wyrażenia swe i zdania w broszurze tyczące się osoby pana Jaroszyńskiego, więc i pierwiastek urazy osobistéj został z niéj od razu przy zagajaniu nowego sądu wycofany, więc całe prawie zajście wyczerpywała już inskrypcyaformalna, w języku urzędowym do sądu

podana i obejmująca interes pod względem materyalnym. Po za tą kwestyą interesu materyalnego zaznaczono przez drugą nieurzędową inskrypcyą, że ma się rozsądzać bezwarunkowo ,,ważniejsza" kwestya honorowa o obelgi i o to, która ze stron w stosunkach swoich materyalnych „uchybiła *zobowiązaniom* swym, *a zatém przestąpiła* prawa *honoru*." Możnaby tylko przyklasnąć takiemu szczytnemu pojmowaniu honoru, w skutek którego za niehonorowe uważa się wszelkie niedotrzymanie nietylko obowiązków w ogóle, ale nawet zobowiązań, tj. w danym przypadku umówionych warunków. Wszakże zważywszy, że sprawa honorowa sądzona między litigantami Sz. i J. przez arbitrów, była tylko sprawą prywatną; że wszelka sprawa honorowa prywatna kończy się przy supozycyi, że się spierający zawczasu i naprzód wyrokowi mającemu zapaść poddają, albo rozprawą na szpady czy pistolety, albo deprekacyą; że żadna ze stron nie zdradzała chęci pójść na szable, że p. Sz. przy samym początku sądu cofnął obelżywe dla J. wyrazy, więc w gruncie rzeczy przyznał się do winy; że dziś za honorowe obrazy winowajców nie chłoszczą, ani odszczekiwać im każą, a tylko mogą ustanowić formułę i aryngę nakazywanéj przez przeproszenie satysfakcyi, więc trudno pojąć dla czego sprawa honorowa, do któréj sprawa materyalna służyła tylko za wstęp i oświecającą pochodnię ma koniecznie prymować co do wagi sprawę materyalną. Jeszcze trudniejszymi były do zrozumienia pełne, jak się późniéj okazało, ukrytego w nich sensu wyrazy kończące 1 punkt inskrypcyi: „Osądzi on (sąd) również *wtedy dopiero* (po osądzeniu kwestyi finansowéj i honorowéj) o doniosłości broszury wydanéj przez T. Szczeniowskiego." Ponieważ w całéj inskrypcyi nie ma ani słowa o arbitrach, z którymi się Sz. nie sądził, wynikał ztąd ściśle logiczny wniosek, że doniosłość broszury oceniać się będzie odnośnie li tylko do przeciwnika, to jest do p. Jaroszyńskiego. Gdyby p. Szczeniowski mógł wiedzieć, że arbitrowie nowi mają się ująć za dawniejszymi arbitrami, możeby wyłączył z nowego składu sądu tych czterech przyszłych sędziów sprawy, którzy już byli w liczbie manifestujących się 17 mężów zaufania i którzy jako tacy, już swoje gorące ujmowanie się za dawnymi arbitrami wcale niedwuznacznie oświadczyli. Zapis na sąd polubowny, tłómaczący się zwykle w jak najrozleglejszém znaczeniu, lecz i z najrozległéj tłómaczonego zapisu można wyciągnąć tylko to co w nim jest, a w nim nie było nic o arbitrach. Przy tém w danym przypadku genesis zapisu była szczególniejsza. Zwykle w zapisie strony opiszą się wzajem i wyciągną linię demarkacyjną, po za którą nie wolno sądowi wychodzić, za wszelką mglistość i niedokładność odpowiadają

strony, przez to że tak się niedokładnie opisały, tu zaś zapis był z góry dany, i przepisany stronom, które go tylko akceptowały, a to w ten sposób, że samo obywatelstwo reprezentowane przez 17 podpisów wysadzilo komisyą delegacyjną, która ukonstytuowawszy się wyznaczyła z łona swego redaktorów, poczém komisya delegacyjna „zobowiązała,“ zatém prawie znagliła pp. Sz. i J. do niezwłocznego podpisania ułożonego i już gotowego zapisu (14). Przez szczególniejszy tryb postępowania strony nie występowały czynnie, ale zachowywały się całkiem biernie i nietylko dały się związać, lecz i pozwoliły się na dobre pro publico bono zakneblować. Czyż nie było zamierzone przez redaktorów zapisu w interesie przyszłego sądu, a wcale nie stron, takie moralne zakneblowanie prawujących się w następnych dwóch punktach zapisu: 5) Protokóły posiedzeń sądu mają być codziennie spisywane i razem z dekretem drukiem ogłoszone. 9) Obie strony obowiązują się niniejszém *pod utratą czci i dobrego imienia*... w żadnym razie i pod żadnym pretekstem ani podczas agitowania sądowego sprawy, ani potém nic *drukiem* nie *ogłaszać*, gdyż punktem 5-ym niniejszéj inskrypcyi *jawność* całéj sprawy i oświecenie względem onéj opinii publicznéj jest *dostatecznie* zastrzeżone (?). W całym tym pomyśle brak logicznéj konsekwencyi, protokóły spisują się w sądach jawnych i niejawnych, a gdyby wszystkie protokóły z wyrokami razem jakiéjkolwiek izby cywilnéj zostały kiedyś drukiem ogłoszone, jeszcze to oddziaływanie wstecz na sprawę nie zrobi postępowania jawném; bo jawność innych wymaga warunków i musi być czémś nakształt atmosfery otaczającéj cały proces w toku postępowania, warunkiem wpływającym na sam wyrok, jako jedna z najważniejszych jego rękojmi, a nie nadchodzącym po zapadłym wyroku. Przytém ogłoszenie wyroku i oświecenie o sprawie opinii publicznéj są to dwie rzeczy całkiem różne, chybaby komisya delegacyjna, mająca się w sąd niebawem zamienić, uważała się sama za uosobienie opinii publiczności, a swój mający przyjść płód za takie słońce prawdy, przed którym bić czołem a nie krytykować. Wszyscy ludzie dalecy są od doskonałości, wszystkie sądy ludzkie niepewne i mylne. Wszelki na świecie wyrok sądowy podlega krytyce, polubowny tém bardziéj, bo swój własny obywatelski i przytém ostateczny. Na każdy sąd polubowny służy stronom z prawa samego skarga, jeżeli nie na treść wyroku, to na przekroczenie granic zapisu. W danym przypadku jak wiadomo był jeden zapis urzędowy o kwestyi materyalnéj, i drugi nieurzędowy ważniejszy, obejmujący kwestyą o honorze; tylko pierwszy z tych zapisów mógł być formalnie zaskarżony,

co do drugiego ważniejszego odjęto stronom nietylko apelacyą, lecz nawet wszelką możność oświadczenia jedynym skutecznym w naszym wieku sposobem, to jest drukiem, że je sądzono nieprawnie, nie wedle zapisu. Na ten ciężki warunek zdradzający dziwne jakieś, w sądzie chcącym uchodzić za jawny niedowierzanie, wynalazkowi Gutenberga, a zatém obawę, p. Tytus Szczeniowski przystał, zapis zaakceptował i podpisał, poczém sprawę powtórnie przegrał z kretesem i w kwestyi majątkowéj i w kwestyi honoru; wyrokiem 19 szerwca 1875 r. został potępiony, a pismo jego uznano za oszczercze. Nie złamany tym skutkiem sześćdziesięcio-letni enfant terrible obywatelstwa, natychmiast po wyroku wydał mu partyzancką podjazdową wojnę, ciskając przeciwko drugiéj seryi arbitrów zarzut po zarzucie, list po liście. Ponieważ podpisując zapis p. Szczeniowski włożył na się interdykt nic nie drukowania, a to pod utratą czci i dobrego imienia, więc oczywiście i niezaprzeczenie stosują się do niego wszystkie niepiękne skutki złamanego *verbum nobile*, i zniżyć się musi jeszcze o jeden stopień poważanie dla jego osoby; lecz nie zmienia się w niczém główna i zasadnicza kwestya jeszcze zawilsza po drugim niż po pierwszym wyroku: czy był pokrzywdzony przez J., a potém krzywo osądzony p. Szczeniowski, czyli nie był wcale pokrzywdzony i dostał tylko to czego wart był wedle sprawiedliwości. Że kwestya ta jest na dobie, tego dowodzi zajęcie się nią wielu ludzi, mnóstwo luźnych pisemek z rozmaitych stron krytykujących mniéj więcéj ostro drugi wyrok polubowny (Odezwa obywatela do obywateli przez Nałęcza. Lwów 1876 r.—Podanie pod wyrok i sąd publiczny wyciągów ze sprawozdania o sprawie siedliskiéj przez p. Zapolskiego. Odessa 1876. Kilka uwag o wyroku sądu polubownego przez A. Z. Odessa 1875).—Krytyka wyroku nie ma powodu krępować się ze względu, że wyrok polubowny. Albo wyrok ten jest dobry, więc należy go pochwalić i poprzeć moralnie, albo zły, więc dociec nie uwłaczając powadze instytucyi, dla czego w danym przypadku w danym sądzie polubownym wyrok się nie udał i wyciągnąć rodzaj nauczki moralnéj na przyszłość, chociażby téj, aby sędziów, którzy źle sprawę osądzili na arbitrów na przyszłość nie obierać. Wyrok polubowny jest wypadkiem publicznym, o każdym wypadku publicznym godzi się i należy mieć swój sąd i zdanie; wolno wystąpić każdemu z krytyką, wszelka krytyka oświeca opinią o wyroku, zarzuty robić wolno wedle swego przekonania nawet stronom, nawet p. Szczeniowskiemu. Ten ostatni zbroił nietyle przeto, że nie zmilczał, ile że nieoględnie przyjął warunki niestosowne wyzuwające go bez potrzeby z prawa nie podlegającego najmniejszéj

wątpliwości. P. Sz. może rzec do pomawiającego go o złamanie słowa jak Temistokles do wodza spartańskiego przed bitwą salamińską: bij, lecz wysłuchaj. Chcąc dokładnie rozpoznać interes siedliski tak z dokumentów jako i z wyroków należy przedewszystkiém segregować rzeczy różnorodne w tym interesie najdziwaczniéj powiązane niby groch z kapustą: prywatę i publikę, Jaroszyńskiego i arbitrów, finanse i moralność, dziury w i kieszeni skazy na honorze, narodowe tradycye, cukrownictwo, wszelkiego rodzaju geszefty, Opatrzność i texta z Pisma Świętego, których pełno, jeżeli nie w aktach to na ustach prawujących się stron. Główną treścią sprawy są powikłania majątkowe, więc przedewszystkiém usunąwszy na bok wszystkie inne konsyderacye, postarajmy się ten kłębek majątkowych stosunków rozgmatwać i do najprostszych sprowadzić pierwiastków.

III.

Kwestya majątkowa i finansowa. W ziemi Podolskiéj w powiecie Winnickim nad Bohem koło stacyi kolei żelaznéj Gniewań, należał przed paru laty do dawno tu osiadłéj rodziny Szczeniowskich majątek *Siedliszcze*, zajmujący przestrzeni 3,411 dziesięcin ziemi nie najlepszéj (trochę czarnoziemu, więcéj gliny i piasku, są torfowiska, bagna i nieużytki); wartość majątku podnosiły lasy (1425½ dziesięcin—42% całéj przestrzeni) już nieco nadpoczęte i nie starannie utrzymane, przeważnie dębowe i brzozowe. Gospodarstwo polowe było w zaniedbaniu i na drugim planie, zaś na pierwszym stanęła cukrownia (Zezn. Grabowieckiego 74), dająca daleko większe zyski niż rola, ale przy ładzie i sprężystości w administracyi i przy znacznym obrotowym kapitale. Obudwóch tych warunków brakło w Siedliszczach. Fabryka w Siedliszczach późniéj z rozkazu p. J. J. rozebrana, znajdowała się w początkach 1872 w stanie wiele dającym do życzenia. Trudno dać wiarę dyrektorowi jéj świadkowi Bocheńskiemu, który twierdzi, że była to masa gruzu utrzymywana w równowadze szczególniejszą siłą, pokryta zgniłym gontem, z podłogami po których z wielką ostrożnością stąpać trzeba było, aby się nie załamać, z suterenami zalanémi wodą, bo gdyby to była taka rudera nie wpakowałby w nią potém pan J. J. tyle pieniędzy, aby ją podtrzymać. Pan Bocheński całą fabrykę ocenił na 25 t. rs., ale biegli ocenili na 75 t. rs. wartość samych tylko machin i aparatów z téj staréj fabryki siedliskiéj wziętych do fabr. Gniewańskiéj p. Jaroszyńskiego (103); więc słuszniéj będzie pójść za inży-

nierem Bystrym, który siedliską fabrykę zwiedzał w 1869 r. i pamiętał, że mogła funkcyonować, ale potrzebowała restauracyi. Długów na majątku było tyle i znaczna część ich tak brzydkiego gatunku, że procent zjadał naprzód wszystkie spodziewane zyski. Pasmami tych długów był pan Szczeniowski ze wszech stron oplątany, były one najrozmaitszego pochodzenia, płatne pieniędzmi, płatne robotą fabryki i produktami. Spis ich układał pan Szczeniowski z pamięci i notat przez dwa dni i dwie noce (str. 34). Z tego rejestru i z pouczającéj historyi tych długów przez p. Sz. dyktowanéj w marcu 1872 (219—246) okazuje się, że były długi tak zwane gruntowe, to jest takie, za procent od których były grunta tradowane (213). Dawali pieniądze drobnémi sumami chłopi, połomarze, księża, panny stare i ułomne, ludzie spokojni, którzy długo czekać będą i krzykliwe baby, ludzie co powoli zjadali swój kapitał, wierzyciele, którzy brali 6, 7, 8%, najczęściéj 4 z góry, a 6 z dołu. Byli z tak dobrą wiarą kredytorowie, że kontentowali się kartką zapisaną ołówkiem. Byli i tacy, których z nazwiska dłużnik nie pamięta. (Wierzyciel B., reszty nazwiska wyczytać nie mogłem, wziął u mnie dokument podczas zeszłorocznych kontraktów na 620 rs.). W liczbie tych chrześciańskich długów przenoszących 125 t. rs. (1) mieści się posagowa suma matki p. Sz. Praksedy Szczeniowskiéj na 15 t. rs. Nad témi długami, wielkością i gatunkiem zobowiązań górowały długi żydowskie (128 t. rs.), które powstały głównie z awansów na przyszły cukier, albo z pożyczek zaspokajanych rafinowaniem mączki przez fabrykę. Oto jeden typowy przykład tych stosunków opowiedziany przez samego pana Szczeniowskiego na str. 229: od lat sześciu czy siedmiu, powiada p. Sz. o kilku żydach, brali u mnie procent od każdego tysiąca rubli po 50 pudów lumpu lub rafinadu trzeciego gatnnku, który gdyby był ceniony tylko po 5 rs., stanowiłby 25% od pieniędzy, ale ponieważ sam p. Sz. odkupywał od żydów tenże rafinad po 7 rubli, więc płacił w rzeczywistości po 35% Cukier rafinad skontraktowany strasznie nizko, za rafinowanie liczono po 1 rs. 10 kop, od puda, jest to cena nie pokrywająca kosztów roboty. (Fabryki lepsze np. Uładowiecka biorą od 1 rs. 30 kop. do 1 rs. 60 kop. za pud). P. Szczeniowski uważałby słosunki z wierzycielami żydami za bardzo korzystne, gdyby liczyli tylko po 12% od awansów, lecz zwykle liczyli oni po 18% i to po dwakroć i po trzykroć i z wy-

---

(1) Strącam 55 t. rs, nabyte przez p. J. J. głównie od żydów.

derkafami (str. 225). Kupiec Szylman policzył sobie 18%, powiada p. Sz. i ztąd powstała suma 20 t., na którą dałem mu „bezdienieżny kontrakt“ na cukier z prawem wykupu po 4 rs. 50 kop. za pud (222). Trata 375, powiada w innêm miejscu p. Sz. jest obrzydliwym % od 2,000 rubli za 10 miesięcy. Były kontrakta obrachowane na 40% od danego na zadatek kapitału (223). Żadne najzyskowniejsze gospodarstwo nie zniesie tak okropnéj lichwy, co pięć prawie lat podwajającéj kapitał. Można więc przyjąć za pewnik, że interesa p. Sz. były w bardzo niebezpiecznym stanie, że fortuna jego szybkim pędem na wartkich kołach zdążała do upadłości, że zbliżała się do saméj krawądzi przepaści, w którą, jeżeliby nie użyto forsownych środków dla zapobieżenia katastrofie, stoczyłaby się niechybnie. Tu potrącamy o jedną z głównych kwestyi spornych procesu (klucz pozycyi wedle słów Sz. w Bezstr. Gł. 73), a mianowicie o to czy długi przerastały już wartość majątku p. Szczeniowskiego, czy też nie dochodziły do wartości tego majątku; innémi słowami, czy mógł się pan Sz. uważać tylko za zachwianego, czy już za upadłego w dniu 9 lutego 1872 r. w chwili kiedy wszedł w stosunek z panem J. J. i oddał mu się w opiekę. Kwestya ta ma wielką wagę, bo od rożstrzygnięcia jéj zależy, czy mógł człowiek rozsądny bez strat osobistyeh podjąć się podźwignienia majątku pana Sz., czyli też nie mógł; więc wszelkie podjęcie się uporządkowanią jego interesów mogło było być wywołane przez nierozsądne przerachowanie się i mylne pojmowanie stanu interesu, albo natchnione duchem ofiary. Pierwszy kompromisarski sąd ocenił stosunek wartości majątku do długów jak 372 tys. (rachując po 80 rs. za dzies. i 60 tys. za fabrykę) do 414 tys. i wywnioskował, ze długi przewyższały majątek. Drugi sąd kompromisarski ocenił dobra Siedliskie na 439 i pół tys., a ilość długów w dniu 9 lutego 1872 r. uznał za równającą się 529 tys. rs., zamiast podawanych przez p. J. J. 600,000. Z jego wyroku okazuje się (str. 150 i 516), że wszystkich wierzycieli p. J. J, zaspokoił wypłaciwszy im 399 tys. rs. Zważywszy, że w tabeli długów na 529 było wiele spornych, z kontraktów niepewnych i niedotrzymanych w części przez samychże wierzycieli, że zatém za istotną sumę długów należy raczéj przyjąć wypłacone 399 tys., a nie pierwiastkowo podane 529 tys., wypadałoby wnosić, że przy zlikwidowaniu interesów p. Sz., gdyby takowe mogło być wykonane przy najpomyślniejszych dla niego warunkach w początkach 1872 jeszczeby mu się okroiło po pozbyciu się ojcowizny jakie 30, albo 40 tysięcy rubli. Zważmy, że to są tylko przypuszczenia na żadnéj pewnéj podstawie nie oparte, że oba pojęcia, pomiędzy którymi

ustanawia się stosunek, nie dadzą się ściśle oznaczyć. Wysokość pretensyi nie sprawdzonych przez sąd nie znaczy sumy długów, pretensye obniżają się zwykle przy układaniu się z wierzycielami, przy bardzo nienormalnych stosunkach kupnai sprzedaży ziemi w naszym kraju, ceny majatków ulegają niezmiernym fluktuacyom, nakoniec wyjątkowo wartość siedliskiego majątku podnosiły niezmiernie, jego lasy tak niezbędne dla rozwijającego się w ostatnich latach (przed 1876) cukrownictwa na Podolu. Handlowe spółki na fabrykacyą cukru zawiązywały się licznie podżegane pewnością wielkiéj dywidendy po 40—50% od zakładowego kapitału. Spółka mogła dać chętnie cenę znacznie wyższą od téj, którąby mógł ofiarować pojedyńczy nabywca. Wydzierżawiwszy spółce na długie lata fabrykę i część gruutów i sprzedawszy lasy na wyrąb, można było ocalić majątek spłaciwszy dłużników. W położeniu w jakiém się znajdował pan Szczeniowski—pojmował on, że dla poratowania go otwierała się jedyna droga: należało wyszukać bardzo znacznego przedsiębiercę o wielkim kredycie, któryby nie dla własnego zysku, lecz jedynie przez spółczucie i przyjaźń zechciał go podźwignąć, ująwszy w wprawne i doświadczone ręce kłopoty zaplątanéj administracyi. Niełatwo znaleźć takiego dobrodzieja, jeszcze trudniéj go uprosić. Panu Szczeniowskiemu się zdało, że go znalazł w osobie p. Józefa Jaroszyńskiego. Przypatrzmy się obu głównym działającym w sprawie osobom, na ile same siebie odmalowały w aktach procesu i w licznych drukowanych publikacyach.

IV.

Pełen gwałtownych uniesień i niekonsekwencyi, literat z upodobania nie z profesyi, obywatel rolą zajęty, ale wciągnięty prądem ducha czasu do przemysłu, więc fabrykant cukru, p. Tytus Szczeniowski staje przed nami w swoich listach, głosach i publikacyach jako rodowity (61) szlachcic staréj daty; mocno przekonany, że dawniéj panowała szczera prawda i sumienność, a od lat trzydziestu, to jest od jego młodości grząźniemy stopniowo w błoto i ulegamy wciąż rosnącemu zepsuciu obyczajów, że zapominamy o dawnych szlacheckich prawidłach pod mgłą zysków zatłómianych. (List T. Sz. do jednego z swych kolegów. Odessa 1876 9 w.). Sam siebie p. Sz, zalicza do tych ludzi staroświeckich dawnemi tradycyami żyjących, którzy wierzą święcie w prawidło *licet sed non decet*, podczas gdy nowi utylitarzyści pracowitsi wprawdzie i bardziéj rachunkowi od dawna już wyznają dogmat: licet ergo

decet. (Bezstronny Głos, Lwów 1875 roku str. 13) i przejęci są zamiast *ducha ofiary*, *duchem zarobku*, tym jadem, który zakwasi wszystko i piękne początkowo intencye w bruk piekielny zamieni. Sam o sobie powiada P. Sz.: na słowo jedynie powierzający się, w dane słowo ślepo wierzący, a następnie zawodem srodze i namiętnie oburzony i potrzebujący wylać swoje męczarnie głosem tém przeraźliwszym im większe było zaufanie w obietnicach. Dodajmy; człowiek uczuciowy, wrażliwy i zmienny, w interesach dla innych osób bardzo przykry i niepewny, bo pod wpływem chwilowego wrażenia i interesu gotów źmieniać zdanie, nazwać tego kogo miał za wzór doskonałości "arystomałpą podszytą, spekulantem" (List 1876 str. 7) a sędziów polubownych porównawszy przed wyrokiem z kapłanami o świętéj misyi, pomiędzy których Duch Święty zstępuje, przechrzcić bez wahania się po wyroku poprostu na *latrones* (Victrix causa latronibus placuit List 1876 str. 10). Powodujący się przedewszystkiem uczuciami P. Sz. przekładał słowo nad papier i wolał mieć do czynienia z człowiekiem jednychże pojęć i zasad niż z żydami; wolał przytém uratować cały majątek aniżeli sprzedawszy wszystkie folwarki i spaliwszy las na rafineryi uratować jedne Siedliszcze, gniazdo rodu od lat kilkuset (186). Pierwsze zetknięcie się Szczeniowskiego z Jaroszyńskim bylo prawie przypadkowe. Pan Szczeniowski winien był Jaroszyńskiemu bagatelę 4 t. r., został jego dłużnikiem jeszcze na 5 t. r. w skutek przelewu przez żyda Kiwę Lande, za pszenicę zamiast gryki, traty Szczeniowskiego na tę sumę. Potrzebując gwałtownie 50 t. rubli na kontraktach kijowskich 1872 r. na zapłacenie dlugów izraelskich. P. Szcz. udał się z prośbą o pożyczenie téj sumy do p. Jaroszyńskiego (33), którego w oczach całéj szlachty otaczał wtedy jakiś niezwykły nimbus sławy i wziętości. Wiedziano że jest bardzo bogaty, ma wielki kredyt i rozległe stosunki, że poprawił interesa swego szwagra a brata Pana Tytusa—Stanisława Szczeniowskiego, że podźwignął swego krewnego Czesława Jaroszyńskiego (31), ztąd szła rozległa fama po świecie, że Pan J. J. jest powszechnym dobrodziejem i wybawcą ludzi zaplątanych. P. J. J. sumy żądanéj nie pożyczył ale dał pełną zdrowego sensu naukę moralną i zbawienną radę: jeżeli sam chcesz daléj interesa swe prowadzić i wykryjesz mi stan ich, to nikomu nic nie powiem i dług mój 9 tysięczny zniszczę, ale będę cię miał za nieuczciwego człowieka, bo myślę że dziś jeszcze możesz wyjść z honorem, za lat zaś kilka wierzyciele twoi za rubla odbiorą 20 kop. sr. (34. 157). Po téj radzie która od razu przekonała P. Szczeniowskiego nastąpiła wspaniałomyślna propozycya, którą P. Szcz. pochwycił z zapałem: Pan Jaroszyński *sam zapropo-*

nował Szcz. swoją opiekę pod warunkami wprawdzie bezwzględnéj ze strony podeszłego pupila uległości. Stanął w ten sposób układ, na słowie i dobréj wierze oparty o którym drugi sąd polubowny wyrażał się, że niepodobna stanowczo orzec jakiéj był on treści i wagi (495). Najprostsze zestawienie kilku dat i faktów wystarczy na określenie najdokładniejsze rodzaju i rozciągłości zobowiązań, które wziął na się względem Szczeniowskiego Pan J. Jaroszyński . Obaj przeciwnicy przyznają jednogłośnie że propozycya mieściła następne wyrazy (34, 157): jeżeli mi przyrzeczesz że nowych długów nie zaciągniesz, że nie będziesz się plątał w robienie kontraktów, jeżeli zatrzymasz wszelkie wypłaty i przeniesiesz boleść wynikającą z takiego położenia, obiecuję ci że się zajmę ułożeniem twoich interesów. Zgodne dotąd podania rozchodzą się odtąd w strony różne. Wedle Jaroszyńskiego obietnica podjęcia się interesów wolna była od wszelkich pewnych wniosków o przyszłym rezultucie: „oddaj pod moją wyłączną decyzyą tak rozpłaty z kredytorami jako i cały swój majątek i nie miéj do mnie żadnéj pretensyi, jeśli ci się z niego nic nie dostanie“ (ma się rozumieć fors l'honneur) „gdy się pokaże że cyfra długów przewyższa wartość majątku.“ Wedle P. Szczeniowskiego przyrzeczenie było téj treści: „ułożę się z kredytorami, dam awans dla gospodarstwa i cukrowni, rozprzestrzenię rafineryą, dam moją mączkę do rafinowania i za lat kilka *ocalę* Siedliszcze dla ciebie lub twego syna, choćby nawet było do sta tysięcy długów więcéj niż te które mi okazałeś.“ — które z tych twierdzeń wiary godniejsze? Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że wchodząc w stosunek ze Szcz. P. J. miał stałe przekonanie, którego nie zmienił, że długi są bardzo znaczne i dochodzą do wartości a może i przewyższają wartość majątku, za dowód służy list z d. 2 maja 1872 r. do Pani Szczeniowskiéj w któréj oblicza że po zredukowaniu do 400,000 długów, ponieważ Siedliszcze całe warte tylko 300,000, więc potrzeba aby cukrownia która się musi odbudować była na czas długi samowładną w Siedliszczach panią przed którą wszystko ustępować musi (309); dowodem drugim jest *memorandum* Pana J. J. dnia 20 czerwca 1872 r. w którym tak samo oblicza przewyżkę długów nad wartość Siedliszcza na 100 tysięcy (419). Zauważmy że mając takie przekonanie o stosunku długów do wartości majątku, z pełnym zatém rozmysłem a nie nieoględnie, P. Jaroszyński kilkakrotnie oświadczył ojcu kapucynowi Kazimierzowi w marcu 1872 r. w Babinie: mam w Bogu nadzieję, że oddam najdaléj po upływie lat 12 Siedliszcze oczyszczone z długów P. Szczeniowskiemu lub, jeżeli ten ostatni nie dożyje, synowi jego Adamowi (110); że w maju 1872 r. w Kijowie w obec Teofila

Dynowskiego tenże Jaroszyński mówił do Pani Szczeniowskiéj: cóż wam do głowy wlazło że ja chcę waszych Siedliszcz; napijcie się wody i opamiętajcie się, bo gdybym znalazł takiego dobrodzieja jak J. J. tobym go w nogi całował; że w tymże czasie i miejscu w obec Panny Zapolskiéj P. J. upewniał Panią Szczeniowskę że za lat 10 odda czysty majątek Panu Tytusowi, jeżeli tenże nie będzie mu przeszkadzał w administracyi: „on musi mieć majątek ten stary, bo ja tak chcę.“ (str. 118); że w październiku 1872 r. powiadal P. J. że może prędzéj oczyścić Siedliszcze niż się spodziewał (zeznanie Dynowskiego); nakoniec że w liście z dnia 21 paźdz. 1872 r. pisał do Szczeniowskiego (311). „Fortunę, jeśli Bóg pobłogosławi mojéj pracy mogę przy nadzwyczajném materyalném wysileniu dla syna twego na nowo zrobić... życzę ci żebyś żył w najdłuższe lata i mógł jeszcze kierować pierwszymi krokami twego syna w zawodzie administracyjnym, jak mu oddam oczyszczone Siedliszcze z cukrownią.“ — Z tych kilku wypisów okazuje się z zupełną pewnością, że przypuszczając stan interesów gorszy może niż był w rzeczywistości i przewyżkę długów nad majątkiem o 100 t., P. Jaroszyński podjął się bezinteresownie zrobić *tour de force* niepospolity, że przyrzekł więcéj niż to, czego mógł dopiąć P. Szczeniowski nikomu się nie kłaniając, a ogłaszając się niezwłocznie za upadłego i poddając się konkursowi lub administracyi wierzycieli; że obiecał kosztem swéj pracy, talentu, a nawet „materyalnego wysilenia“ oddać Szczeniowskim dziedziczną skibę ziemi, rodzinne Siedliszcze, jeżeli tylko „Bóg pobłogosławi;“ to jest jeżeli nie zajdą jakie nadzwyczajne od woli P. J. J. niezależne okoliczności, jeżeli jak się wyraził w swoim liście P. Czarnomski (3 wrześ. 1872 r. str. 325) „nie będą jakie klęski, nieurodzaje i niepowodzenia.“—Pan Jaroszyński oczywiście się zagalopował zbyt daleko, może nieroztropnie, przesądzając o swoich zdolnościach i środkach, jak ten siłacz który że z łatwością przerzuca z ręki do ręki pudowe ciężary, więc sądzi że i górę całą na barkach przeniesie. Nie podlega jednak wątpliwości, że robił w ciągu kilku miesięcy te obietnice ustnie i na piśmie, że témi obietnicami podniósł na duchu i jak na sto koni wsadził całą rodzinę Szczeniowskich; że sami Szczeniowscy i ich krewni zaśpiewali chórem wielki hymn dziękczynny (list T. Szcz. do pani J. 17 lutego 1872 r. 182 „nobles procédés, benedictions de Dieu“— List Pani Szcz. do męża 10 lutego 1872 r. 183: Bóg natchnął... tego najszczerzéj dobrego człowieka... listy Wład. i Stan. Szcz. 2 i 4 marca 1772 r. 183 i 105), i że długo nieczekając, już na lutowych kontraktach kijowskich 1772 r. P. J. J. ujął opinię publiczną i przyjmując applauzy stroił swe czoło w kredytowane laury obywatel-

skie, te laury które z przyszłych czynów dopiero miały wyrosnąć (36). Tylko wielkiémi i niespodzianémi nadziejami w przyszłości da się tłómaczyć oddanie się familii pełne i bez szemrania w niewolę babylońską (331) pod ciężką ferułę zbawcy, z którego ręki chléb dawany był zaprawny, z powodu właściwości jego charakteru, szczególniejszym smakiem goryczy. Szwagier J. Jaroszyńskiego Stanisław Sz. w ten sposób maluje go: że Józef obok popędów szlachetnych, jakie w obecném społeczeństwie *nie egzystują*, zachował naturę czasów gdzie było mniéj egoizmu ale *dużo gwałtu i ucisku*, o tém wiém z własnego doświadczenia. — Z całego wzięcia się do siedliskiego interesu przez Pana J. J. przebija ogromne jego o sobie rozumienie, a ztąd imponująca pewność, stanowczość nieomylnych wyroków i wielka pycha nie znosząca żadnéj opozycyi, sposób obejścia się olśniewający względem tych których należało ująć, szorstki i opryskliwy dla tych, którzy się niepoddawali odrazu téj żelaznéj niby woli. Wszakże z aplauzem wielu w danéj sprawie osób, wytrącał za drzwi nie zupełnie posłusznych izraelitów (184). Tylko urojeniem, natchnionym przez urazę tłómaczyć można posądzanie Jaroszyńskiego przez Szczeniowskiego, że wszedł w Siedliski interes zdradziecko od początku czyhając na Siedliski majątek. Jako interes—Siedliski był od początku i w najlepszych warunkach jak się późniéj dosadnie wyraził P. Czarnomski: interesem śmierdzącym (175). Pan Jaroszyński mający Pana Boga prawie co dziesiąte słowo na ustach, chciał po prostu zgrać rolę Boskiéj Opatrzności i po swojemu ludzi uszczęśliwić, nie dopuszczając by nad tą Opatrznością w najmniejszy sposób dyskutowano. Na każdym stanowisku i w każdéj robocie do któréj rękę P. J. J. przykładał znać lwią samowładną naturę, potrzebę wyłącznego w szerokim kole panowania. I były to nietylko chęci, lecz i wyrobiona a uświęcona powodzeniem metoda. Posłuchajmy P. Stanisł. Szcz. jednego ze zbawionych (331). Powierzyłem mu wieś wartości 70 t. i połowę gotowéj cukrowni, która mię 75 t. kosztowała, włożyłem zaś na niego obowiązek spłacenia 40 t. długu, za co odstąpiłem mu $^1/_4$ część dochodu z fabryki, co mu pozwoliło nabyć na własność $^1/_3$ cukrowni, następnie postawić takową w Babinie, gdzie przy pomocy posagu żony doszedł do świetnego stanu interesów. Rozgłosił wszędzie *że bankrutowałem*, a on mnie wyratował, że nic nie warta cukrownia która mu już w pierwszym roku dała 30 t. czystego dochodu, że on dopiero swoim rozumem wszystko poprawił. Na str. 163 posiadamy bardzo charakterystyczne podanie samego J. J. tłómaczące sposób prowadzenia przezeń interesu. Główna treść tego podania następna: P. S. powierzył mi bezwarunkowo swój honor

i majątek, rola prostego mediatora między nim a wierzycielami była dla mnie niewystarczającą, miałem plenipotencyą od Handlowego kijows. banku i od innych kredytorów; większa część ich złożyła nawet w mém ręku skrypta, czyniąc mię sędzią w swoich ze Szcz. interesach.—Pan Jaroszyński był więc wedle słów własnych jednocześnie opiekunem Szczeniowskiego, jego głównym wierzycielem ze skryptów, które od niego jak zobaczymy otrzymał, plenipotentem mnóstwa innych wierzycieli i nakoniec sędzią całego interesu. To połączenie w jednéj osobie najsprzeczniejszych funkcyi, a zatém obowiązków, przenosiło w ręce Jaroszyńskiego wszystkie klucze pozycyi, czyniło go wszechwładnym prawie panem całego tego skołtunionego kłębka stosunków majątkowych; ale samo położenie przezeń stworzone było najzupełniéj fałszywe i uczyniło niemożebném rozwiązanie zadania z honorem dla niego i bez moralnego szwanku. Pan Jaroszyński nie mógł nie pokrzywdzić albo siebie albo innych wierzycieli albo kogokolwiekbądź, nie mógł przynajmniéj nie narazić się na zarzuty że pokrzywdził, z natury rzeczy nie mógł decydować bezstronnie i działać wszystkim dogadzając. Z całego splotu interesów i obowiązków obchodzi nas tylko stosunek P. J. J. do T. Szczeniowskiego, który da się podzielić na dwie kwestye: rękojmi danych przez P. Szczeniowskiego i przysług okazanych przez P. Jaroszyńskiego. Jako człowiek praktyczny P. J. J. nie mógł poprzestać na słowie i dobréj wierze ratowanego, sypiąc własne pieniądze w interes musiał się zabezpieczyć, to jest zapewnić sobie bezwarunkową uległość ratowanego, niezależną od woli tego ostatniego. Dopiero zapewniwszy się co do uległości, począł P. Szczeniowskiego ratować. Wiadomo że po żelaznych wiekach średnich nastało nowe pasmo czasu, wiek któryby można nazwać papierowym. Dziś skryptem można dać się związać daleko mocniéj niż niegdyś kajdanami. Dziś kawałkiem stemplowego papieru można dokazać więcéj niż dawniéj grotem i włócznią, szablą i koncerzem. Zastanówmy się naprzód nad tymi łańcuchami, którymi dał się Szczeniowski dobrowolnie opasać przez dobroczyńcę mającego go ratować. Zobowiązania te były w następującym chronologicznym porządku.

Jeszcze w Kijowie na kontraktach 1872 r. P. Szczeniowski zawiesiwszy wypłaty wystawił na Jaroszyńskiego weksli na 50 t. r. któremi miał J. zaspokoić w zastępstwie Szczeniowskiego najbardziéj naglących kredytorów. Zwołano na 22 marca wierzycieli do Lipowca; tu rozwijany był przez P. Jaroszyńskiego projekt pośredniczéj komisyi, która jednak nieprzyszła do skutku, bo nie było jednomyślności między wierzycielami. Podczas tego zjazdu w ręce

Jaroszyńskiego przeszedł familijny kapitał 15 tysięcy r., posag matki Szczeniowskiego Praksedy, cedowany przez nią 21 lutego 1872 r. wnukowi Adamowi, a przez Adama przelany na Jarosz. 25 marca Panowie Szczeniowscy ojciec z synem jeździli do Babina, a 1 kwietnia rozpoczyna się drugi zjazd wierzycieli w Winnicy, równie jak pierwszy bezskuteczny; ale na którym Szczeniowski dał 1 kwietnia Jaroszyńskiemu najzupełniejszą plenipotencyą na zarządzanie majątkiem, i cukrownią i na odnowienie lub przebudowanie téj ostatniéj (199), zaś 6 kwietnia zobowiązał się wydać *zakładnę* na cały majątek, i cukrownię na 24 lata i na takież 24 lata dwa kontrakty, jeden dzierżawczy na cały majątek z cukrownią, drugi na wyrąb całego lasu w majątku na zabezpieczenie 500 tysięcy r. które ma wyłożyć Jazoszyński na poprawienie interesów Szczeniowskiego (str. 263). Już wcześniéj bo w marcu majątek Siedliski ze wszystkiemi remanentami przeszedł bez żadnego inwentarza w posiadanie Pana Jaroszyńskiego, gospodarzyli oficyaliści tego ostatniego, Szczeniowscy byli na ordynaryi; mieli otrzymywać pewne produkta naturą i 2,000 rubli pieniędzmi rocznie (80—85). W maju dopiero zamiast ordynaryi oddano Szczeniowskiemu na mieszkanie i na zaopatrzenie jego potrzeb folwark Gryżyńce.—Gwałtowny i boleśny przełom w położeniu jeszcze dziedzica a już siedzącego na pensyi i ordynaryi nie odbył się bez starć, uraz i wyrzekań. Oficyaliści nie zawsze byli delikatni (50) z rozkau J. wyrzucono kury i drób Pani Szcz. z chat obróconych na kurniki, by chaty użyć na inne potrzeby gospodarskie (81, 309), pozasypywano rowy kasując drogi przez majątek przekopane przez Szczeniowskich (251), Serce P. Szczeniows. boleśnie dotknięte zostało radą P. Jaroszyńskiego, może i w najlepszéj intencyi ale w szorstkiéj formie daną, a nie mającą z Siedliskim interesem bezpośredniego związku, aby syn Adam opuścił dom rodziców i postarał się zarabiać na kawałek chleba. W położeniu zależném każda rada ma pozory rozkazu, i widzimy że T. Szczeniowski mocno zafrasowany stara się o wytłómaczenie Panu J. J. aby nie warunkował swojéj pomocy sposobem życia i zajęciami Adama Szcz. 27 letniego człowieka, który mu w niczém nie staje na zawadaie. Obudzone były z jednéj strony obawy, z drugiéj rosły żądania niezupełnie uzasadnione. W kwiet. 1872 r. w Babinie P. Szczeniowskiemu postawione było takie ultimatum: sprzedać J. J. fikcyjnie fabrykę Siedliską, ażeby ułatwić utworzenie kompanii i wydać nowych weksli na 160,000 r. (160). W maju 1872 r. Jaroszyński wzywa Szczeniowskiego do Kijowa i tam zamiast zakładnéj bierze od niego weksli jeszcze na 220 t. co z dawniejszymi (50 + 160) stanowi razem 430,000; jednocześnie

objawia mu że chce mieć przeniesioną na swoje imie własność i dawnéj fabryki w Siedliszczach (50 dies.) i ziemi (34 dies.) w Gniewaniu na któréj ma się kiedyś nowa pobudować. Niepodobały się te fikcyjne kupna Szczeniowskim, budziły się podejrzenia które uspokoiły słowa J. powyżéj przytoczone: „co się wam uroiło że chcę waszych Siedliszcz?“ — Już w tym miesiącu tak przez Grabowieckiego jako i bezpośrednio zagrożono Szczeniowskim, że jeżeli się opierać będą, Jaroszyński jako sam wierzyciel i plenipotent Banku wystawi Siedliszcze na sprzedaż (90). Pod wrażeniem takiéj zapowiedzi żądania P. J. były spełnione wszystkie. 5 lipca spisane zostały w Kijowie dwa kontrakty: dzierżawny na lat 12 i 14 letni na wyrąb lasu, 21 września akt kupna i sprzedaży niby za 40 t. r. 50 dziesięcin pod starą cukrownią w Siedliszczach, i 11 paźdz. akt kupna i sprzedaży 35 dziesięcin pod projektowaną w przyszłości nową cukrownię w Gniewaniu, niby za 1050 r. (267, 269). Te akty uzupełniły system rękojmi któremi się obwarował wedle Zbioru Praw Pan Jaroszyński: przeniesiony na jego imie tytuł własności obu cukrowni dawnéj i nowéj, która późniéj powstała z rumowisk dawnéj; dzierżawa długoletnia, cały las i weksle na 430,000, skupione w jednym ręku, więc prawie cała wartość materyalna Siedliszcz i alterum tantum walorów w skryptach. Zobowiązania przewyższały możność zobowiązującego się prawie we dwójnasób, i wystarczały na to, aby dłużnika zgnieść, wyrzucić z własności a nawet przyprawić o utratę wolności przez rygor prawa wekslowego. Dobrodziéj zabezpieczony był zupełnie; rozpatrzmy jakże pełnił podjęte z dobréj woli względem bliźniego obowiązki. Należy przyznać że wykonanie nie odpowiadało wcale dobrym chęciom początkowym.

Jedyny sposób wyjścia z Siedliskiego interesu bez wkładania doń ogromnego własnego kapitału mógł polegać na zawiązaniu z wierzycieli cukrowarnianéj spółki przemysłowéj. W nadziei zysku wierzyciele możeby się zgodzili przedzierzgnąć się w akcyonaryuszów. P. Szczeniowski otrzymałby téż nieco akcyj i mógłby brać pensyą jako jeden z dyrektorów, zaś obrotowy kapitał dałyby banki pod zastaw cukrowni i majątku. Taki był plan podawany przez braci Rafałowiczów w maju 1872 r. obrachowany na nabycie Siedliszcz w wartości 525 t. r. (195). P. Jaroszyński z planu tego nieskorzystał, innego nie wymyślił, z wierzycielami nie poradził, umowy z nimi nie zrobił, spółki nie sformował, chociaż lata 1873 i 1874 były niezmiernie dla cukrownictwa pomyślne i spółki cukrowe wyrastały na Wołyniu i Podolu jak grzyby po deszczu. Przewija się w sprawie głuche podanie o uformowanym niby Towarzystwie Gniewańskiéj fabryki z zakładowym kapitałem 1,300,000 r., którego

protokóły, regestra i rachunki prosił Szczeniowski zebrać i rozpatrzyć; ale drugi sąd polubowny usunął to żądanie jako przechodzące granice czynności sądu (?). Tę kwestyą także osłania tajemnica. (97, 400) P. J. J. przyznaje że Towarzystwo istnieje tylko na papierze (400).— P. J. J. spółki utworzyć nie chciał czy nie umiał, administrował sam usunąwszy Szczeniows., przez swoich własnych oficyalistów, nie uregulowawszy téj administracyi wyjechał w czer. 1872 r. do wód za granicę, wrócił późno w jesieni we wrześniu i tak pięknie operował że już w pierwszym roku (od końca kwietnia 1872 r. do 1 maja 1873 r.) po zbilansowaniu dochodu z rozchodem, rachunek się zamykał saldo 92,398 rs. wyobrażającém czystą stratę z całego gospodarstwa, z którego jednak sprzedano 1$^1/_2$ t. czetwerti pszenicy i otrzymano 40 t. korcy buraków, a przerafinowano na fabryce wraz z dokupionemi 76 t.—(str. 301. Uwagi nad rachunkami Lwów 1872). Wszystkie dochody i znaczną część nowych nakładów pochłaniało kosztowne restaurowanie starej fabryki, którą już miano w myśli zburzyć, a wybudować nową w Gniewaniu. Sposób prowadzenia administracyi bynajmniéj nie odpowiadał wymaganiom przemysłowego wieku, a przypominał owe czasy staroświeckie kiedy gospodarowano mniéj więcéj wedle kapitularzów Karola W., kiedy wszystko oparte było na pamięci i dobréj wierze ekonomów. Rachunków ścisłych nie zdał P. J. J. sądowi, a oto ocena rachunkowości w wyroku drugiego sądu kompromisarskiego: administracya od początku nie była urządzona racyonalnie, rachunkowość prowadzona była niedokładnie i bez żadnego systematu (423). Od sprawdzania niesprawdzalnych rachunków uwolnił się sąd przez to że całe saldo odniósł na rachunek Pana J. J. Puściwszy wolno wodze rządów swoich Pan J. Jaroszyński nic nie robił, i będąc sam uważany za człowieka opatrznego spuszczał się ślepo na losy szczęścia i zrządzenia Boskiéj Opatrzności.—Majątek wzięty był od Szczeniowskiego bez żadnego opisu, stosunki majątkowe tak się poplątały że utworzył się gatunek komunizmu, zlania się dwóch substancyj w jedno, bez rozgraniczenia tego co należy do Sz. i co do J. J. — W bliskiéj przyszłości zarysowywała się czyjaś ruina, a niewiadomo czyja, pupila czy dobroczyńcy). Pupil zdjęty trwogą o własną skórę zaczął krzyczeć w niebogłosy, a skutkiem tych krzyków było wysadzenie z obu stron po dwóch medyatorów (Russanowski, Grocholski, Lipkowski i Czarnomski. Na propozycyą Jaroszyńskiego zgodził się Szczeniowski na zmianę téj medyacyi w pierwszy sąd kompromisarski, który wydał wyrok 28 października 1872 r. Przypatrzmy się dokładniéj warunkom i rezultatom téj pierwszéj obywatelskiéj roboty.

V.

Wyrok polubowny z dnia 28 października 1872 r. (str. 427). Zapis na ten kompromis najdziwniejszy, i jaki tylko być może najrozleglejszy, wyraża albo wszystko albo nic, nie oznacza on nawet kwestyi o których arbitrowie mają decydować: my T. Sz. i J. J. mając między sobą nieporozumienia wynikłe z interesów Siedliskich postanawiamy wszystkie te nieporozumienia i kwestye z nich wynikłe oddać na rozpatrzenie i zdecydowanie takich to przez nas uproszonych. — Słowo „nieporozumienia“ mogło w ścisłém znaczeniu użyte, oznaczać urazy osobiste, albo w rozległém spory majątkowe. — Panowie Sz. i J. tak się majątkowie sprzęgli i zjednoczyli jak dwaj bracia Siamscy zrośnięci bokami, niewiadomo gdzie się kończyła własność jednego a zaczynała własność drugiego, jeden krzyczał że mu źle, drugi też że nie dobrze, obydwaj proszą: róbcie z nami co zechcecie. Wedle zapisu tłómacząc go jak się zwykle tłómaczy zapis to jest w najrozleglejszém znaczeniu, sędziowie mogli nieprzekraczając zapisu, uzbroiwszy się nożem chirurgicznym, przeciąć zrośniętych nowych braci Siamskich i zrobić z nich dwa ciała odrębne. — Na przeszkodzie nie mogła stać obawa o życie operowanych, wszakże i cięcie byłoby tylko majątkowe. — Arbitrowie nie zdobyli się na taki krok stanowczy, spojrzeli na majątkowe zespolenie się Sz. z J. jako na rodzaj sakramentu małżeństwa, jako na fakt prawie niewzruszalny i postąpili jak ci medyatorowie, którzy mając sądzić waśnie małżeńskie wmówią w powaśnionych małżonków, mężowi wyrozumiałość, żonie uległość, obojgu moc i świętość władzy mężowskiéj, poczém odchodzą, sądząc że wszystko załatwione, i że obejdzie się bez rozwodu. P. Szczeniowskiego sędziowie skrępowali do reszty, zrobili całkiem bezwłasnowolnym i poddali Jaroszyńskiemu na łaskę i niełaskę, *naprzód* przez przyznanie, że w chwili ogłoszenia wyroku („w obecnym stanie rzeczy“) długi przewyższają wartość majątku (372 t. i 414 t.), zatém, że nie posiada już żadnéj własności p. Szczeniowski i pokrzywdzonym na majątku być nie może, chociażby p. J. J. cofnął swoją opiekuńczą rękę; *powtóre* przez postanowienie, że nikt prócz p. Jaroszyńskiego nie może rządzić Siedliszczami i administrować, że pod tym względem prawa służące p. J. są nieograniczone (?) i P. Sz. nie powinien ich osłabiać lub nadweręźać żadném wdawaniem się, pod karą natychmiastowéj likwidacyi przez J. interesu Siedliskiego. Skrępowano Szczeniowskiego dla rozwiązania rąk Jaroszyńskiemu jako działającemu w charakterze niby opiekuna; każdy opiekun jest odpowiedzialnym, zachodzi więc pytanie czy

zabezpieczyli sędziowie los i przyszłość Szczeniowskiego, czy wytknęli Jaroszyńskiemu, do rąk którego oddali wszelkie władze, jasno i wyraźnie obowiązki jego względem Szczeniowskiego, czy zapobiegli wielce możebnym nadużyciom? Spełnić tę część najważniejszą swego zadania sędziowie nie uznali za potrzebne „ufając w szczerość uczuć pana J. i nie przypuszczając na chwilę, by *błahemi* (?) przyczynami powodowany, chciał od zobowiązań swych uchylać się.“ Więc były zobowiązania? Były, ale tylko „moralne:“ uważamy wyrzekli sędziowie, za rzecz słuszną, sumienną, doprowadzić do skutku projekta J. oczyszczenia fabryki i majątku, w tym więc sensie i kierunku p. Jaroszyński działać *powinien*. Założenie bardzo niewyraźne i mgliste, prawie to samo co nic; jeżeli zestawimy to blade zobowiązanie się li tylko „moralne“ z przekonaniem „najgłębszém“ sędziów, że p. Sz. znajduje się w stanie upadłości, możnaby wnieść, że sędziowie już mu przyznali prawo rozporządzić się Siedliszczami jak swoją własnością, gdyby nie dwie rękojmie dla Szczeniowskiego, które uznali za konieczne umieścić: jedna z nich mniéj istotna, polegała w zobowiązaniu pana J. J. do prowadzenia dokładnych rachunków objaśniających czynności jego w interesach siedliskich, i do komunikowania ich Sz. rok rocznie; druga daleko ważniejsza tyczyła się likwidacyi interesu. Odstępując od niedorzecznego, z prawnego punktu widzenia, pojęcia o „nieograniczonych“ prawach J. na majątek, sędziowie postanowili: że gdyby pomimo starań i pracy nieprzewidziane okoliczności, naprzykład dwu lub trzy letnie niepowodzenia, postawiły J. w niemożności uskutecznienia projektu swego względem oczyszczenia siedliskiego majątku, bez skompromitowania własnéj fortuny; wówczas pan J. mocen jest zlikwidować interesa siedliskie w sposób najwlaściwszy, chociażby sprzedażą (ale nie powiedziano nabyciem) siedliskiego majątku z fabryką. Ponieważ wyrok wydany 28 października 1872 r., więc wynika ztąd wyraźnie, że w ciągu lat 3 (to jest do 28 października 1875), a przynajmniéj do lat 2 (t. j. do 28 paźdz. 1874 r.) pan J. obowiązany jest bezwarunkowo, nawet z narażeniem własnéj fortuny, łożyć starania i pracę na prowadzenie interesu; i tylko, jeśli w skutek nieprzewidzianych okoliczności („klęski, nieurodzaje“ wedle zdania w liście p. Czarnomskiego 325, ale nie bezład i nieudolność w administrowaniu), oczyszczenie stanie się niepodobieństwem bez dalszego kompromitowania fortuny własnéj, pan J. mocen jest majątek sprzedać, albo zlicytować, ale nie zabrać na własność do swojéj kieszeni.

Taka treść pierwszego wyroku, który cechują następne wady organiczne jak w sposobie postępowania, tak i w zasadniczych

pomysłach. Mając włożone na się usunięcie *nieporozumień*, sędziowie nie zadali sobie pracy sięgnąć do źródła tych nieporozumień, to jest do tego, że wedle Szczeniowskiego J. wziął na się w lutym ratować, a do października rujnuje majątek, pogorszając stan interesów. Należało zacząć od zestawienia i porównania stanu interesów w lutym i w październiku, bo gdyby w październiku, który sędziowie obrali za punkt wyjścia, długi już przerastały majątek, jeżeli pan J. J. sprawił znaczne pogorszenie w sytuacyi, on sam jedynie powinien był odpowiadać za to pogorszenie i wynikającą zeń upadłość, nietylko moralnie ale i najprawniéj, nietylko wedle sumienia, ale nawet wedle Zbioru praw. Jeżeliby sędziowie od razu nie powzięli bez dowodów „najsumienniejszego i najgłębszego,“ ale i najbezzasadniejszego przekonania, że długi przewyższają majątek; jeżeliby nie dali się uprzedzić, że Sz. nic nie posiada, żyje tylko z łaski i na łasce, i może być co chwila wyrugowany i ze wszystkiego wyzuty; że mu pozostaje do ocalenia oprócz honoru jeszcze jaki taki grosz, cząstka mienia, stosunkowo do dawniejszéj fortuny drobna, ale dająca się obliczyć, uniknęliby téj rażącéj sprzeczności w rozumowaniu, że przyznając po stronie J. li tylko *moralne* dobrowolne zobowiązanie, którego spełnienie zatém nie jest żadną miarą wymagalne i zależy od wspaniałomyślności zobowiązanego, wyrzekli jednak, że p. J. J. *powinien* majątek wedle możności w ciągu 3 lub 2 lat oczyszczać. Bardzo słusznie uważał p. Czarnomski (list z d. 15 stycznia 1874 r. 329), że żaden sąd nikogo zmusić nie może do wspaniałomyślności, a tylko do oddania co się komu należy; jeżeli tak jest, i jeżeli sąd wszelki, zwyczajny czy polubowny, może przyznawać tylko obowiązki *prawne*, a zatém wymagalne; jeżeli sąd przyznał że Szczeniowskiemu z prawa się należy, aby w ciągu 3 lub 2 lat pan J. J. postarał się wedle możności oczyścić majątek, więc należało obowiązek ten określić i uregulować, o czém doskonale wiedział i pan Czarnomski wyrażając w liście do T. Szcz. 3 września 1872 roku przed kompromisem (325) potrzebę tego, aby nadal położenie każdego z prawujących się było wyjaśnione, i zależało jak wszystko na świecie od okoliczności, a nie od kaprysu, i arbitralnéj dobréj albo złéj woli kontrahentów. Jakże zadość uczynić téj potrzebie uznanéj? Wypadało zawezwać p. J. J. do wyłożenia na zasadzie cyfr i rachunków, których złożenia sądowi należało zażądać, całego jego planu ratowania majątku, wszystkich szczegółów ekonomicznych i finansowych przedsięwziętéj bardzo trudnéj sprawy. Gdyby zażądano podania na stół projektów i rachunków, albo pan J. J. takoweby złożył i myśl swą wytłómaczył, a samo zaznaczenie w wyroku

tego faktu byłoby uwolniło p. J. J. od wielu nieprzyjemności na przyszłość, od posądzania go, że krzywda i łza ludzka leżą na jego milionach; alboby p. J. żadnych projektów i rachunków nie złożył, bo jak się okazało późniéj nie było w administracyi, ani organizacyi racyonalnéj, ani rachunkowości; bo z Jowiszowéj jego głowy jeszcze się nie wylęgły projekta operacyi i myśl czekała połogu. Natenczas powinność nakazywała sędziom uciec się do chirurgii, dokonać cięcia i rzec p. J.: zapłać p. Szczeniowskiemu tyle a tyle, za to żeś czas stracił i w interesach zaszkodził; poczém skruszywszy pęta Szczeniowskiego powiedzieć mu: jesteś wolny, radź o sobie jak możesz bez p. Jaroszyńskiego. Sędziowie zbyli rzecz lekko, rachunków nie zażądali i z trzech pytań: czy chce, czy umie i czy może? zatrzymali się tylko na pierwszym: czy chce pan J. spełnić swój obowiązek, poczém już wcale nie szli daléj. Zdało się im, że ubliżą godności p. J. J., jeżeli choć na chwilę przypuszczą, że p. J. może się *błahémi* przyczynami powodować (chęcią nie stracenia nic z własnéj fortuny, nie mówiąc już o chęci zysku). Pan Szczeniowski im zarzuca, że zbyli prawujących się lekko, spełnili sędziowski urząd niedbale; 27 października zrobiony był zapis, a nazajutrz 28 października 1872 r. zapadł już wyrok oparty może na najgłębszém przekonaniu, ale bez żadnéj znajomości interesu. Trudno posądzać arbitrów o niedbałość, przyczyna uchybienia była zapewne głębsza i tkwiła w ogólnych cechach charakteru naszego obywatelstwa; w idealizmie bez granic, który tkwi w nas i przenika aż do szpiku kości, w wierze bezwarunkowéj w ludzi, nawet kiedy w skutek braku zaufania stosunek się psuje i w tradycyjnéj skłonności uszanować wszelką obywatelską powagę czy to z rodu pochodzącą, czy taką, która się sama kreowała i zaimponowała. Odbija dotąd jaskrawo ta skłonność na tle nowego demokratycznie kształtującego się towarzystwa, która za nadto jeszcze wierzy osobom i mało ceni demokratyczne prawidło: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

VI.

Pierwszy kompromis nic nie pomógł, niczemu nie zaradził, pozostawił obydwóch procesowiczów skomunizowanymi. P. Szczeniowski nic nie mógł zrobić, bo zakazano mu wtrącania się, czekał więc niecierpliwie i milczał. Nie on nie spełnił wyroku, lecz ten właśnie człowiek, o którym nie chciano na chwilę przypuścić, że może z błahych przyczyn uchylić się od zobowiązań nietylko na się dobrowolnie wziętych, ale już i sądowo usankcyonowanych.

To zerwanie zobowiązania, a przeto i podarcie wyroku arbitrów na szmaty dokonaném zostało w sposób następujący. Rachunkowości do administracyi po wyroku nie wprowadzono, planu oczyszczenia majątku nie powzięto żadnego; przez cały ten 1872 i następny 1873 r. gospodarowano na stratę, która wynosi wedle drugiego wyroku 119,136 w ciągu dwóch lat administracyi. Włożywszy przeszło 100 tys. w restauracyą staréj fabryki Siedliskiéj, Jaroszyński wezwał Szczeniowskiego w kwietniu 1873 r. do Babina i oświadczył, że starą fabrykę do fundamentu zburzy, aby odjąć Sz. chętkę do prowadzenia przemysłu, na którym zbankrutował. Nic nie wiedziałem, powiada Sz., że ten szczególniejszy dowód przyjaźni, objawiający się przez zniweczenie pewnéj wartości, już w téj chwili stał się nieodwołalnym czyném (89), bo aparaty i nawet cegły z murów dawnéj cukrowni Siedliskiéj przewieziono jednocześnie do Gniewania do nowéj fabryki, któréj wykończenie wymagało dużo czasu i pieniędzy.

Niepomyślny bieg siedliskiego interesu mógł oddziaływać na stan osobistych interesów i kredyt Jaroszyńskiego. Przypuszczamy że po włożeniu własnych p. J. kapitałów w interes Siedliski, zaniedbanie tego interesu narażało na niebezpieczeństwo zaangażowane kapitały P. Jaroszyńskiego, że straciwszy wszelką nadzieję powodzenia P. J. uznał za najstosowniejsze przystąpić do likwidacyi interesu siedliskiego natychmiast i nie wyczekując żadnych terminów, i zlikwidować go przytém nie za pomocą sprzedaży w ręce trzecie, lecz za pomocą zabrania na swoją osobistą własność za dług, za nabyte wierzytelności i zrobione nakłady.—9 stycz. 1874 r. zajechawszy do Siedliszcz J. J. uprzedził Szczeniowskiego że interes stoi najgorzéj, oprócz skupionych długów i już włożonych pieniędzy na 560,000, trzeba jeszcze nakładu na dobudowanie fabryki 280,000, zatém że grozi niechybna ruina i lepiéj aby się likwidacya odbyla natychmiast niż za lat parę. Na téj zasadzie J. zaproponował Szczeniowskiemu do wyboru: aby S. zapłacił mu gotówką i to nie późniéj jak 1 lutego 400 t. r. i w ten sposób go pokwitowawszy wziął na powrót Siedliski majątek, albo aby mu oddał za jego wierzytelność cały majątek prócz jednego z folwarków z 531 dziesięciną ziemi, zaś na zagospodarowanie tego folwarku ma otrzymać Szcz. od Jaroszyńskiego 10,000 (57, 121). W dzień potém, w skutek nowego obrachowania ilość wydatków i nakładów urosła do 607 t., a J. podniósł już do 450 t. sumę za którą ustąpi z Siedliskiego majątku 125. 318). Na próżno Sz. przekładał że po niepowodzeniu interesu w skutek dwuletniego bezładzia, nie może on Sz. skrępowany dokumentami w trzy tygodnie znaleść i wyłożyć na stół takéj sumy

pieniędzy, daremnie prosił o roczny termin do lutego 1875 r. na wynalezienie amatorów do utworzenia spółki akcyjnéj. P. J. termin złożenia pieniędzy odroczył do 18 lutego, lecz na 1 lutego wezwał stanowczo Szczeniowskich do Winnicy dla ostatecznego ukończenia interesu. Zagrożony i przyciśnięty Sz. udał się do jednego z arbitrów pierwszego kompromisu M. Czarnomskiego i prosił go o wyjednanie lżejszych warunków. Pan Czarnomski który przed zapisem na pierwszy kompromis (3 wrześ. 1872 r.) uznawał że J. pomoc swą dać jest obowiązany (325), a w wyroku 28 paźdz. 1872 r. zaznaczył jako termin dwa lata w ciągu których J. obowiązany jest pracować na interes siedliski, nim mu będzie wolno przystąpić do likwidacyi, oświadczył się teraz stanowczo za J., radził bezwarunkowo rezygnacyą i przyjęcie z wdzięcznością co mu się ofiaruje z łaski przez J., dającego najszczytniejszy dowód zacności i robiącego więcéj niż proste wywiązanie się z moralnego zobowiązania się (l. z d. 15 stycznia 1874 r. 327).—Szcz. który na samą myśl wywłaszczenia oburzał się zrazu nazywając ją infamią (77), zgodził się w końcu na podawane warunki w obawie aby nie minęło go nawet tych parę, jak się wyrażał „ochłapków“ dawnéj posiadłości i 10 t. rs., których ostatecznie mógł mu niedać Jarosz. wywłaszczywszy go całkowicie i puszczając z niczém. — 1 lutego 1874 r. w Winnicy Pani Sz. w zastępstwie za męża zobowiązała się względem sprzedaży majątku (320) a 13 lipca 1874 r. dokonany został w Izbie sądowéj cywilno-kryminalnéj Podolskiéj formalny akt kupna i sprzedaży majątku, za dług w fikcyjnéj sumie 109 t. (271). Bardzo być może że P. J. włożył w Siedliski interes sto lub półtora sta tysięcy rs. więcéj niż wart majątek zwłaszcza z podniszczonym podczas jego administracyi lasem. Bardzo być może że i P. Szczeniowskiemu przy likwidacyi interesu w 1872 r. okroiłoby się mniéj jeszcze niż ta para ochłapków grunt i 8 t. rs. gotówką, które dostał przy sprzedaży Siedliszcz w lipcu 1874 r. Bardzo być może iż te tak zwane ochłapki stanowiły najlepszą część Siedliszcz. Nie wchodząc w treść przyznajmy że raziła forma likwidacyi, zdecydowanie absolutne rzeczy całéj przez J. pomimo opozycyi ze strony Sz., narzucenie temu ostatniemu warunków.—Jużciż akt sprzedaży dokonał się bez przymusu fizycznego, i P. Sz. nie skarżył się do kryminału że mu gwałt zadano; wszakże jeżeli zważymy jakimi dokumentami we dwójnasób przenoszącymi wartość Siedliszcz był zbrojny P. J., dokumentami za pomocą których mógł w jednéj chwili wyrzucić Sz. z majątku, wywłaszczyć go sądowie, ogłosić za upadłego i nawet pozbawić wolności; przejdziemy do konkluzyi że była racya w skargach Szcz.: ulegałem będąc jak gdyby pod presyą nabitego pi-

stoletu (123). Fakt téj presyi niepodlega wątpliwości i przyznany został przez sąd drugi polubowny (510). Żadna ze stron nie odwołała się do braci szlachty, do ludzi zaufania, do obywatelstwa; J. aby się zasłonić od zarzutu, że substancyą tego kim się miał opiekować spożył; Szczen. aby się wyzwolić z pod presyi i dojść do likwidacyi na innych warunkach i zasadach. Sparzony wyrokiem pierwszych arbitrów, zawiedziony w swych nadziejach na Czarnomskim, Sz. rozpoczął przeciwko J. i arbitrom podjazdową wojnę broszur i pamfletów. Czytelnikowi wiadome są już następstwa téj polemiki. Obywatelstwo wystąpiło zbiorowo przeciwko śmiałkowi targającemu się na krajową instytucyą; trafiono na myśl nie bardzo szczęśliwą dojść do skarcenia tego śmiałka przez przejrzenie na nowo całéj prywatnéj sprawy z J. od początku;—co więcéj narzucono prawie stronom sam zapis bo zobowiązano strony aby zapis ten podpisały. Zagajony w Kijowie 21 lutego 1875 r. drugi sąd polubowny przeniósł się do Winnicy a potém do Odessy, gdzie wydał po 23 posiedzeniach wyrok datowany d. 19 czerwca 1875 r. Drugi sąd polubowny myślał że nie uchyla i nie kasuje pierwszego kompromisarskiego wyroku, w istocie zaś pozbawił pierwszy wyrok powagi rzeczy osądzonéj, stanowiąc że przejrzy kwestye przez sąd pierwszy rozstrzygnięte celem poprawienia w czem były mylnie przedstawione lub niedostatecznie objaśnione. W prostocie ducha nikt z układających drugi zapis nie dojrzał dotkliwego afrontu, który zadany był w tym zapisie pierwszym arbitrom, tych byłych sędziów wezwano do nowego sądu jako świadków, w celu uproszenia ich by jasno motywowali swój dekret; skąd prosty wniosek że dekret był chyba wcale nie motywowany, albo ciemno i źle motywowany, to jest nieodpowiadający warunkom wyroków w tych bardziéj ucywilizowanych czasach, w których my żyjemy, odkąd, zaczęto niedowierzając pamięci ludzkiéj spisywać wyroki na papierze. Wyrok sądowy zawsze sam się broni i tłómaczy, i nikomu na myśl nie przychodzi pociągać byłych sędziów dla interpelacyi do sądowych kratek. Nie chcemy wątpić, że zebrani w komplecie sądu arbitrowie drugiéj seryi mocno przejęci byli swoją misyą obywatelską i że chcieli i zamierzali stworzyć sądowe arcydzieło, pomnik trwały dla swojéj obywatelskiéj reputacyi. Lecz w wielu razach chęciom najlepszym nie odpowiada skutek, oprócz chęci trza jeszcze trochę technicznéj wprawy i profesionalnéj umiejętności.—Jak wojaczka albo malarstwo, nauczycielstwo albo stolarstwo, ma i sądzenie spraw cudzych pewne reguły i metody; są prawidła tak proste, że obserwują się zapewne nawet w Malabarze albo w sądach u Kadich na Wschodzie, są inne które utarte tylko w pra-

ktyce narodów europejskich. Bierzmy te których ludzie dawnéj daty mogli się wyuczyć jeszcze ze statutu litewskiego, a ci co nie znali statutu ze Zbioru Praw. W każdém sądzącém colegium przewodniczy prezes kierujący obradami i stawiący na naradzie pytania; każde rozpoznanie sprawy bywa poprzedzane przez wniesienie pozwu, w którym skarżąca strona stawi jasno żądania: zrób albo daj, albo przez streszczenie żądań prawujących się stron; każde postępowanie dzieli się na trzy odrębne okresy: przygotowawczy zebrania i sprawdzenia materyałów, drugi rozprawy stron, trzeci namowy sędziów; pierwsze dwa jawne, ostatni nie jawny; aż do namowy sędziów żaden punkt w sprawie nie może się uważać za zdecydowany, bo wyrok stanowi organiczną całość i pogląd na każdy punkt z osobna może się zmienić od zestawienia ich w całość; nakoniec w żadnéj spornéj kwestyi od któréj zależy decyzya sprawy, sąd nie może nie powiedzieć stanowczo: tak lub nie, a jeżeli się od wyrzeczenia takiego uchyla, daje tém samém świadectwo o nieudolności swéj i podpada zarzutowi że odmówił wymierzyć sprawiedliwość (deni de justice). Trafny czy chybny wyrok powinien być stanowczy; piękny byłby sąd króla Salomona gdyby nie wiedział któréj matce oddać dziecko, albo sędziego któryby odpowiedział: ja nie wiem, spierającym się o kawał gruntu albo konia czy szatę; strony by szydząc odeszły, bo sąd na to ustanowiony aby prawdę w stosunkach ludzkich wiedział i powiedział. Na wątpliwościach może zacząć i skończyć uczony badacz w gabinecie, ale nie sąd na trybunale. Jeżeli pod względem saméj tylko techniki przypatrzymy się postępowaniu drugiego sądu polubownego, będziemy musieli przyznać że na trybunale zasiedli ludzie może najzacniejsi, lecz mało spoufaleni z tymi komunałami, które w sądownictwie stanowią to co w umiejętności czytania abecadło. Przy podjęciu się niełatwego urzędu zapewne rozumowali ci panowie w sposób następny: sądzili sprawy kompromisem nasi ojcowie, dla czegoż i my niepotrafilibyśmy sądzić, wszakże przechowujemy ich tradycye? W tém rozumowaniu jest mała omyłka: ojcowie żyli jeszcze wielkim życiem publiczném i wiedzieli z własnego doświadczenia jak się sprawy sądzą, synom zabrakło tego doświadczenia a nie pomyśleli czem go zastąpić, nie pomyśleli nawet o tém aby zajrzeć do *Korowickiego* (pr. c. l.), do Code de procédure civile albo nawet do Zbioru Praw. Dawniéj każdy szlachcic był trochę z profesyi prawnikiem, dziś trzeba wybierać albo przynajmniéj przybierać do kompletu prawników z profesyi, zaś w całym komplecie zasiadali jak się zdaje sami tylko dyletanci. Niech czytelnik

osądzi z kilku cytat i przykładów czy mogła dać zadowalniające rezultaty robota tak nie metodycznie prowadzona.

VII.

Krytyka wyroku 19 *czerwca* 1875 *r. Postępowanie.* W zapisie (p. 9) warowana jawność postępowania, lecz sąd prowadził od początku sprawę przy zamkniętych drzwiach nie wiadomo na zasadzie jakich tradycyj; jużciż pewno nie tradycyj dawnego procesu litewskiego. Sąd nietylko że nie zażądał od stron wymienienia pozwów, ale nawet nie zapytał stron o co się spierają i czego żądają, skąd wynikło że w ostatecznym rezultacie sąd poprzysądzał stronom czego wyraźnie nieżądały, i przyznał im to do czego żadnych nie mogły mieć pretensyi.— Za punkt wyjścia sąd wziął nie pozew albo petita Szcz. ale broszurę jego, z niéj wydobywszy punkta oskarżenia przeciwko J. zażądał dowodów, że J. czyhał na fortunę Sz. i nie dopełnił względem niego zobowiązań swoich. Nie było więc ani powoda ani pozwanego, a tylko *obwiniający* P. Sz. (505), którego zmuszono dowodzić zaskarżeń; ponieważ zaś P. J. nawet w téj sprawie tylko się bronił i nie żądał żadnéj satysfakcyi, a w końcu tylko rozprawy prosił sąd ogólnikiem: przysądźże co się mnie należy, stąd wynika że cały ten kompromis jest bez początku, i że tak rzekę bez głowy; że ani majątkowego sporu nie mocen był załatwić między stronami, które żądań jasno nie formułowały, ani dać satysfakcyi honorowéj obrażonemu na honorze, któréj się niedomagano, ani ukarać winowajcę, bo sąd arbitrów z własnego popędu nikogo do odpowiedzialności pociągać ani karać nie może. Z prawnego stanowiska cała ta robota nie wytrzyma żadnéj krytyki.

W sądach polubownych zwyczajnie superarbiter występuje czynnie tylko w razie równego podziału głosów, więc w chwili kiedy istnieją już dwa wymotywowane zdania, z których jedne trzeba przyjąć drugie odrzucić. W sądzie Sz. z J., P. Januaremu Sulatyckiemu superarbitrowi zlecono prezydować i kierować debatami, więc wpływać od początku na cały tok sprawy, podając wnioski, czyniąc propozycye (130). — W kwietniu 1875 r. kiedy akta sprawy w objętość urosły (333) prezes pozbył się najważniejszéj ze swoich funkcyj: stawienia pytań. Na wniosek jego wybrano komisyą z PP. Kozakowskiego i Kownackiego do segregacyi materyałów i ułożenia programatu debatów, to jest pytań mających być debatowanémi; wiadomo że kierownictwo obradami polega głównie na stawieniu pytań, więc można rzec że odtąd prezydyum pozostalo

imiennie tylko przy P. Sulatyckim, lecz przewodniczącymi sądowi stali sie de facto redaktorowie zapisu P. P. Kownacki i Kozakowski. Delegacya ciągnęła tylko dalej rzecz rozpoczętą przez P. Sulatyckiego podług arcyoryginalnego ale niedorzecznego z prawnego stanowiska pomyslu, posiekania całej sprawy na pojedyncze kwestye i decydowania ich stanowczo osobnymi protokółami w toku przygotowania sprawy, zbierania i sprawdzania dokumentów. Jeszcze ani połowa materyału nie była złożona i przejrzana, gdy 31 marca (143) zaczęło się siekanie interesu na kawałeczki, stąd poszło, że niebyło właściwie ani rozprawy stron na seryo, ani namowy nad sprawą już uporządkowaną i w całości wziętą. Nie wiedziały nic strony w czasie rozprawy w czerwcu w Odesie, że tracą czas i wymowę napróżno, bo już były wszystkie sporne kwestye zdecydowane. Zamiast namowy sędziów po wysluchaniu głosów stron dość było igły i nitki; zszyte w jedno protokóły złożyły wyrok na uformowanie którego z gotowych protokółów dość było zamiast kolegium, jednego tylko introligatora. Nawet pod względem zebrania materyałów sąd nie uczynił zadość żądaniom stron o ile się zdaje słusznym. Sz. wciąż żądał złożenia aktów i rachunków akcyjnego towarzystwa fabryki Gniewańskiej, zapewne w celu wykrycia za jaką cenę miał zamiar J. odstąpić Siedliski majątek projektowanej spółce akcyjnej. Sąd żądania bez dostatecznej przyczyny dwa razy odrzucił (20 i 97). Najoryginalniejszą jednak cechą drugiego wyroku jest częste uciekanie się, i to w zasadniczych kwestyach do formuły: „Sąd nie wie,“ „nie wyrzeka stanowczo,“ „nie orzeka,“ to jest że w spornej kwestyi sąd nic pewnego dociec nie mógł, czy nie umiał. Wedle zapisu sąd miał wyrokować o cztérech rzeczach: administracyi dóbr przez J., rozrachowania się przezeń z kredytorami Szczen., przymusowego przezeń nabycia majątku i broszury wydanej przez Szczeniowskiego. W braku wszelkich dowodów na posądzenie J. że podjął się administracyi czyhając na Siedliszcze; wagę miały tylko te pytania: czy zobowiązał się J. poratować Sz. i w jakich warunkach? czy pełniąc swe zobowiązania nie przestąpił praw honoru? czy zmuszając Sz. do sprzedaży majątku nie wykroczył przeciwko obowiązkom włożonym nań przez pierwszy sąd polubowny? Sąd na wszystkie te pytania odpowiada wymijająco, zostawując J. pod zarzutem: „Sąd stanowczo zdecydować nie może jakiej treści i wagi było zobowiązanie się J., dla braku podpisem *obu* stron stwierdzonego dokumentu (a gdyby był dokument za jednym tylko podpisem J.?)—„Sąd nie orzekł stanowczo czy J. wyczerpał wszystkie środki, któreby od likwidacyi uchronić mogły.“ „Że pierwszy kompromis nie określił daty, od której się miały li-

czyć dwa lata naznaczone dla likwidacyi interesów, a strony różnie te daty rozumieją, sąd nie wyrzekł w téj kwestyi stanowczo dla braku dowodów.“ — Ostatnie z tych przyznań się do niewiadomości cechuje nie tyle niemożność ile niechęć dojścia prawdy. Strony mogły się spierać, lecz data stoi w pierwszym wyroku, sąd pierwszy wiedział jaka to data gdy termin zakreślał, więc gdyby zamiast badania byłych sędziów o motywa wyroku, spytano ich po prostu o datę, wątpić należy czy nawet P. Czarnomski mimo swój współudział w sprzedaży majątku przed zakreślonym w pierwszym wyroku terminem, zgodziłby się jawnie i otwarcie wypowiedzieć że potwierdza obrachowanie czasu podane przez P. Jaroszyńskiego, i że podług tego obrachowania 2 lub 3 lata równają się 14 czy 15 miesiącom (28 paźdz. 1872 r.—9 stycznia 1874 r.). Ponieważ sąd składa się niewiadomością, zatém przypuszcza że J. mógł się zobowiązać oczyścić Siedliszcze, ponieważ Sąd przypuszcza że J. może nie wyczerpał środków uchronienia majątku od likwidacyi, i nawet że może uchybił pierwszemu kompromisowi doprowadzając do likwidacyi interes przed zakreślonym przez arbitrów terminem, ztąd wypadałoby wnosić że sąd uchyli się od wyrokowania we wszystkich kwestyach tak majątkowych jako i honorowych, wynikających z nieroztrzygniętych innych zasadniczych kwestyi. Stało się inaczéj, arbitrowie drugiego kompromisu wywiązali się z włożonego na nich obowiązku w sposób następny zbyt mało zadawalniający.

VIII.

Dalszy ciąg krytyki wyroku. — Kwestya honoru i kwestya pieniężna. Podjąwszy się opieki nad Sz. obarczonym długami w ilości 529,242 r , J. przez układy z kredytorami zmniejszył tę sumę o 130,160 rs., wszakże ponieważ działał nie dla zysku, a darmo, więc wierzytelność jego może być obrachowana tylko na zredukowaną sumę długów to jest na 399,082 rs., a że wedle wywodów sądu wartość fortuny Sz. wynosiła 439,517 r., więc się tém samém obala jako mylne przypuszczenie pierwszéj seryi arbitrów że wszystko cokolwiek mógł otrzymać Sz. mogło być tylko z łaski, a nie ze ścisłego rachunku. W ciągu dwóch lat administracyi nadzwyczaj nieoględnéj i niedołężnéj, a do takiego stopnia niedbającéj o rachunkowość, że mimo naznaczonych przez sąd kilku terminów do wykończenia rachunków, J. takowych nie złożył, nietylko że z majątku i cukrowni nie wpłynęło żadnéj intraty, ale wynikły same tylko straty na 119,136 r.

Nic słuszniejszego, że te dobrowolne ze złego gospodarowania wynikłe straty sąd potrącił z rachunków odniosłszy je na Jaroszyńskiego, i że zaliczył na korzyść Szczeniowskiego dwuletnią przez przybliżenie obrachowaną intratę z majątku i cukrowni.—Sąd uznał że J. w rozporządzeniach swych postępował arbitralnie, że całkiem usunął Sz. od administracyi, że wbrew wyrokowi pierwszego sądu, nie komunikował żadnych rachunków i pozostawiał go w jątrzącéj stosunek niewiadomości. Widzieliśmy jak sztucznie wyminiętą została kwestya o przedwczesnéj likwidacyi przed upływem dwuletniego terminu. Co się tycze saméj likwidacyi, sąd potępił ją jako dokonaną dowolnie bez odwołania się do współobywateli i przez akt kupna na własność majątku którym się nabywca opiekował. Warunki tego kupna były narzucone Szczeniowskiemu, proponowany Szczeniowskiemu sposób spłacenia Jaroszyńskiego był niemożebnym, z powodu zbyt krótkiego czasu na to zostawionego; sprzedaż dokonała się pod presyą, pod naciskiem moralnym. Z tak ustanowionego przez sąd faktu z prawnego stanowiska jeden tylko można wyprowadzić wniosek, że akt woli nacechowany takim przymusem, jest bezwarunkowo nieważny i że upada ze wszystkiémi swémi następstwami; zaś ponieważ Sz. przynajmniéj w tym puukcie zarzutu swego dowiódł, że go moralnie zgwałtowano, a gwałt zadany jest niezawodnie czemś cięższém jeszcze niż niedopełnienie zobowiązań i mieści w sobie przestąpienie praw honoru, więc żadną miarą publikacya Szczeniowskiego nie mogła być bezwarunkowo potępioną. Połowę przynajmniéj oskarżenia o potwarz autor odbił, zasłoniwszy się środkiem który w technice prawnéj nosi miano: exceptio veritatis.— Sąd polubowny postąpił jednak całkiem inaczéj: przymusową przedaż uświęcił, przyznawszy że to co się stało dobrze się stało i na korzyść Sz., któryby bez pomocy Jaroszyńskiego nigdy nie doszedł nawet do ocalenia siedliskiego folwarku.— Sąd tylko z lekka *niepochwalił* aktu kupna, z grzecznym ukłonem administrował lekką naganę J-mu, poczém nie zadając sobie pracy nad rozgatunkowaniem co było w publikacyach Sz. szczérą prawdą, a co przesadą i potwarzą, potępił bezwarunkowo wszystkie publikacye jako pełne oszczerstw i potwarzy.— Więc Szczeniowski uznanym został ostatecznie za oszczercę? Wcale nie, gdzież tam; P. Sz. działał wedle rozumienia sądu *w dobréj wierze*, był przekonanym, że go pokrzywdzono; dekretując J. na zdziercę, a bezczeszcząc kompromis dobrowolnie obrany, sądził że tym sposobem zniewoli J-go do zwrócenia tego co mu się zdawało niesłusznie zabranym. — W ten sposób załatwia się spokojnie i dla obu stron nieszkodliwie

wielka kwestya honoru, która miała niby wzniosły obelisk stanąć na podstawie kwestyi materyalnéj.— J. nikogo nie skrzywdził, Sz. nie potwarca, winowajcą jest chyba martwy papier, produkt druku, któryby warto jak za dobrych dawnych czasów spalić na rynku ręką kata. W tém łatwém wyjściu ze sprawy honorowéj tkwi jedna tylko mała wada i niedorzeczność: brak całkowity pojmowania co jest potwarz w ścisłém fachowém, kryminalném tego słowa znaczeniu.— Potwarz jest cechą nie pisma lecz osoby; pismo może być niezgodne z prawdą i krzywdzące, nie staje się jednak przezto listem oszczerczym, by się takowym stało należy wprzód dowieść że fałsz był rozpowszechniany złośliwie i rozmyślnie, nie w dobrej wierze, lecz z pełną świadomością nieprawdziwości podawanego faktu. (Calumnia jako malitiosa et mendax infamatio u Rzymian prw. *Rein*, Criminalrecht der Römer 1844 s. 807. Code penal 1810 r. art. 373: denontiation calomnieuse. — § 187 Kodexu niemieckiego z 31 maja 1870 r.: Wer wieder besseres Wissen in Beziehung auf einem Anderen eine unwahre Thatsache behauptet oder verbreitet.... Art. 1535 Kodexu krym. Ross. i Nekludow t. II s. 136 części Szczególnéj pr. krym. ross. 1876). Ponieważ tylko z niepojmowania co znaczy potwarz wyniknąć mogła ta kryminalistyczna niedorzeczność, że list nazwano oszczerczym, a autora działającym w dobréj wierze, więc okazuje się że w głównéj sprawie honoru tryumfującą stroną jest tylko chyba P. Szczeniowski. Wprawdzie winien on, że się roznamiętnił, że przebrał miarę w wyrazach obraźliwych, z których każdy „równał się zabójstwu moralnemu,“ lecz działał w dobréj wierze i miał do posądzenia J. słuszne powody. Cóż znaczy wina krewkości i uniesienia w porównaniu z przyznanémi przez sąd winami P. J. złego prowadzenia w ciągu dwóch lat administracyi, przymusu dokonanego na tym, kim się opiekował i kupna majątku którym się opiekował.— Mógł sąd poprzestać na lekkiéj naganie, lecz z saméj kwalifikacyi winy w dekrecie mogłyby wyniknąć w innym Sądzie cięższe i surowsze następstwa. Inny sąd możeby spojrzał inaczéj i na skrypta przenoszące wedwójnasób wartość Siedliskiego majątku, któremi J. skrępował swobodę woli Sz., możeby uznał także nad miarę i potrzebę krępowanie nie tylko nie za konieczne, lecz i za całkiem niewłaściwe. Oprócz Jaroszyńskiego Sz. zaczepił Czarnomskiego, lecz P. Czarnomski nie pozywał go o potwarz ani za domy w Odessie, ani za trzech braci Denisków, więc i rzecz sama nie podlegała rozpoznaniu. Sz. zbezcześcił pierwszą seryę arbitrów, lecz druga serya arbitrów nié miała żadnego prawa i umocowania do rozsądzania zajścia Szczeniowskiego z pierwszymi arbitrami,

którzy się ze Sz. wcale na kompromis nie pisali, więc i rzecz o nich nie mogła żadną miarą się wywiązać w toku kompromisarskiéj juryzdykcyi. Za to że Sz. nabroił przeciwko J., przebrał miarę lżąc go ostrymi wyrazy do pewnego stopnia niesłusznie, sąd mógł dać zupełną satysfakcyą J-mu, nakazując Sz-mu aby go przeprosił.— Za to że J. źle administrował majątek i użył musu dla zniewolenia Sz. do sprzedaży, należała się Szczeniowskiemu inna satysfakcya w zakresie praw już nie moralnych ale materyalnych; unieważnienie przymusowéj przedaży gdyby tego Sz. zażądał, wyjaśnienie stosunku fortuny i długów Sz. w dniu 9 lutego 1872 gdy się J. podjął opieki, zbadanie o ile J. poszkodził Szczeniowskiemu w jego interesach przez złą administracyą, nakoniec zakonkludowanie czy nie powinien z tego tytułu J. dopłacić czego Szczeniowskiemu jako poszkodowanemu.— Sąd polubowny doszedł do wręcz przeciwnych rezultatów. Sąd uznał, że nawet nabywając przymusowo majątek J. „zrobił wiele dobrego Szczeniowskiemu,“ więc akt sprzedaży majątku w 1874 ma pozostać w swéj mocy; że poprzedni akt przedaży placu w Gniewaniu pod cukrownią aczkolwiek początkowo fikcyjny, przez przymusową sprzedaż majątku w 1874 przemienił się w rzeczywisty.— Nad wszelkie spodziewanie okazuje się w ten sposób, że przymus może dać korzyść przymuszonemu, i że sam będąc środkiem nielegalnym, legalizować może i przeistaczać w rzeczywiste, stosunki nierzeczywiste i zmyślone.

Nakoniec obrachowując nie straty P. Sz. który był w woli swojéj skrępowany, ale straty P. J., które dla danéj sprawy najzupełniéj są obojętnémi, chociażby P. J. wsadził w interes i zaprzepaścił nie 151,149 r. wedle rachunku, ale całe miliony „Sąd bez wszelkiego żądania ze strony Tytusa i Adama Szczeniowskich nakazał Jaroszyńskiemu retrocedować Adamowi Szczeniowskiemu zapis jego babki Praksedy Sz. r. 15 t. lecz jednocześnie skazał Sz. na zapłacenie J-mu 64,115 r. wyobrażających mniéj więcéj wartość folwarku Siedliskiego, który pozostał własnością Sz. po przymusowéj przedaży majątku w 1874 r.— Postaramy się dowieść 1) że pod żadnym względem nic się nie należało J-mu od Sz., i 2) sam wywód należności obrachowanéj na 64,115 r. opiéra się na mylnych lub urojonych podstawach.

P. J. objął rzecz odłużoną lecz nie wyżéj wartości i po dwóch latach złéj administracyi zmusil Sz. do sprzedania mu téj rzeczy.— Przymus był moralny i polegał w danym razie nie na zagrożeniu że P. J. rozpocznie egzekucyą na mocy skryptów którymi się uzbroił i pozbawi Szczeniowskiego wolności osobistéj, lecz na wyzuciu właściciela z całéj własności, na puszczeniu go z kwitkiem, w razie

gdyby się opierał. Folwark Siedliski użyty był przez Jaroszyńskiego jako *środek: naprzód* aby chęcią utrzymania się przy tym folwarku zniewolić Szcz. do sprzedania reszty majątku, *powtóre* jako środek rozliczenia się, wprawdzie arbitralnie, ale wedle rozumienia J. uczciwie ze Sz.— Oddając folwark bez żadnych warunków J. zamierzał pokwitować się ze Sz. za zawiedzione nadzieje i niespełnione zobowiązania; uznawał, że go tylko wynagrodził (skąpo czy sowicie — to rzecz pomniejsza) i że umorzył tylko pretensye jakieby mógł doń rościć Sz. — Ponieważ J. żadnéj wtedy dopłaty od Sz. nie żądał, ponieważ wtedy niczém nie objawił że mu się takowa należała, a woli jego stało się przez sprzedanie majątku zadość, więc o żadnych dopłatach J-mu przez Sz. mowy być nie mogło. W późniejszym czasie 14 maja 1875 w toku drugiéj sprawy kompromisowéj, rozżalony na Sz. za zakwestyonowanie aktu przedaży, J. prosił sąd: o wyrachowanie ile mu się należało od Sz. za zapłacone długi i awanse z procentami po dzień przedaży majątku (1 kwietnia 1874), o potrącenie z téj należności wartości mająt ku i dochodu w czasie dwuletniéj administracyi po wyłączeniu pensyi i utrzymania Sz., i o *przysądzenie* Jaroszyńskiemu różnicy jaka się okazać może z % od 1 kwietnia 1874 r.— Żądanie to byłoby słuszne, gdyby sąd unieważnił sprzedaż jako przymusową; powinno by zostać odrzuconém w razie uznania sprzedaży za fakt nienaruszalny.— Sąd sprzedaż umocnił, lecz zarazem postanowił zrobić rachunek należności, pomiędzy Szczeniowskim i Jaroszyńskim. Bilans na dzień 1 kwietnia 1874 przyjęty był następny:

Opłaconych długów Sz. 399,082 r., procentów od téj sumy dwa lata po 6 od sta (48,516), wypłaconego Sz. utrzymania i ordynaryi, rozmaitych innych wydatków nieco, wszystko razem w sumie 464,173 r., taka byla należność J. oparta na fortunie Szczeniowskiego w dniu 1 kwietnia 1874.

Mienie Sz. składało się z fabryki i majątku. Fabryka Siedliska wedle uznania sądu sprzedaną została J-mu fikcyjnie, poczém ją rozebrano i przeniesiono na fikcyjnie też nabyty plac w Gniewaniu, zatém przynajmniéj aż do 1874 r. uważać ją należy jako własność Sz.— J. straciwszy dużo pieniędzy na restauracyą staréj fabryki, potém ją zamknął, a nowéj nie wykończył, ztąd w ciągu dwóch lat administracyi wzrósł deficyt, którym nie chąc obciążać P. Szczeniowskiego, sędziowie postanowili: uważać fabrykę za nabytą przez Jaroszyńskiego już w lutym 1872, a szacunkową jéj sumę oznaczywszy cyfrą 52 t., postawić te 52 t. na rachunek P. J. z procentem od lutego 1872 po 6 od sta.— Cały ten wywód da się obalić. W sprawie jest oszacowanie machin i aparatów podpisane

przez Jaroszyńskiego i stwierdzone przez biegłego Bystrego na 75,510 r., mogące wedle uznania samegoż sądu służyć za podstawę rachunku (458). Sąd zlecił sporządzić nowy opis, czterem oficyalistom J., którzy ten opis zaprzysięgli. Biegłych do oszacowania nie wzywano wcale, więc obniżenie szacunku na 23,510 r. jest nieuzasadnione i wątpliwe, bo przysięga świadka nie zastąpi szacunku biegłych. Deficyt w sprawozdaniu niedbałego administratora, nie uwalnia go od odpowiedzialności za brak intraty pochodzący z jego nietrafnych rozporządzeń.— Wiadomo ile siedliska fabryka przerobiła buraków, przerafinowała cukru w 1872 i 1873 latach (58 tys. bierk. buraków i około 26 t. p. rafinadu).

Na zasadzie tych danych obliczając dochód z cukrowni, A. Z. swojéj broszurze (kilka uwag... Odessa 1875 r.) podaje dochód który mogła dać cukrownia siedliska w ciągu dwóch lat na 63,375;—sumę która dziwnie odbija od 5,200 wyobrażających niby procent od wartości fabryki uznanéj za nabytą w 1872 r.—W tym rozrachunku Sz. pokrzywdzony został na całą różnicę między 63,375 i 5250 rs. t. j. na 58,125 rs., co razem z nieuzasadnionem obniżeniem szacunku fabryki na 23,510 stanowi już 81,645 rs. Nakoniec data nabycia cukrowni ustanowiona w sposób niepodobny do pojęcia. W p. 7 (str. 511) wyroku powiedziano że sprzedaż staréj cukrowni była uskutecznioną tylko dla uformowania kompanii, więc fikcyjną, w p. 8 że sprzedaż placu pod nową cukrownię była fikcyjną dla sformowania kompanii, że oba przedmioty stały się na dobre własnością J. tylko w 1874 r. Mimo to w p. 12 Sąd każe fabrykę uważać już jako nabytą w 1872 r. przez J. i należność za nią już w 1872 r. wypłaconą. Są to łamane sztuki wyższéj dyalektyki, które otwarcie wyznajemy, że przechodzą nasze pojmowanie. Oprócz fabryki był majątek z gospodarstwem rolnym. Majątek ten nie dawał intraty w latach 1872 i 1873 r.— W braku wszelkich rachunków o urodzajach i kosztach gospodarstwa, sąd postanowił obrachować czysty dochod z majątku wedle średniéj dzierżawnéj ceny ziemi w dobrach okolicznych (po 5 rs. 62 k. za dziesięcinę) co z dodatkiem gotowéj intraty stanowić miało za dwa lata 24,473 r. — W samym sposobie obrachowania dopuszczono zasadniczy błąd, polegający na tém że od złego administratora, który nie zdał rachunków zażądano tylko zapłacenia dzierżawy to jest renty, płaconéj przez dzierżawcę, który płacąc tę rentę ma jeszcze na dzierżawie zarobić. Sądzę że każdy zły administrator i opiekun wygrałby niezawodnie na takiém przedzierzgnięciu się w mniemanego dzierżawcę, i że nowa ta praktyka otwiera szerokie pole zarobków i korzyści dla nierzetelnych rządców, którzy nie składają rachunków. Majątek Sie-

dliszcze ma wyjątkową wartość z powodu położenia swojego przy kolei żelaznéj, czego nie uwzględniano biorąc za podstawę rachunku ceny dzierżawne ziem położonych daleko od cukrowni i od kolei żelaznych. Wedle obliczeń A. Z. w skutek przyjętéj przez sąd fikcyi dzierżawy należność Sz. na J. zmalała przynajmniéj na 8½ tysięcy. Przy oszacowaniu wartości samego majątku ceniono osobno ziemię orną po 90 r. 33 k. za dziesięcinę, osobno lasy (w przecięciu po 85 r. za dzies.) osobno budynki fabryczne osobno gospodarskie, i dom mieszkalny w jednym tylko folwarku siedliskim pozostającym we władaniu Szczeniowskiego. Wartość całości ustanowiono w sumie 439,517 r. Lecz że zabudowania siedliskie oszacowane na 12 t. lepszémi się okazały od zabudowań w innych folwarkach które przeszły do P. J., więc sąd obrachowawszy że zabudowanie innych folwarków w sposób odpowiedni budynkom w Siedliszczach kosztowałoby 18 tys., postanowił potrącić te 18 t. z ogólnéj sumy szacunkowéj 439,517 r. („za *niedostające budynki* gospodarskie w folwarkach Jaroszyńskiego“). Przy oszacowaniu całego majątku i każdéj części majątku ceni się co w nim jest, a nie to czego niema. Nie było w Siedliszczach w całości wziętych i w folwarkach J. osobno rozważonych wielu bardzo rzeczy arcy pożądanych, pałaców murowanych, kopalni węgla kamiennego, obór i stajen urządzonych na sposób angielski. Ponieważ rzeczy istniejące są ograniczone a rzeczy możebne nie znają żadnych granic, więc i przez potrącanie niedostającego wartość każdego majątku można redukować do zera, albo co gorzéj obrachować na *minus*. — Nie dochodząc już daléj czy lasy były jak twierdzi A. Z., zbyt nisko oszacowane, twierdzimy że już z innych przytoczonych przez nas pozycyj wynika sztuczne obniżenie mienia Sz. przeszło na 108 t. (81645+8.500+18,000). Wartość tak obniżonéj w cenie fortuny P. Sz. w chwili sprzedaży majątku w 1874 r. wyniosła 471,536 r. zatém przewyższała o 7,363 r. należność P. J. (464.173 rs.), lecz ponieważ Sz. pozostawiono folwark siedliski wartujący 63,458 rs. i dopłacono gotówką 8 t. r. powstało ztąd saldo na korzyść J. przeszło na 64 t. r. które przyznano J., tak że Pan Jaroszyński może te 64 t. wyegzekwować wziąwszy list wykonawczy z Kijowskiéj Izby cywilno-kryminalnéj, w któréj złożono akta sprawy wraz z wyrokiem obejmującym stronę téj sprawy materyalną. Rezultat ten osiągnięty został za pomocą trzech fikcyi czyli zmyśleń dowolnie przez sąd przypuszczonych: że fabryka która wedle uznania sądu aż do 1874 r. fikcyjnie tylko uchodziła za własność J. więc była własnością Sz., została mimo to niby nabytą przez Jaroszyńskiego w 1872; że majątek administrowany przez Jaroszyńskiego był niby wydzierżawiony przez niego, nakoniec że

nie istniejące przedmioty (budynki gospodarskie) mają jakąś ujemną wartość, którą potrzeba strącić z rzeczywistéj wartości oszacowanego w rzeczywistych składowych swoich częściach majątku. Ponieważ sąd obowiązany jest rozstrzygnąć wszelkie kwestye sporne, uciekać się więc musi czasami z konieczności do sztucznych sposobów; w każdym kodéksie są przepisy o dowodach, w systemacie dowodów są domniemania prawne, które się używają w ostatecznéj konieczności, jak te kule na których z trudem się wlecze bezwładny na nogach człowiek, kiedy inaczéj stąpić o własnych siłach nie może. Im rzadsze bywa użycie tych domniemań tém lepiéj; obchodzenie się bez nich dowodzi dojrzałości myśli i wprawy w dochodzeniu prawdy za pomocą ścisłych metod badania. Lecz jeżeli sądowi w ostatecznym razie wolno uciekać się do prezumpcyj czyli domniemań, niewolno mu w żadnym razie bawić się w zmyślenia i przypuszczać bez racyi rzeczy nieprawdziwe: urojoną datę nabycia majątku, nie istniejącą dzierżawę, nieistniejące budynki. Wszystkie te fikcye wymierzone są w jedną stronę i godzą na obniżenie w rachunku J. ze Sz. tego co Sz. ma, w obec tego, co on Jaroszyńskiemu winien. Zgodna tendencyjność tych zmyśleń w połączeniu z celem przez nie osiągniętym uzasadnia przypuszczenie, które stawimy jako prosty domysł: czy nie były 64 t. w dekrecie tém samém, co grzywny na które skazywano dawniéj winowajców; czy nie były karą pieniężną wymierzoną przeciwko Szczeniowskiemu za niepowściągliwość pióra i języka, za nieprzyzwoite w każdym razie przebranie miary w inwektywach przeciwko Jaroszyńskiemu i za jeszcze nieprzyzwoitsze porywanie się na krajową instytucyą.

IX.

Skończyliśmy i rozstajemy się z grubą księgą o sprawie siedliskiéj wydrukowaną kosztem Jaroszyńskiego. Wątpimy czy wertowanie téj sprawy może obudzić inne uczucia prócz żalu niezadowolenia i niesmaku; do takiego stopnia działano tu omackiem, mylono się w celach i środkach, do takiego stopnia zamiarom nie odpowiedziały skutki. Kwestya moralna, którą chciano postawić wysoko gdzieś w obłokach, po nad poziomem zajść i zatargów materyalnych, nie została załatwioną, skoro autor broszury nie poniósł żadnéj odpowiedniéj moralnéj kary za swoje w każdym razie nie małe przewinienie. Strony obie miały w czasie procesu piękne słowa na ustach i pozowały na idealistów, gdy tymczasem i najgłówniéj im chodziło o kieszenie. P. Jaroszyński wyraźnie wszak

oświadczał (415—14 maja 1875 r.) że „dla ogółu publiczności jedna tylko cyfra przysądzona, będzie najważniejszą cechą winy i potępienia, i przy téj tylko cyfrze ma się okazać czystość jego Jaroszyńskiego intencyj w interesie.“ O ile się zdaje ten pogląd P. Jaroszyńskiego trafił do przekonania sędziów, bo pokarali Szczeniowskiego majątkowo, w sposób dla niego najboleśniejszy ze względu na krytyczne jego położenie majątkowe. Potentatowi o wielkich środkach, zaaplikowano tylko lekką naganę za niedopełnienie obowiązków w zakresie stosunków majątkowych; podupadłemu właścicielowi, kazano okupić pieniędzmi ten kawał gruntu który mu był dobrowolnie przez byłego jego opiekuna zostawiony. Dekret w sprawie siedliskiéj nie mógł wpłynąć na umocowanie instytucyi „potrzebę któréj kraj głęboko uznaje i która broni dobréj wiary i tradycyj naszych,“ owszem raczéj ją zachwiał i wprowadził na stanowisko arcy niebezpieczne; bo osnuty jest na przekonaniu całkiem niewłaściwém, że działań instytucyi nikomu nie wolno krytykować pod karą narażenia się na potępienie ogólne. Każda instytucya gubi się skoro poweźmie takie przekonanie, skoro uwierzy że wszystko co dokazala musi być dobre i nie ulegać krytyce. Przeciwnie tylko krytyka kojarzy instytucyą ze społeczeństwem, i daje możność instytucyi spełniać należycie swoje zadanie służąc dobrze społeczeństwu. Ponieważ mocno i głęboko wierzymy w pożytek instytucyi sądów polubownych, nietylko w zachodnich guberniach lecz zapewne i w Królestwie Polskiem, sądzimy że instytucya ta wyjdzie zwycięzko z dość niebezpiecznego przesilenia, które spowodowały nie tyle broszury Tytusa Szczeniowskiego ile niefortunne wyroki dwóch sądów polubownych w interesie Siedliskim. Uchybienia których się dopuściły te sądy naprowadzą zapewne na myśl o uwzględnieniu warunków, które mają być dochowywane przy rozstrzyganiu spraw sposobem polubownym. Warunki te polegać powinny wedle naszego zdania *popierwsze* na ustaleniu pewnych form i zasad postępowania, bez których żaden sąd czy zwyczajny czy polubowny obejść się nie może, i które zapewne już się wyrobiły w czasie dość długiego istnienia tych sądów, a jeżeli się wyrobiły to się przechowują w tradycyi; *powtóre* w dobieraniu na arbitrów ludzi fachowo do sądzenia spraw uzdolnionych, prawników z profesyi, ludzi obeznanych w teoryi czy w praktyce z mechanizmem działania każdego sądu i z prawidłami mającémi dla sądzących znaczenie pewników.—Nie cały skład sądu ma być koniecznie złożony z prawników, lecz sąd nie może się obejść bez jednego lub dwóch prawników. Gdyby w skład sądu w interesie

siedliskim wszedł ten fachowy pierwiastek, jesteśmy przekonani że alboby całe postępowanie przybrało inny charakter i na innych stanęło podstawach, albo byśmy nie mieli przed oczyma widoku zadziwiającéj jednomyślności wszystkich decyzyj drugiéj seryi arbitrów. Prawnicy by zaprotestowali przeciwko wielu wnioskom i postanowieniom i mielibyśmy jakikolwiek ślad debatów, które niewiadomo czy miały miejsce przy obradowaniu nad sprawą.

W. Spasowicz.

TOWARZYSTWO NAUK ŚCISŁYCH

w PARYŻU.

Sprawozdanie za lata 1870—1876.

opracował

Maryan A. Baraniecki.

Cele Towarzystwa.—Skład.—Ośm tomów *Pamiętnika*.—Przegląd prac oryginalnych.—Prace tłómaczone.—Hoëne Wroński.—Konkursa.—Zakończenie.

W 1870 r. 30 kwietnia, zawiązało się w Paryżu „towarzystwo nauk ścisłych," które postawiło sobie za zadanie: „1) zawiązać stosunki ze stowarzyszeniami i instytucyami naukowémi w kraju lub zagranicą, dla dokładnego poznania potrzeb krajowych w granicach naukowych, przez towarzystwo zakreślonych, i możliwego tym potrzebom zadośćuczynienia; 2) pomagać sobie wzajemnie w przedsięwziętych pracach naukowych; 3) wywołać działalność członków na drodze naukowéj i spożytkować tę działalność dla dobra i pożytku ogólnego" (art. 2 ustawy).

Przedmiotem zajęć towarzystwa są: *a)* nauki matematyczne; *b)* nauki przyrodnicze; *c)* nauki zastosowane, oparte na poprzednich, a mianowicie nauki inżynierskie (art. 5).

Z tego działu wiedzy jakąkolwiek poważną, w ściśle naukowym tonie napisaną pracę gdzież można było u nas przed 1870 r. pomieścić? Tak zwane naukowe pisma, jeśliby przyjęły nawet taką rozprawę, były z powodu małego ich rozpowszechnienia i żadnéj powagi, doskonałemi chyba do przechowania sekretu o istnieniu podobnych usiłowań. Może jeszcze „Roczniki" byłego towarzystwa naukowego krakowskiego otwierały niekiedy dla nich swe łamy, lecz i w nich przeważne miejsce zajmowały badania histo-

ryczne, archeologiczne, językowe i t. d., odsuwając na dalszy plan prace matematyczne i przyrodnicze.

Że zaś istniała potrzeba takiego towarzystwa, któreby było poniekąd ogniskiem,ześrodkowującém usiłowania postępu na polu matematycznén i przyrodniczém naszych sił naukowych, po całym niemal globie ziemskim rozproszonych, tego dowodem co raz więcéj rozwijająca się działalność towarzystwa paryzkiego, dowodem pomieszczenie w jego wydawnictwie wielu prac istotnéj naukowéj wartości. Inaczéj prace te nie byłyby na świat wyszły, czy to dla braku odpowiednich zasobów ich autorów, czy téż dla niechęci oddzielnego ogłaszania drukiem pracy, czasem nie obszernéj, chociaż cenne może do nauki wnoszącéj spostrzeżenie; albo téż, gdyby nawet osobno i były wydane, to z przyczyny już to małego u nas w ogóle rozgłosu o pracach ściśle naukowych, już też nieznanego niekiedy jeszcze imienia ich autora, spoczywałyby niepostrzeżone na składach księgarskich, pokrywając się pyłem zapomnienia. Ogłoszone zaś w wydawnictwach towarzystwa naukowego, zostały tém samém uznane za godne druku, budzą już pewne zajęcie i nie mogą być nie zauważane tak przez odpowiednich specyalistów, jak i przez wszystkich w ogóle interesujących się postępem nauki.

Chcemy tu jeszcze położyć nacisk na art. 3 ustawy towarzystwa paryskiego: „towarzystwo wyklucza ze swych czynności wszelkie cele, nie zostające z nauką w bezpośrednim związku.“ Temu artykułowi przyznajemy pewną ważność z dwóch względów. Raz dla tego, że nie dozwala towarzystwu przyjąć jakiéjkolwiek barwy koteryjnéj lub politycznéj, co jest nader pożądane we wszystkich stowarzyszeniach naukowych. Powtóre, wyraźne postawienie téj zasady umożliwiło przyjęcie udziału w jego czynnościach i takim pracownikom, którzyby z rozmaitych względów musieli się powstrzymać od popierania działalności towarzystwa, nie wyłącznie naukowego.

Ustawa tego towarzystwa wprowadza nader drobiazgowy podział członków. Są tedy członkowie założyciele, donatorzy, honorowi czynni, korespondenci i wolni (?). Podobne kategoryzowanie członków spotyka się w wielu dawniéj zakładanych towarzystwach naukowych; jednak w późniéj powstałych jest stale dążenie do więcéj jednolitego składu, a tém samém do równouprawnienia członków. Jakież bowiem ma znaczenie np. podział na czynnych korespondentów, kiedy każdy członek korespondent, przyjechawszy na jakiś czas do Paryża, staje się w ciągu swéj tam bytności członkiem czynnym, a nawzajem członek czynny, w razie swéj po za Paryż wycieczki, winien być, zgodnie z ustawą, przeniesiony do kategoryi

korespondentów? Dla czego nadto członkowie wolni, biorący udział w posiedzeniach towarzystwa, mający prawo zabierania głosu, wybierania innych członków, wreszcie będący także ludźmi naukowymi, nie mają jednak udziału w komisyach, oceniających prace przedstawione, nie decydują o ich przyjęciu lub odrzuceniu, nie mają np. prawa brać książek z biblioteki towarzystwa do domu, z czegokorzystają członkowie czynni i t. d.?

W roku bieżącym towarzystwo składa się z trzech członków założycieli, siedmiu honorowych, trzydziestu pięciu korespondentów, czterech czynnych, sześciu wolnych. Prezesem towarzystwa od czasu założenia jest wciąż p. Jan hr. Działyński, właściciel biblioteki Kórnickiéj, którego nakładem wydane zostały wyszłe dotąd tomy „Pamiętnika" towarzystwa (1). Godność vice-prezesa zwykle dotąd piastuje sekretarz stały towarzystwa, będący jednocześnie redaktorem jego Pamiętników. Był nim początkowo pan Władysław Folkierski, inżynier cywilny; po wyjeździe zaś jego do Peru, obowiązki te objął pan Adam Prażmowski, były profesor akademii medyko-chirurgicznéj Warszawskiéj, a następnie szkoły głównéj Warszawskiéj, oraz b. astronom Warsz. Obserwatoryum (obecnie dyrektor i spółwłaściciel znanéj fabryki szkieł i narzędzi optycznych w Paryżu). Drugim zaś sekretarzem towarzystwa był początkowo p. Władysław Gosiewski (obecnie w Warszawie), po nim p. Władysław Kluger (dziś inżynier rządowy w Peru), a spółcześnie jest nim p. Kazimierz Brandt, inżynier cywilny w Paryżu.

Towarzystwo, zgodnie z ustawą, wydaje swe Pamiętniki, dzieła i publikacye naukowe, ogłasza konkursa, urządzać może odczyty naukowe, oraz udzielać uczącym się pomoc naukową lub materyalną.

Pamiętników wyszło dotąd tomów ośm: w 1871 tom pierwszy, w 1872 tom drugi, w 1873 tom trzeci, w 187$ tom czwarty i piąty, w 1875 tom szósty i siódmy, w 1876 tom ósmy.

Co się tyczy dzieł naukowych z dziedziny nauk ścisłych, to nakładem szanownego właściciela biblioteki Kórnickiéj wyszło ich dotąd tomów piętnaście, z których sześć jeszcze przed otworzeniem towarzystwa. Z uwagi jednak, że ani w Pamiętnikach (2), ani w dziełach wydanych nawet już po otwarciu towarzystwa, nie

(1) Jego także nakładem wychodzą rozmaite dzieła tak matematyczne, jak i filologiczne, oraz historyczne.

(2) W przedmowie do tomu IV-go Pamiętników, wspomina wprawdzie przewodniczący o ogłoszonych dziełach matematycznych, lecz mówi tam o wszystkich w ogóle przezeń wydanych, łącznie z temi które się pojawiły przed otwarciem towarzystwa.

ma śladu, aby one wychodziły sub auspiciis towarzystwa, nie mamy dotąd prawa przypisać ich pojawienie się wpływowi i odpowiedzialności towarzystwa nauk ścisłych. A przypuszczenie to robimy tém chętniéj, ile że ono poniekąd na korzyść towarzystwa wychodzi.

W wydanych ośmiu tomach Pamiętnika pomieszczono 52 prace naukowe, 4 recenzye dzieł, wiadomości o dwóch konkursach ogłoszonych przez towarzystwo, oraz przy każdym tomie przedmowy prezesa lub sekretarza stałego, mające być „sprawozdaniem z czynności towarzystwa" (art. 43 ustawy).

Chcąc uniknąć zbytniéj różnorodności przy robieniu przeglądu prac w takiéj kolei, w jakiéj one po sobie w „Pamiętnikach" następują, oraz znajdując, że podział prac według treści byłby niekiedy dowolny (gdy praca jednocześnie do kilku przyjętych działów zaliczoną być może), sądzimy, że najwłaściwszém jest uporządkowanie prac według autorów, w miarę tego jak ich nazwiska zaczynają się w „Pamiętnikach" pojawiać. O pracach jednak tłómaczonych nie przez ich autorów mówić będziemy na końcu.

1. *Gosiewski* Władysław (w Warszawie) czł. tow.

a) *O sprężystości ciał stałych jednorodnych* (t. I.). Autor, odrzuciwszy przypuszczenie, że ciała składają się z cząstek wzajemnie się przyciągających, przyjmuje za punkt wyjścia zjawiska sprężystości i przedstawia ogólną teoryę sprężystości z zastosowaniem jéj do teoryi ciepła i światła.

b) *O funkcyach jednoczesnych i jednogatunkowych* (t. I), t. j. o ogólnych własnościach trzech funkcyj, ciągłych, jednoczesnych i jednogatunkowych, zależnych od czterech zmiennych, z których trzy są także jednogatunkowe (posiadające wspólną jednostkę miary). Do téj pracy jest dodana (na końcu tomu I) „nota" autora, w któréj podaje inny dowód na jedno z twierdzeń, gdyż poprzednio przedstawiony, jak sam powiada, nie wytrzymuje ścisłéj krytyki.

c) *Kilka uwag o liczbie różnych wartości, jakie funkcya może przybierać, w skutku przestawień zmiennych, do niéj wchodzących* (t. II). Za tę pracę szkoła główna Warszawska przyznała w r. 1867 autorowi medal złoty. Temat, ogłoszony dla konkursu studentów przez fakultet fizyko-matematyczny sz. gł., był następujący: wyznaczyć liczbę wartości, jakie funkcya, a w szczególności funkcya całkowita i wymierna przybierać może w skutek przestawienia zmiennych niezależnych. Temat ten — powiedzmy wprost — był całkiem nieszczęśliwie wybrany: gdyby nie student, ale nawet członek collegium profesorskiego go rozwiązał, zasłużyłby sobie na nieśmiertelne w nauce imię. Kwestya ta, dawno postawiona w nau-

ce, dotąd wciąż na rozwiązanie oczekuje. Piszącemu na ten temat nie pozostawało nic innego, jak odstąpiwszy z góry od jego rozwiązania, jasno tylko przedstawić spółczesny stan téj kwestyi i, do sywykładu stematycznego wypadków prac innych uczonych w tym kierunku wprowadzić ład należyty i uproszczenia możliwe. Tymczasem już sam punkt wyjścia: uważanie zmiennych za pierwiastki z jedności, t. j. za rozwiązania równania dwumiennego, odejmuje téj pracy niezbędny tu charakter ogólny. Przy tak bowiem zacieśnioném pojmowaniu, wyklucza się możność tyle ważnego zastosowania do odpowiednich teoryj Abel'a i Galois. Daléj autor wyraźnie nie wprowadził traktowania systematów sprzężonych podstawień; używane zaś „przemiany nierozdzielne względem podstawienia danego" są niepotrzebną innowacyą', bałamutniéj tylko rzecz przedstawiającą; prócz tego nieuwzględnione odnośne twierdzenia, jakie podali Cauchy, oraz Jordan (cahier 38 Jour. de l'éc. polytechnique), oraz badania Betti'ego i Hermite'a. W ogóle całéj swéj pracy nadał autor więcéj charakter kwestyi z zapomnianéj już dziś t. zw. combinatorische Analysis, niż opracowania założenia postawionego w naglówku. Po pojawieniu się wreszcie w r. 1866 drugiego tomu Cours d'algèbre supérieure J. A. Serret'a, w którym ta rzecz jest znakomicie wyłożoną, należało, przy ogłaszaniu téj pracy w 1872 r., jeśli już nie przerobić jéj, to przynajmniéj dodać uzupełnienia, aby wnieść do naszéj literatury tak pożądane nowe przedstawienie spółczesnego stanu téj ważnéj i ciekawéj kwestyi, a w każdym razie podwyższyć nastrój téj pracy do wysokości traktowanego założenia.

d) *Przegląd krytyczny dzieła p. G. H. Niewęgłowskiego p. t.: Trygonometrya* (t. II). Godność i spokój, z jakim ta recenzya jest napisana, odróżniają ją od innych ocen, pomieszczonych w Pamiętnikach. Podniesiemy tu jednak ogólnego znaczenia zarzut ważny. którym p. Gosiewski kończy swoje sprawozdanie; mówi on: „Dziwnego rodzaju obojętność na dzieła matematyczne w polskim języku zmusza mię do zwrócenia na to uwagi polskiéj publiczności. Nie wiem dla czego, czy z braku zaufania do polskiego rozumu, czy też z przyzwyczajenia i mody, tak ucząca się młodzież, jak i ich nauczyciele, posługują się zwykle dziełami obcémi, mając równie dobre w swoim języku. Czasby już pozbyć się tych przesądów, témbardziéj, kiedy się znajdują szlachetni ludzie, którzy nie szczędzą kosztów" i t. d. Odpowiedź na to prosta. Ażeby podręczniki naukowe miały pokup, potrzeba aby ich autorowie jedynie mieli na celu: nieść rzeczywistą pomoc uczącym się. Jeżeli zaś układający takowe przeładowywują je swemi rzekomo oryginalnemi

teoryami, całkiem nie na miejscu w podręcznikach szkolnych, nie zachowują w samym wykładzie właściwego stopniowania pojęć, przemawiają językiem zawiłym, wywołującym namysł u znającego przedmiot, a niezrozumiałym dla zapoznawającego się dopiero z nauką,—to jakże myśleć o popycie na takie książki? Fakta najlepiéj mówią: rachunek różniczkowy p. Folkierskiego, ułożony najmniéj pretensyonalnie ze wszystkich podręczników, wydanych przez bibliotekę Kórnicką, nie wprowadzający żadnych nowych teoryjek, a mimo to (albo może: dla tego właśnie) będący poważnym, w każdym razie, wykładem znanych elementów rachunku rózniczkowego, został wyczerpany w tak krótkim czasie i oddał istotną przysługę, gdyż dla uczących się był często rzeczywistą pomocą. Sądzimy, że ta pożyteczność dzieła jest to właśnie, czego pragnął pan Folkierski; ma on zapewne prócz tego tę szczerą radość, że pieniądze tak poczciwie łożone przez szanownego nakładcę zmarnowane nie zostały.

e) *Przyczynek do teoryi sił żywych* (t. III); tu autor przedstawia sumę sił żywych jakiegokolwiek układu pod nową postacią, z któréj otrzymuje twierdzenie, jakie podał Cariolis, jako téż sumę sił żywych, odpowiadających samemu odkształceniu się układu.

f) *Przegląd krytyczny różnych teoryj o ciśnieniu w gazach* (t. V), a mianowicie Newton'a, Laplace'a, Daniela Bernoulli'ego, Kroenig'a, Clausius'a; teorye te są traktowane porównawczo i cały przegląd zaleca się starannością opracowania.

g) *O zasadniczéj hypotezie mechaniki cząsteczkowéj* (t. VII), gdzie autor zajmuje się zadaniem, jakim warunkom ma zadosyć czynić ciało, uważane jako układ punktów materyalnych, ażeby, przy ustanawianiu równań jego równowagi lub ruchu, wolno było po jego przestrzeni różniczkować i całkować, t. j., aby wolno było zastąpić je materyą ciągłą. Wychodząc z założenia ciała ciągłego i sztywnego, po uskutecznieniu pewnego rachunku, dochodzi autor do wniosku, że elementowi nieskończenie małemu téj materyi powinien odpowiadać w ciele układ nieskończenie mały czterech punktów materyalnych, który to układ nazywa cząsteczką, owe zaś punkta atomami. Lecz jeżeli ciało jest (czy też chwilowo staje się) sztywne, to wtedy jakiekolwiek (każde) cztery punkta, a tém samém i cztery punkta sąsiednie muszą być niezmiennie połączone. A jaka przytém rola oddzielnych „cząsteczek," jeżeli dajmy na to, dwa punkta jednéj i dwa punkta sąsiedniéj cząsteczki muszą znowu dla siebie tworzyć odrębną cząsteczkę p. Gosiewskiego? Dla nas ten wypadek rachunkowego dochodzenia autora jest tylko szczegółowiéj wypowiedziane toż samo jego założenie

sztywności. Dla potwierdzenia tego naszego zdania, na które p. Gosiewski dziś się nie zgadza, przytoczymy wyżéj wspomnianą jego pracę „Przyczynek do teoryi sił żywych,“ w któréj (t. III, str. 213) jako bezpośrednie następstwo warunku sztywności układu punktów materyalnych, wypadą, że „jednostka objętości cząsteczki, a zatém i sama cząsteczka, jako do niéj podobna, uważaną być może za układ czterech punktów materyalnych,“ a ten wypadek nie został wtedy przez autora wyniesiony do znaczenia hypotezy zasadniczéj.

h) *Dwa twierdzenia z mechaniki cząsteczkowéj* (t. VIII). W pierwszym rozdziale, gdzie mowa o liczbie spółczynników, dochodzi p. Gosiewski do takiego wniosku: „ponieważ ciała stałe, znajdujące się w naturze, są doskonale sprężyste tylko wtedy, gdy doznają odkształceń niezmiernie małych i bardzo krótko trwających, przeto formuły Cauchy'ego można stosować bardzo rzadko, kiedy chodzi o równowagę, a zawsze, kiedy chodzi o drgania. Lecz, jeśli wypada traktować równowagę, a nadewszystko w praktyce, gdzie odkształcenia są na granicy sprężystości i trwają bardzo długo, wtedy ciało traci sprężystość doskonałą i stosować tylko można potencyał Green'a.“ W drugim zaś rozdziale, p. Gosiewski dowodzi twierdzenia: „Praca średnia sił atomowych ciała gazowego nie zależy od jego gęstości, a tém samém ciśnienie średnie jest odwrotnie proporcyonalne do objętości.“

2. *Żmurko* Wawrzyniec (we Lwowie), prof. uniwersytetu, czł. tow.

a) *Dowód na twierdzenie Hesse'go o wyznaczniku funkcyjnym* (t. I). Jestto w gruncie rzeczy nader prosty dowód nieomal oczywistego twierdzenia, jakie Hesse bez dowodu podaje w memoarze Ueber die Criterien des Maximums und Minimums der einfachen Integrale (Crelle, t. 54, str. 249). Rzecz jednak tak prostą, wprowadzeniem dziwacznéj terminologii i zagmatwanego znakowania (w czém w ogóle p. Żmurko się lubuje), autor znakomicie zaciemnić zdołał. Jeszcze w 1861 r., a więc na dziesięć lat przed pojawieniem się pracy p. Żmurki, to twierdzenie Hesse'go, w sposób daleko prostszy niż sposób p. Żmurki, jest dowiedzione w głośnym i rozpowszechnionym podręczniku Calcul des variations, pp. Moigno i Lindelöf'a str. 187. O takowym dowodzie p. Żmurko żadnéj wzmianki w swym artykule nie raczył zrobić, a nie pozwalamy sobie przypuszczać, aby mu taki podręcznik miał być obcym.

b) *Przyczynek do teoryi największości i najmniejszości funkcyi wielu zmiennych* (t. I). P. Petzvel dał pewne kryterya największo-

ści lub najmniejszości funkcyi, zależne od drugich pochodnych. Za pomocą zwyczajnego uogólnienia punktu wyjścia, p. Żmurko otrzymuje oczywiście ogólniejsze kriterya, odnoszące się do pochodnych w ogóle parzystego rzędu. Tylko przykłady mogłyby ujawnić wartość takich badań p. Żmurki, lecz ich właśnie w téj rozprawie nie znajdujemy.

3. *Franke* Jan Nepomucen (we Lwowie), prof. akademii technicznéj, czł. tow.

a) *O względnościach wykreślnych, zachodzących między rzutami systemów geometrycznych* (t. I), gdzie autor, wychodząc z zasady, że wszystkie konstrukcye geometryi wykreślnéj opierają się na homologii systemów geometrycznych, wyprowadza w swém badaniu kilka ciekawych wlasności powierzchni ściślestycznych. Brak w téj pracy wyraźnego odgraniczenia tego, co pomysłowości autora przypisać należy, od rezultatów prac innych badaczów na tém polu: jest to rzeczą niezbędną, gdy zważymy ogromne rozwielmożnienie się rozmaitych rozgałęzień matematyki. W każdym razie, mimo zbyt wielkiéj zwięzłości, cechującéj język autora, czyta się z zajęciem tę jego pracę. Nie zgadzalibyśmy się tylko na tłómaczenie pojęcia „homologie“ (Chasles) „perspectivitaet“ (Steiner), przez „jednokładność“ (termin, wprawdzie nie przez Frankego wprowadzony do polskiego słownictwa), gdy można oddać je prostym i dobrze rzecz malującym wyrazem „odpowiedniość,“ zachowując dla oddania „homographie, projectivitaet,“ wyraz „podobieństwo.“

b) *Przyczynek do teoryi kół zazębionych* (t. IV). W rozprawie téj zajmuje się autor ważną kwestyą oznaczenia kształtu i stosunku kół zazębionych w tym przypadku ogólnym, kiedy osie ich ani nie są równoległe, ani się nie przecinają. Oznaczywszy niezupełność wskazówek, podanych przez poprzednio pracujących w tym kierunku, p. Franke wyraża swoje zadanie, jako ogólne zagadnienie z cinematyki teoretycznéj, rozwiązuje takowe w całéj obszerności, a otrzymane rezultaty stosuje przy badaniu kształtu i wzajemnego stosunku kół zazębionych.

4. *Trzaska* Władysław (pseudonym).

a) *O niektórych własnościach pewnego rodzaju funkcyi jednéj zmiennéj urojonéj* (t. I). W téj pracy p. Trzaska daje najprzód geometryczny, następnie zaś analityczny dowód pewnego twierdzenia geometrycznego, podanego do uzasadnienia w Nouvelles annales de mathématiques (Terquem et Gerono) z r. 1862 (str. 156); tak jeden, jak i drugi zaleca się prostotą i elegancyą.

b) *O pewném zastosowaniu wyznaczników funkcyjnych*, (t. I), mianowicie do znanéj kwestyi: czy pomiędzy kilku funkcyami pewnéj liczby zmiennych mają miejsce lub nie związki, od tych zmiennych niezależne. Oryginalność badania p. Trzaski polega na tém, że znajduje nawet warunki dla oznaczonéj liczby takich związków i tém samém postawił kwestyą daleko ściśléj, niż jego poprzednicy na tém polu. Sumienność i samodzielność opracowania, jasność w dyskusyi tyle ogólnego założenia, przy ścisłém a swobodném władaniu odpowiedniemi metodami sprawiają, że ta praca jest jedną z tak niewielu jasnych momentów w historyi umiejętnego rozwoju u nas nauk matematycznych. Nie ujmiemy w niczém doniosłości téj pracy, podając następujących uwag kilka, odnoszących się do kwestyj drugorzędnych. P. Trzaska starannie zwykle przytaczający prace poprzedników (co osobliwie jest ważne w naszéj ubogiéj literaturze naukowéj), winien był przy pierwszém twierdzeniu pomocniczém (str. 114) zaznaczyć, że samo owo znane twierdzenie podał Jacobi (De determinantibus functionalibus § 7), dowód zaś tego twierdzenia, przytoczony przez p. Trzaskę, znajduje się choćby w dziele p. Imszenieckiego: Sur l'intégration des équations aux dérivées partielles du premier ordre (traduit p. J. Hoüel. 1869). A co się tyczy więcéj ogólniejszego niż Jacobi'ego twierdzenia p. Bertrand'a, które tenże podał bez dowodu, to istniał dowód p. Kronecker'a, podany w trzeciém wydaniu (1870) Theorie und Anwendung der Determinanten p. Baltzer'a (§ 12, ustęp 6), listownie temu ostatniemu przez p. Kronecker'a w marcu 1869 r. zakomunikowany.

c) *O nakreśleniu do trzech kół danych, leżących na powierzchni jednéj kuli, czwartego koła stycznego, leżącego na téjże powierzchni* (t. I). Rozwiązanie tego zadania, które zajmowało wielu uczonych, podane przez p. Trzaskę może także służyć, jako ciekawa ilustracya teoryi wyznaczników. Że tak to pojął autor, mamy tę wskazówkę, iż, przy téj sposobności, przedstawia ciekawe badania niektórych własności wyznaczników, ogólniejsze niż tego wymagało bezpośrednie zastosowanie.

d) *Kilka uwag tyczących się funkcyj wielowymiarowych* (t. II), gdzie autor nader udatnym sposobem wprowadziwszy czytelnika na mało dotąd rozpowszechnioną teoryę ilości „zbiorowych“ (Hamilton: sets), nazwanych przezeń „wielowymiarowemi“ (których szczególnym przypadkiem, jako dwuwymiarowe, są ilości złożone z części rzeczywistéj i części urojonéj), bada liczbę okresów, jaką co najwięcéj mieć może funkcya jednéj takiéj wielowymiarowéj ilości zmiennéj. W rozprawie zaś:

e) *Dowód pewnego twierdzenia, tyczącego się funkcyj wielowymiarowych okresowych* (t. II) podaje badanie odnoszące się do więcéj ogólnego przypadku, mianowicie do funkcyi wielu zmiennych wielowymiarowych, czém uogólnił badania podobne pp. Hermite'a i Puiseux'go. Niechaj nam tu wolno będzie wypowiedzić istotny żal, że od 1872 r. nie pojawiają się już, tak w „Pamiętnikach,“ jak i gdzieindziéj, prace p. Trzaski. W tych rozprawach, które w „Pamiętnikach“ zostały wydane, jak i w jego dodatku do rachunku p. Folkierskiego p. t. „O wyznacznikach“ przedstawił się p. Trzaska jako uczony z głębokiém oczytaniem, mistrzowską techniką wykładu, jasnością założeń i samodzielnością w badaniu. Dla czego, po tyle owocnéj działalności w ciągu lat paru, nagle zamilkł?

5. *Sągajło* Adolf (w Paryżu), czł. tow.

a) *Rozbiór krytyczny dzieł p. G. H. Niewęgłowskiego: studyum pierwsze, Arytmetyka; studyum drugie, Geometrya* (t I). Co się tyczy rozbioru arytmetyki, to doprawdy nie wiemy, czy przedrukowywanie całych ustępów o najelementarniejszych kwestyach z rozbieranego dzieła, zbywanie kilku słowy ogólnéj pochwały lub nagany bez motywów kwestyj zawilszych, wreszcie kilka protestacyj w drobnych rzeczach, a to wszystko bez porównywania z innemi głośnemi i rozpowszechnionemi podręcznikami, można nazwać rozbiorem?— W przeglądzie zaś geometryi, który p. Sągajło sam nazywa „gruntownem ocenieniem“ lub „ścisłym rozbiorem“ czytelnik znajdzie wiele różnych kwestyj, np. jakowąś historyą geometryi, wyciągi z różnych dawnych dzieł polskich, gawędę o niektórych dziennikach matematycznych francuzkich, wiadomości o tłómaczeniach dzieła p. Chasles'a, dokonanych „z prostotą i wdziękiem,“ co o takowych p. Chasles trzyma — słowem: znajdzie się, co kto lubi... Samo dzieło p. Niewęgłowskiego jest co do rozkładu treści porównane tylko z geometryą Legendre'a, po czém idą ogromne spisy nagłówków, szeregi nazwisk, wypisy z autora, sądy nieodwołalne, ładnie brzmiące pochwały i wielościany gwiazdziste z figurami, a dla dopełnienia lista „pierwszéj młodéj generacyi geometrów francuzkich“ oraz „drugiéj młodéj generacyi nowych geometrów francuzkich,“ przy czém p. Sągajło nas zapewnia, że druga „generacya okazała się“ po pierwszéj.

b) *Rozbiór krytyczny dzieła p. Folkierskiego p. t. Rachunek różniczkowy*. Na 75 stronnicach in 4-to p. Sągajło prowadzi znów, swoje niekończące się, przerywane słowami zachwytu, wypisy z rozbieranego (?) dzieła, jakoteż ze Śniadeckiego Jana, gawędy o Lagrange'u, Gauss'ie, Abel'u i t. d., wiadomości z ich życia i t. p. i t. p. Rzecz, „O wyznacznikach“ p. Trzaski, zbyta nieomal wyłącz-

nie przytoczeniem frazesu z bezimiennego artykułu „Przeglądu Polskiego“ (Kraków, 1870 r. kwiecień) o rachunku p. Folkierskiego, który to artykuł, będący zlepkiem ostrożnie wypowiedzianych, ładnie brzmiących, lecz często beztreściwych zdań, p. Sągajło nazywa: „umiejętném ocenieniem“ „znakomitego krytyka.“

c) *Kilka zadań geometryi analitycznéj, wyłożonych podług najnowszych metod analizy nowoczesnéj* (t. VII). Pod tym swą pracę z góry zachwalającym tytułem p. Sągajło zajmuje się jedenastoma zadaniami, jak np. odległość dwóch punktów, prosta równoległa do prostéj danéj, biegunowa punktu względem układu dwóch prostych i t. d., gdzie czytający spotyka się z rzeczami znanemi, w podobny sposób oddawna w podręcznikach wyłożonemi.

d) *Krótka wiadomość o przedniejszych poszukiwaniach analizy nowoczesnéj nad kołem stycznćm do trzech kół danych* (t. VIII). Tu również spotykamy się z „pięknem rozwiązaniem należnem Gergonowi,“ „rozwiązaniem i twierdzeniem, zkąd się ono wyprowadza, należnemi p- Casey.“

6) *Kucharzewski* Feliks (w Warszawie), inżenier drogi żelaznéj nadwiślańskiéj, czł. tow.

a) *O astronomii w Polsce, materyały do dziejów téj nauki w kraju naszym* (t. II). Pracę tę autor poświęca profesorowi Janowi Baranowskiemu, b. Dyrektorowi obserwatoryum Warszawskiego, który mu udzielał wskazówek i rad przy jéj wykonaniu. Jakkolwiek wielką mogła być pomoc szanownego astronoma, w każdym razie p. Kucharzewski dobrze się zasłużył historyi oświaty u nas, zebrawszy cierpliwie z wzorową skrzętnością wszystkie dane odnoszące się do rozwoju nauki astronomii: znaleźć tu bowiem można wszystkie interesujące szczegóły, jakie tylko zebrać można było. Pod tym względem praca ta jest bez zarzutu. Możnaby tylko się zapytać, czy p. Kucharzewski nie zawielu odnalazł „znakomitych mężów,“ i czy przy bliższem rozpatrzeniu się w ich działalności nie jeden z takowych przedstawi się jako pracownik, bardzo na swój czas sumienny i odpowiedni, choć jeszcze nie „znakomity.“ Rzecz to zresztą tego, który z tych cennych materyałów, jakie zebrał p. Kucharzewski, osnuje tyle pożądaną, sumienną, ale bezstronną (i bez zachwytów z zasady) historyą rozwoju astronomii w Polsce, w porównaniu ze spółczesnym jéj stanem w innych krajach, takową na onczas uprawiających.

b) *Prace p. Maurycego Lévy.* Teorya biegu prostolinijnego cieczy i jéj zastosowanie do biegu wody w rurach wodociągowych (t. III). Poprzedziwszy rzecz historycznym wstępem, p. Kucharzewski podaje przedstawienie oryginalnych i praktycznych, we-

dług jego zdania, w zastosowaniu poszukiwań p. Léwy, ogłoszonych w rozprawie doktorskiéj Essai théoretique et appliqué sur le mouvement des liquides (Paryż, 1875) oraz w rozprawie, wydrukowanéj w Annales des Ponts et Chaussés (1867, zeszyt 2).

7. *Żaliński* Stanisław (w Warszawie), b. dyrektor zakładów cukrowniczych na Gwadelupie, czł. tow.

O nitroglicerynie i dynamicie (t. II), gdzie autor opowiada o rozmaitych znanych ich zastosowaniach w celach wojennych, inżenierskich i t. d.

8. *Folkicrski* Władysław (w Lima), inżynier rządowy, czł. tow.

O równaniach różniczkowych częściowych jednoczesnych (t. III). Autor zajmuje się ogólném zadaniem, gdy liczba zmiennych, wchodzących w układ równań jednoczesnych, przewyższa liczbę równań więcéj niż o jedność. W pierwszéj części rozprawy, gdzie jest mowa o równaniach liniowych, autor przedstawia badania nad zastosowaniem metody Jacobi'ego, prowadzone niezależnie od spółczesnych badań Clebsch'a. P. Folkierski nie pośpieszył z drukowaniem swéj pracy, któréj rezultaty okazały się temiż samemi, co wypadki poszukiwań Clebsch'a, ogłoszone wcześniéj, w tomie 65 dziennika Crelle'a. W drugiéj zaś części téj rozprawy, p. Folkierski przedstawia zastosowania, przy całkowaniu równań o pochodnych częściowych rzędów wyższych według metody Ampère'a, co objaśnia na przykładzie.

9. *Kluger* Władysł. (w Lima), inżynier rządowy, czł. tow.

a) *Turbina Fourneyron'a, jéj teorya dokładna, przybliżona i uwagi praktyczne* (t. III).

b) *Teorya turbiny Fontaine'a, wraz z zastosowaniem wzorów analitycznych do obliczania wymiarów i pracy téj machiny* (t. IV). Tyle szczegółowe rozpatrzenie teoryi tych dwóch turbin, oraz podanie formuł, użytecznych przy ich konstrukcyi, wywołuje życzenie, aby autor zechciał w podobny sposób traktować turbiny, więcéj w praktyce rozpowszechnione, jak Jonval'a, Girard'a, Francis'a, koło tangencyalne, które téż zależnie od danych miejscowych korzystne mogą znaleźć zastosowanie, oraz, aby autor więcéj zechciał uwzględniać teoretyczne badania niemieckie w téj kwestyi, nie zasługujące na ignorowanie.

10. *Doliński* Ferdynand (w Paryżu).

O atomowości rodników pojedynczych i złożonych z krótkim poglądem na teorye chemiczne ostatnich czasów (t. III). Ta praca p. Dolińskiego, wedle wiadomości zebranych od ludzi, badaniami chemicznemi bliżéj zajmujących się, wcale nie jest oryginalną lub źródłową, lecz po prostu jest dowolném oraz przerywaném (z opuszcze-

niem pierwszych rozdziałów (tych właśnie, które wyszły oddzielnie w Warszawie w przekładzie p. W. Kosmowskiego) tłómaczeniem lekcyj p. Wurtz'a, czytanych pierwotnie w 1864 r. w Collège de France, a które wkrótce potém weszły w skład jego popularnego dziełka, p. t. Leçons de philosophie chimique, uwieńczonego wielką nagrodą w Paryżu. W obec tych okoliczności naukowa ocena téj roboty wydaje się zbyteczną. Dlaczego p. Doliński, uznając pracę p. Wurtz'a za pożyteczną, nie przyswoił jéj nam wiernie? Dla czego wreszcie ten cudzy popularny wykład wstępu do chemii pomieścił w piśmie, mającém zamieszczać jedynie prace oryginalne i poświęcone dla specyalistów? Nakoniec, kto w r. 1873 drukuje choćby i uwieńczone lekcye p. Wurtz'a, winien był zwrócić uwagę na postęp chemii; w pracy zaś p. Dolińskiego tylko na str. 184—187 dotknięto cokolwiek spółczesnych pojęć o wewnętrznéj budowie ciał. Mówiąc o izomeryi, p. Doliński ani jednêm słowem nie objaśnił czytelnika o znakomitych zdobyczach, na tém polu dla nauki osiagniętych przy poszukiwaniach nad ciałami aromatycznemi. Przy klasyfikacyi pierwiastków, nie spotykamy najmniejszéj wzmianki o ogólnie już wtedy wysoko cenionym tak zwanym „peryodycznym systemie pierwiastków," wprowadzonym przez p. Mendielejewa.— Co się tyczy samego tłómaczenia, to nie można go nazwać błędném; za to jego słownictwo chemiczne, zbliżające się przeważnie do warszawskiego, jest często mylne i niepoprawne. Na str. np. 186 chlorek etylidenu nazywa chlorkiem etylu, co jest całkiem co innego; resztkę wodną, nazywaną jeszcze u nas hydroksylem lub z francuska oksydrylem, nazywa tlenohydrylem; węglowodory CH_4, C_2H_6 i t. d. uważane obecnie za związki zupełnie jednorodne, nazywa po staremu wodorkami metylu i etylu i t. d i t. d.

11. *Martynowski* Antoni (w Paryżu), inżynier dróg i mostów.

a) *Teorya ciśnienia cieczy na ściany płaskie i na ściany krzywe* (t. III i IV). We wstępie, p Martynowski podaje ogólne wiadomości z hydrostatyki, gdzie przeważnie zajmuje się znanemi kwestyami elementarnemi, w dwóch zaś rozdziałach, na które dzieli swą pracę, oblicza wielką ilość szczególnych prostych przypadków, jakie inżynier w swéj praktyce napotkać może. Żaden jednak z wykształconych techników, robiąc odpowiednie obliczenie w każdym danym razie, nie natrafi przy podobnych zadaniach na żadne tak wielkie trudności któreby go zmuszały do korzystania z pracy p. Martynowskiego. Przy tém rzecz ta, choć może być owocem sumiennego opracowywania szczegółów obliczeń, dokonanych przez autora dla kolei żelaznéj od Châlons do Orléans'u, grzeszy (jak w ogóle większa część prac inżynierskich, pomieszczonych w Pa-

miętnikach) niejasném wydzieleniem tego, co pomysłowości autora przypisać mamy.

b) *Ciśnienie podpór jakichkolwiek budowli na ich podstawy* (t. VI). W téj pracy, podobnież, przerabia autor rozmaite zadania odnoszące się do rozkładu ciśnienia budowli na jéj podstawy, które to jednak przeróbki, w obec podania ogólnych formuł służących do rozwiązywania takich zadań, wyglądają jak gdyby autor nie przypuszczał w czytelniku techniku znajomości elementów analizy i mechaniki, iżby ten sam sobie z takowemi mógł dać radę. Przy tém autor ogranicza się do podstaw wielokątów foremnych, podpartych w wierzchołkach.

12. *Brandt* Kazimierz (w Paryżu), inżynier cywilny, czł. tow.

a) *Wytrzymałość ciał. Badania analityczne dotyczące ciężarów przypadkowych przy obliczaniu mostów* (t. IV). Autor w téj pracy podaje dokładne metody obliczenia największych momentów zgięcia w belkach, obciążonych tak ciężarem stałym, jak i ruchomym; pominął jednak wykazanie stosunku badań przezeń przedstawionych do obecnego stanu nauki w téj kwestyi.

b) *Wytrzymałość ciał. Badania analityczne dotyczące sposobu obliczania mostów, złożonych z łuków metalicznych* (t, VII). Rzecz ta przedstawia sumienne, samodzielne i nader interesujące studyum o wytrzymałości, tém więcéj, że dotychczasowe przybliżone obliczanie mostów metalicznych, mających kształt arkad złożonych z pewnéj liczby łuków kołowych, okazało się tyle nieścisłém, że w podobnych dwóch mostach na Sekwanie, między Paryżem i Asnières, o 60 metrach otworu między przyczółkami, części składowe rozeszły się. P. Brandt podaje sposób obliczania łuków metalicznych; który, jakkolwiek w zastosowaniu jest nie tyle prosty, co sposób Mastaingue'a, jednak, jako ściślejszy, zasługuje na uwagę inżynierów, robiących więcéj dokładne studya przy projektowaniu łuków. Niechaj przy tém nam wolno będzie położyć nacisk na ściśle umiejętny nastrój tego artykułu, odpowiedni dziennikowi naukowemu.

13. *Puchewicz* Władysław (w Warszawie), nauczyciel gimn. 3-go.

Teorya funkcyi zmiennéj złożonéj (t. IV). O téj pracy p. Puchewicza wypowiedzieliśmy już w Jahrbuch ueber die Fortschritte der Mathematik (Berlin. t. VI) takie zdanie: „W pierwszéj części rozpatruje autor najprostsze funkcye zmiennéj złożonéj, gdzie on jednak ustawicznie się zapatruje na ilości urojone wyłącznie jako na proste symbole bez znaczenia. Druga część zawiera prawie zupełne przedstawienie prac Cauchy'ego i Puiseux'go w teoryi funkcyi, lecz przy tém prace badaczów niemieckich są mało uwzględnione. Sposób traktowania przedmiotu w téj pracy, według na-

szego zdania, jest mało odpowiedni dla naukowego pisma. Byłoby daleko lepiéj, gdyby autor, zmieniwszy punkt widzenia i uzupełniwszy niektóre kwestye, zechciał tę pracę ogłosić, jako oddzielny podręcznik dla początkujących: wtedy by ona zapełniła istotny brak w polskiéj literaturze matematycznéj.“

Baranowski Stefan (w Paryżu) inżynier drogi żelaznéj północnéj, czł. tow.

a) *O naturze i przymiotach stali* (t. IV). Przechodzi tu autor kolejno różne gatunki stali, opowiada o znanych zależnościach ich własności od składu chemicznego tych ciał, lecz nie zamieszcza w swojéj pracy nic takiego, coby się nie znajdowało w nowszych podręcznikach technologii.

b) *O obecnym stanie fabrykacyi żelaza i stali za pomocą metody Bessemer'a, wraz z jéj teoryą* (t. V). Autor opisuje metodę Bessemer'a, która co raz więcéj zyskuje rozpowszechnienia i co raz téż większe, z każdym niemal dniem, robi postępy. Nie można więc poniekąd brać za złe p. Baranowskiemu, że podaje tu teoryą i opis téj ważnéj metody, choć pracą swą nic nowego do téj kwestyi nie dodaje.

15. *Maszkowski* Karol (we Lwowie), prof. akademii technicznéj.

Perspektywa rzutowa, jako wynik rzutów prostokątnych na płaszczyzny ukośnie względem siebie położone (t. V). Pod tym tytułem, autor przedstawia zwięzły i systematycznie ułożony konspekt kursu specyalnego, którego dotąd nie miała literatura nasza, choć posiada ona kilka dzieł z geometryi wykreślnéj, gdzie ten dział nauki, nawet w najnowszym jéj podręczniku, niedawno wydanym, nie jest traktowany. Trafnie dobrane zadania dobrze ilustrują metody używane przez autora.

16. *Wojciechowski* Lucyan (w Paryżu), inżynier drogi żelaznéj Algierskiéj, czł. tow.

Nowy sposób obliczania powierzchni wykopów i nasypów (t. V). Oryginalna metoda proponowana przez p. Wojciechowskiego zakomunikowana była w 1872 r. przez p. ministra robót publicznych we Francyi wielu specyalistom, którzy, po teoretycznem takowéj roztrząśnieniu i zbadaniu jéj praktycznego pożytku, wielkie jéj uznanie oddają. Z uwag, jakie co do pierwszéj francuskiéj redakcyi tych badań były przez inżynierów francuskich wypowiedziane, korzystał p. Wojciechowski przy opracowaniu tego właśnie artykułu dla „Pamiętnika.“ Po wstępie i zdaniu sprawy ze stanu obecnego owych obliczań, autor uzasadnia swoję metodę, robi jéj niektóre zastosowania, jako téż podaje odpowiednie tablice. Rzecz zaś kończy przedstawieniem, o ile podana przezeń metoda jest krótszą od

dotychczas używanych, oraz tego, że prostszego sposobu mieć nie można.

17. *Rostafiński* Józef (w Krakowie), privat-docent uniwersytetu, czł. tow.

Śluzowce (*Mycetozoa*), *monografia* (t. V i VI).

Dodatek do monografii Śluzowców (t. VIII). Z obszernéj téj pracy (60 arkuszy druku, 14 tablic rysunków) przytoczymy parę słów samego badacza, które o jéj charakterze dadzą pojęcie: „Od monografii jakiejś grupy ustrojów wymagamy w dzisiejszym stanie nauki, aby podała ich historyą rozwoju, ich budowę, kształtownictwo i systematykę; otóż niniejszą pracę, jako odpowiadającą większości tych warunków, nazwałem monografią. Historya rozwoju została tu zupełnie pominięta, a to dla tego, że pod tym względem mamy wyborną i obszerną pracę de Barego; tylko niektóre własne spostrzeżenia, na tém polu zdobyte, pomieściłem we właściwych miejscach w części traktującéj o budowie śluzowców" (1).

18. *Elżanowski* Seweryn (zmarły w Paryżu), czł. tow.

O metodzie w umiejętnościach (t. VI). Jestto początek widocznie obszerniéj planowanéj pracy o kolejno zjawiających się rozmaitych sposobach myślenia i badania, który redekcya „Pamiętnika" zamieściła „także dla uczczenia pamięci tyle zacnego i dobrze myślącego męża." Część odnosząca się do Grecyi względnie systematycznie jest opracowana. Okresowi scholastycznemu poświęcona

---

(1) Szczegółową ocenę „Śluzowców" znaleźliśmy w czasopiśmie „Przegląd Krytyczny" (Kraków, 1876 r. Nr 2, str. 58—62). O wartości naukowéj przytoczonéj pracy, mogą dać wyobrażenie następujące z téj oceny wyjęte ustępy: „dzieło pana R. jest białym krukiem w naszém piśmiennictwie przyrodniczém, a w ogólném piśmiennictwie botanicznem zajmie prawdziwie zaszczytne miejsce, skoro przetłumaczoném zostanie na którykolwiek z więcéj ogółowi dostępnych języków europejskich." „Wędrować po lasach i łąkach, bagnach i polach, w Europie lub innéj części świata, zbierać rozmaite rośliny, porządkować je w zielnik, określać podług książki, a nieznane gatunki opisywać, to rzecz wcale pożyteczna, ale jeszcze nie nauka, a w żadnym razie nie systematyka! Myśmy niestety przywykli każdego, co robi zielnik, nazywać botanikiem, a co najmniéj systematykiem. A jednak systematyka to przecie nie zabawka dyletantów, lecz nauka wymagająca obszernych wiadomości i studyów nad organologią, anatomią, oraz fizyologią roślin. P. R. jest systematykiem w dzisiejszém znaczeniu tego słowa, a jego książka jest pierwszą pracą systematyczną ogłoszoną w naszym języku." Recenzent oceniając język i rysunki, powiada że „język w ogólności bardzo dobry, a styl jasny i czysty; rysunki są w ogóle bardzo ładne, a niektóre artystyczne, bo téż i wychodzą z pod rylca Picart'a."

Ocenę kończy recenzent wypowiedzeniem wdzięczności autorowi i Towarzystwu nauk ścisłych, pierwszemu za obdarzenie nas „pracą wysokiéj wartości, któréj lat kilka poświęcił," drugiemu zaś za to, że „tak pysznie wydało pierwsze dzieło systematyczne w naszym języku!" (*Przyp. Red.*)

krótka wzmianka. Dalej idą uwagi co do metod Descartes'a, Bacon'a, Cournot'a, Comte'a i Hegel'a.

19. *Zajączkowski* Władysław (we Lwowie), profesor akademii technicznej, czł. tow.

O równaniu różniczkowém $Xdx + ... + Zdz = O$, *całkowalném przez jedno równanie pierwotne* (t. VI). W téj pracy autor wykłada metody całkowania Euler'a, Natani'ego i Pawła du Bois-Reymond'a, dodając swoje uwagi co do rozwiązań osobliwych. Praca ta nabyłaby większéj wartości w razie, gdyby autor krytycznie z sobą zestawił wzmiankowane sposoby całkowania, jak to społcześnie zrobił p. A. Weiler w Zeitschrift für Math. und Phys. Schloemilch'a (Jahrg. 20, Heft. I).

20. *Girdwoyń* Michał (w Warszawie), b. inżynier wojskowy, naukowy pszczolarz i rybak, czł. tow.

Anatomia pszczoły (t. VI). Za tę pracę otrzymał autor cztery medale złote na wystawach w Krakowie (1872 r.), Wiedniu (1873 r.), Szawlach (1876 r,) i Paryżu (1877 r.). Ocenę jéj szczegółową podaną przez p. A. Ślósarskiego, ciekawy czytelnik znajdzie w dzienniku „Niwa" (1875 r. Nr. 21), gdzie, uznając opracowanie części anatomicznéj za bardzo dobre i zrozumiale przedstawione, choć sam przedmiot ze swéj natury jest dość zawiły, recenzent dodaje: „Jeśli jednak opracowanie anatomiczne pszczoły nie przedstawia nic do życzenia, to przeciwnie rzecz się ma z częścią histologiczną (anatomią mikroskopową); w wielu miejscach nie podobna się zgodzić z autorem, mianowicie na budowę mikroskopową włókien mięsnych (str. 10), nabłonka wyścielającego kanał pokarmowy (str. 16), naczyń krwionośnych (włoskowatych) (str. 18), na nabłonek bezkształtny i t. p." Wiadomości o sposobie zapłodniania matki, budowie i zapłodnianiu jajka, dzieworodztwie i t. d. „może są zbyt treściwe, w każdym jednak razie dają pojęcie o rozmnażaniu się pszczół." Dodane do pracy téj 12 tablic rysunków są „nadzwyczaj starannie i dokładnie przez autora narysowane" i „tylko rysunki przedstawiające szczegóły budowy mikroskopowéj są niedokładne i nie dają dobrego pojęcia o budowie delikatnych części, które mają wyobrażać." Rzecz zaś swoją p. Ślósarski kończy temi słowy: „W ogólności praca p. Girdwoynia, pomijając małe usterki histologiczne, ma prawdziwą wartość, jako mogąca dokładnie zapoznać z organizacyą pszczoły i dla tego można ją polecić każdemu, ktoby chciał bliżéj zbadać pszczołę we względzie anatomicznym."

21. *Hertz* Karol (w Warszawie), nauczyciel gimnazyum 2-go, i

22. *Dickstein* Samuel (w Warszawie), nauczyciel gimnazyum 6-go.

Teorya liczb złożonych i ich funkcyi, część pierwsza (t. VII). Ta ogłoszona część rozprawy jest, jak sami autorowie objaśniają, ułożona na wzór nieukończonego (z przyczyny śmierci autora) dzieła Hankel'a Theorie der complexen Zahlensysteme und ihrer Functionen.

23. *Sękowski* Antoni (w Paryżu), inżynier cywilny.

Raptowny sposób rozprowadzenia przewodnika siły w maszynach o ruchu postępowo-przemiennym (t. VII). Autor opisuje zastosowanie szybrów (które niewłaściwie szufladami nazywa, choć oba te wyrazy są jednako dobrze cudzoziemskie) o gwałtownym ruchu w rozmaitego rodzaju maszynach o ruchu postępowo przemiennym. Co się tyczy maszyn parowych, podaje autor swój patentowany, (czyli, jak nazywa: obrewetowany) we Francyi sposb udzielania ruchu szybrom. Autor nie wykazał stosunku tego sposobu do rozwiązania tego zadania praktykowanego w odpowiednich maszynach, budowanych przez fabrykę Decker et comp. w Canstadt, w sposób bodaj czy nie prostszy, a w każdym razie łatwiejszy do zastosowania. Jeden z inżynierów, który szczegółowiéj zastanawiał się nad sposobem p. Sękowskiego, komunikuje nam nadto uwagę, że p. Sękowski bliżéj nie objaśnił, do czego służyć ma przy maszynie kondensacyjnéj (fig. 10) pompa wodna C_1 bez któréj zwykłe kondensatory się obchodzą, zwłaszcza że średnica jéj jest równa średnicy pompy powietrznéj, i jest za tém, jako pompa, mająca dostarczać z większéj głębokości wodę w dostatecznéj ilości do kondensatora, za duża.

24. *Baraniecki* Maryan Aleksander.

a) *Rozwinięcie na ułamek ciągły stosunku dwóch zupełnych całek eliptycznych pierwszego i drugiego gatunku*, (t. VII), gdzie tém nowém rozwinięciem owego stosunku na szybko zbieżny ułamek ciągły ma być powiększoną liczba znanych rozwinięć Gauss'owskich przy pomocy własności szeregów hypergeometrycznych.

b) *O podstawieniach wymiennych* (t. VII); w téj rozprawie, po podaniu wstępnych pojęć, uprzystępniających jéj czytanie, postawiliśmy założenie: okazać, że teorye i formuły Cauchy'ego i p. Serret'a, odnoszące się do podstawień wymiennych, są nieścisłe i niedostatecznie ogólne, oraz postawić ogólniejsze, z których tamte, jako szczególny przypadek, wyprowadzić się dadzą.

c) *Dowód jednego twierdzenia zasadniczego*, *odnoszącego się do funkcyj hypergeometrycznych* (t. VIII), gdzie zamierzyliśmy w sposób odmienny od podanego przez p. Thomé'go, mianowicie przekształcając Jacobi'ego całki szczególne t. z. równania hypergeometrycznego, i badając takowe, dowieść twierdzenia p. Thomé'go,

odnoszącego się do skończoności, ciągłości i jednowartościowości ſunkcyj hypergeometrycznych.

d) *Zasadnicze wnioski geometryczne z teoryi algebraicznéj form kwadratowych podwójnych* (t. VIII), o ile w ramach jednogodzinnego wykładu można było przedstawić elementa ciekawych badań prowadzonych przez spółczesnych matematyków nad geometryczną interpretacyą algebraicznych własności form. Sąd o sposobie i wartości metod użytych do wykonania założeń w tych pracach, oczywiście, nie do nas należy.

25. *Hulewicz* Maurycy (w Wersalu), inżynier drogi żelaznéj du grand ceinture, czł. tow.

Obliczanie wytrzymałości belek wieloprzęsłowych, z *dodaniem tablic ułatwiających wyznaczenie największych natężeń sił zewnętrznych*, (t. VIII). W części pierwszéj, autor podaje znaną teoryą belek wieloprzęsłowych, przy czém wprowadził niektóre uproszczenia w dowodzeniach. W częściach drugiéj i trzeciéj, mozolnie oblicza otrzymane formuły dla wielkiéj liczby szczególnych przypadków, w praktyce zachodzących. Wyliczenia p. Hulewicza mogłyby być niekiedy istotnie pomocne inżynierom, którzy jednak nie mogąc zbyt ufać podanym liczbom (tém więcéj, że sam autor dodaje do swéj pracy aż dwie stronice sprostowań), nawet gdyby mieli tę pracę pod ręką, sami prawdopodobnie wyliczenia przeprowadzą, w czém znowu na trudności nie do pokonania nie natrafią.

26. *Laskowski* Zygmunt (w Genewie), profesor uniwersytetu, czł. tow.

Nowy sposób konserwowania preparatów anatomicznych i anatomo-patologicznych, *tudzież zachowywanie zwłok od prędkiego rozkładu*. Ma on na celu wielkie ułatwienie studyów anatomicznych i zabezpiecza oddających się téj nauce od wypadków powstających skutkiem skaleczeń narzędziami służącemi do dysekcyi (t. VIII). Pod tak długim tytułem, podaje p. Laskowski swój wynalazek wielce rozgłośny w świecie lekarskim, zrobiony w Paryżu w 1864 r. Przytaczamy z téj pracy następujący ustęp:

„Płyn używany do maceracyi i injekcyi, z pewnemi zmianami kompozycyi, używanym także być może z pomyślnym skutkiem do opatrywania ran i wrzodów złéj natury. Używałem go często do opatrywania rannych pod czas ostatniéj wojny francusko-pruskiéj w ambulansach, pod moim nadzorem będących, i jemu to w pewnéj części zawdzięczam stosownie niewielką śmiertelność, jaka się okazała u rannych i operowanych, oddanych méj opiece.

Płyn służyć mający do injekcyi trupów: glyceryna zwyczajna handlowa 1000 części; kwas karbolowy krystalizowany 100 części.

Ilość płynu używana do konserwacyi jednego trupa jest około pięciu litrów, a cena wynosi w Paryżu 5 franków.

Płyn, służący do maceracyi preparatów anatomicznych i anatomowo-patologicznych: glyceryna handlowa 1000 części; kwas karbolowy krystaliczny 50 części.

Przygotowanie płynu jest bardzo prostém. Ogrzewa się kryształy kwasu karbolowego w kapsulce do zupełnego rozpuszczenia; płyn tak otrzymany mięsza się z małą ilością głyceryny, rozgrzanéj do 80^0 centigradu w kąpieli wodnéj, wlewa się następnie taka mięszanina do glyceryny w zwyczajnéj temperaturze i kłóci pręcikiem szklanym do zupełnego zmięszania.

Oto jest wynalazek na pozór nader prosty, do którego doszedłem długiemi próbami i doświadczeniem, a który dziś podaję polskim badaczom na drodze anatomii, pewny będąc, że oddam im znakomite usługi. Zapewne mogłem to wcześniéj uczynić, ale wolałem sam dobrze się przekonać, ażeby nikogo nie zawieść w oczekiwaniu, co niestety zbyt często się zdarza, kiedy sią publi kuje rzecz niedostatecznie wypróbowaną."

Za preparaty zakonserwowane według téj metody otrzymał p. Laskowski na powszechnéj wytawie Paryzkiéj 1867 roku medal honorowy, na wystawie Krakowskiéj 1870 roku wielki medal złoty.—

Prac tłómaczonych pomieszczono w „Pamiętnikach" cztery, a mianowicie:

Jana *Trejdosiewicza: O formacyach przechodowych gór Kieleckich w Królestwie Polskiém.* Spolszczył Bronisław *Reichman* (t. VII). Pracę tę autor obronił w uniwersytecie Charkowskim na stopień doktora mineralogii i geognozyi. Po wykazaniu wszystkich badań i źródeł odnoszących się do gór Kieleckich, autor w przedmowie objaśnia, że rozprawa jego jest oparta zarówno na wiadomościach, zaczerpniętych z przytoczonych przez niego źródeł, jako téż i na własnych obserwacyach, które miał sposobność na miejscu przeprowadzić.

Artura *Cayley'a: o twierdzeniu Wrońskiego*, (t. IV). Tłómaczenie z Quarterly journal of math. (r. 1873. N. 47). Idzie tu o twierdzenie Hoëne-Wrońskiego, tyle głośnego w początku tego stulecia, które on uważał jako odpowiedź na pytanie: „En quoi consistent les mathématiques? N'y aurait-il pas moyen d'embrasser par un seul problème tous les problèmes de ces sciences, et de résoudre généralement ce problème universel? (i dla tego ono jest nazwane „problème universel") i podał bez dowodzenia najprzód w Réfutation de la Théorie analytiques de Lagrange (Paryż 1812 r.), następnie z zawiłemi, żmudnemi i nieprzystępnemi dowodzeniami

w Philosophie de la Technie (Paryż, 1815 r.) i w Supplément à la reforme de la philosophie (Paryż, 1847 r.), a które bez dowodu znajduje się także w Encyclopédie mathématique de Montferrier (Paryż, bez daty). Twierdzenie to obejmuje w sobie jako szczególne przypypadki, wszystkie znane twierdzenia o potęgowych rozwinięciach na szeregi, włącznie z tak ogólném rozwinięciem Lagrange'a. Owóż p. Cayley, spółczesny znakomity matematyk, za pomocą iście genialnych przekształceń, bardzo prosto wyprowadza nader ciekawe rozwinięcie, równoważne z rozkładem Wrońskiego, choć w bardzo odmiennym kształcie, który p. Cayley dogodniejszym być mieni. Następnie zajmuje się porównaniem tych dwóch równoważnych postaci, co go prowadzi do uwag wielce dla matematyków ciekawych. Zauważymy tu jeszcze, że p. Cayley zaczyna swój memoar od sprowadzenia zasadniczego ogólnego punktu wyjścia Wrońskiego, do jednoznacznego, choć prostszego. Ta praca pana Cayley'a jest tém większéj doniosłości, że po 60 latach (od 1811 r.), przez które ciążyła na pracach Wrońskiego nieprzychylna opinia Paryskiéj akademii nauk, jest niejako rehabilitująca poważnie i stanowczo pamięć tego uczonego — który mógł dziwacznym być często, lecz nie był pozbawiony genialności w pomysłach matematycznych.

Abla *Transon'a* (przetłómaczone z Nouvelles annales des math. 1874 roku t. XIII).

a) *Uwagi nad objawem naukowym* z powodu wzoru, ogłoszonego przez Wrońskiego w roku 1812 i dowiedzionego prościéj przez p. Cayley'a w roku 1873 (t. VIII). Objawem naukowym (évenement scientifique) nazywa p. Transon powyższe wystąpienie p. Caley'a. Gorący wielbiciel prac i pomysłów Wrońskiego szczegółowo rozbiera w tym artykule głównie zarzuty postawione przez komisyą akademii nauk w Paryżu, oceniającą przedstawioną akademii rozprawę Wrońskiego Réfutation etc., w któréj znajduje się powyższy wzór „zagadnienia powszechnego," jako też wzór „prawa szeregów" (loi des séries). Mówi tu także o Wrońskiego „prawie najwyższém" (loi suprème, loi algorithmique absolue), przedstawioném téjże akademii bez dowodów jeszcze w 1810 roku, o którém Lagrange i Lacroix w raporcie, ogłoszonym w Monitorze z 15 listopada 1810 roku, tak się wyrazili: „W rozprawie p. Wrońskiego komisarzy waszych najwięcéj to uderzyło, że on wyprowadza ze swego wzoru wszystkie wzory dotąd znane dla rozwinięcia funkcyj, i że te ostatnie są tylko przypadkami szczególnemi jego wzoru."

b) *Prawo szeregów Wrońskiego; jego foronomia* (t. VIII). Tu p. Transon przytacza najprzód prosty dowód Wrońskiego jego „prawa szeregów,“ i stosuje je do rozwinięć Maclaurin'a i Taylor'a, oraz dowodzi pewnego ogólnego twierdzenia Wrońskiego, prowadzącego „do prawa najwyższego.“ Okazuje się przy tém, że Wroński używał tego narzędzia matematycznych badań, które dziś wyznacznikami nazywamy i to, gdy elementa nie są ilościami stałemi, lecz funkcyami złożonemi z ilości zmiennych, połączonych ze sobą za pomocą pewnych związków (jeszcze 1810 roku). W końcu rozprawy, p. Transon domaga się przyznania Wrońskiemu pierwszeństwa myśli o nauce ruchu, niezależnie od sił, które go wywołują, nazwanéj przezeń Foronomią. A to na następującéj zasadzie. W 1818 roku, w pierwszym numerze pisma „Le Sphynx (którego wyszły wszystkiego dwa numera i oddzielnie przedmowa do tego pisma), Wroński pomieścił tablicę ogólną nauk p. t. „System architektoniczny bezwzględny encyklopedyi wiedzy ludzkiéj;“ w części téj tablicy, odnoszącéj się do matematyki teoretycznéj, znajdujemy poddział: „Neutralizowanie czasu i przestrzeni. Ruch: Foronomia (któréj nie należy mięszać z Mechaniką, do któréj wchodzi nadto uważanie sił).“ Dopiero w szesnaście lat późniéj, w 1834 roku, Ampère w Essai sur la philosophie des sciences podał pomysł (któremu ogólnie dotąd przyznają pierwszeństwo) téj nauki, nazwanéj przezeń Cinematyką, a rozwiniętéj istotnie pracami późniejszych badaczów.

Pracom Wrońskiego był również poświęcony *pierwszy konkurs* ogłoszony przez Towarzystwo. Wyznaczyło ono na posiedzeniu dnia 2 kwietnia 1870 roku ze swych funduszów 1000 franków nagrody za pracę na temat: „krytyczne i umiejętne dzieł matematycznych Hoëne-Wrońskiego najprostsze i najściślejsze ocenienie,“ z terminem na dzień 12 lutego 1873 roku. W programie konkursu, ogłoszonym w t. I „Pamiętnika,“ wyliczone są wszystkie dzieła ma tematyczne Wrońskiego, tak drukowane, jak i będące w rękopismie. Na powyższy temat przedstawiono jednę tylko pracę, którą towarzystwo znalazło „nieodpowiadającą zupełnie wymaganiom ścisłéj, umiejętnéj i gruntownéj krytyki, żądanéj przez zadanie konkursowe,“ o czém szczegółowe sprawozdanie zamieszczono w t. IV „Pamiętnika.“ Gdy już mowa o Wrońskim, zaznaczymy tu jeszcze, że p. Jan hr. Działyński nabył od panny Batyldy Conseillant, przybranéj córki i spadkobierczyni Wrońskiego, jego rękopisma, jako też dzieła ogłoszone drukiem, o czém znajdujemy wzmianki w przedmowach do t. VI i VIII „Pamiętników.“

Drugi konkurs, już bibliograficzny, ogłosiło towarzystwo dnia 4 grudnia 1873 roku, mianowicie: ,,najzupełniejszy, najlepiéj ułożony i, przynajmniéj co do wcześniejszych publikacyj, krytycznemi uwagami opatrzony spis dzieł, bądź drukiem, bądź litografią w języku polskim ogłoszonych, jako téż artykułów w różnych pismach zbiorowo lub pojedynczo publikowanych z działu matematyki i fizyki, oraz ich zastosowań.“ Nagroda, preznaczona przez prezesa, wynosi 1000 franków; termin 1 stycznia 1877 roku; program ogłoszony w tomie IV „Pamiętnika.“

Można o tych konkursach powiedzieć, że tematy ich nie były trafnie wybrane: oba one wymagały drobiazgowéj, żmudnéj roboty, oraz szczególnych warunków co do posiadania materyałów pod ręką. Czyżby nie było właściwiéj, stawić wprost jakąś kwestyą specyalną do rozwiązania, jak to robią inne podobne instytucye, lub téż, ze względu na nasze dotąd tak skromne naukowe siły, oraz w celu zainteresowania szerszego koła, opracowania jakiego praktycznego w użyciu szkolném podręcznika, albo przystępnego i systematycznego wykładu jakowegoś działu matematyki wyższéj? Kto z pracujących w ten lub inny sposób, lecz produkcyjnie, na polu naukowém matematyczném u nas, może dostać i mieć dosyć czasu na wertowanie foliałów i manuskryptów Wrońskiogo? Kto zechce odbywać wędrówki po bibliotekach, odszukiwać, okurzać i wczytywać się w rzeczy, z których żadnego nieomal pożytku nie odniesie i robić krytyczne (!?) uwagi o „rozwiązywaniu równań wszech stopni“ Adryana Krzyżanowskiego, lub o niedawno wyszłém dziele o kwadraturze koła?

Wypada jeszcze zaznaczyć, że poczynając od t. VI, pojawiają się w Pamiętnikach materyały do słownictwa polskięgo.

Pamiętniki te wychodzą w formacie in 4-o, na pięknym papierze i są wydawane z wielkim przepychem typograficznym. Należy jednak zauważyć zbytnią widocznie pośpieszność w robieniu korekty. Np. w tomie III, dwa razy, raz na str. 213, drugi raz na str. 350, wydrukowano: koniec tomu trzeciego; w tomie IV, sprawozdanie z konkursu Wrońskiego nosi nagłówek: program do konkursu; spis rzeczy tomu VIII podano błędny. Prócz tego tak zwana ostatnia rewizya drukarska jest często niedbałą (np. t. VII, rozprawa 7, str. 21). Nadto w pierwszych trzech tomach paginacya jest ciągła, we wszystkich zaś następnych oddzielna w każdéj rozprawie. Ten ostatni sposób liczbowania nie odpowiada powadze „Pamiętników Towarzystwa“: wzgląd na odbitki, dawane autorom, powinien ustąpić w obec potrzeby przestrzegania należytego porządku w każ-

dym tomie, oraz krótkości w razie cytowania. Pisownię we wszystkich rozprawach redakcya zachowuje jednostajną, choć na niektóre przyjęte przez nią zasady trudno się godzić niekiedy.

W przedmowach do paru tomów, redakcya „Pamiętnika“ kładzie nacisk na rozwijającą się działalność, co się ma wyrażać w tém, że tomy wydawnictwa szybko po sobie wychodzą z druku. Nam by się zdało, że właściwém byłoby bliższe określenie znaczenia „Pamiętnika,“ że większy należałoby robić wybór co do jakości prac drukowanych. I czyby nie lepiéj było, ażeby zamiast puszczania w świat dwóch tomów w ciągu jednego roku, wydawać tylko jeden na rok, a choćby jeden tom na dwa lata, ale już swobodny od balastu prac, nic nowego do nauki nie wnoszących, lub téż od obliczeń mechanicznych, choćby nawet wielce mozolnych, lecz zgoła niepotrzebnie niektóre prace obciążających.

Mimo to w „Pamiętnikach“ ogłoszono, jakeśmy widzieli, wiele-stosunkowo nawet bardzo wiele cennych prac z różnych gałęzi nauk ścisłych. Prawdopodobnie niejedno z tych badań zostało zreferowane widocznie w widoku pomieszczenia w „Pamiętnikach:“ inaczéj możeby pozostało nieopracowane, lub przeszło bez śladu. Za to już samo wielka wdzięczność należy się towarzystwu. Nie bez wpływu nadto jest jego działalność na ogólne ożywienie ruchu naukowego w téj nielicznéj jeszcze u nas garstce ludzi, znajdujących zamiłonie w istotnie naukowéj pracy na polu nauk ścisłych. Sądzimy, że ludzie, którzy powołali do życia to towarzystwo i którzy je pomocą naukową lub materyalną podtrzymują, znajdują całkiem dla siebie wystarczające zadowolenie w samém jasném pojmowaniu znaczenia i wartości takich usiłowań, choć im nie towarzyszą przyklaskiwania ogółu, ani szumne niekiedy słowa pochwały,—na tém téż polega ich prawdziwa zasługa. Jeszcze dotąd otoczenie u nas ludzi naukowych nie ma zmysłu do odczuwania wartości ich pracy. Sądzimy daléj, że tak czcigodny prezes, jak i wszyscy członkowie towarzystwa, oraz jego współpracownicy nie ustawać będą w swojéj poważnéj działalności, pojmując dobrze poczciwą myśl naszego poety filozofa z Czarnolesia:

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.

KRYTYKA.

1) Władza i układ państwa. — 2) Zarysy polityki i porównawczego prawa konstytucyi przez Dr. I. B. Oczapowskiego, ocenił Dr. A. Rembowski.

Literatura krajowa może powitać w pracy profesora Oczapowskiego, dość rzadkiego gościa, niewątpliwie bowiem samodzielne studya w dziedzinie nauk państwowych, noszą aż dotąd niezaprzeczalne znamię wyjątkowości. Nie możemy szczegółowo wykazywać niedostatku jaki w tym dziale nauk panuje w literaturze naszéj; dość jednak bliżéj się rozejrzéć, żeby dostrzedz, iż to pole umysłowéj pracy stoi odłogiem, a szczupły zastęp pracowników nie może sprostać zadaniu.

Najdotkliwszy jednak punkt, któremu przedewszystkiem zaradzić należało, stanowiły podręczniki naukowe dla młodzieży uniwersyteckiéj. Doniosłość ich jest rzeczywiście niezmierną, nie tylko bowiem iż zaznajamiają z elementami pewnéj nauki, lecz jeśli są zdolną skreślone ręką, zaszczepiają zamiłowanie dla tejże nauki i uczą myśléć o traktowanym przedmiocie. Za ich pośrednictwem gromadzi się wiedzę, przyswaja naukę, zrasta się z nią i nabywa chęci do jéj doskonalenia.

Nie dziwimy się téż wcale iż od pewnego czasu prace tego rodzaju zyskały u nas pierwszeństwo przed monograficznemi studyami, gdyż podwójny urok przynęcał do nich. Rozjaśnienie przedmiotu a nawet nowe zdobycze naukowe dawały się pogodzić z oddziaływaniem bezpośredniém na młodzież, tak iż można było jednocześnie sięgać po dwoistą zasługę: uczonego i obywatela. Nauki społeczne doczekały się w ostatnich latach dwóch podręcz-

ników opracowanych przez profesora Bilińskiego (1), w sferze jednak polityki i prawa państwowego, profes. Oczapowski stawił o ile nam wiadomo, pierwszy krok samodzielny, za który mu się wdzięczność ogółu należy. Istnieje wprawdzie w literaturze naszéj tłómaczenie encyklopedyi nauk politycznych Roberta Mohla (profes. Białecki), gdzie w pierwszym tomie znaleźć można stosunkowo dość obszerny wykład prawa państwowego, lecz nie sądzimy aby obecnie mógł wykład ten uchodzić za zupełnie wystarczający, jakkolwiek nie myślimy lekceważyć dzieła pierwszorzędnego statysty Niemiec. Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, iż R. Mohl uzupełnił swoją pracę w powtórném wydaniu które nie jest przyswojone naszéj literaturze. Następnie zaś iż wydanie tłómaczone nie mogło uwzględnić konstytucyi austryackiéj z 1867 r. Konstytucyi Związku północnego Niemieckiego z 1867 r. Konstytucyi państwa Niemieckiego z 1871 r. najnowszéj konstytucyi francuskiéj i modyfikacyi jakich doznała konstytucya związkowa Szwajcaryi. Niektóre kwestye jak np, stosunek prawa państwowego do administracyi, zostały od tego czasu przez naukę dokładniéj rozwinięte. W podręcznikach uwzględniają dziś więcéj wykład prawa państwowego obowiązującego, a mniéj pokładają zaufania w ogólnych wywodach. Zresztą od niektórych poglądów mógł autor przynajmniéj w części odstąpić w następném wydaniu, tak iż obecnie praca powyższa nie mogłaby spełniać swego zadania tak jak to czyniła prawie przez lat dziesiątek, będąc doskonałym przewodnikiem uniwersyteckiéj młodzieży. Nareszcie i to zauważyć wypada, że dzieło R. Mohla nie mogło dać wielu rzeczy niezbędnych dla podręcznika przeznaczonego dla naszéj młodzieży. Przeszłość bowiem państwowa naszego kraju zupełnie została pominiętą (2). Nietylko nie masz wzmianki o konstytucyi dawnéj Rzpltéj, konstytucyi księstwa Warszawskiego, Królestwa kongresowego, o Statucie organicznym; lecz cała literatura polityczna z wieków ubiegłych była temu dziełu obcą i nie zaszczycono jéj żadną wzmianką. Te niedostatki winien był usunąć autor obznajomiony z dziejami i literaturą krajową, przez to praca jego zyskałaby nowy powab, a nauce Prawa państwowego przybyłby pewien charakter swojskości. Nauka powyższa nie wydawałaby się tak oderwaną od stosunków i potrzeb miejscowych, lecz

---

(1) Wykład ekonomii społecznéj 2 tomy, Lwów 187¾ i system nauki skarbowéj t. I, Lwów 1876 r.

(2) Tylko w specyalnéj monografii o odpowiedzialności ministrów R. Mohl uwzględnił naszą konstytucyę z 1791 r.

stałaby się nieodzownem źródłem krytycznego poznania własnych dziejów.

Dzieło profesora Oczapowskiego, któremu bliżéj uwagę poświęcić zamierzamy, miało zatém do spełnienia liczne i ważne zadania. — Doświadczenie autora, jego sumienność w pracy i znakomita erudycya objawiająca się w poprzednich rozprawach, dawały znaczną gwarancyę powodzenia i powinny były obudzić interes dla jego dzieła wśród inteligentnéj publiczności.

We wstępie którego pierwszy rozdział nosi tytuł „Władza i władztwo państwa nowożytnego“ spotykamy się z określeniem państwa, lecz razi nas cokolwiek brak wykazania, czém jest nauka prawa państwowego, co stanowi jéj przedmiot badania i czém się różni od polityki, prawa administracyjnego, międzynarodowego i t. d. Autor każe nam szukać rozwiązania tych pytań w środku swéj książki, gdy tymczasem sądzilibyśmy, iż winny być rozstrzygniętémi nawet przed określeniem państwa, na samém czele dzieła, obznajmiając ucznia przedewszystkiem z zadaniem i zakresem nauki do któréj przystępuje. Może byśmy nie uważali tego za stronę ujemną, gdyby nie charakter pedagogiczny książki którą rozbieramy i krytykujemy jako podręcznik naukowy, do czego o ile zrozumieliśmy, sam autor we wstępie nas upoważnił. Podajemy teraz określenie państwa (str. 2) w dosłownem brzmieniu, gdyż nasuwa nam pewne wątpliwości. „Państwo, (podług autora) stanowi związek trwały i jednolity, „ludu“ i „rządu“ czyli władców i podwładnych pewnéj społeczności narodowéj lub wieloplemiennéj osiadłéj t. j. dzierżącéj udzielnie w swém posiadaniu pewien kraj urządzony jednolicie, jako jestestwo świadome spólnych założeń, czyli jako jestestwo zdolne do woli i działania zbiorowego i zgodnego pod osłoną siły zbiorowéj.“ W następnych wierszach profes. Oczapowski zastrzega iż poprzednie określenie nie było bynajmniéj pojęciem państwa, lecz tylko orzeczeniem słownem (Nominalerklärung des Staates), bez zamiaru apriorystycznego wywodu i rozumowania. Pomimo zastrzeżenia szan. autora, musimy jednak orzeczenie powyższe uważać za pojęcie państwa a to z następujących powodów. Najprzód określenia wyraźniejszego, w którémby autor samodzielniéj myśl swą wypowiedział, nie spotykamy w jego pracy, a nareszcie w książce będącéj od początku do końca, studyum nad państwem, musi się znajdować pojęcie badanego przedmiotu. Powtóre, między orzeczeniem słownem a pojęciem jest chyba bardzo subtelna różnica, którą my pozwalamy sobie w ten sposób tłómaczyć, iż orzeczenie słowne jest pojęciem wyrażonem więcéj opisowo i objaśniającém ważniejsze i mniéj ważne znamiona; gdy tymczasem pojęcie jakie spotykamy

w stanowczych definicyach, jest zwykle więcéj dogmatycznem i ogranicza się na najistotniejszych cechach. W drugim wypadku, jasność i treściwość niezmiernie zyskują, lecz właśnie zachodzi cała trudność wyczerpania istoty przedmiotu w kilku wybitnych znamionach, a trudności téj nie lekceważyli Rzymianie zwąc definiowanie rzeczą niebezpieczną (definitio, res periculosa).

Otóż uznając przeszkody jakie określenie podobne mogło nasunąć szanown. autorowi, mamy mu jednak do zarzucenia, iż orzeczenie słowne państwa jakie podał jest za długie, a tém samém rozprasza uwagę. Prócz tego na wyrażenie początkowe „Państwo stanowi związek trwały i jednolity „ludu“ i „rządu“ czyli władców i podwładnych“ zgodzić się nie możemy z tego powodu, iż w podobném pojęciu lud i rząd występują jako dwa samoistne czynniki stale z sobą złączone, gdy tymczasem my państwo uważamy za polityczną organizacyą ludu, w naturze któréj leży istnienie ludu i rządu, lecz rząd wypływa z ludu nie będąc bynajmniéj odrębną od niego częścią.

Tak samo wyrażenie „społeczność narodowa“ nasuwa nam jako termin naukowy pewne wątpliwości. Jeśli bowiem oznacza narodowość, w takim razie kilka społeczności znajdować się może w jednén państwie, a jeśli autor chciał tego wyrażenia użyć na oznaczenie ludu (Volk) to winien był obznajomić nas bliżéj ze swoją terminologią. Przeglądając na str. 12 warunki nieodzowne dla każdego związku politycznego, które tak stanowczo wpływają na pojęcie państwa, żałujemy iż szan. autor nie przyjął definicyi państwa Bluntschlego, powtórzonéj dosłownie w jego piątém wydaniu podręcznika prawa państwowego (1) „der Staat ist die politisch organisirte Volksperson eines bestimten Landes.“—Treściwość bowiem, jasność a przytém zawarcie najistotniejszych cech odznaczały powyższą definicyę.

Jeżeli jednak orzeczeniu słownemu państwa mieliśmy coś do zarzucenia, to inaczéj się rzecz ma z badaniami autora nad istotą władzy państwowéj. Cały ten ustęp ma zdaniem naszém znaczną wartość i podaje wiele cennych uwag. Spostrzeżenia p. Oczapowskiego, iż władza państwowa nie jest ślepą siłą, lecz raczéj podług Grocjusza „facultas moralis civitatem gubernandi“ i że zarazem nie jest przemocą ani wszechmocą, przekonywają stanowczo. Tak samo wykazywanie istotnych cech i przeznaczenia władzy państwowéj zadawalnia zupełnie, a na ostateczny rezultat do jakiego autor

---

(1) Staatsrecht T. I, str. 124.

dochodzi t. j, że „dzisiejsze państwo nowożytne prawowite swe władztwo zwierzchnie opiera na współdziałaniu w obrębie ustawy czynnika obywatelskiego „samorządnego“, i „państwowego“ — można się pisać w zupełności. Jedno tylko wyrażenie w całym tym ustępie pozwolilibyśmy sobie zakwestyonować, a tém jest zaliczenie Bodin'a do statystów popierających stanowczo władzę państwową absolutną, dążącą do nieokiełznanego panowania nad światem.

Na tak skrócone postępowanie (które się kilkakrotnie powtarza) z jednym z pierwszorzędnych statystów i na takie przedzierżgnięcie go w apostoła absolutnéj władzy, nie moglibyśmy się zgodzić w zupełności. Właściwość tę możnaby przypisać przedstawicielowi innéj rasy niż romańska a mianowicie Hobbesowi.

Bodin doczekał się wprawdzie dość sprzecznych sądów, przyczyna czego zdaje się leżeć w sposobie napisania dzieła „o rzeczypospolitéj“ ale w każdym razie nie ma w jego utworze tak rażących kontrastów jak u Machiavella, i nie czepiając się szczegółów a przedewszystkiem nie tłómacząc ich rabulistycznie, można dojść do wykończonego poglądu na jego pracę.

Bodin należał jeszcze do statystów, którzy w historyi upatrywali najważniejszą mistrzynię polityki. Metafizyczne poglądy nie mogły go natchnąć zaufaniem, zmysł jego przeważnie prawniczy śledził życie państwowe w pomnikach prawodawczych i w praktyczném ich oddziaływaniu na społeczeństwo. Traktat jego „o rzeczypospolitéj“ jest téż prawdziwą kopalnią wiadomości historycznych. Każda zasada poparta licznémi cytatami z konstytucyi różnych państw, a czytelnik może być słusznie zadziwiony jego znajomością prawa państwowego polskiego, w którym to przedmiocie służył mu za nauczyciela kanclerz Jan Zamojski (1). Bodin nie posiadał jednak umysłu tak filozoficznego aby z olbrzymiego materyału jaki zebrał mógł stworzyć jednolitą całość. Pomniejszych spreczności znajduje się dużo, a przedewszystkiem oddziaływają na niego dwa wpływy. Pierwszym jest prawo państwowe francuskie, które nieraz bierze górę nad wywodem ogólno-historycznym i skłania go w stronę absolutnéj władzy. Drugi wpływ: jest to natura państwa wyłoniająca się z pośród ogólnych dziejów. W tym drugim razie, Bodin zapomina o Francyi, nie uważa jéj instytucyi za normę dla całego świata i wnika głębiéj w istotę prawa

---

(1) Mówiąc o elekcyach w Polsce „ut quidem Zamoscum nunc quidem Poloniae Cancellarium, tunc vero in Gallia legatum, mihi de interregno percontanti ec quis gubernacula teneret, narrantem audivi“ De republica libri sex wyd. 1636 r. Parisiis str. 719.

państwowego, nie będąc bynajmniéj zwolennikiem absolutnéj władzy. Że taka niekonsekwencya z samym sobą jest nawet w wysokim stopniu możliwą, mamy najlepszy przykład na Machiavella traktacie o księciu i objaśnieniach ksiąg T. Liviusza.— W Bodinie znaleźć ją także możemy lecz nie występuje w tak wyrazistych barwach.

W każdym razie mniemamy iż w samém poszanowaniu historyi leżała pewna gwarancya że Bodin nie należał do zdecydowanych zwolenników absolutnéj władzy. Historya bowiem skłania do umiarkowanego sądu i tylko spekulatywni politycy przerzucali się w krańcowości. Sąd też umiarkowany odznacza wszędzie Bodin'a, pewniki swoje gruntuje na praktycznych obserwacyach, na faktach historyi i nie popiéra ich tak jak Hobbes czysto logiczną argumentacyą. Sferę religii odłączył Bodin od wpływu władzy państwowéj, opiérając się na smutnych doświadczeniach Francyi. „Religionem imperare non possumus quia nemo cogitur ut credat invitus“ (1) powtarza piękne słowa Theodorika i tém przyznaje swobodę sumienia. Również nie tajnym mu jest wpływ poniżający niewoli i bez wahania się wykazuje jéj zgubne następstwa. Prawom prywatnym przyznaje samodzielność w obec władzy państwowéj, a o ile jest jest to ważném dość powiedzieć iż do praw prywatnych zalicza wotowanie podatków przez stany. Nawet w sferze prawa publicznego, nie przyznaje panującemu bezwzględnéj władzy lecz zaleca mu stosowanie się do zasad sprawiedliwości i praw naturalnych jakie wypływają z istoty państwa (2). O reprezentacyi pojęcia jego nie są zbyt jasne (3). Wprawdzie parlament angielski o którym często wspomina, pozyskał jego uznanie, lecz do ogólnych zasad pod tym względem nie doszedł i ograniczył się na wymaganiu reprezentacyi stanowéj dla Fiancyi złożonéj z sześciu stanów, z których pierwszy stanowi sam monarcha. Z ocenienia form państwa, które się znajduje w końcowych rozdziałach jego pracy, widać jasno że nie był bezwględnym zwolennikiem absolutnego monarchizmu, oraz że przyznawał wielkie zalety demokracyom, zwąc je lepszémi w teorytycznych zasadach „popularia quidem imperia principio gratiosa ac praeclara

---

(1) De republica libri sex wyd. 1636 str. 485.

(2) Tamże str. 640 porównywając skarb państwa z posagiem wypowiada zdanie iz „principi vero publicae dotis fructibus uti quidem licet, abuti non licet.“

(3) Myśli jego o reprezentacyi stanowéj znajdują się w wydaniu z roku 1591 przedstawia je dokładnie Bluntschli w Geschichte des allgem. Staatsrechts und der Politick str. 33.

videntur" (1). Zresztą krytyka jednozgódnie przyznaje Bodinowi że politykę spoił znowu z pojęciem prawa zapobiegając szkodliwym wpływom teoryi Machiavella, coby nie bardzo było możliwém, gdyby miał być zwolennikiem nieograniczonéj władzy państwowéj. Trudno też zrozumieć dla czego Bluntschli w najnowszém wydaniu prawa państwowego (2), upatruje w nim naukowego reprezentanta monarchizmu absolutnego we Francyi; albowiem w poprzednich pracach odmienego trzymał się poglądu, a nawet w swéj Historyi polityki i prawa państwowego rozbierając szczegółowo traktat Bodina (3) nie przypisywał mu bynajmniéj podobnych skłonności. —W następnym rozdziale autor rozbiera różne poglądy na władzę państwową, a uznając za właściwy pogląd tak zwany organiczny, przystępuje z kolei rzeczy do krytykowania teoryi upatrującéj we władzy państwowéj, przemoc fizyczną. Hobbes i Haller są uważani za reprezentantów téj nauki streszczającéj się w pewniku iż „państwo rozpoczyna się, skupia i kończy we władzy zwierzchniéj, która objawia się w przymusie t. j. w przewadze fizycznéj za pomocą któréj mocniejsi ujarzmiają słabszych" — w Bluntschlego podręczniku prawa państwowego (4) również spotykamy rozbieraną powyższą teoryę, lecz do zwolenników jéj bynajmniéj nie są zaliczeni, wzmiankowani statyści. Bluntschli przytacza jedynie charakterystyczne wyrażenie Brennusa, które może służyć za pierwowzór powyższéj teoryi. Wyrażenie to wzięte z Plutarcha brzmi jak następuje: „najstarsze ze wszystkich praw, które od Boga aż do ostatniego stworzenia sięga, oddaje silniejszemu władzę nad majątkiem słabszego"—zresztą Bluntschli zalicza Hobbesa do zwolenników teoryi umowy społecznéj (5) a Hallera nauką znamionuje nadanie prawu państwowemu charakteru prawa prywatnego.

Przyjrzyjmy się jednak bliżéj, czy można dwóch tych autorów zaliczyć do reprezentantów rzeczonego poglądu. Hobbes za przyczynę bezpośrednią wytwarzania się państwa uważa umowę jednostek, a pojmowanie powyższe widnieje nie tylko ze znanéj definicyi państwa (civitas ergo est persone una i t. d.) lecz i z innego miejsca w którém wyraźnie objawia „cum enim societas voluntario contrahatur, in omni societate quaritur voluntatis objectum,

---

(1) De republica libri sex. str. 703.

(2) Allgemeine Staatslehre 1875. T. I, str. 70 (wyd. 5.)

(3) Geschichte des allgemeinen Staatsrechts und der Politik, patrz art. Bodin.

(4) Allg. Staatslehre. T. I, str. 333 (wyd. 5.)

(5) Tamże, 335.

hoc est id quod videtur unicuique congredientium bonum sibi (1) (societas używa prawie wszędzie w znaczeniu państwa). Wprawdzie na postanowienie indywidualne wpływa znacznie strach podług teoryi Hobbes'a, po za jego państwem smutne czekają człowieka niespodzianki jak „imperium affectuum, bellum, metus, paupertas, foeditas, solitudo, barbaries ignorantia, feritas (2) lecz z tém wszystkiém słabszy nie zostaje zgnieciony przez mocniejszego, nie utraca całego mienia, nie jest tytułem przemocy fizycznéj zobowiązany do posłuszeństwa silniejszemu, lecz party koniecznościami natury dobrowolnie zgadza się na istnienie podobnéj władzy, z zastrzeżeniem iż mu zapewni salus, a przez to rozumie nie tylko conservatio vitae, securitas, vita beata, lecz i pewien zakres swobody. Pod tym względem nie pozostawia Hobbes żadnéj wątpliwości, wyrażając iż państwo nie istnieje dla tych co dzierżą władzę, tém bardziéj dla silniejszych, lecz dla wszystkich obywateli którzy się na jéj istnienie zgodziii: „civitas enim non sui, sed civium causa instituta est" (3).

Istnieje wprawdzie jeden powód, który mógł skłonić sz. profesora do zaliczenia teoryi Hobbesa do rzędu tych, co w przemocy fizycznéj upatrują źródło z którego władza państwowa bierze początek. Powodem tym jest olbrzymia, prawie nieograniczona doniosłość jaką Hobbes przypisuje władzy państwowéj, a która tym sposobem jest w stanie rozłączyć się z ideą prawa i stać się wyrazem fizycznéj przemocy. Są to jednak konsekwencye którym nielogiczności częste w jakie Hobbes popada, nadawać mogą pozornie odrębne znaczenie, w każdym razie przyczyną bezpośrednią powstania władzy państwowéj podług Hobbesa, jak sądzimy, jest wola jednostek i w saméj zasadzie nawet nie uważa Hobbes władzy państwowéj za przemoc bezwzględną, fizyczną, ale łączy ją z pojęciem prawa, jakkolwiek niedostatecznie i bez żadnych dla jednostek gwarancyi. To samo cośmy przytoczyli o Hobbesie odnosi się i do Hallera, którego bynajmniéj nie uważamy za reprezentanta wzmiankowanéj przez prof. Oczapowskiego teoryi. We wstępie samym restaurator nauk politycznych zapowiada wprawdzie iż poprzysiągł zburzyć bałwochalcze ofiary składane teoryi kontraktu społecznego (4) a na to miejsce chce ugruntować porządek natury

---

(1) De cive wyd. 1668, str. 3.
(2) Tamże, str. 63.
(3) De cive, str. 91.
(4) Restauration der Staats-Wissenschaft. I. T. (1820) wstęp. XXVI.

oparty na „prawie mocniejszego,“ lecz już w tymże samym wstępie składa stanowcze objaśnienie swego poglądu i wątpimy czy takowy da się nazwać przemocą fizyczną. Rozwijając myśl przewodnią Haller, ucieka się do swego rodzaju biblijnéj powagi Arystotelesa cytując jego słowa „wykształcony, przewagą swego geniuszu panuje nad barbarzyńcem.“ Oto zdanie mędrca Hellady, które ma służyć za kamień węgielny dla poglądów Hallera. Siła cywilizacyi nie siła fizyczna jest podstawą porządku natury i myśl powyższa jest późniéj rozwinięta z nużącą drobiazgowością. „Prawo mocniejszego!“ jak to zaraz we wstępie jest objaśnioném, nie ma bynajmniéj być bezprawiem lub przemocą, lecz prawem w calém znaczeniu tego słowa (1); tym sposobem więc pierwsze kartki owego dzieła, każą nam już wątpić o przemocy fizycznéj przypisywanéj Hallerowi z powodu jego „prawa mocniejszego.“ Przyjrzyjmy się jednak bliżéj co Haller rozumie przez owo prawo mocniejszego i czy rzeczywiście wydaje się ono tak groźném w swoich następstwach.

Zastanawiając się nad ustrojem społeczeństwa, dochodzi wzmiankowany statysta do przekonania że natura rozdzielając nierówno zdolności, siły i pragnienia, stworzyła tém samém potrzebę zwierzchnictwa i zależności, swobody i służebnictwa. Człowiek zależy od człowieka, lecz czémże jest w rzeczywistości ta zależność? Spojrzyjmy na przykłady.—Dziecko, ubogi, chory, nieoświecony czyż nię są zależnymi o tyle o ile sięga ich potrzeba? Od króla do żebraka, każdy ma cóś do rozkazywania i panuje nad czémś (2). W wywodach tych które są za dlugiémi abyśmy je w całości przytaczć mieli, Haller niezaprzeczony wpływ inteligentnych klas na nieoświecone uważa za władzę, lecz niestosowność wyrażenia nie może łudzić co do rzeczywistości. Jest to tylko wpływ zmienny, o ile potrzeba istnieje, lecz nie żadna przemoc wytwarzająca stałe prawa dla jednéj strony a stałą zależność dla drugiéj. Wpływ ten objawiający się w rozkazywaniu i posłuszeństwie jak sam Haller twierdzi (3) jest wzajemny t. j. że jedna osoba łączy oba te przymioty będąc jednocześnie panem i poddanym. Zresztą cóż za stosunek wytrwarza się między mocniejszym i słabszym. Otóż, ponieważ słabszy otrzymuje od silniejszego to czego mu brak i o tyle mu ulega, zatém wytwarza się między

(1) Tamże, t. I. Wstęp XLVII..
(2) Tamże, t. I, str. 356.
(3) Tamże, t, I, str. 364.

nimi stosunek przyjaźni, ich obcowanie jest „ein liebreicher Austausch wechselseitiger Wohlthaten" (1) a zależność „keine gezwungene, keine absolute Unterwerfung" (2).

Wszelka władza absolutna, uwalniająca się od obowiązków jest właśnie przeciwną naturze (3) jak to Haller wypowiada bez żadnych ogródek, a zdania przypisywane Brennusowi, Hannibalowi, Attili nie mają dla niego żadnéj racyi bytu, i stanowczy bierze rozbrat z dewizą teoryi przemocy „pro foedere, proque justitia est ensis." W rzeczy saméj chodzi Hallerowi o to aby prawa zwierzchnictwa, które podług teoryi umowy społecznéj wypływają z ludu i przez ten lud są przelewanémi, uważać za prawa prywatne monarchizmu ale zawsze za prawo (4); i dla tego też nie dzielimy zdania sz. profesora, aby z długich i nużących wywodów Hallera dała się wysnuć teorya przemocy fizycznéj.

Następny rozdział pod tytułem: „Wszechwładztwo państwa i władza nieograniczona romańska" jakkolwiek bogaty w gruntowne uwagi które najzupełniéj uznajemy, jest jednak zdaniem naszém w nie bardzo odpowiedniém miejscu. Szanowny Autor rozbiera bowiem różne poglądy na wytworzenie się władzy państwowéj. Rozumiemy więc iż mieści się teorya wywodząca tęż władzę z przemocy fizycznéj, z umowy, z nieodzownéj potrzeby dopełnienia interesów indywidualnych, z woli i pośredniéj lub bezpośredniéj interwencyi Boskiéj, wreszcie dla przekształcenia praw ekonomicznych i zabezpieczenia społeczności środków do życia. Lecz wszechwladztwo jest tylko przymiotem władzy państwowéj, nie objaśniającym bynajmniéj sposobu jéj powstania, pozostaje więc kwestya kardynalna nie rozstrzygniętą, nie wiadomo bowiem czy ta wszechmocna władza, wytwarza się przemocą, umową, organicznie i dla tego też zdaniem naszém na podstawie jednéj właściwości nie da się osnuć odmiennéj teoryi. Do zwolenników powyższego poglądu zalicza profesor Oczapowski tegoż Hallera oraz Rousseau i Hobbesa, którzy późniéj znowu jako zwolennicy teoryi umownéj figurują, co właśnie stało się tym sposobem iż właściwość czyli przymiot władzy państwowéj został indentyfikowany ze sposobem jéj powstania, wzmiankowani statyści mogli zatém wygodnie w obu razach figurować.

---

(1) Tamże, t. I, str. 376

(2) Tamże, t. I, str. 375.

(3) Tamże, t. I, str. 384.

(4) Tamże, t. I, str. 338.

Rozbiór poglądu indywidualistowskiego uważamy za bardzo trafny. Wszystkie ciemne strony są umiejętnie odkryte, a zasady główne polityczne „right to ignore the state“ i zasady moralności „kochaj siebie nadewszystko, a Boga i bliźniego dla siebie samego“ gruntownie skrytykowane.

Następnemu jednak ustępowi p. t. pogląd umowno-socyalistowski, mamy niektóre rzeczy do zarzucenia. Tak np. zdefiniowanie zasad téjże szkoły, wydaje nam się niejasném i otwarcie wyznajemy, iż z powyższego określenia nie możemy dojść do myśli sz. autora. Cytujemy niniejszy ustęp, gdyż może być iż niezrozumienie jego jest winą krytyka nie zaś samego autora, a nie chcielibyśmy w żadnym razie uledz zarzutowi jakiegośkolwiek uprzedzenia. Brzmi on jak następuje „pogląd umowno-socyalistowski, albo zapatrywanie na zwierzchnią władzę politycznego socyalizmu jest przeciwstawieniem i odskokiem oschłych, poziomo-powszednich i w rezultatach swych dla praktycznego i społecznego zarazem dzieła ustawodawstwa i zarządu, które dla ekonomistów stanowią rzemiosła ochrończe, odrębne, ujemnych widzeń szkoły indywidualistów“. Wykazanie ujemnych stron tego poglądu, a mianowicie iż pozbawia zmysłu historycznego, znosi swobodę indywidualną i samorząd gmin, odznacza się dokładnością i trafnémi uwagami.

Jeszcze jedén zarzut pozwolilibyśmy sobie postawić powyższemu artykułowi, mianowicie iż zbyt wiele poświęca miejsca J. J. Rousseau, a pomija prawie zupełnie innych reprezentantów téjże szkoły. Przytém sądzilibyśmy iż mówiąc o poglądach socyalistycznych, należałoby rozróżnić dwa główne odcienia i wykazać ich różnice. Jeden jest przeważnie spekulatywno-polityczny, który z naturalnego układu społeczeństwa chce wywnioskować prawo państwowe. Drugi więcej ekonomiczno-polityczny, dowodzący, iż państwo jest dla przekształcenia praw ekonomicznych i zapobiegania wytwarzaniu się proletaryatu. W pierwszej szkole przeważną rolę odegrywa filozofia i państwo przedstawia się jako abstrakcyjno-logiczna budowa, w drugiéj zaś ekonomia polityczna występuje na pierwszy plan i państwo ukazuje się jako podrzędna instytucya, mająca usunąć niedogodności płynące z swobodnéj pracy, kapitału i własności.

Rozdział o poglądzie klerokratycznym jest bardzo starannie napisany. Pr. Oczapowski odróżnia teokracye pośrednie od bezpośrednich i tylko pierwszémi się zajmuje. Rezultat jego badań streszczający się w maxymie: „Kościół ma władzę moralną, nie polityczną,“ jest zupełnie zadawalający, a przedstawienie literatury no-

wożytnéj bardzo bogate. Żałujemy tylko, iż autor nie dołączył choćby najważniejszych pisarzy kościoła z przeszłości, np. św. Tomasza z Akwinu przez co uzupełniłby swą pracę i dał możność śledzenia rozwoju téj teoryi.

Rozdział traktujący o poglądzie psychologiczno - dziejowym odznacza się tymi samymi przymiotami co poprzedni. Autor będąc sam jego wyznawcą, odpiera zwycięsko pojęcia uważające państwo za osobę prawną i za sztuczny mechanizm. Zdaje nam się jednak, iż wyliczając zwolenników bezwiednych téj teoryi, jak np. Burkego, można było nie pomijać Frycza Modrzewskiego, który ją wyznawał z całą świadomością. Krytykując Bluntschlego porównania organizmu ludzkiego z państwowym, do których się uczony niemiecki jeszcze dziś przyznaje, można było nadmienić, iż w poglądzie tym nie było nic oryginalnego, i że Januszewski na początku 17 w. (1) te same porównania jak najdetaliczniéj przeprowadzał.

Skończywszy rozbiór teoryi o powstawaniu władzy państwowéj, pr. Oczapowski przystępuje do „Pojęcia nauki układu państwa.“—O ile wnosić możemy z definicyi i z tego co autor na str. 107 powiedział, to układem nazywa konstytucyą, nauka więc układu państwowego będzie tém samém nauką konstytucyi, a prawo państwowe ma odtwarzać porównawczo ducha i formę różnych konstytucyi. Rozróżnienie to nauki układu od prawa państwowego nasuwa nam pewne wątpliwości. Istotnie zdaje nam się, iż zasadniczéj różnicy między témi naukami nie ma. W pojęciu naszém nauka układu jest częścią integralną prawa państwowego, gdyż konstytucya jest tylko zbiorem najważniejszych zasad przewodniczących prawu państwowemu, a nie tworem prawodawczym odrębnéj natury. Nierównie więcéj miejsca poświęca autor odróżnieniu prawa państwowego od polityki. Myśli Bluntschlego, Fröbla, Holtzendorfa, Gerstnera, Trentowskiego i innych, są krytykowane z gruntownością, lecz wykazywanie stron ujemnych licznych teoryi nie doprowadziło autora do jednolitego wypowiedzenia swéj myśli, tak iż z trudnością przychodzi śledzić wątek rozumowania i przedstawić go sobie dokładnie. Tak np. pr. Oczapowski, zdaje się podzielać określenie Bluntschlego, nazywającego politykę życiem państwa, a późniéj krytykując Gerstnera uważa, że polityka ma dążność ulepszania urządzeń istniejących. Jest więc wprawdzie wyczerpane pojęcie polityki, ale mieści się w uwagach rozstrzelonych,

---

(1) Patrz Wzór Rzeczypospolitéj przezemnie rozebrany w Niwie 1875.

które trzeba kombinować ze sobą. Nie zdaje się być także dostatecznie określona różnica między polityką a administracyą, nad którą się autor zastanawia mówiąc o Gerstnerze; jednak być bardzo może, iż znajduje się ona gdzieindziéj i przeoczyliśmy to miejsce, lecz wypadało ją postawić na miejscu główném w przeciwstawieniu teoryi Gerstnera. Nie możemy rozbierać wszystkich kwestyi, w jakie ten rozdział jest obfity. Wymieniamy tylko, iż scharakteryzowanie państwa prawnego (Rechtsstaat) i wykazanie różnic zachodzących między prawem państwowém i prywatném, należy do miejsc, starannie i zgruntowną znajomością przedmiotu opracowanych.

O jeden tylko szczegół musimy zaczepić sz. autora, a mianowicie, iż do publicystów policzył Frycza Modrzewskiego w takiém otoczeniu jak Prevost-Paradol, Klaczko, przeciwstawiając im myślicieli politycznych jak Eötvös, Tocqueville, Stein i t. p. Dwukrotnie już (1) próbowaliśmy udowodnić jak głębokim myślicielem był Frycz Modrzewski i jak wielkie znaczenle zajmuje w historyi nauk państwowych. Nie będziemy tutaj się powtarzali, nadmienimy tylko, iż kto dał jasne pojęcie państwa jako organizmu, kto przedstawił dokładnie system reprezentacyi państwowéj, i wówczas zrozumiał iż takowy oprzeć się musi na swobodnéj pracy i równości prawnéj, kto wreszcie szkołę uważał za instytucyę państwową, i w kwestyi kościoła, budżetu, armii, podał dużo myśli przodujących epoce, ten zdaje się ma prawo zwać się myślicielem i nie być mięszanym ze zdolnymi wprawdzie w swoim kierunku, lecz zawsze efemerydami politycznémi jak Prevost-Paradol i Klaczko.

Księga pierwsza nosząca tytuł „Żywioły i podstawy konstytucyi,“ rozpoczyna się od wykazania, iż cały spór o podział i stosunek nauk społecznych do politycznych jest tylko metodologiczno-dydaktycznym. Autor wyraża przekonanie, które podzielamy w zupełności, iż bez względu na podział, nie mogą umiejętności polityczne pomijać rezultatów już wyświetlonych przez szereg poszukiwań nad stosunkami społeczeństwa, i że bez znajomości społeczeństwa państwo pozostanie dla każdego zamkniętą księgą.

W następnym paragrafie jest rozbieraném państwo w przeciwstawieniu do społeczeństwa. Z nader trudnego zadania wywiązał się autor w szczęśliwy sposób, a wynik jego badań można

(1) Patrz mój rozbiór pracy dr-a Olendzkiego, Ekonomista 1874 i dziela prof Okolskiego o stosunku państwa do oświaty narodowéj (po rusku), 1875 r. Gazet Sądowa.

uważać za ostateczny rezultat spółczesnéj nauki. Nie będziemy przytaczali mnóstwa szczegółów i motywowań dość obszernych, powtórzymy tylko ostateczny pogląd pr. Oczapowskiego, aby uzupełnić charakterystykę jego pracy. „Państwo i społeczeństwo można określić jako dwie strony, pełnego życia i składu narodu politycznie urządzonego, z których jedna przedstawia ogół dążeń skupiających odśrodkowo jednostki około pewnego interesu z wyłączeniem innych zespoleń; druga zaś stanowi wspólność dośrodkowych dążeń tychże samych jednostek ożywionych wspólnym celem.“

Społeczeństwo wyrabia jednak pewne typowe formy, które układowi państwa nadają odmienną cechę. Do takich typowych form, które autor w następnych paragrafach rozbiera, należy porządek rodowy, stanowy, i nowożytny państwowy, zwany „powszechném obywatelstwem w politycznym ustroju.“

Jest to podział znany w niemieckiéj teoryi pod nazwą „Geschlechterordnung, Ständeordnung i Staatsbürgerlicheordnung,“ przyjęty już dziś przez naukę, a najtroskliwiéj i najkonsekwentniéj opracowany przez Steina w jego licznych pracach. Porządkowi rodowemu służy za podstawę związek krwi, który z rodziny przenosi się do organizacyi gminy i państwa, a tém samém nadaje charakter rodowy zarówno prawu prywatnemu jak i państwowemu. Mamy do zarzucenia szan. autorowi, iż znamion rodowych w organizacyi gminy i państwa nie wykazał ze zwykłą sobie starannością, i że w miejsce tego zajął się zbyt obszernie prawem państwowém polskiém zaliczając konstytucyą Rzeczypospolitéj do porządku rodowego. Co się tycze owych typowych form, to pozwolilibyśmy sobie zauważyć, iż w wynajdywaniu historycznych przykładów na ich poparcie trzeba być bardzo ostrożnym, a to z następujących powodów. Porządek rodowy, stanowy i t. d., są przedewszystkiém pojęciami naukowémi systematycznie opracowanémi, których historya nie przedstawia w takiém wykończeniu, jakby to uczynić były w stanie np. dzieła Steina. Konstytucya państwowa wytwarza się powoli, lecz nieustannie. Porządek rodowy nie kończy się w jednym roku, a w następnym nie rozpoczyna stanowy; lecz w tymże samym czasie, kiedy ustrój państwa w ogólności nosi cechy rodowe, już się objawiają ważne symptomata stanowe, przygotowujące powolną transformacyą. W historyi rozwoju można tylko ogólnie zaznaczyć powstanie jednéj epoki, a koniec poprzedniéj, zawsze jednak trzeba być prygotowanym na to, iż pewnéj konstytucyi nie będzie można stanowczo zaliczyć do pewnego porządku, gdyż będzie mieć znamiona innych i jedynie

przewaga znamion charakterystycznych może wpłynąć na nasze zdanie. Uwagi powyższe nasunęły nam się mimowolnie z powodu zaliczenia konstytucyi dawnéj Rzeczypospolitéj do porządku rodowego. Będą one nam potrzebnémi dla poparcia naszego twierdzenia, które jest odmiennem od poglądu sz. autora. Zdaniem naszém bowiem konstytucyą dawnéj Rzeczypospolitéj można zaliczyć tylko do porządku stanowego, jakkolwiek niezupełnie wykończonego. Nie godzimy się na to, aby w ustroju dawnym można było rozróżnić dwie tylko warstwy, to jest naród czyli szlachtę i lud jako karmiciela szlachty, oraz aby się nie dawały dostrzegać znamiona stanowe. Przedewszystkiém mieszczaństwo w obrębie gminy tworzyło zupełny stan w znaczeniu prawném. Sfera prawa prywatnego i w znacznéj części publicznego (prawo karne, prawo administracyjne) była odrębną i zastosowaną do interesów mieszczaństwa, a nawet w sferze prawa państwowego nie można twierdzić, iż w zupełności nie było odrębnym stanem. Udział ich w elekcyach, zrównanie niektórych miast w przywilejach ze szlachtą (cytujemy tu exempli modo. Kraków) i udział miast Pruskich w prawodawstwie stanowczo temu przeczą; jakkolwiek przyznajemy, że gwarancye prawne tego stanu nie były wystarczającémi i nie zabezpieczały przed nadużyciami szlachty. Co się tycze włościan, to zaznaczamy, iż prawie wszędzie (z wyjątkiem Szwecyi, Fryzyi, niektórych kantonów szwajcaryi) nie tworzyli stanu w znaczeniu prawném, zatém niedostatek powyższy naszéj konstytucyi nie był znowu wyjątkowym. Gmina wiejska zaś nosiła najwybitniejsze znamiona porządku stanowego, jak tego dowodzi glebae adscriptio nie pojawiająca się w porządku rodowym. Również w funkcyonowaniu sejmu można dostrzedz na każdym kroku oznaki stanowości i podobieństwo z innémi konstytucyami tegoż samego typu społecznego.

Nie sądzimy téż, aby w historyi przeskok tak gwałtowny, jak przejście z rodowego do nowopaństwowego porządku był możliwym. Konstytucyą z 1791 r. uważamy wprawdzie za ogromny postęp, lecz znamiona jakie się w niéj odkryć dają, przekonywają najlepiej iż jest przejściem z porządku stanowego albowiem ślady stanowości jeszcze w sobie zawiera.

Traktując o porządku stanowym, autor wykazuje, iż takowy opiera się głównie na powołaniu (Beruf) i na wspólnym interesie ekonomicznym jaki powołanie wywołuje. Co się jednak tycze różnic w ustroju gminnym i państwowym, to autor ogranicza się na twierdzeniu, iż porządek stanowy „wiele przedstawia powinowac-

twa i niemal tożsamości ze związkami politycznymi krajów średniowiecznych.“ Wspólném znamieniem jest nadanie prawu państwowemu charakteru prawa prywatnego. Podobny brak spotykamy i u Bluntschlego (1), który różnice porządku stanowego i nowopaństwowego przedstawił w drobiazgowéj tabliczce, a różnice między porządkiem rodowym i stanowym przedstawił tylko ogólnie. Rzeczywiście trudnoście są znaczne, lecz nie sądzimy, aby nie można było przyjść do pewnego rezultatu. Tak np. ustrój gminny przedstawia już odmienną doniosłość, a nawet formę w porządku stanowym. Przytém pomieszanie prawa państwowego z prywatném nie jest tak silném jak w porządku rodowym. Prawo państwowe nie jest już bowiem uważane za prawo prywatne w ścisłém znaczeniu, lecz za prawo stanowe; a w pojęciu stanu leży pewien duch publiczny i dla tego prawo stanowe uważalibyśmy za przejście do właściwego pojęcia, za krok postępu ku zrozumieniu istoty prawa państowego.

W artykule p. t.: „powszechne obywatelstwo w politycznym ustroju“ uważamy pierwsze stronice za zbyteczne. Również nie zgodzilibyśmy się z autorem na zdanie, iż „od 4 sierpnia 1789 r. nastał trzeci i nowy społeczeński porządek obywatelstwa powszechnego (Staatsbürgerliche Ordnung), w którym żyjemy dotychczas i t. d.“—Rzeczywiście data, którą podał sz. profesor, oznacza najwybitniejszy punkt epoki nowéj, w którym przychodzi do prawnego uznania we Francyi, a za jéj pośrednictwem rozpowszechnia się po stałym lądzie Europy. Nie idzie jednak zatém, aby zasady tegoż porządku nowo-państwowego, nie były już przedtem wyrobionémi w Anglii i aby równość prawna, oraz swobodna praca nie dobiły się tam uznania prawodawcy. Zdaniem naszém zasługa owego pamiętnego dnia we Francyi nie leży bynajmniéj w wynalezieniu nowych podstaw społecznych, lecz raczéj w świadomém przyznaniu potrzeb i rozpowszechnieniu ich po sąsiednich ziemiach. Na stałym lądzie miały zasady wyrażone w d. 4 sierpnia, powab nowości, lecz za takowe historya uznawać je winna tylko z pewnémi zastrzeżeniami.

Paragrafy następne p. t.: „Postacie państwa i władzy zwierzchniéj,“ oraz „rozdział i podział władzy“ zajmują się systemami kształtów państwowych Arystotelesa, Machiavella, Monteskjusza, oraz słynną teoryą Monteskjusza o podziale saméj władzy państwowéj

(1) Allgemeine Staatslehre T. I, str. 61. nadmieniamy jednak, iż w 5-ém wydaniu niedostatek powyższy usunięty został.

na prawodawczą, wykonawczą i sądową w celach przeciwwagi uskutecznionym. Zwłaszcza ten ostatni ustęp odznacza się rozumowaniem przekonywającém i jasném.

W rozdziale p. t.: „Władza urządzająca i polityczne urządzenia“ autor rozróżnia władzę urządzającą (pouvoir constituant) od władzy ustawodawczéj (pouvoir législatif), lecz na str. 181 znajdujemy tylko szczupły materyał historyczny i prawo państwowe obowiązujące nie jest dostatecznie uwzględnione. Zdaje nam się, iż w podręcznikach naukowych przedstawienie porównawcze obowiązującego prawodawstwa jest niezmiernie ważném, albowiem nie pozwala uczącemu się spoczywać w dziedzinie abstrakcyi, lecz zwraca jego uwagę przedewszystkiém na to co służyć ma za podstawę definicyom.

— W rozdziale p. t. „Uboczne zagadnienia“ autor rozbiera kwestye następujące: stronnictwa polityczne, rewolucye, postulata i hasła społeczno-polityczne jak narodowość, wolność. równość, wreszcie tak zwane układy mięszane i idealnie doskonałe. Przedewszystkiem uderza nas tytuł sam „uboczne zagadnienia“— Czyżby autor miał im przypisywać mniéjszą wagę niż innym?— W takim razie nie wiadomo, czy kwestya wolności indywidualnéj byłaby umieszczoną w odpowiedniém miejscu. Zresztą zestawienie stronnictw politycznych i rewolucyi, które należą wyłącznie do nauki polityki, z narodowością, równością i wolnością, które są zarazem pojęciami prawa państwowego, nie uważamy za właściwe,— końcowe uwagi o układach mięszanych i idealnie doskonałych uważalibyśmy za stosowne w rozdziale o postaciach państwa i władzy zwierzchniéj. Tyle co do zestawienia przedmiotów.— Same traktowanie poruszonych kwestyi z których każda ma swą literaturę, mogło być tylko bardzo pobieżném (4 kartki).— Autor chciał jedynie podać kardynalne znaczenie wzmiankowanych kwestyi, nie mogąc dla szczupłości miejsca bawić się w obszerne wywody.— Żałujemy jednak iż raz przedstawiając rzecz o stronnictwach politycznych, nie wykazał krótko zasadniczéj różnicy między stronnictwem a frakcyą. Obznajmiając nas z ważniejszémi rozprawami traktującémi o narodowości, mógł dać własną definicyę tejże narodowości, albowiem przytoczoną z Fröbla „narodowość jest to zbiór ludzi chcących zostać narodem“ trudno uważać za dostateczną.— W definicyi wzmiankowanéj niema wykazanéj przyczyny, która ową dążność spólną wytwarza między zbiorem ludzi, a bez wykazania przyczyn zawsze nie będziemy wiedzieli czém jest właściwie narodowość.— Również spotykamy się w tym artykule ze zdaniem (st. 185) iż „mylnie jest utrzymywać jakoby tak zwane

prawa człowieka uświęcone w roku 1789 usprawiedliwiały lub uświęcały wywrót i bunt“ na które zgodzićbyśmy się mogli tylko z pewnem zastrzeżeniem.— W zasadzie samej nie ulega wątpliwości, iż „prawa człowieka“ miały cel wprost przeciwny to jest: zaprowadzenie ładu i zachowanie swobody, ale wadą ich jest iż były więcej zdaniami filozoficznemi, aniżeli pojęciami prawnemi (1) i upoważniając do dedukcyi czysto logicznych, wywoływały teorye szkodliwe, oparte na krańcowych wywodach czerpanych z logiki a nie z natury państwa.

Rozdział p. t. „Obraz państwa i prawa terytorjalne“ zajmuje się wykazaniem różnicy jaka zachodzi między własnością w znaczeniu prawa prywatnego, a władzą zwierzchnią, jaką państwo posiada nad swoim obszarem. Za punkt wyjścia służy maxyma Seneki „ad reges potestas omnium pertinet, ad singulos proprietas.“

Ostatnim dwóm artykułom mielibyśmy to do zarzucenia, iż pierwszy z nich (prawa i obowiązki publiczne obywateli) oparł się prawie wyłącznie na ogólnych określeniach, a pominął porównawczy wykład prawa państwowego obowiązującego, który w tej kwestyi był bardzo ważnym. W artykule zaś o wojskowości, nie spotykamy żadnej wzmianki o literaturze naszej z ubiegłych wieków, która jest bogatą i winna być choćby pokrótce przedstawioną.

Skończyliśmy nareszcie przegląd pracy pr. Oczapowskiego, poruszywszy zaledwie małą część spornych kwestyi i przedstawiwszy tylko najważniejsze pojęcia z pominięciem mnóstwa ciekawych szczegółów.— W końcu niech nam będzie wolno rzucić okiem na całość i przedewszystkiem zwrócić uwagę na dwie kwestye to jest sposób traktowania przedmiotu i język, a to dla tego, iż wkrótce ukazać się mają części następne powyższej pracy, może więc sz. autor zechce choć w części uwzględnić niektóre z naszych spostrzeżeń.

Co się tycze traktowania przedmiotu przez pr. Oczapowskiego, to takowe uważamy za niezadowalniające i które przedewszystkiem do podręcznika naukowego się nie nadaje.— Książka która ma nauczyć i zachęcić do nauki, a zachęcić może tylko jasnośnią wykładu i ścisłym wywodem przyczyn i skutków, winna zdaniem naszem postawić na czele naukę przedmiotu, a wykazywanie wad różnych poglądów postawić na drugim planie. Najprzód musi być definicya autora, uzasadnienie tejże i wywód naukowy, jednem słowem

(*) Betrachtungen über die französische Revolution v. Burke (tłómaczenie Gentz'a) część III über die Deklaration der Rechte str. 266.

nauka traktowanego przedmiotu. Późniéj dopiéro część polemiczna musi być uwzględnioną t. j. wykazywanie kontrowersów lub zupełnie mylnych poglądów.— Pr. Oczapowski trzymał się innéj metody. Część polemiczna przeplata tak często dogmatyczną, iż rzeczywiście trzeba pewnego natężenia umysłu dla obznajmionego już z przedmiotem, aby oddzielić odmienne pierwiastki i przedstawić sobie całość poglądu autora. Zwracamy uwagę exempli modo na ustęp gdzie jest przeprowadzony rozdział między polityką a prawem państwowém, z resztą cała książka będzie mogła służyć za przykład.— Jeżeli jednak dla obznajmionego z przedmiotem ten rodzaj traktowania jest uciążliwym, cóż dopiéro mówić o poczynającym który chce się nauczyć, a uwaga ciągle się mąci krytyką sprzecznych poglądów i oddala go od głównego przedmiotu.

Drugą kwestyą bardzo ważną jest język, który pozostawia wiele do życzenia. Pragniemy na to zwrócić uwagę sz. profesora, gdyż życzylibyśmy szczerze, aby owoc tak sumiennéj pracy oddziałał na społeczeństwo, aby jednem słowem nauczył pragnących się uczyć, a język ku temu będzie ważną przeszkodą.— Uważaliśmy w ogóle, iż pr. Oczapowski używa za długich ustępów, które mogą być dobre w języku niemieckim, lecz są przeciwnemi naturze języka polskiego.— Przytém zrozumienie ich utrudnione tém, iż jest wiele zdań wtrąconych i na określenie przymiotu jakiejś rzeczy użyto kilku przymiotników.

Terminologia wymaga także pewnego ustalenia i pewnych wyjaśnień. Wprowadzenie wyrazów z dziedziny nauk przyrodzonych i filozofii winno być uzasadnionem. Tak np. fizyologia państwa, psychologia państwowa i t. p. wymagają objaśnień. Pomimo tego iż wiemy co znaczy fizyologia, psychologia i t. p. a to dla tego, iż mogą powstać wątpliwości co do doniosłości i zakresu podobnéj nauki oraz stosunku jéj do innych, a uczący się powinien mieć wszystko rozwiązaném i nie gubić się w domysłach.

Z powodów wyżéj przytoczonych, sądzimy, iż praca profesora Oczapowskiego, jako podręcznik naukowy ważnym ulega zarzutom, jako zaś studyum naukowe pozostanie cennym nabytkiem dla naszéj literatury.— Sumienna praca, gruntowna znajomość przedmiotu, bogactwo poruszonych i rozstrzyganych kwestyi, wreszcie ton spokojny i nieuprzedzający się zalecać będą powyższą książkę zamiłowanym w naukach państwowych, a odczytanie jéj będzie dla nich zawsze bardzo pouczającém.

A. *Rembowski.*

O budowie i życiu ciała społecznego, dzieło D-ra Alberta Schäffle'go.

(Bau nnd Leben des socialen Körpers Encyklopädischer Entwurf einer realen Anatomie, Physiologie und Psyhologie der menschlichen Gesellschaft. Von D-r Albert E. Fr. Schäffle Erster Band Allgemeiner Theil. Tübingen; 1875).

Socyologya wzbogaca się obecnie dwoma obszernémi dziełami, które mają na celu nie żaden szczególny objaw téj umiejętności, ale cały jéj obszar. Znakomity filozof angielski Herbert Spencer, wydaje zeszytami *Socyologyę opisową* (Descriptive Socyology), w któréj z wielką szczegółowością kreśli porównawczy obraz objawów społecznych w ich rozwoju dziejowym. Drugą pracą obszerną z tego zakresu wiedzy jest właśnie wyjaśnione w tytule dzieło. D-r Albert Schäffle, były minister handlu w federalistycznym gabinecie Hohenwartha, dobrze już znany z poprzednich swoich prac w dziedzinie ekonomicznéj i z badań nad istotą socyalizmu, podjął prawie w jednym czasie ze Spencerem myśl opracowania opisowéj socyologii; zrozumiał ją inaczéj jednak jak angielski filozof,

Przejęty myślą, która stała się zasadniczą w jego dziele, że ciało społeczne w budowie swéj i objawach życia jest podobném do organizmu osobnikowego, postanowił napisać anatomyą, fizyologią i psychologią ludzkiego społeczeństwa w sposob przeważnie opisowy. Mamy już przed sobą gruby tom (850 stronnic), który stanowi—podług autora—ogólną część. Druga część szczegółowa ma się zajmować budową i czynnością wielkich sytemów ustrojowych ciała społecznego, ewolucyę i inwolucyę społeczną, oraz zjawiskami ruchu ludnosci. Zamierzył więc autor — jak sam powiada — przeprowadzić analityczną przedwstępną do socyologii pracę, jaką w stosunku do biologii zajmują się: historya anatomia i fizyologia.

Lubo Schäffle nie zrywa zupełnie z metafizyką, a zwłaszcza jéj szkołą niemiecką, w badaniach jednak cywilnych idzię drogą wskazaną przez genialne — jak sam powiada — dzieło Augusta Comte'a. W poglądach swoich metafizycznych opiera się często na zdaniach Lotze'go, fizyologa-filozofa; głównie jednak jest zwolennikiem znakomitego autora „Historyi materyalizmu," Fryderyka Lange'go, systemat którego nazywa idealizmem mistycznym. Wreszcie zaznacza w tym względzie swoje stanowisko. Jest to—jak sam nazywa—*teizm idealny*. System ten—powiada autor—„nie ma zamiaru kierować wiedzą doświadczalną, ale i sam także nie chce być zależnym od bredni metafizycznych z zakresu wiedzy

przyrodniczéj; albowiem wiara i wiedza mają ściśle rozgraniczone pomiędzy sobą dziedziny i przedstawiają dwa zupełnie samodzielne i zarówno istotne dla ludzi zadania. Chodzi tylko o słuszne rozgraniczenie obu i o zupełne wykluczenie wszelkich dążności uświatowienia Boga z metafizyki, obrządków i etyki, jakie się utworzą w pozytywnych religiach; nastąpić to musi dlą tego, ażeby nie dający się zniweczyć popęd religijny ducha ludzkiego osiągnął istotną swą wartość, pozostając w zupełnéj harmonii z nietamowaną niczém wolnością nauki a pomimo to nieprzystępną dla jakiéjkolwiekbądź formy niewiary." (Str. 167). Jest to stanowisko — jak widzimy—podobne do tego, jakie zajął Spencer w dziele swojém: „Pierwsze Zasady."

Jak już powiedziałem, Schäffle w badaniach socyologicznych staje na gruncie pozytywnym. Nie widzi żadnego przeciwieństwa pomiędzy społeczeństwem a resztą przyrody, w pierwszém dostrzega tylko wyższą potęgę wszystkich zjawisk. Jedno pasmo życia snuje się w całym świecie. Ciało społeczne jest dalszą i doskonalszą formą rozwojową osobnika ludzkiego, który zajmuje najwyższy szczebel w szeregu tworów biologicznych; ztąd musi zachodzić tak pod względem fizyologicznym jak i psychologicznym podobieństwo pomiędzy budową i życiem człowieka a społeczności. Pod względem fizyologicznym, ciało roślinno-zwierzęce przedstawia społeczność komórek, które materya międzykomórkowa spaja; ciało społeczne jest naturalnym związkiem rodzin, połączonych z sobą pewnym ustrojem mienia. Tak w pierwszém jak drugiém komórki i międzykomórkowa materya rozwijają się w tkanki, te w narzędzia, narzędzia zaś w całość organizmu. Podobieństwo psychologii społecznéj i indywidualnéj jeszcze bardziéj jest widoczne. Społeczeństwo tak jak i człowiek czuje, poznaje, ma wolę. Przy dokładniejszém rozpatrywaniu się w czynnościach społecznych, spostrzegamy te same ogólne psychologiczne prawa, które w czynnościach duchowych człowieka widzimy. Tak np. Schäffle przytacza przykłady logarytmicznego stosunku pomiędzy wrażeniami i podnietami w społecznéj psychofizyce (str. 401), mówi o zjawisku tak zwanego poziomu świadomości w życiu duchowém społeczstwa (str. 403—406) i t. p. Mniema nawet, że niektóre psychologiczne stosunki uwidoczniają się dokładniéj w życiu społecznem aniżeli indywidualném; np. w ustroju społecznym obserwujemy z całą dokładnością stosunek, jaki zachodzi pomiędzy autorami i przewodnikami czucia i ruchu, czego w ustroju nerwowym indywidualnego organizmu zaden mikroskop nie jest w stanie wkazać.y

Schäffle nie zadawalnia się ogólnémi spostrzeżeniami co do podobieństwa, jakie się przedstawia pomiędzy orgnizmem indywidualnym a społecznym, ale wchodzi w bliższe szczegóły. Wywody jego nieraz są bardzo śmiałe, i trudno na nie zgodzić się bez wielkich zastrzeżeń; pomimo to wdzięczni mu jestesteśmy, że się odważył pójść tą drogą i oznaczył, jaką ma być w tym kierunku metoda porównawcza. Analogia wprawdzie sama przez się nie dostarcza przekonywających dowodów, ale naprowadza myśl na potrzebę szukania związku zjawisk pozornie najbardziéj różnorodnych i podnieca umysł do czynności uogólniającéj. Ciekawy w tym względzie jest ustęp o komórce.

Oddawna badawcza myśl dopatrzyła, że rodzina w społeczeństwie spełnia podobną czynność, jak komórka w ustrojowéj budowie istot żywych. Schäffle jednak tém się nie zadowolnił i, opierając się głównie na trzydziestoletnich pracach Karstena (1) co do komórki roślinnéj a Virchowa (Cellular-pathologie) co do zwierzęcéj, w szczegółowém zbliżeniu wykazuje, że odrodzenie się komórki i rodziny odbywa się tą samą koleją; że komórka przedstawia taki sam zamknięty ekonomiczny organizm jak i rodzina, i że wreszcie jedna i druga są podstawą odpowiedniego sobie życia. Komórka jak i rodzina jest żywiącą, produkującą i rozradzającą się jednostką. W zaspokajaniu swych potrzeb mają one tak wiele do siebie podobieństwa, że przy opisywaniu komórki przyrodniej pomimowoli nadają jéj charakter jakby świadoméj istoty. „Komórka—pisze Virchow—wprawdzie zależną jest od ilości i jakości materyału, który doprowadzają do niéj naczynia; ale w żaden sposób nie jest zmuszoną, brać wszystko to, co przypływa, i tyle, ile przypływa. Każda komórka ma zdolności wyboru (elective Fähigkeiten), za pomocą których pewnémi rzeczami pogardza (verschmäht), inne zaś przyjmuje i używa.“ Tenże autor rozróżnia w zwierzęco-organiczném przyswajaniu komórki trzy stadya gospodarczéj czynności: 1) przyswojenie materyału, zostającego in crudo, 2) ustalenie asymilowanéj materyi w miejscu zużycia

---

(1) Sprawozdanie z analogii, jaką upatruje Schäffle pomiędzy roślinno-zwierzęcą komórką i rodziną społeczną, przedstawiłem na jedném z posiedzeń Towarzystwa przyrodników polskich imienia Kopernika we Lwowie. Pomiędzy przyrodnikami analogia ta nie znalazła uznania. Zwłaszcza profesor botaniki D-r Ciesielski, powstał przeciwko szczegółowym wywodom Schäfflego co do kolejności pokoleń w komórce, ponieważ prace Karstena, na których się opiera niemiecki badacz, miały już zestarzéć i nie przedstawiają dzisiaj naukowéj wartości. Odrzuciwszy wszakże ten szczegół, zawsze jeszcze pozostaje wiele podobieństwa pomiędzy komórką i rodziną.

i 3) zakonserwowanie przyswojonego materyału; w ten sposób każda komórka ma właściwy sobie dochód, oraz stosownie umieszcza i zachowuje go w gospodarstwie. Jeżeli do tego dodamy czynność zużywania przyjętéj materyi przez komórkę, to mamy przed sobą w najprostszéj formie trzy procesy ekonomiczne: dochodowy, gospodarczy i spożywczy, które w każdém domowém czyli rodzinném gospodarstwie zpostrzegamy. Oba pomienione organiczne ustroje przedstawiają przytém pierwotną pracownię, w któréj odbywa się przetwarzanie surowych na więcéj skombinowane produkty. Komórkę więc jak i rodzinę można nazwać elementarnym wytwórczym organizmem. Funkcya rozrodna przedstawia jeszcze wybitniejszą cechę podobieństwa pomiędzy obu pierwiastkowemi organizmami, przez nie bowiem tylko rozradzają się i odnawiają tak ciało osobnikowe jak i społeczne. Wreszcie samo rozradzanie się i odnawianie komórki i rodziny wychodzi z ichże własnego łona. Analogia więc komórki i rodziny—jak widzimy—jest dostatecznie usprawiedliwioua

Idziemy razem z Schäffle'm dalszą drogą analogii.

Materya, odżywiająca komórki, zawiera się albo w jéj wnętrzu, materya wewnątrzkomórkowa (Intracellularsubstanz), albo w przestworach międzykomórkowych, materya międzykomórkowa (Intercellularsubstanz). W ciele społecznem, które składa się z rodzin, materyą odżywiającą jest *mienie,* majątek. Materyi wewnątrzkomórkowéj odpowiada — mienie rodzinne, materyi międzykomórkowéj — mienie ogólne czyli wspólne. Z rozwojem postępowym organizmów mienie ogólne wzrasta i urozmaica się.

Rodzinne mienie stanowi społeczno-fiziologiczną konieczność, lecz ogranicza się właściwie tylko tém, co koniecznie potrzebném jest do zaspokojenia specyficznych familijnych funkcyi. „Zgodnie więc z naturą rzeczy — powiada Schäffle — powszechne usunięcie mienia rodzinnego nie może być zadaniem społecznem; lecz wręcz przeciwnie należy dążyć do tego, ażeby wszyscy, a więc i proletaryat, posiadali rodzinne mienie, odpowiednie do potrzeb życia familijnego, z godnością ludzką dającego się pogodzić.“ (str. 216). W tém mieniu jednak, którem dzisiaj zwykle rozrządza rodzina, oprócz ściśle rodzinnego jest jeszcze i takie, które służy dla celów ogólno-produkcyjnych.

W dzisiejszym ustroju społecznym który nazywamy *kapitalistycznym*, rozróżnienia tego niema. Każda rodzina, zarabiając sobie na życie, wytwarza zasób, będący dalszą podstawą produkcyi. Niezawodnie, że egoistyczny rodzinny interes jest bardzo potężnym bodźcem jéj rozwoju; atoli ukształtowanie jéj odmienne nie jest

rzeczą niemożliwą. Jak w ustroju indywidualnym ogólne procesy trawienia, oddychania, krążenia krwi nie są od pojedyńczych komórek, ale od splotu nerwu sympatycznego zależne; tak i w organizmie społecznym mogą kierować ogólną produkcyą i jéj podziałem osobne ustanowione ku temu celowi centra (str. 248). Kapitalizm przedstawia wiele stron wadliwych. Bardzo ostrą jego krytykę podał jeszcze Arystoteles w polityce. Nie będziemy jéj powtarzać; musimy jednak tu zauważyć, że kapitalistyczny ustrój z natury saméj rzeczy musi gromadzić kapitały w coraz ograniczeńsze koło ludzi (str. 251), a skutkiem tego prowadzi do hipertrofii pieniężnego obywatelstwa i atrofii proletaryatu ludowego (str. 252). „Fakt ten, który coraz jaskrawiéj się objawia, w miarę jak kapitalistyczno-indywidualny sposób produkcyi zbliża się do swego wykończenia, wzbudza wątpliwość: azali słuszną jest ta organizacya, która społeczny zawód produkcyi uważa dotąd tylko jako środek, mogący jak największe utrzymanie zapewnić *niewielu* majętnym, kapitalistycznym rodzinom? Nie jestże słuszniejszą organizacya, która interes utrzymania *wszystkich* rodzin uważa za *środek*, prowadzący do najwyższego rozwoju produkcyi jako społecznego powołania? Pytanie to, postawione już od dawna — powiada Schäffle — nazywa się *socyalizmem*" str. (252).

Rozdział mienia familijnego i produkcyjnego czyli właściwego kapitału jest możliwy, a nawet stanowi rzecz naturalną przy wyższéj cywilizacyi.

Mienie familijne nosi charakter prywatny, i wypada dążyć do tego — jak już powiedziano — ażeby wszystkie rodziny je posiadały. Schäffle mniema przytém, że należałoby już dzisiaj, dla za bezpieczenia wdów i sierot, nałożyć osobny, ku temu celowi przeznaczony podatek na kapitały i renty. Wydatek, ponoszony przez społeczeństwo w tym kierunku, zmniejszyłby koszta, opłacane na utrzymanie sądów i więzień.

Mienie produkcyjne czyli kapitał odznacza się charakterem publicznym; przeto i powołania czyli zawody połączone z użyciem kapitału, mogą utracić swój dzisiejszy charakter prywatny a stać się publicznemi. Podobna odmiana odbyła się w zawodzie urzędniczym; wszystko ją dzisiaj zapowiada w świecie gospodarczo-przemysłowym (str. 219, 304 i 305). „Usiłowania emancypacyjne czwartego stanu (1) — powiada nasz autor — zależą na tém, ażeby

---

(1) Czwartym stanem nazwał Ferdynand Lussal klasę robotniczą, pracującą. Nazwę tę uzasadnił w „Programie robotników." Historyą czwartego stanu napisał Rudolf Meyer w dziele: „Der Emancipationskampf des vierten Standes" Berlin 1874—1875.

usunąć dzisiejszy stosunek *prywatnéj* służbowéj zależności, ażeby wszelkiéj pracy przyswoić charakter bezpośredniego *społecznego* zawodu i pracy zarobkowéj nadać formę stałego żołdu" (str. 230). Urzeczywistnienie tych dążeń nie przekracza granic możliwości i nie sprzeciwia się wywodom naukowym, opartym na zbadaniu budowy ciała społecznego. Zapatrywanie się to Schäffle'go zasługuje ze wszechmiar na uwagę.

Przechodząc następnie do tkanek społecznych, rozważamy je dwojako: 1) pod względem stopnia i rodzaju połączenia komórek i 2) pod względem funkcyonalnym.

Wszelkie skojarzenie się ludzi, a względnie rodzin, przedstawia się jako tkanka łączna. Schäffle rozróżnia jéj następujące rodzaje: rodową (ze wspólności pochodzenia), miejscową, gospodarczą, towarzyską, umysłową, religijną, dziejową, językową, polityczną i międzynarodową. Wszystkie one rozwijają się naturalnie; gwałtowne zaś ich rozdzieranie lub łączenie sprowadza tylko smutne następstwa. Weźmy np. łączność językową, na którą autor z powodu ważnego jéj znaczenia dla Austryi, szczególną zwraca uwagę. „Mowa — powiada były minister federalistycznego gabinetu — jest *symboliczném skapitalizowaniem całéj historycznéj umysłowo-duchowéj pracy*, jest zewnętrznym symbolem duchowéj właściwości narodu. Kapitał ten udziela się na łonie już matki każdemu członkowi narodu. W pojęciach mowy macierzystéj uczą się wszyscy tych samych logicznych sposobów myślenia, w dźwiękach jéj odbija się wspólność uczuciowa narodu i szczepu, na jéj wzorach i przysłowiach kształci się zarówno wola wszystkich. Językowe skarby świeckiéj literatury i Pisma świętego należą do całego narodu. W mowie wykształconego społeczeństwa przejawia się praca jego duchowa. Gnębienie mowy ojczystéj sprawia na każdym takie uczucie, jak gdyby mu język wyrywano" (str. 311). Wprawdzie, historya przedstawia przykłady mieszania się narodów i zlewania się ich języków; ale żadna uchwała parlamentarna nie jest w stanie tego zadekretować. „Może się to udać tylko po długiéj pracy rządu i admininistracyi, przy sprzyjających nadto historycznych warunkach, *we wczesnych stadyach cywilizacyi*. Językowe narodowości, które wyrobiły sobie mowę i bogatą literaturę, mogą być zniweczone, ale nie dadzą się już przetopić w inną narodowość. W podobnych warunkach każda próba zamalgamowania musi skończyć się niepowodzeniem... Wreszcie jeżeliby się udało ostatecznemi środkami politycznéj niesprawiedliwości pognębić już wykształconą mowę, to wyrwawszy ją, dałoby się w zamian język pokaleczony i co do istoty swéj nierówny tému jakim włada panujący naród,

ponieważ mowa przedstawia osad historyi duchowego rozwoju, właściwym wytworem którego jest zawsze lud we *wszystkich jego* życiowych stosunkach. Z obcą mową niepodobna przyjąć obcéj historyi i obcéj przyrody. Skutkiem tego bywa znikczemnienie rasy mięszanéj, która łączy w sobie częściéj złe aniżeli dobre przymioty obu narodów“ (str. 315). Z równąż otwartością w obec panującego dzisiaj w Austryi stronnictwa centralistycznego oświadcza się Schäffle także, przeciwko upowszechnionemu w sferach politycznych przesądowi, jakoby tylko państwa, jednolite pod względem narodowości, mogły być silne. „Polityczny związek językowo różnych narodowości — powiada autor — jako taki może być naturalnym i silnym; najwydatniejszą bowiem państwową czynnością jest połączona wola z połączoną władzą, mająca na celu wspólną obronę, opiekę prawa, instytucye komunikacyjne, tudzież wzajemne dopełnienie się w zakresie gospodarczym. Językowa kulturna jedność nie jest tak wyłączną, ażeby nie można było politycznéj kolektywnéj czynności nadać pewną łączność przez użycie albo jednego państwowego języka albo kilku języków w organach kierowniczych. Narodowościom, zostającym w mniejszości, tylko federalne państwo zapewnić może obronę i opiekę; z tego powodu jest ono bardzo cennym przybytkiem dla ich narodowego rozwoju.“ (str. 319).

Pod względem funkcyonalnym, Schöffle rozróżnia pięć zasadniczych tkanek, które odpowiadają takimże w organizmie osobnikowym. Kostnéj odpowiada podstawowa, obejmująca wszystko, na czém się opiera osiadłość, t. j. domy, grunta, sprzęty i t. d.; czynność naskórka i nabłonka pełnią narzędzia ochroncze; czém są organa wewnętrzne, tém są instytucye gospodarcze; do tkanki mięśniowéj zaliczyć należy wszelkie siły wykonawcze i ich narzędzia; wreszcie nerwową można nazwać tę, która jest połączona z pracą duchową, kierowniczą.

Osada (die Niederlassung) społeczna obejmuje nieruchomość (grunta, domy), ruchomy majątek i środki przewozowe. Przedstawia ona kościec społeczny. Wielkie miasta można porównać do czaszki, mniejsze zaś do kręgów stosu pacierzowego. Domy, grunta, drogi, stanowią przedmiot osteologii społecznéj; ruchomości są niejako wiązami i należą—rzec można—do syndesmologii ciała społecznego.

Ochronną tkanką Schäffle nazywa wszystko, co służy do zabezpieczenia i ochrony mienia, osób i społeczeństwa. Zalicza więc do téj kategoryi: przykrycia, składy, ogrodzenia i t. p.; odzież, opał, uzbrojenie, pielęgnowanie dzieci i chorych i t. d.; straż ognio-

wą, sanitarną, policyą, więzienia, domy obłąkanych, wojsko, flotę i t. p.

Wewnętrzne organa podtrzymują odżywienie ciała. Trawieniu odpowiada przetwórczy przemysł, wsysaniu i chłonieniu—nabywanie potrzebnych rzeczy do domowego użytku lub do wprowadzenia ich w ogólny obieg wymiany społecznéj. Gospodarstwo domowe, chociażby w zakładzie większym, przedstawia odżywianie elementarnych części organizmu. Rozróżniamy w niém: dochód, utrzymanie domu, zużywanie, wydalenie zużytego i odnawianie. W państwie zajmuje się tém ministerstwo skarbu. Czém w ciele są zapasy tłuszczu; tém w gospodarstwie społeczném spiżarnie, śpichrze, składy, zasoby wszelkiego rodzaju i t. d.

Mięśniowa tkanka jest właściwym czynnikiem ruchu; rozpościera się ona po całym organizmie, po wszystkich jego częściach. Jak w organizmie zwierzęcym jedne mięśnie zależą od wielkich centrów nerwowych, drugie zaś od układu węzłowego; tak w ciele społeczném jedne czynniki ruchu działają pod kierunkiem woli centralnéj i stanowią władzę, drugie zaś wykonywają zwykłe sprawy (Geschäfte) prywatnych stosunków. Główném i składowémi częściami społecznéj władzy są: wojsko, flota, żandarmerya i policya. Organizacya funkcyonaryuszów państwowo-gminnych—zaczynając od króla i kończąc na wójcie—przedstawia inerwacyą powyższéj tkaniny.

Najwidoczniejszém jest podobieństwo społecznéj psychofizycznéj tkanki do układu nerwowego w organizmie zwierzęcym. Komórkom nerwowym odpowiadają osoby lub zgromadzenia, objawiające pewną czynność duchową; włóknom — symbole i instytucye wzajemnego porozumienia się, wzajemnego udzielania sobie myśli (mowa, pisma, teatr i t. p.). Centra czynności psycho-fizycznéj mieszczą się w stolicy jakby w czaszce i w większych miastach jakby u kręgach stosu pacierzowego. Ustrój kierowniczy w gospodarstwie wymiennem pod wielu względami da się porównać do splotu nerwu sympatycznego.

Z połączenia rozmaitych tkanek powstają organa. Jedne z nich są oparte na łączności rodzinnéj, drugie na łączności interesów. Najważniejszymi organami przedstawiają się gmina i państwo. Trwałość i siłę mają tylko te, które są wynikiem naturalnego rozwoju.

Schäffle, opisując społeczeństwo ze strony fiziologicznéj, nie zapomina i o patologicznych jego objawach. Takiémi są naprzykład prostytucya i niedostatek mieszkaniowy. Kwestyą nierządu troskliwie badano, zwłaszcza godne są uwagi prace Parent-Duchâte-

let'a i Aré Lallemant'a. Wykazały one, że główną przyczynę prostytucyi bywa ubóstwo i osierocenie. Brak wykształcenia także przyczynia się do tego w niemałym stopniu. Z 5,000 nierządnic w Paryżu,—podług dokładnych badań Perent-Duchâtelet'a, 4,850 stało się ofiarą nieuczciwości męzkiéj i braku środków utrzymania. Statystyka policyjna w Londynie przekonywa znowu o prawidłowém podnoszeniu się i spadaniu liczby nierządnic wraz z podobnąże zmianą w cenach chleba. Ścisły stosunek nierządu z oszustwem i innego rodzaju występkami, uwidoczniony przez statystykę, tém silniejszą jest pobudką do starań o usunięcie téj choroby społecznéj. Drugi patologiczny objaw, przytoczony powyżéj, niedostatek mieszkaniowy (Wohnungsnoth) najdotkliwiéj daje się uczuć robotnikom. Jest on nestępstwem kapitalistycznego ustroju. Dawniéj ognisko zawodowe (gospodarstwo rolne, warsztat, urząd) łączyło się razem z mieszkaniem. Obecnie jesteśmy w stanie przechodowym. Wielkie zawodowe ogniska pochłaniają małe. Nadto budowanie domów i wynajmowanie mieszkań staje się coraz częściéj przedmiotem czystéj spekulacyi. Przytoczyłem te dwa przykłady, ażeby wskazać, że dokładna dyagnoza cierpień społecznych wymaga przedewszystkiém zbadania życia społecznego w jego ogólnych objawach.

Podług podanego przezemnie w ogólnym zarysie szematu, Schäffle z całą szczegółowością, przechodzącą w drobiazgowość, opisał fizyologiczne życie społeczeństwa, a z jeszcze większą psychologiczne. Atoli sama metoda opisowa nie jest wdzięczną dla socyologii. Widzimy to i w dziele naszego autora. Są tam trafne spostrzeżenia, nieraz napotykamy głębsze wniknienie w istotę rzeczy, są niektóre rozdziały wyśmienite; ale całość dzieła grzeszy rozwlekłością i ostatecznie nuży uwagę czytelnika, nie przynosząc mu wielkiéj korzyści. Język przytém—jak to można widzieć z kilku ustępów w przekładzie przezemnie przytoczonych, a dla zrozumiałości nawet cokolwiek zmienionych — nie odznacza się jasnością, a tém samém przyczynia się także do osłabienia interesu. W każdym jednak razie dla dalszego rozwoju socyologii przynosi pewną korzyść opisowe, niejako inwentarzowe spisanie zjawisk społecznych, ponieważ nie zaszkodzi dokładnie sobie uprzytomnić wszystko to, co może stanowić przedmiot téj nauki. Najwłaściwszą jednak metodą dla nauki społecznéj jest historyczna czyli genetyczna—jak to wykazał już August Comte. Metoda ta zaczyna dzisiaj przeważać, nawet w tych umiejętnościach, w których dawniéj prawie wyłącznie panowała opisowa, jak naprzykład w zoologii, obtanice i t. d.

Wypada w pracy Schäffle'go jeszcze zaznaczyć ludzkość uczucia, jaka maluje się w całém jego dziele, i głębszy pogląd na sprawy polityczne i społeczne, z czém nieczęsto spotykamy się u dzisiejszych niemieckich polityków i ekonomistów.

Bolesław Limanowski.

Szujski Józef. Rozstrząsania i opowiadania historyczne (pisane w latach 1866—1870). Kraków, 1876. str. 405 w 8-ce.

Najtrudniejszém dia sumiennego krytyka zadaniem jest ocena dzieła, mieszczącego w sobie kilka lub kilkanaście prac różnorodnych—pomijając bowiem fakt, że bardzo rzadko znajdzie się pióro do osądzenia tak rozmaitych przedmiotów równie kompetentne, w bardzo tylko obszernéj recenzyi można się do pewnego przynajmniéj stopnia wyczerpująco wywiązać z obowiązku sprawozdawcy. Trudności te bywają większe, jeśli tylko krótką wzmiankę, jak w niniejszym razie, poświęcić można rozbieranéj publikacyi.

Wydana świeżo książka prof. Szujskiego obejmuje dwanaście przedmiotów a siedm wieków, bo rozpocząwszy od roku tysiącznego, kończy szanowny autor na ośmnastém stuleciu. Niemniéj jak pod względem czasu i treści, różnią się pojedyncze rozprawki między sobą zewnętrznem opracowaniem i wewnętrzną wartością. Niektóre z nich, jak *Pielgrzymka Ottona do Gniezna*, są poprostu spopularyzowaniem znanych już rzeczy, choć w należącéj do téjże kategoryi *Historycznéj wędrówce po Krakowie* spotykamy mnóstwo spostrzeżeń cennych i nowych, spotykamy niejedną zdobycz samodzielnych i gruntownych badań. Niemniéj bystrym, a nierównie wymowniejszym myślicielem okazuje się Szujski tam, gdzie mu historya służy tylko za tło do filozoficznych obserwacyi, gdzie jak w *Pogrobowcach Rzeczypospolitéj* z przedziwną dosadnością słowa i trafnością myśli, zamąconą tylko tu i owdzie eryjnym à la Przeglą d Krakowski sądem, zestawia analogicznie błędy i wady odziedziczone przez nas po przodkach XVII-go i XVIII-go wiekn.

Inne rozprawki, obok zużytkowania drukowanych źródeł, opierają się na rękopiśmiennych, jak np. *Maryna Mniszchówna i obaj Samozwańce* i *Stosunki dyplomatyczne Zygmunta Angusta z domem austryackim.* Ostatnia praca, do której autor czerpał obficie z ar-

chiwum wiedeńskiego, odsłania poraz pierwszy w całéj pełni rozległą działalność dyplomatyczną ostatniego z Jagiellonów i ukazuje nam w nim jednę z najdzielniejszych głów politycznych. Dopełnia téj rozprawy mistrzowskie *essays* p. t.: *Charakterystyka Zygmunta Augusta*, z dziwną plastyką odtwarzające skomplikowaną postać tego króla; uwolniwszy sentymentalnego kochanka Barbary z romantycznych obsłonek, w jakie był dotąd spowity, wyprowadza na jaśnią jeden z najznakomitszych i najniepospolitszych umysłów XVI wieku. Rzecz tę zarówno pod względem formy, jak treści zaliczyć należy do arcydzieł.

Mniéj szczęśliwém jest zaczerpnięte z wyłącznie rękopiśmiennego materyalu opowiadanie p. t.: *Jerzy Ożarowski i kardynał Fleury*, obejmujące okres od 1733 do 1736 — pan oboźny koronny bowiem, szlachcic uczciwy z kościami, lecz *simplex servus Dei*, kompromitujący nieustannie w Paryżu tę biedną Rzplitę, którą ma reprezentować, nie jest figurą, godną pióra historyka. Można go zbyć kilku słowy—traktować na seryo — nie uchodzi. Do szkicu tego, drukowanego już po roku 1870, bo przed kilku miesiącami w Przewodniku lwowskim, dołączył autor teraz w książkowéj edycyi allegata i exkurs dość pobieżny w poruszonéj już w XI zeszycie *Ateneum* sprawie rzekoméj gotowości Leszczyńskiego odstąpienia Prussom cząstki kraju.

Z pomiędzy umieszczonych tu wreszcie „roztrząsań“ mniéj szczęśliwym, choć najobszerniejszym, jest rozbiór Hüppego: *Verfassung der Republik Polen.* Książka ta nastręcza wprawdzie Szujskiemu sposobność wypowiedzenia wielu cennych spostrzeżeń, wchodzących w zakres filozofii historyi, lecz sama nie zasługuje ani na tak szerokie rozstrząsanie, ani na tytuł niemieckiéj gruntowności. Trzeba przyznać panu Hüppemu rzadkie między niemieckimi uczonymi zalety formy, ale już dawno prof. Jakób Caro wykazał, że tanim kosztem przyszedł do autorstwa, przepisując całemi ustępami Lengnicha.

Bądź co bądź *Rozstrząsania i opowiadania*, mieszczą wiele rzeczy ważnych i ciekawych, a dla piękności stylu i języka, liczyć mogą na szerokie koło czytelników.

K. K.

KRONIKA NAUKOWA.

Starożytność człowieka i charakter cywilizacyi przeddziejowéj.

Znany współzawodnik Darwina, A. R. Wallace, jeden z najznakomitszych badaczy współczesnych, otworzył posiedzenia podsekcyi antropologicznéj na kongresie w Glazgowie, bardzo obszernym odczytem o stosunkach zachodzących pomiędzy istotami żyjącemi a ich otoczeniem. Zakończenie tego odczytu stanowiły uwagi nad człowiekiem przedhistorycznym, odznaczające się bystrością, słusznością i pod wielu względami odrębnością od ogólnie obecnie przyjmowanych poglądów. Streszczają one doskonale współczesne stanowisko nauki o człowieku przeddziejowym i dają pewne wskazówki dla przyszłych badań.

Nie więcéj jak przed dwudziestu laty, powiada Wallace, teorya starożytności człowieka, jaką teraz przyjmujemy, wcale się nie cieszyła uznaniem uczonych. Nie tylko teologowie, ale i badacze twierdzili, że historya człowieka rozpoczęła się dopiero w ostatnim okresie geologicznym, dopiero wtedy, gdy nastąpił stan rzeczy, zupełnie podobny do teraźniejszego,—a nawet, że obecne warunki bardzo długo już istniały na powierzchni ziemi, za nim się człowiek na niéj ukazał. Teoryę tę, opartą wyłącznie tylko na dowodach negatywnéj natury, przyjęli uczeni niemal powszechnie nie wdając się nawet w rozbiór bardzo licznych faktów odkrytych o kilkadziesiąt lat wcześniéj, a wskazujących, że istnienie człowieka odnieść należy do czasów bardziéj od chwili obecnéj odległych. Co więcéj, gdy pewnemu wielkiemu towarzystwu naukowemu trzéj poważni obserwatorowie przedstawili dokładną w téj kwestyi roz-

prawę, towarzystwo odrzuciło ją, *jako niemożliwą do opublikowania*, dla téj jednéj przyczyny, że autorowie utrzymywali, iż człowiek istniał współcześnie ze zwierzętami teraz już zaginionemi. Z dedukcyi bowiem badań uczonych ortodoksyjnych wypadał wniosek wprost przeciwny, a nie wierzyć weń było grzechem, ściągającym na niedowiarka proskrypcyą. Taka to jest siła uprzedzeń, takie ich znaczenie nawet wśród ludzi nauki.

Lecz opozycya urzędowych uczonych nie mogła trwać długo. W roku 1859 wielu znakomitych angielskich geologów przystąpiło do zbadania odkrycia narzędzi krzemiennych, znalezionych we Francyi południowéj—odkrycia ogłoszonego już przed czterdziestu laty. Rezultat ich rozbioru zgadzał się zupełnie z obserwacyami podanemi przez odkrywców. Około tego czasu i późniéj inni geologowie zaczęli robić poszukiwania w ziemi, na rozmaitych punktach Anglii, i znaleźli w wielu miejscach narzędzia krzemienne pod warstwami gruntu równie dawnemi jak pokrywające wykopaliska francuskie. Następnie w Belgii i Francyi zbadano groty widocznie zamieszkane niegdyś przez człowieka w epoce dość od naszéj oddalonéj, w Szwajcaryi i innych krajach natrafiono na ślady mieszkań ludzkich nad brzegami jezior, a w Danii rozkopano sztuczne wzgórza zawierające mnóstwo śladów istnienia człowieka. Na téj zasadzie początek historyi rodu ludzkiego musiano przenieść po za pierwsze okresy historyczne,—w daleką przeszłość ginącą w pomroce wieków.

Czasu istnienia rasy, która pozostawiła te szczątki, niepodobna ocenić bezpośrednio i bezwzględnie. O odległości tego okresu od naszego, możemy mieć przybliżone pojęcie tylko z następstwa warstw ziemi, które przekopać trzeba było, aby się dostać do owych śladów człowieka,—oraz z innych faktów, rozpatrywanych w świetle badań geologicznych. Przekonano się, że im niżéj zapuszczamy się w warstwy ziemi, tém narzędzia kamienne napotykane w niéj stają się mniéj zręcznie i starannie obrobionemi i wreszcie dochodzimy do narzędzi, przedstawiających się niejako w stanie zarodkowym. W najgłębszych zaś warstwach nie znajdujemy już ani naczyń glinianych przytrafiających się często w wierzchnich, ani narzędzi z kości i t. d., i jedynym śladem istnienia człowieka są w nich narzędzia krzemienne z gruba tylko obrobione, noszące jednak wyraźny ślad ręki człowieka.

W miarę, jak zapuszczając się w warstwy głębsze, dochodzimy do narzędzi coraz to prostszéj roboty, znikają téż i ślady zwierząt domowych, występujące w nowszych okresach. Pies nawet, zdający się być najstarszym i najstalszym towarzyszem człowieka

nie pozostawił wyraźnych śladów obok szczątków rasy używającéj z gruba obrobionego krzemienia.

O starożytności tych szczątków, czyli miarze czasu ubiegłego od okresu do którego należały, może nam dać dobre wyobrażenie, następstwo faz w rozwoju skorupy ziemskiéj, rozmaite zmiany, widoczne w rozdziale klimatu i rozmieszczeniu geograficzném zwierząt, które na niéj niewątpliwie zaszły już po epoce wystąpienia człowieka na widownię jéj dziejów. I tak np. nie ulega wątpliwości, że morze Baltyckie było wtedy o wiele więcéj słoném niż obecnie, tak, że ogromną mnogość ostryg żywiło; w Danii rosły ogromne lasy sosnowe, kryjące w swych gąszczach zwierzęta napotykane teraz tylko na dalszéj północy, w Norwegii; renifer mieszkający teraz tylko pod znacznemi szerokościami geograficznemi był pospolity we Francyi,—gdzie również w jeszcze dawniejszym okresie koczowały mamuty, włochate nosorożce, olbrzymie niedźwiedzie i lwy gatunków teraz już wygasłych.

Nawet czlowiek, nieobznajomiony z naukami przyrodniczemi, spostrzeże, że obecność podobnych zwierząt dowodzi znacznéj zmiany klimatu—i rzeczywiście te fakta, jak również wiele innych, obserwowanych w pieczarach oraz pokładach ziemi, wykazują, że w Europie zachodniéj panował w owe czasy klimat zimny, bez porównania surowszy aniżeli za dni naszych.

Wszystkie powyższe fakta i wielka mnogość innych, odkrytych w ostatnich kilkunastu latach w rozmaitych miejscach Europy i na wszystkich niemal punktach kuli ziemskiéj, oraz porównanie narzędzi i broni przedhistorycznéj z znalezionemi u współczesnych ludów dzikich, uwidoczniły głęboką starożytność człowieka, wychodzącą daleko po za kres zwykłéj rachuby historycznéj. Są one tak dowodne, tak bijące w oczy, że opinia publiczna od razu przechyliła się na stronę uczonych, którzy faktom dali pierwszeństwo przed zakorzenionemi uprzedzeniami. Nietylko w pośród uczonych głęboka starożytność człowieka nie budzi już żadnéj wątpliwości, ale nadto przyjęli ją wszyscy oświeceni teologowie, tak że obecnéj generacyi trudno będzie pojąć, dla czego pierwsze odkrycia na tém polu wywołały tak silną opozycyą i spotkały się z tak ogromną dozą niedowierzania!

Kwestya starożytności człowieka wydawaćby się mogła małoznaczną w obec kwestyi o jego pochodzeniu, początku, — zagadnienia silnie wstrząsającego nerwami ludzkości, gdyż chodzi w niém o wykazanie: czy istnieje lub nie istnieje węzeł łączący

człowieka ze światem zwierzęcym. Darwin i Herbert Spencer wykazali, że zagadnienie to jest ściśle związane z kwestyą starożytności człowieka.

Wprawdzie teorya Darwina jest jeszcze poniekąd przedmiotem gwałtownéj polemiki, ale walka przeciwko samemu faktowi ewolucyi ma się, jak się zdaje ku końcowi, gdy nawet już jeden z najpoważniejszych bojowników teologii katolickiéj, będący jednocześnie znakomitym anatomem, profesor Mivart, uznał w zupełności teoryę ewolucyi, o ile ona odnosi się do budowy fizycznéj, z zastrzeżeniem tylko dotyczącém podciągania moralnéj i psychicznéj istoty człowieka pod jedno i to samo prawo i sposób ogólnego rozwoju.

Nigdy może jeszcze w historyi nauki nie odbyła się tak gwałtowna i głęboka rewolucya w poglądach i pojęciach, jak ta, którą wywołało dzieło Darwina. Trwała ona niedługo, tylko lat dwanaście. W przeciągu tego czasu, tak utrwalone dogmata, jak niezależny początek gatunków i niedawne ukazanie się człowieka na ziemi, całkowicie upadły. Wiara w niezależne powstanie człowieka dłużéj się jeszcze utrzymywała, lecz dzieło Darwina o człowieku zadało jéj także cios śmiertelny: pomiędzy osobami umiejącemi cenić świadectwo faktów, nie ma już zapewne ani jednéj, któraby wątpiła o naturalném pochodzeniu organizmu człowieka, o tém, że jest rezultatem rozwoju; niektórzy tylko, podobnie jak Mivart, zastrzegają, że jego część duchowa miała źródło w czynnikach całkiem niepodobnych do tych, które działały w niższych zwierzętach.

Ale niedość jest dedukcyjnie wyprowadzić wniosek o początku człowieka; trzeba go stwierdzić faktami, trzeba odnaleźć źródło i ślady tego początku. Naszkicujemy po krótce obecny stan tych poszukiwań.

Pomimo to, że uwaga całego niemal świata jest zwrócona na ten przedmiot, pomimo coraz to częstszego rozkopywania ziemi, dla przekopów kolejowych i robót górniczych, które daje doskonałą sposobność do prowadzenia badań geologicznych, — kwestya epoki i okoliczności ukazania się człowieka na ziemi ani na krok nie postąpiła: nie odbryto nic takiego, coby ją w dostateczny sposób wyjaśniło. Mamy wiele narzędzi z rozmaitych materyałów zrobionych, a należących do człowieka pierwotnego, jednakże nie odnaleźliśmy dotąd ani jednego ogniwa łańcucha, łączącego człowieka ze zwierzętami niższemi.

Wiemy wprawdzie, że w geologii dowody negacyjne mają tylko drugorzędne znaczenie, i dla tego, choć dotąd nie odkryliśmy początku człowieka, wcale to jednak nie dowodzi, że go nie od-

kryjemy. Wiele dowodów wskazuje, że teorya ewolucyi człowieka wymaga większéj starożytności, od téj, którą nam przedstawiają kości ludzkie i przedmioty aż do dziś dnia odkryte, że więc początku jego szukać należy w wcześniejszym jeszcze okresie. Jest to punkt nadzwyczaj ważny dla nauki, i dla tego téż zajmiemy się jego rozbiorem.

Najważniejszą różnicę pomiędzy człowiekiem a zbliżonemi do niego zwierzętami stanowi niewątpliwie objętość i rozwój mózgu, odbijające się na zewnętrznéj budowie i objętości czaszki. Że stanowiska więc ewolucyjnego wypada, że rasa ludzi, współczesna zwierzętom zaginionym, odznaczała się czaszką niższą pod względem budowy i objętości od czaszek ras obecnie żyjących. Jednakże najdawniejsze ze znanych nam czaszek, a mianowicie pochodzące z Engis i Cro-Magnon, nie przedstawiają nic takiego, coby dowodziło téj niższości. Czaszka engiska nie jest nawet tak mało rozwiniętą, jak czaszki niektórych współczesnych nam plemion dzikich, i owszem wymiary jéj przedstawiają średnią wielkość czaszki człowieka współczesnego, i Huxley słusznie mógł powiedzieć, iż za równo mogłaby należyć do filozofa jak do człowieka dzikiego. Czaszka zaś druga jest jeszcze więcéj rozwinięta i wcale dobrze uformowana. Doktor Pruner Bej twierdzi, że objętość jéj przechodzi średnie rozmiary czaszki europejskiéj, a symetrya jéj postaci, nie nosząca na sobie żadnego śladu prognatyzmu (przewagi rozwoju dolnéj części twarzy nad górną), może wytrzymać porównanie nietylko z typami współczesnych ras dzikich, ale nawet i z niejednym ludem ucywilizowanym Europy.

Inne odkrycia tego rodzaju nie modyfikują wcale tych wniosków, to téż śmiało powiedzieć możemy, iż nie uczyniliśmy dotąd ani jednego kroku zbliżającego nas do odkrycia pierwotnéj sfery rozwoju człowieka, t. j. nie znaleźliśmy ani jednéj czaszki, na któréjby widać było przejście od typu ludzkiego do małpiego.

Wniosek ten stwierdza jeszcze natura odkrytych narzędzi, należących do ras najdawniejszych. Wprawdzie niektóre narzędzia krzemienne odznaczają się bardzo grubym wyrobem, ale napotykamy pomiędzy niemi tak różnorodne instrumenty, jak skrobaczki, obrzynaczki, szydła, młoty, piły, strzały, lance i t. d., dowodzące rozmaitych zajęć, a więc już pewnego wyższego stopnia kultury i działalności intelektualnéj. Znaleziono także igły, naprowadzające na domysł, że człowiek, do którego należały, zszywał przynajmniéj skóry,—a może nawet robił niemi pewnego rodzaju tkaniny; a co najważniejsza—znaleziono dość zręcznie odrobione rysunki zwierząt w ówczas pospolitych w Europie zachodniéj, jako to renifera, mamuta

i t. d., rysunki bardzo wyraźne, wyryte na rogu renifera lub zębie słonia.

Wszystko to uważać należy za wskazówki cywilizacyi daleko wyższéj od obserwowanéj za naszych czasów u niektórych ludów dzikich. Wskazują one, że dobrze rozwinięte czaszki, znalezione w Engis i Cro-Magnon, nie należały do jednostek wyjątkowych, ale do rasy posiadającéj już stosunkowo dość wysoki stopień kultury.

Inne fakta dowodzące niezmiernéj starożytności typu ludzkiego, ginącéj w dali okresów geologicznych, przed epoką najdawniejszych znanych śladów istnienia człowieka, podał wyżéj wzmiankowany prof. Mivart. Wykazał on: że człowiek zbliża się rozmaitemi szczegółami budowy swego organizmu, nie do jednego gatunku małp żyjących obecnie, lecz że jest w równéj prawie miarze zbliżony do wielu gatunków, jak np. do oranga, szympansa, goryla a nawet gibbona — i to w sposób bardzo rozmaity. Podobieństwa i niepodobieństwa są tak liczne i różnorodne, że trzeba przypuścić, iż forma, która doszła w ostatniéj fazie swego rozwoju do postaci organizmu ludzkiego bardzo zboczyła od wspólnego pnia, którego gałęzie dały początek rozlicznym małpom świata obecnego i pokrewnym im formom, dawno już zaginionym. Lecz sięgając aż do okresu miocenicznego (formacya trzeciorzędowa), znajdujemy w jego pokładach jedynie tylko szkielety małp pokrewnych kilku wyżéj wymienionym, a najbardziéj zbliżonych do gibbona. Punktu więc z którego odgałęziła się odnoga, dająca początek specyalnéj linii odmian kończących się formą ludzką, należy szukać według wszelkiego prawdopodobieństwa w epoce daleko wcześniejszéj, a więc bardziéj od naszych czasów odległéj. Formy téj linii były punktami wyłącznemi dla typu szlachetniejszego i, ulegając wyborowi naturalnemu, musiały się rozwinąć w istotę posiadającą tak wybitne i tak odróżniające się znamiona, jakie teraz widzimy u człowieka. Mając przynajmniéj w zarodku jego cechy, dające przewagę w walce o byt, formy te już w czasach bardzo dawnych powinny były stać się rasą panującą, która, według teoryi Darwina, bardzo się rozmnożyła na wszystkich punktach lądu, przedstawiającego odpowiednie do jéj rozwoju warunki. Ostatni ten wniosek jest konieczny dla pojęcia szybkości postępowego rozwoju téj rasy, odbywającego się na podstawie wyboru naturalnego. Jeśli zaś tak było, to mamy prawo spodziewać się znalezienia szczątków rasy pierwotnéj człowieka przy prawdopodobnie mniéj licznych śladach zwierząt.

Ponieważ małpy nam współczesne żyją głównie w okolicach zwrotnikowych, a małpy podobne do człowieka (małpoludy) wyłącznie tylko około równika, więc niektórzy wnoszą, iż gatunki od których one pochodzą żyły także w tych okolicach. Lecz wniosek ten nie ma podstawy. Tegoczesne małpy podobne do człowieka są zupełnie zależne od nieustannéj obfitości owoców, których tylko kraje podrównikowe mogą im dostarczać;—Europa zaś podczas okresu miocenicznego miała klimat prawie równy teraźniejszemu zwrotnikowemu, a więc mogły się w niéj utrzymać podobne istoty. Nadto, trzeba przypuścić, że nawet najstarsi przodkowie człowieka chodzili po ziemi i byli wszystkożernymi, albowiem z takiéj tylko odmiany rozwinąć się mogła forma o postawie wyniosłéj, z rękami krótkiemi i nogami wcale niechwytnemi, słowem, forma przedstawiająca charaktery, stanowiące najgłębszą różnicę pomiędzy człowiekiem a małpą.

To wszystko powiada Wallace, co prowadzi do wniosku, że jeżeli człowieka i małpy obecnie żyjące łączy jedno ogniwo, jeden wspólny przodek, i jeśli nie było żadnych czynników, oprócz tych które wywołały ich rozwój, to ród ludzki musiał istnieć w czasie okresu trzeciorzędowego w postaci dosyć podobnéj do obecnéj, a nadto stanowił rasę dominującą we wszystkich miejscach, gdzie panowały przyjazne warunki klimatyczne.

Mamy także poszukiwania w zupełnie innym kierunku prowadzone, które, podobnie jak powyższe, dają nam wskazówki, że początek człowieka bardzo a bardzo od nas jest odległy, a nawet że dość wysoka jego cywilizacya sięga starożytności, o któréj aż do tych badań nie mieliśmy żadnego pojęcia.

Rzecz dziwna doprawdy, że w chwili, kiedy nikt nie wątpi o głębokiéj starożytności rodu ludzkiego, znajdują się jednak uczeni, głoszący zdanie, że jego rozwój umysłowy od nie bardzo dawnych stosunkowo datuje się czasów. Pochodzi to ztąd, że wielu ma zawsze na uwadze niedokładnie obrobione przedmioty krzemienne lub kościane, znajdujące się w naszych czasach; że im daléj wzrok zapuszczamy w głąb wieków, tém prostsze i mniéj dobre widzimy materyały, z których robiono narzędzia; że w miarę oddalania się od pierwszych okresów historycznych znika żelazo, bronz, wyroby garncarskie, a nawet dokładnie obrobione narzędzia krzemienne ustępują miejsca z gruba obrobionym. Lecz to bynajmniéj nie dowodzi jeszcze niskiéj inteligencyi ras ówczesnych. Albert Mott słusznie utrzymuje, że istniały w ówczas i dzikie i ucywilizowane rasy, i zwraca uwagę naj częste omyłki w ocenianiu czasów przedhistorycznych, polegające na uważaniu

za powszechne cechy cywilizacyi, oznak zewnętrznych właściwych współczesnéj kulturze. Gdzie ich nie znajdujemy, tam—powiadamy —cywilizacyi nie było. Lecz czyż nasza kultura jest tylko jedyną formą możliwą?

Mott przywodzi w swéj pięknéj rozprawie mnóstwo faktów, dowodzących że się mylimy, oceniając bardzo nizko kulturę przedhistoryczną. Wallace przytacza z nich kilka, bardzo uderzających.

Na jednéj z wysp najsamotniejszych oceanu Spokojnego, na wyspie Wielkanocnéj, oddalonéj o tysiąc do dwóch tysięcy mil od innych lądów, odkryto czterysta figur kamiennych, z których większa część zapadła już w ruinę. Z pozostałych, wiele ma trzydzieści do czterdziestu stóp wysokości, a zdaje się, że inne były jeszcze wyższe. Głowy ich są uwieńczone koronami z kamienia czerwonego, których średnica do dziesięciu stóp dochodzi, a obserwatorowie zapewniają, że głowa i szyja jednéj z nich miały do dwudziestu stóp wysokości.

Figury te są wyniesione na obszernych pomostach kamiennych, ogromnie wielkich, stosunkowo do powierzchni wyspy, mniejszéj nawet od Jersey. Najmniejsza z tych figur, mająca ośm stóp wysokości, waży cztery tonny (8000 funtów celnych), a największa sto tonn a nawet i więcéj. Na zasadzie tego, któż może wątpić, że wykonanie takich prac suponuje znaczne zaludnienie wyspy, pewną zamożność i rząd uorganizowany? Lecz jakim sposobem wszystkie te warunki mogły się znaleźć na małéj wyspie, tak odosobnionéj od reszty świata. Mott wnosi, że mieszkańcy jéj musieli mieć komunikacyą żeglarską z wyspami większemi, lub z lądem stałym, a więc znali sztuki nieodłączne od żeglarstwa, co każe przypuszczać, że mieli cywilizacyę wyższą od obserwowanéj teraz na wszelkich wyspach oceanu południowego. Podobne ruiny napotykamy także i na innych wyspach tego morza, bardzo oddalonych od siebie — co jeszcze więcéj stwierdza wniosek wyżéj wyprowadzony (1).

Następnie przytacza Mott starożytne kurhany i wały w Ameryce Północnéj, które sprawiają widok jeszcze więcéj imponujący.

Większą część olbrzymiéj doliny rzeki Missisipi zalegają roboty ziemne, dające się na cztery odrębne klasy podzielić.

---

(1) Znany nasz podróżnik Jan Kubary, mówił mi, że na jednéj z wysp, o ile pamiętam, Palaos, znalazł coś bardzo przypominającego ruiny miasta. Nie miał dotąd sposobności bliżéj ich zbadać, ale mamy nadzieję, że uczyni to niezadługo, gdyż znowu w tamte strony na lat trzy pojechał. (P. Spr.)

Jedne, są to obozy lub fortyfikacye, wzniesione na stromych skałach, lub odosobnionych pagórkach, inne napotykane na równinach lub w nizinach są ogrodzeniami mającemi niekiedy kształty geometryczne. Od nich, w postaci promieni rozchodzą się drogi, mające kilka lub więcéj mil długości. Trzecią klasę stanowią wzgórza odpowiadające naszym kopcom, dochodzące nie raz do ośmdziesięciu stóp wysokości i pokrywające kilka morg powierzchni gruntu. Czwartą wreszcie grupę stanowią wyobrażenia rozmaitych zwierząt, wyrzeźbione wypukło, napotykane często na równinach stanu Wiscensin.

Pierwsza klasa obozów, czyli punktów ufortyfikowanych, podobna jest w ogólnych zarysach do starożytnych obozów napotykanych na wyspach angielskich, lecz przechodzi je wielkością. Fort-Hill w stanie Ohio otoczony jest murem i rowem przeszło półtoréj mili długości; część rowu jest wykuta w skale. Wewnątrz były urządzone bardzo sztuczne zbiorniki na wodę, a na jednym z punktów wysuniętych i więcéj wzniesionych, jest wieża dla strażników, obwarowana i zaopatrzona w cysterny.

Inne roboty tego rodzaju, w dolinie Scioto, znane pod nazwą Clark's work, o ile się zdaje, służyć musiały niegdyś do obrony jakiegoś miasta. Opasują one swym obwodem 127 akrów gruntu; w wałach długich na trzy mile znajduje się przeszło trzy miliony stóp sześciennych ziemi. Wewnątrz mieści się znaczna liczba symetrycznie położonych kopców przeznaczonych do czynienia ofiar, a w łonie ich znaleziono wiele przedmiotów starożytnych bardzo ważnych. Roboty drugiéj kategoryi, będące miejscami świętemi, możemy pod względem kształtów i rozmiarów przyrównać do ogrodzeń w Avebury i Karnaku, a pod wielu względami są one jeszcze ciekawsze. Jedno z takich ogrodzeń w Newark, w stanie Ohio, jest pokryte na przestrzeni wielu mil mnóstwem figur geometrycznych połączonych z sobą; są tam koła, ośmiokąty, kwadraty, elipsy i inne kształty, wszystkie na wielką skalę, złożone z wałów, mających dwadzieścia do trzydziestu stóp wysokości. Podobne roboty napotykamy też i w innych miejscach w stanie Ohio, a ścisłe badania geodozyjne wykazały: że nie tylko owe koła są dokładnie foremne, jakkolwiek często ich średnica dochodzi do długości jednéj trzeciéj mili, że inne figury stanowią np. dokładne kwadraty o bokach po tysiąc i więcéj stóp długich, lecz co najważniesza, dowiodły, że rozmiary wielu tych figur geometrycznych są zupełnie jednakowe, choć one leżą w różnych okolicach. Wszystko to wykazuje, że budowniczowie kierujący temi robotami musieli używać jakiejś miary stałéj, a nadto, dokładność w kreśleniu kwadratów, kół i ośmio-

kątów dowodzi wysokiéj znajomości geometryi elementarnéj. Z powodu wielkich rozmiarów tych figur nie dość było dobrego oka, ale należało posługiwać się odpowiedniemi narzędziami, do kreślenia kół i kątów. Sama chęć kreślenia tych figur z największą możliwą dokładnością, więcéj jeszcze jak zręczność w wykonaniu, każe nam się domniemywać wysoko rozwiniętéj sztuki i inteligencyi tych ludów. Jeżeli zastanowimy się nad tym pociągiem i zamiłowaniem do dokładności geometrycznéj, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że do wykonania tak olbrzymich i systematycznych prac potrzeba było koniecznie organizacyi cywilnéj społeczeństwa, to dojdziemy do przekonania, że te ludy bardzo już dawno doszły do wysokiego stopnia cywilizacyi, któréj nawet śladu nie spotykamy u dzikich plemion, zamieszkujących te okolice w chwili przybycia do nich Europejczyków.

Kopce, zawierające w sobie kości zwierząt, mniéj dla nas w téj chwili mają znaczenia, gdyż należą do niższéj fazy cywilizacyi; za to rozkopywanie kurhanów grobowych i ofiarnych, które tam w wielkiéj napotykamy ilości, naprowadziło na wiele ciekawych wskazówek i odkryć. W tych kurhanach znajdujemy zazwyczaj albo obszerne wklęsłe ogniska, albo urny z gliny ogniotrwałéj, oraz wiele szczątków różnych przedmiotów, na których znać ślady ognia. Pozostały więc w całości tylko przedmioty niepalne. Są to narzędzia i ozdoby złote lub miedziane, kółka i rurki z perłowéj macicy, naszyjniki srebrne lub muszlowe, klejnoty wyrobione z miki, ozdobne wyroby garncarskie i mnóstwo figurek wyrzeźbionych bardzo starannie z kamienia i po większéj części mających kształt fajek. Przedmioty metalowe są doskonale wykute młotkiem, blaszki miki wycięte w kształcie kółek lub liści, garncarskie wyroby są lepsze od napotykanych dzisiaj u Indyan, i jak przypuszcza doktor Wilson, musiały być wytoczone na kole, gdyż niektóre mają wszędzie równą grubość i przyozdobione są prócz tego festonami z kwiatów, lub grupami ptaków i kwiatów, bardzo delikatną przedstawiających płaskorzeźbę. Ale najbardziéj zaciekawiają nas rzeźbione z kamienia fajki, przedstawiające nietylko łatwe do poznania zwierzęta, ale także i głowy ludzkie, odrobione tak starannie, że łatwo możemy je uznać za portrety. Z pomiędzy zwierząt nietylko spotykamy tam miejscowe, np. wilka, niedźwiedzia, bobra, żaby, żółwia, czaplę, grzechotnika, ale i inne, nie mieszkające w tych okolicach, np. mamuta, lub tukana, żyjącego dopiero w okolicy Meksyku.

Wyrzeźbione głowy ludzkie zasługują na uwagę i dla tego jeszcze, że odznaczają się rysami właściwemi ludowi inteligentnemu

i ucywilizowanemu. Na wielu twarzach, nos jest zupełnie prosty, ani nazbyt wydatny, ani zbyt długi,—usta małe, wargi wązkie, podbródek i wargi górne są krótkie, co dziwnie odbija przy olbrzymich szczękach dzisiejszych Indyan; kości policzkowe są niezbyt wydatne. U innych nos ku końcowi z lekka się przedłuża, w sposób, nie przedstawiający żadnego podobieństwa do rysów któregokolwiek z narodów zamieszkujących teraz Amerykę; a na niektórych rzeźbach napotykamy twarze surowe i pospolite, nie są one jednak w niczém podobne do typu twarzy Indyan dzisiejszych. Niektóre czaszki znajdowane w tych wzgórkach mają okolicę czołową symetryczniejszą i lepiéj rozwiniętą, niż u któregokolwiek Indyjskiego pokolenia, chociaż zauważyć można pewne podobieństwo w kształcie zewnętrznym kości potylicowéj. O jednéj z tych czaszek wyraża się W. Marschall Anderson, że przypomina profil grecki.

Starożytność téj rasy nie może wytrzymać porównania z starożytnością człowieka przedhistorycznego w Europie. Niektórzy chcieli ją mierzyć starością drzew pokrywających wspomniane kopce, a mających do 1000 lat wieku. Lecz wiadomo, iż kilka generacyj drzew musi zgnić, za nim ziemia pokryje się borem takim, jak las dziewiczy sąsiedni, gęstwiną, jaka pokrywa owe pagórki. Owe więc tysiąc lat, które obliczono ze słojów drzew, możemy tylko przyjąć jako minimum, nie będące wcale w związku z rzeczywistym wiekiem pagórków, tak samo, jak nie moglibyśmy obliczyć dawności okresu lodowego po wieku sosen i dębów, rosnących dzisiaj na zwałach (morenach).

Najważniejszym dla nas faktem jest to, że w chwili pierwszéj kolonizacyi Ameryki przez Europejczyków, plemiona indyjskie mieszkające w tych okolicach nic nie wiedziały, nawet z podań, o narodzie niegdyś tu mieszkającym i bardziéj od nich rozwiniętym. A jednakże mamy dowody, że był to lud ucywilizowany, posiadający rząd stały; są nawet ślady, że się trudnił rolnictwem. I musiało tak być, gdyż inaczéj niepodobna by było wyżywić masę ludzi, która była potrzebną do wykonania prac tak olbrzymich. Daléj obyczaje ich, zwyczaje, religia, musiały się różnić zupełnie od istniejących u dzisiejszych Indyan. Mamy tu więc przykład, że na wielkiéj przestrzeni lądu, stosunkowo wysoki stan cywilizacyi ustąpił miejsca barbarzyństwu, nie pozostawiwszy po sobie żadnéj tradycyi, ani śladu wpływu na swego następcę.

Zdumiewającą jest zaiste zgodność świadectw, które nam przedstawia wyspa Wielkanocna i Ameryka Północna, świadectw rzucających światło na początek ras dzikich teraz tam mieszkających.

Gdyby nie pozostały pomniki na pierwszéj, gdybyśmy w kurhanach na terytoryum Stanów Zjednoczonych nie znaleźli różnych przedmiotów, prawie niepodobna byłoby przypuścić, że tam kiedyś inny mieszkał naród.

Ztąd wniosek, że pamięć o dawnym narodzie może bardzo łatwo zaginąć, a pozostałe po nim pomniki mogą na długo lub na zawsze pozostać nieznanemi... Lat temu kilkadziesiąt nic jeszcze nie wiedzieliśmy o rozwoju sztuk w Niniwie i Babilonie, a dopiero przed kilku laty, poznaliśmy fakta odnoszące się do tych, co usypali kopce w Ameryce Północnéj.

I inne części stałego lądu Ameryki przedstawiają nam toż samo zjawisko. Świeżo dokonane odkrycia wykazały, że w Meksyku i w Peru, przed rasą dzisiejszych Indyan, mieszkała rasa zupełnie odmienna i bardziéj ucywilizowana. Dowodzą tego rzeźby znalezione w ruinach miast Ameryki środkowéj, równie jak i najstarożytniejsze naczynia gliniane odkryte w Meksyku, nareszcie wazy ceramograficzne znalezione w Peru. Na wszystkich tych przedmiotach, rysy twarzy przedstawionych ludzi są zupełnie różne od typu rasy Indyjskiéj i raczéj zbliżają się do współczesnych nam Europejczyków. Znalezione także we wszystkich tych krajach starożytne czaszki bardzo się różnią od czaszek teraźniejszych tych okolic mieszkańców.

Mamy jeszcze jeden uderzający przykład ustąpienia cywilizacyi wyższéj przed oświatą od niéj niższą. Mówię tu o wielkiéj piramidzie egipskiéj, niedawno zbadanéj przez profesora Piazzi Szmyth. Doszedł on przez mierzenie do bardzo ciekawych rezultatów. Piramida ta oglądana i opisywana już była przez wielu egiptologów, jednakże dopiero teraz, po odkopaniu części podstawy, mogła być zbadana z dostateczną ścisłością. Profesor Smyth bardzo dokładnie zmierzył rozmiary tego pomnika i wielkość kątów, a z zestawienia wszelkich danych doszedł do następujących rezultatów.

1) Podstawa piramidy przedstawia kwadrat foremny, gdyż boki jéj są sobie równe a wszystkie kąty proste.

2) Cztery podmurowania, na których opierają się cztery kamienie węgielne, leżą na jednéj płaszczyznie.

3) Boki są dokładnie zwrócone ku czterem stronom świata.

Wysokość piramidy jest w tym stosunku do obwodu podstawy, jak promień do okręgu koła.

Wszystkie te wymiary, wszystkie te kąty i poziomy są dokonane z taką ścisłością, jakiéj pospolity inżynier lub budowniczy nie jest w stanie osięgnąć, — gdyż dla znalezienia w nich błędu

potrzeba najdoskonalszych przyrządów nowoczesnych i największych subtelności geodezyi. Dodać należy, że i wykonanie wnętrza piramidy dochodzi prawie do cudowności: ściany korytarzy i komnat są wyłożone olbrzymiemi głazami, z największą dokładnością do siebie przystającemi; w ogóle wszystkie części budowy dowodzą jak najlepszéj znajomości budownictwa.

Pod każdym względem ta wielka piramida przewyższa wszystkie inne, chociaż budowa jéj jest najstarożytniejszą w Egipcie i na całym może świecie, bo sięga nieledwie przedhistorycznych czasów.

Te dwie okoliczności wymagają głębszego zastanowienia. Są to fakta, które, według słów Johna Herschell, „stosownie do przyjętych teoryj, nie powinny by egzystować,“ a na które jednak powinniśmy baczną zwracać uwagę, bo one: „służą za punkt wyjścia do nowych odkryć.“ Podług dziś przyjętéj teoryi, każda cywilizacya wyższa następuje po niższéj, zkąd powstaje ciągły postęp, widoczny w ciągu całéj historyi i stwierdzony pomnikami pozostawionemi nam przez rozum ludzki. W przykładach, które przytoczyliśmy, dzieje się wprost przeciwnie, budowle bowiem wspomniane, sięgające czasów prawie przedhistorycznych, są o wiele wyższe pod względem dokładności i wspaniałości od późniejszych. Powié ktoś może, iż to nie dowodzi wysokości cywilizacyi narodu, lecz tylko genialności kilku jednostek. Ale wielcy ludzie są zawsze owocem swego czasu i otoczenia, a ten kto narysował plan podobnie cudownych pomników, ci którzy kierowali budową nie mogli wzrosnąć wśród nierozumnego i na pół barbarzyńskiego ludu.—Podobne dzieła każą przypuszczać, iż poprzedzały je inne mniéj doskonałe, które jednak do naszych czasów nie przechowały się. Świadczą nam one o kulminacyjnym punkcie cywilizacyi starożytnéj, któréj pierwszych faz nie znamy.

Jeżeli zestawimy te fakta z wielką potęgą umysłową starożytnych Greków—o któréj Galton mówi, że była wyższą od średniego rozwinięcia umysłowego każdego z narodów nam współczesnych—jeżeli zastanowimy się nad podniosłością rozumową i moralną widniejącą w pismach Konfucjusza, Zoroastra, lub w księgach Vedy, to dojdziemy do przekonania, że jakkolwiek postęp materyalny odbywał się jednostajnie, stopniowo, przedstawiał pewną ciągłość nieprzerwaną aż do naszych czasów, to jednak już w głębokiéj starożytności ludzkość doszła do szczytu rozwinięcia umysłowego i moralnego. Typy niższe bardziéj zbliżone do zwierzęcia, ale téż za to bardziéj energiczne, były zawsze liczniejsze, i dla tego narody, które wykształciły się pod wpływem wyższéj inteligencyi, były zawsze wystawione na napaść i zagładę z ręki

barbarzyńców. Nie omylimy się więc, gdy przypuścimy, że we wszystkich prawie częściach świata istniały specyalne cywilizacye, które w kolei przeciwnych losów ustępowały miejsca okresowi barbarzyństwa. Na potwierdzenie tego wniosku może nam posłużyć to, że wśród czaszek typu niższego znajdujemy takie, które mogłyby należyć do filozofów, a czaszki te pochodzą z okresu w którym renifer i mamut zamieszkiwały południową Francyą.

Jeżeli to, cośmy tu powiedzieli, jest prawdą, to większą część, a może i wszystkie ludy dzikie, możnaby uważać za pochodzące od ludów więcéj ucywilizowanych, a sztuki im znane, często wspólne kilku, w różnych strefach żyjącym narodom, mogłyby wypłynąć z jednego źródła wspólnego, biorącego początek u wygasłych ludów ucywilizowanych.

Szereg tych faktów dowodzi, że postęp ludzkości nie szedł po tak równéj i prostéj drodze, jak to powszechnie sądzono, i że w miejsce porównywania go do co raz potężniejszego potoku, właściwszém by było porównać go do wiosennego przypływu i odpływu morza: wznoszenie się i opadanie są tém większe, im fale cywilizacyi bardziéj się zbliżają do najwyższego możliwego poziomu. Obok tego wniosku, dochodzimy téż i do innego, nie mniéj ważnego, a mianowicie, że obecne nasze wiadomości o tym przedmiocie nie są tak dokładne, ani tak prawdziwe, jak je przywykliśmy uważać. I nic w tém dziwnego. Zdobycze naukowe XIX stulecia są wprawdzie ważne, doniosłe, zdumiewające, ale trudno wymagać, abyśmy w ciągu niespełna dwudziestu lat doszli od stanu zupełnéj niewiadomości aż do szczytu wiedzy, w dziedzinie dwóch tak obszernych i zawikłanych pytań, jakiemi są pochodzenie gatunków i starożytność człowieka.

Nowe odkrycie archeologiczne.

Na początku roku zeszłego, robotnicy pracujący w kamieniołomach wapienia jurajskiego w okolicach miasta Belfort we Francyi, rozbijali skały za pomocą dynamitu. Jeden z podobnych wybuchów odkrył przed ich oczyma mały otwór prowadzący do jamy, któréj rozległości i głębokości niepodobna było z zewnątrz ocenić. Odważniejsi weszli do pieczary z lampami, dla obejrzenia jéj wnętrza. Jakież było ich zdziwienie, gdy się znaleźli w obszernéj jaskini! Zdumienie ich zamieniło się w przestrach, gdy idąc daléj natrafili na czaszki i rozmaite inne kości ludzkie. Głęboka cisza nocy panowała w podziemiu,— żadnego wyjścia na zewnątrz, żadnego śladu życia, dostrzedz w niém nie mogli.

Wiadomość o tém odkryciu rozeszła się z prędkością błyskawicy. Wielka liczba robotników zaintrygowana tajemniczością odkrycia, rzuciła się do jaskini i zdruzgotała nogami wiele kości, których znaczenia naukowego ani się mogła domyślać.

Następnie zwiedziły jaskinię osoby kompetentne, — dla ocenienia ważności odkrycia. Pomiędzy niemi byli: pp. Parisot, mer Belfortu, autor „Geologii okolic Belfortu;“ Feliks Voulot, autor dzieła „Wogezy w czasie przedhistorycznym“ inżynier Youndt, p. Dietrich i t. d.

Z lewéj strony dna pieczary, wzrok komisyi uderzony został wspaniałym widokiem stalagmitowych kolumn, sprawiających wrażenie nagrobków z białego marmuru, w podziemnym cmentarzu. Przy świetle świec widok ten był prawdziwie magicznym.

Nie było to jednak złudzenie: widzowie mieli przed sobą prawdziwy cmentarz. Idąc ostróżnie po tym labiryncie głazów nagromadzonych na dnie, odkryto pewien systematyczny układ kamieni, na podobieństwo dolmenów. W komorach tych, na pół naturalnych, na pół sztucznych, ujrzano całe głowy doskonale zachowane, czaszki zdruzgotane lub wgłębione w stalagmity, kości łydkowe, udowe, łonowe, ramieniowe, promieniowe i t. d. rozmaitéj wielkości. Względnie do reszty ciała, głowy są nieco wzniesione. W niektórych miejscach jaskini, znaleziono noże z krzemienia wygładzonego, trzy piękne naczynia z czarnéj gliny, z uszami i rysunkami na powierzchni. Nadto, odkryto pierścienie z kamienia gładzonego, mające zapewne znaczenie bransolet, oraz matę plecioną z sitowia. W rozmaitych kierunkach dostrzeżono galerye, mniéj lub więcéj łatwo dostępne, a w jednéj z nich znaleziono nagromadzone dolmeny. Widocznie więc odkryto prawdziwy cmentarz z epoki krzemienia. Długość jego wynosi 36 metrów, a szerokość 10,— oprócz galeryj i jam bocznych do których one prowadzą.

Ze względu na naukową ważność tego odkrycia, wydano rozkaz zaprzestania robót w téj części kamieniołomów, zabroniono publiczności wchodzić bez pozwolenia do jaskini i kierownictwo poszukiwaniami powierzono wyżéj wspomnianemu p. Feliksowi Voulot. Zebrał on już dotychczas znaczny zbiór kości, które dają materyał do bardzo pouczających porównań i oceny pewnych warunków życia człowieka przedhistorycznego.

Główne okresy kultury człowieka.

Znany prof. Aleksander Ecker podaje w *Archiv für Anthropologie* (1876, tom IX, zeszyt I) następującą uwagę.

Wiadomo, że badacze skandynawscy odróżnili w Europie trzy główne okresy kultury: kamienny, bronzowy i żelazny. Podział ten zyskał sobie uznanie prawie wszystkich uczonych i został powszechnie wprowadzony do dzieł traktujących o przedhistorycznym człowieku — choć już dawno niektórzy niemieccy archeologowie, a szczególniéj Lindenschmidt, protestowali przeciw niemu. Jednakże teraz poglądy ich, długo nieuwzględniane, zaczynają brać przewagę w nauce.

Jeśli „wiekiem kamiennym“ nazwiemy okres, w którym człowiek nie używał jeszcze metali i wyrabiał broń wyłącznie tylko z kamienia,— innego zaś znaczenia termin ten mieć nie może,— to w takim razie znaczenie „wieku kamiennego“ stanie się bardzo ograniczoném. W grobowcach szwedzkich, które według archeologów należą do tego wieku, znajduje się nie tylko bronz ale i żelazo. Ściśle więc biorąc, grobowce te nie należą do okresu kamiennego, charakteryzującego się brakiem metali i wyłączném używaniem broni i naczyń z drzewa, kości i kamienia. Cechą tego okresu nie jest *istnienie* narzędzi kamiennych, ale *brak* metalowych, i dla tego też należałoby go raczéj nazwać okresem *przedmetalowym.* Do niego odnoszą się np. ślady człowieka w jaskiniach szwabskich.

Nie można także mówić o wieku „bronzowym“ w Europie, jeśli pod tym wyrazem rozumiemy czas w którym żelaza wcale nie używano, a broń i narzędzia wyrabiano tylko z jednego metalu — bronzu. Liczne fakta stanowczo dowodzą, że użytek żelaza znany był w najdawniejszych czasach, i że nie było oddzielnego wieku bronzowego — przynajmniéj w Europie. Można tylko wykazać, iż w niektórych razach, dla pewnych celów przenoszono bronz nad żelazo — nikt zaś nie dowiedzie, że poznano go pierwéj niż żelazo. Jeden z lepszych współczesnych nam metalurgów twierdzi, co następuje. „Ze stanowiska technicznego nic nie ma łatwiejszego od wydobycia kowalnego żelaza z odpowiedniéj rudy; według mnie jest to najprostszy proces metalurgiczny. Trzeba tylko przez kilka godzin prażyć na węglu drzewnym kawałek żelaziaka czerwonego lub brunatnego, aby odtlenienie mniéj więcéj dokładnie się odbyło,— a mieć będziemy żelazo, z którego łatwo nam będzie wykuć sztabki. Pierwotny sposób otrzymywania z rudy dobrego żelaza kowalnego, jest daleko prostszy od fabrykacyi bronzu, gdyż wyrób przedmiotów z tego spłynu wymaga znajomości otrzymywania miedzi, topienia cyny i sztuki formowania i odlewania. Dla tego też ze stanowiska metalurgicznego przyjąć należy, iż wiek żelazny był wcześniejszy od bronzowego. Archeolo-

gowie twierdzący, iż rzecz się ma wprost przeciwnie, powinni zwrócić uwagę na to, iż żelazo, w skutek swych własności łatwego utleniania się, nie może się przechować w ziemi tak długo jak miedź.“ Bardzo więc być może, iż tam, gdzie teraz tylko bronz napotykamy, istniało także żelazo, które zamieniwszy się na rdzę, spłókane zostało przez wody. Obserwacya współczesnych plemion nieucywilizowanych dowodzi, że pierwszym stopniem metalurgii jest kucie rudy żelaźnéj wyprażonéj, gdyż sztuka ta znana jest ludom, które się nigdy jeszcze z ucywilizowanemi narodami nie zetknęły, a wyroby z bronzu i miedzi są im zupełnie nieznane. Nadto, ponieważ w naszych czasach wyrób bronzu nie jest możliwy bez stali, więc stronnicy przeciwnego zdania powinniby przedewszystkiem dowieść, że dawniéj było inaczéj, że możliwe były inne sposoby.

Tak więc nie podobna oddzielać wieku bronzowego od żelaznego. Należy je połączyć w jeden okres, który za przykładem Giesebrechta (Baltische Studien, X, 2, 108) możnaby najlepiéj nazwać *wiekiem metalicznym*. Mielibyśmy wtedy zamiast trzech, dwa główne okresy kultury: *przedmetaliczny*, charakteryzujący się brakiem metali, i *metaliczny*, cechujący się bronią i narzędziami z kruszcu. Czy te dwa główne okresy można podzielić na drugorzędne, i na jakie mianowicie — to dopiéro rozstrzygnie dalszy rozwój nauki.

Bronisław Reichman.

Kronika miesięczna.

Pogadankę niniejszą zgodnie ze zwyczajami dziennikarskiemi powinienbym rozpocząć od krótkiego przeglądu faktów społecznych, jakie zaszły w upłynionym roku. Wolę to jednak odłożyć na później, raz dla tego, że mój rok kończy się dopiero w kwietniu, a powtóre dla tego, że w minionym okresie czasu nie widzieliśmy, tak znowu wielu wybitnych faktów. Niepokoje na Wschodzie, reforma sądowa, ogólna powinność końska, cła płacone złotem, otworzenie kolei obwodowéj warszawskiéj, tudzież Iwangrodzko-Łukowskiéj, wystawa w muzeum przemysłu i rolnictwa, kilka fabryk więcéj w kraju, 38 sklepów chrześciańskich powstałych na prowincyi. parę nowych pism, setki projektów niewykonanych i 21 ustaw różnych stowarzyszeń i instytucyi podanych pod zatwierdzenie a niezatwierdzonych, — oto treść naszego całorocznego budżetu. Że w społeczeństwie siły żywotne są, że istnieją wewnętrzne warunki postępu,—o tém chyba nikt nie wątpi. Ale że owe siły żywotne nie mogą się rozwinąć i że postęp jest bardzo słaby, to także nie ulega kwestyi. Ponieważ jednak roztrząsanie przyczyn tych dziwnych zjawisk zbyt daleko zaprowadzić by nas mogło, odkładamy je więc *ad acta*, w nadziei—że rok bieżący lepiéj nam się zasłuży.

W téj chwili mamy pod ręką wykaz różnych zakładów naukowych za rok 1876. Oto cyfry, które poprzedzimy wzmianką, że kraj nasz obecnie, posiada przeszło 6,5 milionów ludności. Dla duchowego tedy pożytku owéj ludności istnieją: 1 uniwersytet, 1 instytut rolniczo-leśny (Puławy), 1 szkoła rzemieślnicza wyższa (Łódź), 1 szkoła handlowa (prywatna), 1 szkoła techniczna przy warsztatach drogi Warszawsko-Wiedeńskiéj, 1 instytut głuchoniemych i ocie-

mniałych, 1 instytut muzyczny, 1 szkoła weterynaryjna i 2 szkoły rysunkowe (w Warszawie i Lublinie; ta ostatnia utworzona staraniem miejscowych rzemieślników). Prócz tego mamy następujące zakłady naukowe średnie: 3 szkoły siedmioklasowe realne, 18 gimnazyów klasycznych, 8 takichże progimnazyów, 9 seminaryów nauczycielskich, tudziez 12 szkół sześcioklasowych i 3 progimnazya trzyklasowe żeńskie. Trzecią grupę stanowią: 178 szkół prywatnych, 1 szkoła miejska trzyklasowa, 4 niedzielne handlowe i 103 rzemieślniczych niedzielnych. Szkoły elementarne wreszcie są: 51 dwuklasowych, 2,457 jednoklasowych i 68 szkół dla starozakonnych, między którémi znajduje się 23 prywatnych. Razem 2,925 zakładów naukowych.

Co do cyfr uczniów wymienionych instytucyi, takowych na rok 1876 nie posiadamy. Mamy natomiast wcześniejsze i dość pouczające, które przytoczymy.

I tak do szkół elementarnych uczęszczało:

rok	chłopców	dziewcząt	razem
1864	28,613	18,938	47,551
1865	34,345	18,978	53,323
1866	44,386	24,162	68,548
1867	50,926	28,137	79,063
1868	66,078	38,236	104,314
1869	71,666	39,418	111,084
1870	71,267	37,028	108,265
1871	73,766	37,763	111,529
1872	72,669	38,882	110,554
1873	78,911	43,603	122,514
1874	83,950	47,310	131,260

Z tabliczki téj okazuje się, że dziewczęta stanowią trochę więcéj niż trzecią część uczniów szkół elementarnych, i że liczba dzieci pobierających tam naukę szybko wzrasta.

Co się tyczy szkół średnich, te przechodziły kryzys bardzo ciężką, jak widać z następującéj tablicy.

	Liczba uczniów	
	w r. 1873	w r. 1874
Gimnazya męskie	6,569	4,875
Progimnazya męskie	1,320	923
Gimnazya realne	612	478
Progimnazya realne	145	100
Gimnazya żeńskie	1,480	1,381
Wzorowe szkoły elementarne	405	385

Lepiéj więc nierównie pod względem rozwoju stały:

	Liczba uczniów	
	w r. 1873	w r. 1874
Kantoraty ewangielickie	15,519	15,365
Szkoły prywatne	4,447	5,866
Wyższa szkoła rzemieślnicza w Łodzi . .	175	187
Szkoła weterynarzy	55	83

Bez porównania ciekawszą będzie tabliczka obejmująca ilość uczniów, którzy opuścili szkoły przed ukończeniem kursu i z patentami, tudzież stosunek ich do cyfry ogólnéj. Szkoda że tablicę podobną utworzyć możemy tylko za rok 1873.

	Opuścili szkołę			
	Przed ukończeniem kursów	% liczby ogólnéj	Ukończywszy kursa	% liczby ogólnéj
Gimnazya męskie	2,095	31,8%	148	2,2%
Progimnazya męskie	304	23%	85	6,4%
Gimnazya realne	149	24,3%	20	3,2%
Progimnazya realne	52	38,8%	5	3,4%
Gimnazya żeńskie	185	12,5%	65	4,4%
Wzorowe szkoły elementarne . .	39	9,6%	100	24,7%
Kantoraty ewangielickie	1088	7%	1426	9,2%
Szkoły prywatne	918	20,8%	438	9,8%
Wyższa szkoła rzemieśl. w Łodzi	35	20%	6	3,4%
Szkola weterynarzy	5	9%	9	16,%
Instytut gospodarczo-leśny (było studentów 54)	12	22,2%	10	18,4%
Uniwersytet (było studentów 667)	?	?	96	14,4%
Szkoły elemen. (było uczn. 78,911)	19,304	24,4%	8,590	10,9%

Jeden rzut oka na tę pstrociznę cyfr pokazuje, że mimo wielkiéj liczby zakładów naukowych sprawa oświaty stoi u nas nie najlepiéj. Tylko we wzorowéj szkole elementarnéj, w szkole weterynarzy i w kantoratach ewangielickich więcéj uczniów ukończyło zakład aniżeli opuściło go przed czasem. W innych instytucyach rzecz się miała przeciwnie, a w gimnazyach np. 14 razy większa liczba porzuciła naukę aniżeli otrzymała patenta.

Co się tyczy szkół elementarnych, bodaj czy nie najważniejszych, imponują one cyfrą i szybkim rozwojem, lecz i o nich wiele

dałoby się powiedzieć. W r. np. 1873 na 2,090 szkółek w 28 z nich brakowało nauczycieli; w tym samym roku ledwie $^1/_{10}$ ukończyła naukę, więcéj zaś niż $^1/_5$ opuściła szkołę przed czasem. Dzieje się to naturalnie za wiedzą rodziców, którzy jak widać nie mają zaufania do szkoły.

Z téj saméj dziedziny wspomnieć wypada jeszcze o dwu niepomyślnych faktach. Pierwszym z nich jest: mała liczba upoważnionych od rządu nauczycieli prywatnych; w roku bowiem 1875 było ich w Królestwie 427 tak zwanych wyższych i 475 niższych. Drugim z tych faktów jest: zmniejszanie się ilości odczytów publicznych w Warszawie. Gdy bowiem w roku $187^4/_5$ mieliśmy ich 27 w języku polskim, 6 w rossyjskim i 3 w niemieckim, – w roku $187^5/_6$ było 15 polskich, 8 rossyjskich i 2 niemieckie. Pierwotny zapał prelegentów widocznie ostygł, do czego nie mało przyczyniła się zapewne brak odpowiedniéj sali. Sami znamy wypadek, że pewna instytucya odmówiła w lokalu swoim miejsca na odczyt, z powodu mającéj się tam odbyć zabawy tańcującéj, która swoją drogą do skutku nie doszła.

Początek bieżącego roku przyniósł nam mnóstwo różnych pogłosek, między któremi najbardziéj interesujące wszystkich dotyczyły mających jakoby nastąpić reform w wyższych i niższych zakładach naukowych. Uważamy za obowiązek jak najuroczyściéj zaprzeczyć tym plotkom, najmniejszéj jak dotąd nie mającym podstawy i przez nic nieusprawiedliwionym, dodając od siebie, że jak po dziś dzień, tak i nadal, uczciwi i dbali o dobro swych dzieci rodzice, szczególną powinni zwrócić uwagę na wychowanie domowe. Tylko ono może uzupełnić braki edukacyi szkolnéj, tylko od niego spodziewać się możemy ulepszeń, które od nas samych w zupełności zależą.

Od stanu ogólnego oświaty w kraju, przejdziemy obecnie do zjawiska śmiertelności w Warszawie. Pan prezydent miasta, polecił zebrać cyfry zmarłych za lata 1873, 1874 i 1875 i uporządkować je w kilka grup.

Pierwsza z nich obejmuje tylko wyznanie rzymsko-katolickie, które liczyło w roku 1875 członków 172,818 czyli 57,9 % ogólnéj ludności miasta. Zmarli podzieleni są na parafie, stosunek zaś ich do żyjących przedstawia się jak niżéj:

W parafii:	Umarło na 1,000 mieszkańców			Średnio z 3-ch lat	
	1873	1874	1875		
Ś-go Alexandra	67,71	54.01	57,07	59,60	Umarło więcéj 40 na 1,000 mieszkańców.
Na Pradze	82.16	38,63	44,76	55,18	
Ś-go Andrzeja	52,36	35,26	35.27	40.96	
Ś-go Antoniego	47.45	31,79	32,55	37.26	Od 30 do 40 zmarłych na 1,000 mieszk.
Ś-éj Barbary	39,68	38,02	31,06	36.25	
Panny Maryi	35,85	28,40	31,35	31,87	
Ś-éj Trójcy	36,68	28,87	25,58	30,38	
Narodzenia Panny Maryi	29,60	27,28	27,21	28,03	Umarło mniéj niż 30 na 1,000 mieszkańców.
Ś-go Jana	30,50	25,33	26,96	27,60	
Wszystkich Świętych . .	29,60	26,43	25,19	27,07	
Przemienia Pańskiego . .	28,15	20,45	20,83	23,14	
Ś-go Krzyża	21,62	15,56	16,65	17,94	
Razem .	55,28	44,82	44,22	48,11	

Jako wyjaśnienie dodać wypada, że w parafii Ś-go Aleksandra zapisano nie tylko zmarłych we własnych domach, lecz i zmarłych w szpitalach. Parafia zaś Ś-go Krzyża, zmarłych w szpitalu leżącym w jéj obrębie opuściła, skutkiem czego wypadła tak ogromna różnica między cyframi jednéj i drugiéj parafii.

Tabliczka druga obejmuje ogólne cyfry zmarłych: prawosławnych, unitów i protestantów.

	Umarło na 1,000 mieszkańców			Średnio z 3-ch lat
	1873	1874	1875	
Wyznania prawosławnego (ludn. 1875 roku (9826 —3,29 %)	59,19	42,67	39,09	46,98
Unitów (ludn. 1875 roku 208—0,07 %)	20,72	56,16	47,92	41,60
Protestantów (ludn. 1875 r. 15,766—5,28 %)	45,81	48,48	35,35	43,21

Tabliczka trzecia dotyczy starozakonnych podzielonych według cyrkułów.

	Umarło na 1,000 mieszkańców			Średnio z 3-ch lat	
	1873	1874	1875		
Wyznania Mojżeszowego (ludn. 1875 roku 99,698 —33,42 %)					
w Cyrkule 12	104,24	63,35	53,03	73,54	Um. więcéj niż 40 na 1,000 m.
» 4 . . . ,	58,81	42,75	38,03	46,53	
» 10	46,98	43.73	27,49	39,40	Um. od 30 do 40 na 1,000 mieszkańców.
» 5/6	41,63	34,89	26,61	34,38	
» 7 . , . .	44,50	27,64	26,27	32,80	
» 8	40,02	28,02	26,72	31,59	
» 9	40,58	27,13	25,02	30,91	
» 1/11	36,22	22,23	21,48	26,64	Um. mniéj niż 30 na 1,000 m.
» 2/4	28,—	25,74	24,09	25,94	
Razem . .	48,56	34,54	29,84	37.65	

W cyfrach powyższych uderza jeden ważny szczegół, ten mianowicie: że pomiędzy ludnością starozakonną śmiertelność jest o wiele mniejsza aniżeli między ludnością katolicką.

Ostatnia wreszcie tablica obejmuje liczby zmarłych bezwzględne i procentowe, ugrupowane według miesięcy. Cyfry te najwymowniéj dowodzą potrzeby letnich mieszkań w okolicach Warszawy, w któréj śmiertelność podczas lipca, sierpnia i września jest największą. Zwracamy jednak uwagę osób, mogących na kanikularne miesiące opuszczać miasto, aby czyniły to w początkach czerwca, — w tym już bowiem czasie rozpoczynają się choroby, objawiające się następnie gwałtownym wzrostem śmiertelności.

Oto owa tablica:

Miesiąc	Wyznania Rzymsko-Katol. 58% ludności ogólnéj		Wszystkich wyznań chrześciań. 66½% ludności ogólnéj		Wyznania Mojżeszowego 33½% ludności ogólnéj		Ludności ogólnéj miasta	
	L. ogólne	— Stosunkowe	I. — ogólne	C. — Stosunkowe	Z. — ogólne	B. Stosunkowe	— Y. ogólne	— Stosunkowe
Styczeń .	579	7,12	665	7,26	255	7,47	920	7,31
Luty . .	592	7,28	674	7,35	215	6,30	889	7,07
Marzec .	633	7,79	709	7,74	228	6,68	937	7,45
Kwiecień	613	7,54	700	7,64	236	6,90	936	7,44
Maj . .	628	7,72	708	7,72	240	7,03	948	7,54
Czerwiec.	656	8,07	740	8,07	262	7,67	1002	7,97
Lipiec .	786	9,67	896	9,78	404	11,83	1300	10,33
Sierpień .	923	11,35	1059	11,55	533	15,61	1592	12,66
Wrzesień	807	9,92	898	9,80	329	9,64	1227	9,75
Październik	660	8,12	742	8,10	256	7,50	998	7,93
Listopad.	622	7,65	688	7,51	230	6,74	918	7,30
Grudzień.	632	7,77	687	7,50	226	6.62	913	7,26
Rok cały	8131	100	9166	100	3414	100	12580	100

Gdy zwrócimy teraz uwagę na wielką śmiertelność w naszém mieście i na rozmaite jéj natężenie w różnych dzielnicach, nie zdziwimy się najświeższemu rozporządzeniu władz policyjnych, według którego zmarły nie może zostać pogrzebanym dotąd, dokąd lekarz nie wyda opinii o przyczynie jego śmierci, innemi słowy: o chorobie na jaką umarł. Zbieranie wiadomości podobnych, znane już w innych miastach europejskich, dla nas jest ważniejsze o tyle, że śmiertelność u nas jest bezporównania większą niż gdzieindziéj i że zatém należałoby już raz poznać choroby najpospolitsze, aby stłumić je o ile takowe zależą od złych miejscowych warunków higienicznych. Mimo to, rozporządzenie o którém mowa, nie zadawalnia nas, wątpimy bowiem aby wydało spodziewane rezultaty.

W sprawie téj dwa główne zarzuty sformułować się dadzą: pierwszym z nich jest wzgląd na koszta jakie dotkną ludzi ubogich w ogóle, a w szczególności starozakonnych, którym religia nakazuje grzebać umarłych jak najśpieszniéj. Drugi zarzut jest tu bez porównania ważniejszy, a mianowicie ten, że oględziny pośmiertne zmarłych którzy się nie leczyli w czasie choroby, wydadzą bardzo niepewne rezultaty. Z tych powodów sądzimy, że w kwestyi zbadania chorobliwości Warszawy, nierównie większe usługi oddałby projekt *Towarzystwa lekarzy lubelskich*, którzy po-

stanowili: składać miesięczne raporta o liczbie i rodzaju obserwowanych w prywatnéj praktyce chorób.

Zresztą, jakkolwiek jest, cieszymy się, że zwrócono już uwagę na higieniczny stan naszego miasta i pragniemy, aby badania podobne rozszerzyły się na cały kraj. Ludzie u nas przecięciowo krócéj żyją niż wśród innych ucywilizowanych społeczeństw,— chorób jest mnóstwo,— śmiertelność między dziećmi zastraszająca; podczas gdy z drugiéj strony wiadomo, że w odwiecznéj walce o byt, siły fizyczne i zdrowie są najpierwszymi warunkami lepszych widoków na przyszłość, kto wié, o ile bylibyśmy szczęśliwsi, gdyby nasze dzieci były staranniéj pielęgnowane, gdyby ludzie dorośli lepiéj się odżywiali, gdyby wreszcie, bardziéj niż dziś, upowszechniły się: zamiłowanie czystości, gimnastyka, znajomość higieny i zaufanie do lekarzy?...

Niezbyt dawno *Gazeta Warszawska* roztrząsała kwestyą braku opieki lekarskiéj nad ludnością wiejską i jako jeden z najważniejszych powodów tego braku zacytowała: *koszta*. Pewien np. oficyalista prywatny, pobierający 100 rubli pensyi rocznéj, wydał, w ciągu kilkotygodniowéj choroby, na samą aptekę rs. 62 kop. 85, choć lekarstwa były bardzo proste i pospolite. I czyż podobna biedakowi, w obec tak wysokiéj taksy aptecznéj, myśléć o systematycznéj kuracyi? Słusznie w obec tego, radzi gazeta zwrócić się do środków domowych, szczególniéj w mniéj powikłanych przypadłościach,— jednocześnie zaś rzuca myśl: aby który z lekarzy naszych wydał książkę lekarsko-higieniczną dla ludu. Dziełko takie należałoby wydrukować w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i sprzedawać po możliwie nizkiéj cenie,— autorowi zaś przeznaczyć odpowiednią nagrodę.

Dla ludności wiejskiéj, jak na dziś, książka podobna byłaby bardzo użyteczną; na wsiach bowiem brak przedewszystkiem lekarzy. Mieszkańcy miast inaczéj urządzićby się mogli.

Niedawno, bo dopiéro 30 listopada r. z., zmarł w Kaliszu w 37 roku życia, doktór *Franciszek Czajczyński*, twórca miejscowego *Stowarzyszenia pomocy lekarskiéj*. Członkowie tego towarzystwa w liczbie 200 płacili miesięcznie pewną stałą i niewielką składkę, za co w czasie choroby mieli pomoc lekarską bezpłatnie. Otóż nie godzi się, aby ten znakomity pomysł, razem ze swoim twórcą do przedwczesnego grobu wstąpił. Już po wiele razy zwracaliśmy na niego uwagę publiczną i czynimy to dziś jeszcze, tym razem adresując się wprost do Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego. Rozpatrzcie panowie tę myśl zmarłego kolegi, może ona da się zastosować do Warszawy i innych miast, a może do podobnych

stowarzyszeń pomocy lekarskiéj i apteki dałyby się wciągnąć?... Dla publiczności stały a niewielki wydatek, zastępujący miejsce niezwykłych kosztów ponoszonych w czasie choroby, byłby prawdziwą ulgą; lekarze również nie straciliby na tém.

Mówiąc o Warszawskiém Towarzystwie Lekarskiém, uważamy za właściwe nadmienić, że istnieje ono już od lat kilkunastu i odbywa posiedzenia, z których prawie każde przedstawia dla publiczności pewien interés. Na nieszczęście pisma nasze o sesyach tych zachowują głębokie milczenie, z wyjątkiem *Wieku*, który sprawozdania z posiedzeń systematycznie w szpaltach swoich pomieszcza. Dla okazania praktycznéj wartości działań Towarzystwa, streścimy jedną z jego prac: „o często zdarzających się u nas skaleczeniach przy obsłudze machin rolniczych.“

Jeszcze w roku 1862 projekt badań w tym kierunku podany został przez doktora Szokalskiego. Dla urzeczywistnienia téj myśli utworzony został specyalny komitet i rozpisano odezwy do szpitali i lekarzy wolno praktykujących, z prośbą o nadsyłanie opisu odpowiednich faktów, jakie przytrafiły się w r. 1861. Skutkiem tego otrzymano wykazy tylko z 35 szpitali, reszta zaś szpitali (około ⅓ ogólnéj cyfry) i lekarze wolno praktykujący, na wezwanie nieodpowiedzieli. Tym sposobem zebrano opisy 378 przypadków ciężkich okaleczeń, z których 225 wyłącznie odnosiło się do r. 1861; na podstawie zaś tych cyfr dr. Szokalski wywnioskował, że już w owéj epoce, obsługa machin rolniczych powodowała około 400 okaleczeń rocznie.

Ważna ta sprawa została następnie zapomnianą i dopiéro za dni naszych podniósł ją po raz drugi młody, niepospolitego umysłu lekarz Dobrzycki z Mieni, który, przedsięwziąwszy nowe poszukiwania, w ciągu trzechletniéj pracy zgromadził 1107 przypadków okaleczeń leczonych w szpitalach Królestwa. Lecz i ta cyfra zdaniem doktora Dobrzyckiego, odpowiada ledwie ⅔ powierzchni kraju; przypuszczalnie więc, w ciągu trzech lat ostatnich, trafiło się około 1600 okaleczeń ciężkich, nie licząc już mnóstwa drobniejszych.

Z ogólnéj ilości 1485 ważniejszych wypadków, o których wiadomość pochodzi z dwu powyżéj zacytowanych źródeł badania, większa ich część znaną jest dokładnie i obejmuje 1269 ofiar; w téj ostatniéj liczbie mieści się 842 mężczyzn, 226 kobiet i 201 dzieci od lat 3 do 15. Najczęściéj zdarzały się wypadki u silnych i zdrowych robotników i robotnic między 17 i 45-m rokiem życia. Między okaleczonémi dziećmi 2 razy więcéj przypadało na płeć męzką niż żeńską; między młodzieżą stosunek płci męzkiéj do żeńskiéj był

jak $2\frac{1}{2}$ do 1, a między dorosłemi 5 razy więcéj mężczyzn niż kobiet ulegało nieszczęściu.

Powyżéj zacytowane wypadki posłużyły do oznaczenia stopnia niebezpieczeństwa przy rozmaitych machinach i ich częściach składowych. Najwięcéj wypadków zdarza się przy młocarniach (771), mniéj przy sieczkarniach (378), najmniéj przy młynkach (35). Z pomiędzy zaś części składowych machin, najniebezpieczniejsze są koła zębate (wypadków 580), daléj cepy przy młocarniach (299), walce chwytające słomę w sieczkarniach (123), kosy (122), pasy nieosłonione (62), wał (60), kierat zwłaszcza dolny (20), koło szalone (10).

Co do natury ran przez machiny zadawanych, są one straszliwe i dotyczą głównie kończyn górnych i dolnych. Śmiertelność wprawdzie przy nich jest mniejsza niż przy ranach na wojnie, lecz kalectwo zupełniejsze.

Przyczyny tych nieszczęść zależą: 1) od budowy machin, 2) od ich ustawienia, 3) od robotnika, 4) od braku dozoru.

Co do budowy i ustawienia, zwrócić należy uwagę, że tam gdzie niema przystępu do kół trybowych i szalonych, gdzie pasy i walce są troskliwie zasłonięte, gdzie machina znajduje się w miejscu widném i obszerném, nie zaś ciemném i ciasném i— gdzie prócz tego, nad robotnikami jest rozciągnięty ciągły i troskliwy dozór,— tam prawie że niezdarzają się wypadki okaleczeń. Na nieszczęście, już to z winy fabrykantów, już z winy monterów i posiadaczy machin, warunki te po większéj części są niespełniane.

Co do robotników, ci narażają się na niebezpieczeństwo z powodu nieumiejętnego obchodzenia się z machiną, roztargnienia lub nietrzeźwości, przy podsuwaniu zboża pod cepy młocarni lub słomy pod noże sieczkarni,— przy podawaniu snopów, poganianiu koni w maneżu, lub smarowaniu trybów w czasie biegu machiny. Nie małą téż przyczynę nieszczęść stanowią: długie spódnice i kożuchy, rozpięte kaftany, a nawet wiszące warkocze.

Taka jest treść interesujących badań roztrząsanych przez Tow. Lekarskie. Pożądaném byłoby, aby rezultaty ich doszły do wiadomości ziemian posługujących się machinami; rozbudziłyby one niewątpliwie w sercach ich głos obowiązku i uratowały od kalectwa choć pewien procent tych setek nieszczęśliwych ofiar, które dziś, corocznie powiększają zastępy nędzarzy.

Że i u nas światli pracodawcy troszczą się dolą swoich robotników, wymownym dowodem jest fakt następujący.

Wiadomo że nasz ogół a osobliwie klasy pracujące prawie że nie robią oszczędności, żyją z dnia na dzień i skutkiem tego w czasie bezrobocia, nieraz z powodu kilkudziesięciu albo nawet

kilkunastu rubli, wpadają w ciężką biedę i cięższe jeszcze od niéj stosunki z lichwiarzami. Znając to położenie robotników, firma Lilpop, Rau i Löwenstein, a mianowicie ten ostatni jéj wspólnik, umyślił zachęcić robotników swoich do oszczędności.

Istnieje w zakładach fabrycznych zwyczaj, że robotnicy stosownie do stopnia (majstra, czeladnika, lub pomocnika) wnoszą do kasy braterskiéj, na rzecz chorych 20 do 30 kop. co dwa tygodnie. Otóż firma wydatek na chorych pokryła i pokrywa własnemi funduszami, żądając nawzajem, aby robotnicy w tych samych co pierwéj terminach *wnosili do kasy oszczędnosci*, naturalnie już na rzecz swoją, pewną drobną kwotę zależną od wysokości pensyi.

Początkowo do składki téj zobowiązano wszystkich, dano każdemu oddzielną książeczkę i postanowiono, gdy który z nich zebrał rs. 50, przelewać sumę tę do Kasy Przemysłowców, gdzie jest i większy procent i dywidenda. Na nieszczęście jednak nie wszystkim robotnikom podobała się mimowolna oszczędność i wielu z nich, uciuławszy kilkanaście rubli, opuszczali fabrykę dla tego tylko, aby skromne oszędności swoje wycofać.

Okoliczność ta wpłynęła na zmianę systemu. Postanowiono, że odtąd ci tylko, którzy po wejściu do fabryki dłuższy czas w niéj pozostaną, otrzymywać będą książeczki, które w razie opuszczenia przez nich fabryki nie prędzéj wydane im zostaną, aż we dwa miesiące po wyjściu. Środek ten istotnie dobre wydał rezultaty.

Uważamy wreszcie za właściwe dodać, że gdy który z uczestników dotknięty zostanie nagłą potrzebą, wówczas fabryka udziela mu bezprocentową pożyczkę z funduszów własnych.

Po tych objaśnieniach przypatrzmy się rachunkom.

Rok		*Liczba uczestników kasy oszczędności*		*Kapitał ogólny*		*Wypada na jednego*
1874	—	1555	—	rs. 14,298 kop. 35	—	rs. 9 kop. 19
1875	—	1479	—	„ 28,350 „ 50	—	„ 19 „ 16
1876	—	1489	—	„ 37,472 „ 64½	—	„ 25 „ 16

Podobny wzrost kapitałów ma miejsce i w Kasie Przemysłowców.

Rok		*Liczba uczestników*		*Kapitał ogólny*		*Wypada na jednego*
1874	—	4	—	rs. 200	—	rs. 50 kop. —
1875	—	25	—	„ 1,705	—	„ 68 „ 20
1876	—	154	—	„ 10,135	—	„ 65 „ 80

Po trzechletniéj przymusowéj nauce. oszczędność między robotnikami téj fabryki poczyna wchodzić w zwyczaj, i dziś wielu z nich dobrowolnie poczynają odkładać do kasy część dwutygodniowéj pensyi przechodzącą obowiązkową składkę. Dzięki temu systemowi fabryka Lilpop, Rau i Löwenstein, stała się w kraju naszym nie tylko najpierwszą fabryką wyrobów żelaznych, ale i najpierwszą szkołą oszczędności. Niepotrzebujemy zapewne dodawać, o ile byłoby pożytecznóm, gdyby i inne podobne zakłady naśladowały ten przykład obywatelski. Rozwodzić się jednak nie będziemy, wiedząc aż nadto dobrze, ‘że każdy czyn uczciwy i rozumny poprzedzić musi pewna dojrzałość umysłowa i moralna, która we wszystkich krajach należy do najrzadszych towarów.

Przechodzimy teraz do sądów. Dzielą się jak wiadomo na okręgowe, zjazdowe, sądy pokoju i gminne. Z pośród nich trzy ostatnie zajmują nas najbardziéj, z tego powodu, że: roztrząsają one sprawy mniejszéj wagi i zatargi codzienne, a więc na ogół największy wpływ wywierają.

W téj chwili posiadamy materyaly dotyczące spraw w Warszawskich sądach pokoju. Czerpiemy je z *Gazety Polskiéj*, która otworzyła dla nich osobną rubrykę i opracowanie ich powierza ludziom fachowym, a w kwestyach tego rodzaju doświadczonym.

Jest rzeczą naturalną, że ogół wyroków zapadających w sądach pokoju odpowiada wymaganiom prawa. Ponieważ jednak zarówno same instytucye, jak i ludzie zasiadający w nich znajdują się w otoczeniu zupełnie dla siebie nowém, wśród którego wymiar sprawiedliwości pod wieloma względami spełniał się trybem odmiennym, nic więc dziwnego, że pewien procent zapadających wyroków, nie zgadza się z dotychczasową naszą praktyką sądową. Zdaniem téż naszém najbardziéj interesującą stronę nowych sądów, stanowią właśnie owe zboczenia od wyobrażeń ogólnych; społeczeństwo bowiem nie tego uczy się co już zna, ale tego co jest dlań nowością; do sądów pokoju przychodzi wiele spraw o zwrot długu, zaciągniętego przed wprowadzeniem nowych ustaw, na który to dług powód nie posiada rewersu, jako zaś dowód przytacza zeznania świadków. Otóż, jakkolwiek obowiązujące jeszcze u nas prawo cywilne materyalne do ważności zawarcia pożyczki nie wymaga dowodu piśmiennego, jakkolwiek nowa ustawa uznaje dowód z badania świadków tam gdzie prawo nie wymaga dowodów piśmiennych, niemniéj jednak sprawy o zwrot długu nie poparte istnieniem rewersu sędziowie oddalają. Opierają się w tym wypadku na wyroku Kasacyjnego Departamentu Senatu z d. 23 maja

1873 r., który uznał za niedopuszczalne badanie świadków w sprawie długu.

Wierzyciel, na mocy rewersu podpisanego solidarnie przez dwu dłużników, zapozwał jednego o zwrot całkowitéj sumy. Jakkolwiek według obowiązującego jeszcze kodeksu cywil. francuz. dłużnik obowiązany był zapłacić całą sumę i mógł tylko u współpodpisanego upominać się o zwrot przypadającéj na niego części, sędzia tego nie uwzględnił i zobowiązał pozwanego do zapłacenia połowy należności. Wyrok oparty był na zasadzie, że ponieważ dwu zaciągnęło dług, a jeden był tylko zapozwany, więc solidarność znikła.

Dwie kobiety pokłóciły się we wspólném pomieszkaniu i jedna z nich wystąpiła ze skargą o obelgi. Sędzia, z powodu wzajemności obelg obwinioną uwolnił, lecz natomiast obie skazał na cztery dni aresztu za naruszenie spokojności publicznéj. Skarżąca zaapelowała do sądu zjazdowego, który faktu naruszenia spokojności publicznéj nie uznał i skarżącą uwolnił; druga z kobiet uległa skutkom wyroku sędziego, ponieważ go nie zaskarżyła. Powinnoby to stanowić naukę dla osób nie lubiących bawić się w formalności; w obecnym bowiem wypadku zaniedbanie form pociągnęło za sobą taką karę jak występek.

Stosunki dotychczasowe pomiędzy tak zwanym panem i sługą, uświęcone zwyczajami i co ważniejsza, określone przez prawo cywilne jeszcze obowiązujące u nas, będą musiały uledz ważnym zmianom, jak tego następne fakta dowodzą.

Służący zapozwał dawnego chlebodawcę o zwrot pensyi kwartalnéj w ilości jakoby rs. 12, [z której to sumy pozwany przyznawał mu tylko rs. 3. Sędzia oddalił powoda z całkowitą pretensyą z tytułu braku piśmiennéj umowy, które to prawo jeszcze nie obowiązuje u nas.

Powożący dorożkarz przejechał kobietę, która skutkiem tego przez kilka tygodni leczyć się musiała. Właściciel dorożki dał jéj na razie rs. 4, gdy zaś dalszego płacenia kosztów odmówił, mąż choréj wytoczył mu proces o zwrot rs. 40 za koszta kuracyi. Sędzia, nie biorąc pod uwagę przedstawionego mu świadectwa lekarza, uznał, że rs. 4 dane pokrzywdzonéj pierwotnie, było aktem łaski i wydał wyrok oddalający pretensyą powoda. Wprawdzie właściciel dorożki nie był w tym wypadku powożącym, lecz według dotychczas obowiązującego kodeksu, powinien być odpowiedzialnym, za szkody przez służącego zrządzone.

Niemniéj pouczającym jest przykład stosunku między kundmanem i rzemieślnikiem. Malarz pokojowy domagał się od po-

zwanéj zwrotu 18 rs. za robotę. Pozwana twierdziła, że już 8 rs. oddała samemu majstrowi, zaś czeladnikowi przysłanemu przez niego doręczyła 10 rs. jakoby na zakupienie farby. Jakkolwiek czeladnik potwierdził wyjaśnienie pozwanéj co do otrzymania rs. 10, sędzia wszakże, mając na uwadze, że pozwana dała té pieniądze nie żądając złożenia sobie rachunku za roboty, skazał ją na zapłacenie i owych 10 rs. i 8 rs., których otrzymania powód zaprzeczył. Dodać należy, że w postępowaniu sądowém w téj sprawie użyte były trzy języki: pozwana bowiem mówiła tylko po niemiecku, odpowiedzi zaś jéj jedna osoba tłómaczyła na język polski, druga zaś na rosyjski.

W sądach pokoju milicyanci odegrywają bardzo często rolę tłómaczy. Tak np. w sprawie o nieprawne stręczenie sług, milicyant reprezentujący władzę policyjną a więc oskarżyciela, tłómaczył zeznania oskarżonéj, która ostatecznie skazaną została na karę rs. 3 lub trzy dni aresztu. Gorzéj jednak mogło się stać w innym wypadku. Pewien właściciel bawaryi, oskarzył stróża z tego samego domu o kradzież stolika i kufli. Stróż zaprzeczał kradzieży i twierdził, że wymienione przedmioty od kilku lat są jego własnością. Powołani świadkowie nie rozumiejący po rosyjsku, porozumiewali się z sędzią za pośrednictwem milicyanta i złożyli zeznanie niezaprzysiężone, z których w rezultacie wynikło, że stróż skazany został na 3 miesiące wieży.

Obwiniony zaapelował do sądu zjazdowego, w którym znalazł się tłómacz przysięgły i świadkowie także złożyli przysięgę. Tym razem jednak zeznania ich wypadły stanowczo na korzyść stróża, którego sąd od kary uwolnił.

Po tém chwilowém zboczeniu do tłómaczeń w sądach pokoju, przechodzimy znowu do stosunków cywilnych.

Gospodarz oskarżył lokatorkę o niezapłacenie mu lokalu za dwa miesiące i zażądał natychmiastowéj exmisyi. Sędzia oświadczył, że powód zawcześnie żądał wyrugowania lokatorki, ponieważ kwartał jeszcze nie upłynął i skazał tymczasowo pozwaną na zwrot komornego za dwa miesiące, nie uwzględniając wyraźnego warunku kontraktu o natychmiastowéj exmisyi.

Właścicielka dorożki kupiła, za pośrednictwem faktora, konia za 40 czy 50 rs. W parę tygodni potém koń zdechł, a weterynarz zaopiniował, że przyczyną śmierci były zołzy, na które koń od dawna musiał chorować. Skutkiem tego, właścicielka dorożki nie znając nazwiska tego, który jéj konia sprzedał, zapozwała faktora o zwrot wydanych pieniędzy. Faktor tłómaczył się, że przecież nie on konia sprzedał, że jest tylko pośrednikiem i odpowiedzial-

ności za dobroć konia nie przyjmował, że wady konia nie były mu znane; wreszcie podał nazwisko i miejsce zamieszkania sprzedawcy. Nic to jednak nie pomogło, i tak sędzia pokoju, jak sąd zjazdowy, skazał go na zwrot ceny konia. Prawo handlowe jednak porównywa faktorów do pełnomocników, którzy za czyny swoich mocodawców odpowiedzialnymi nie są.

Opierając się na opinii kominiarza, policya zaskarżyła właściciela domu o nieprzebudowanie z gruntu kominów. Właściciel ze swéj strony przedstawił świadectwo budowniczego miasta, który twierdził, że kominy reperacyi żadnéj nie potrzebują, ponieważ są w dobrym stanie. Sędzia dokumentu budowniczego nie przyjął, właściciela zaś domu skazał na karę pieniężną i reperacyą kominów. Sprawozdawca robi przy okazyi téj uwagę, że jeżeli zaskarżenie policyi ma być decydujące, to po co sprawa idzie pod rozpoznanie sądu; jeżeli zaś przedmiot oddano pod rozbiór sądu, to dla czego nie uwzględniono świadectwa budowniczego i w jaki sposób właściciel wykona roboty, których do zrobienia nie było i nie ma?

Posiadający rewers na 150 rs. wystawiony jeszcze przed wprowadzeniem nowych ustaw, zażądał od dłużnika zwrotu sumy; pozwany zaś, deferował mu przysięgę na tę okoliczność, że dług całkiem został spłacony. Pełnomocnik wierzyciela, opierając się na odnośnych artykułach ustawy sądowéj, oświadczył, że w obecnym razie o przysiędze mowy być nie może, ponieważ strony o to się nie porozumiały i podania o przysięgę własnoręcznie przez siebie podpisanego do sądu nie wniosły. Sędzia pokoju wyrokiem oddalił żądanie powoda, a to na téj zasadzie: że gdyby wierzyciel wystąpił z akcyą przed 13-ym lipca i przed sądami ówczesnemi przysięgi nie złożył, byłby oddalony ze swoją pretensyą; gdy więc i obecnie wykonania przysięgi odmawia, dowodzi tém samém nierzetelności swoich twierdzeń.

Jeszcze w początkach roku zeszłego, czeladnik szewcki, zapozwany został o zwrot 250 rs., pobranych na założenie warsztatu od rodziców panny, z którą się miał żenić, lecz nie ożenił. Pozwany pod przysięgą zeznał, że otrzymał tylko 180 rs,, którą to sumę za wyrokiem sądu powodom zwrócił i otrzymał od nich pokwitowanie, że już więcéj z tego tytułu niepokojonym nie będzie. Tymczasem w listopadzie, powodowie wystąpili z powtórną akcyą, domagając się od czeladnika zwrotu rzeczy danych mu na zagospodarowanie się, lub do zapłacenia rs. 200. Pozwany ze swéj strony twierdził, że pretensye powodów już są zaspokojone i powoływał się na otrzymane od nich pokwitowanie.

Sędzia zaproponował czeladnikowi, aby przez zapłacenie 25 rsr. rodzicom panny zgodnie sprawę zakończył; pozwany dla zapewnienia sobie,—jak mówił,—spokojności, zgodził się na to, lecz powodowie nie przystali. Gdy zaś sędzia podwyższył pierwotną cyfrę do 50 rs., na co znowu nie zgodził się pozwany, wówczas zapadł wyrok skazujący czeladnika na zapłacenie 50 rs., z których 25 rs., stanowiły wynagrodzenie kosztów. Sędzia upatrywał, w zgodzeniu się na zapłacenie powodom 25 rs., przyznanie długu w téj kwocie,—a w odmówieniu zapłaty 50 rs., zasadę do wymierzenia tak wysokich kosztów.

Na baczniejszą jeszcze uwagę zasługują trzy następne sprawy.

Siedmnastoletnia wieśniaczka z okolic Częstochowy, zwierzyła się przed zamieszkałym w tym mieście i dobrze jéj znanym kupcem, że dla poprawienia sobie losu pragnie wyjechać do Warszawy. Kupiec udając się z żoną do Warszawy, zabrał z sobą dziewczynę i tu oddał ją pod opiekę człowiekowi, od którego uciekła zaraz na drugi dzień, unikając hańby. Nowy opiekun ścigał ją; szczęściem, wdał się w tę sprawę komisarz policyi, który przyjął nieszczęśliwą do domu, a jéj prześladowcy proces wytoczył. Przy badaniu w sądzie, dziewczyna, nie rozumiejąc pytań, pozostawiała je po większéj części bez odpowiedzi; dwaj zaś obwinieni, kupiec z Częstochowy i niegodziwiec z Warszawy, składali zeznania tak sprzeczne, że aż sędzia zwrócił na to ich uwagę. Mimo to, zapadł wyrok uznający obu oskarżonych za niewinnych. Przy téj sposobności sprawozdawca stawia pytanie: dla czego sędzia wniósł do protokułu tylko drugie zeznanie oskarżonych, korzystniejsze dla nich, a nadewszystko—dla czego wydał wyrok w sprawie, która do jego jurysdykcyi nie należała?

Właściciel dorożki, oskarżony przez członka Tow. opieki nad zwierzętami, o nieludzkie obchodzenie się z koniem, mimo własnych zaprzeczeń, na mocy niezbitych dowodów skazany został na sprawiedliwą karę. W sprawie téj jednak, zaszedł wypadek, który mógł nasunąć myśl obwinionemu, że los jego jeszcze w trakcie postępowania sądowego, był zdecydowany. Gdy bowiem dorożkarz oskarżeniom zaprzeczał, sędzia odezwał się, że nieraz był świadkiem nieludzkiego obchodzenia się dorożkarzy z końmi i że nietylko on, lecz inni sędziowie, postanowili za czyny te surowe wymierzać na nich kary.

Ostatnia sprawa nasuwa myśl, że: *zadanie o trzech ciałach* nietylko dla astronomii przedstawia trudności. Dozorca sądowy ustanowiony po zaprowadzeniu sekwestru nad nieruchomością, bez

porozumienia się z dłużnikiem i wierzycielem, jak tego wymaga postanowienie Namiestnika z roku 1823, wymówił z d. 1 lipca mieszkanie lokatorowi A. i takowe oddał lokatorowi B. mieszkającemu w tym samym domu; lokal zaś B. wynajął osobie C. Lokator A., nie uznając wymówienia za ważne, w czasie właściwym, nie chciał z mieszkania ustąpić, skutkiem czego B. wytoczył mu proces. Sędzia skazał A na exmisyą, lecz sąd zjazdowy wyrok ten uchylił, z powodu niezachowania cytowanego Post. Namiestnika.

Jeszcze przed zapadnięciem wyroku w sądzie zjazdowym, osoba C. wytoczyła proces lokatorowi B., a sędzia pokoju objaśniony przez obrońcę o istnieniu Postanowienia Namiestnika, skargę oddalił. I ta sprawa poszła do sądu zjazdowego, który zasiadając w innym komplecie, uchylił wyrok sędziego pokoju i lokatora B. skazał na exmisyą. Tym sposobem B. któremu w jednéj sprawie odmówione zostalo prawo zajęcia nowego lokalu, z zasady nieważności kontraktu najmu, został z własnego mieszkania wyrugowany przez osobę C., a to na podstawie również wadliwego kontraktu.

Taka jest treść wybitniejszych faktów z kroniki sądowéj prowadzonéj od kilku miesięcy w szpaltach Gazety Polskiéj.

Aleksander Głowacki.

Redaktor i Wydawca, *H. Benni.*

OMYŁKI DRUKU w Zeszycie I-m.

które przed czytaniem poprawić należy.

Str.		wiersz			zamiast		czytaj	
Str.	50	wiersz	5	od dołu	zamiast	*Maldera*	czytaj	*Muldera.*
„	51	„	4	„	„	*Barthosa*	„	*Barthesa.*
„	52	„	23	„	„	*Husztera*	„	*Huntera.*
„	59	„	4	„	„	*użytecznéin*	„	*wyłącznéin.*
„	60	„	16	„	„	*środkach*	„	*ośrodkach.*
„	„	„	12	„	„	*nasze*	„	*nam.*
„	62	„	21	„	„	*dyetetycznych*	„	*dyalitycznych.*
„	„	„	19	„	„	*swéj własnéj*	„	*wymiany.*
„	64	„	4	od góry	„	*kościomoczowego*	„	*koniomoczowego*
